

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

FIONA BARTON

A JEŚLI TO  
KTOŚ  
KOGO ZNASZ?

# PODEJRZANY

Inteligentny, przenikliwy i intrygujący.

**C. L. TAYLOR**

CZARNA OWCA



**PODEJRZANY**  
**FIONA BARTON**

Przełożyła Agata Ostrowska

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**  
WARSZAWA 2020

## *Spis treści*

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

### CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22  
CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54  
Rozdział 55  
Rozdział 56  
Rozdział 57  
Rozdział 58  
Rozdział 59  
Rozdział 60  
Rozdział 61  
Rozdział 62  
Rozdział 63  
Rozdział 64  
Rozdział 65  
Rozdział 66  
Rozdział 67  
Rozdział 68  
Rozdział 69  
Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *THE SUSPECT*

Redakcja: Anna Brzezińska  
Projekt okładki: © R. Shailer/TW  
Zdjęci na okładce: © Shutterstock  
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka  
Korekta: Beata Wójcik, Słowne Babki Sp. z o.o.  
Redaktor prowadzący: Katarzyna M. Słupska

Copyright © Fiona Barton, 2018  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2020  
Copyright for the Polish translation © Agata Ostrowska, 2019

Wydanie I

ISBN: 978-83-8015-730-9

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl  
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl  
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Nigdy nie pozwól,  
żeby prawda zepsuła ci  
dobrą historię.*

Przypisywane Markowi Twainowi



*CZĘŚĆ PIERWSZA*

# **W POGONI ZA TEMATEM**

## Rozdział 1

*Niedziela, 27 lipca 2014 roku*

# REPORTERKA

**T**elefon dzwoni o trzeciej nad ranem. Ostry dzwonek wyrywa nas ze snu.

Sięgam na szafkę nocną, żeby go uciszyć.

– Halo? – szepczę.

Odpowiadają mi szmery i trzaski. Przyciskam słuchawkę mocniej do ucha.

– Kto mówi?

Czuję, że Steve obraca się w moją stronę, ale nic nie mówi.

Szum przycicha i słyszę jakiś głos.

– Halo? Halo? – powtarza, jakby mnie szukał.

Siadam w łóżku i zapalam lampkę. Steve z jękiem zasłania sobie oczy.

– Kate? Co się dzieje? – pyta.

– Kto mówi? – powtarzam. Ale wiem. – Jake?

– Mamo – słyszę głos, zniekształcony przez odległość, „albo przez alkohol” – myślę cierpko. – Przepraszam, że zapomniałem o twoich urodzinach – dodaje.

Na linii znów coś trzeszczy i już go nie ma.

Patrzę na Steve’a.

– To on? – pyta.

Kiwam głową.

– Przeprosił, że zapomniał o moich urodzinach...

Nasz starszy syn zadzwonił pierwszy raz od siedmiu miesięcy. W międzyczasie wysłał trzy mejle, ale z góry nas uprzedził, że nie będzie dostępny pod telefonem. Mówił, że tylko byśmy go stresowali ciągłymi telefonami. Miał się sam z nami kontaktować.

Ostatni raz zadzwonił w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Mieliśmy nadzieję, że spędzi święta z nami, rozrywając z hukiem kolejne cukierki z niespodzianką i przyrządzając swoje zabójcze grzane wino. Najpierw mu to

zasugerowaliśmy, potem wysyłaliśmy błagalne mejle, a w końcu nawet pieniądze na samolot przez Western Union, kiedy wydawało się, że zaczyna się łamać. Pieniądze odebrał. Oczywiście. Ale nie przyjechał, a w świąteczny poranek uraczył nas ledwie dziesięciminutową rozmową. Odebrał Steve i pierwszy z nim rozmawiał, podczas gdy ja stałam nad nim niecierpliwie, potem Jake poprosił do telefonu Freddiego, swojego młodszego brata, a dopiero na końcu własną matkę.

Przytuliłam słuchawkę, jakbym czuła jego ciężar i ciepło, starałam się raczej słuchać, niż mówić. Ale z upływem kolejnych sekund odliczanych przez aparat gdzieś w budce telefonicznej ciągle był oschły i zdystansowany, a mnie włączył się tryb przesłuchania.

– To gdzie teraz jesteś, kochanie?

– Tutaj – odparł ze śmiechem.

– Ciągle na Phuket?

– Tak, tak.

– Pracujesz?

– Tak, pewnie. To tu, to tam.

– A co z pieniędzmi?

– Radzę sobie, mamó. Nie martw się o mnie. Niczego mi nie trzeba.

– Jeśli tylko jesteś szczęśliwy... – usłyszałam swój głos. Tchórzliwy frazes.

– Jestem.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, Freddie wsunął mi do ręki kieliszek prosecco i pocałował w policzek.

– Spoko, mamó. Wszystko w porządku. Świetnie się bawi i grzeje na słońcu, a my tu tkwimy w tej szarówie i deszczu.

Ale w głębi duszy wiedziałam, że wcale nie jest w porządku. W jego głosie pojawiła się jakaś ostrożność, nieufność. I ten nerwowy śmiech. Nie brzmiał już jak mój Jake.

## Rozdział 2

*Piątek, 15 sierpnia 2014 roku*

# MATKA

Lesley jeszcze raz przejrzała skrzynkę odbiorczą. Na wypadek gdyby coś przegapiła. Wiedziała, że to niemożliwe, ale gdyby przestała sprawdzać, to oznaczałoby, że muszą zacząć działać. Tak uzgodnili. Malcolm stał za nią, śledził każdy jej ruch. Czuła bijące od niego napięcie.

– I co? – zapytał.

– Nic.

– Dzwonię na policję.

Pokiwała głową. Jeszcze nigdy nie musieli dzwonić na policję, przez całe wspólne życie. Policja należała do innego świata, tego z telewizji i gazet. Nie do ich świata. Kiedy Malcolm sięgnął po telefon, zaczęła się cała trząść. Chciała mu powiedzieć, żeby zaczekał. Żeby dali sobie jeszcze jeden dzień. Nie uruchamiali tej lawiny. Nie ścigali jej na własny dom.

– Mal – powiedziała, ale on zgromił ją wzrokiem i wybrał numer. Słyszała buczenie lodówki i warkot samochodu przejeżdżającego za oknem. Życie toczyło się jak zawsze.

– Dzień dobry, chciałbym zgłosić zaginięcie córki – usłyszała jego głos. Tamto życie właśnie się skończyło.

– Tydzień temu. Od tygodnia nie mieliśmy żadnego kontaktu ani z nią, ani z koleżanką, która tam z nią jest – mówił. – Wczoraj ogłoszono wyniki egzaminów końcowych, a ona się nadal nie odzywa.

– Alexandra O'Connor.

– W maju skończyła osiemnaście.

„Upiekłam jej ten tort z lukrem – myślała Lesley. – Zupełnie nie przypominał Eda Sheerana, jeśli nie liczyć rudych włosów, ale Alex i tak była zachwycona”.

Z zamyślenia wyrwał ją głos męża.

– Przepraszam, myślałem, że powiedziałem. Jest w Tajlandii, pojechała na wakacje z koleżanką, Rosie Shaw. Kiedy ostatnio pisała, były w Bangkoku.

Przez kolejne dwadzieścia minut Malcolm przedstawiał całą sytuację, podawał swoje dane i wysłuchiwał rad rozmówcy. Kiedy się rozłączył, potarł powieki i przez chwilę nie odrywał dłoni od oczu.

– I co? Co powiedzieli? – spytała Lesley podniesionym głosem, zmienionym przez panikę. – Z kim rozmawiałeś? No powiedz coś!

Mąż poderwał głowę i spojrzał na nią tak, jakby chciał się upewnić, że to naprawdę jego żona krzyczy na niego piskliwie w ich kuchni.

– Zapisali wszystkie informacje, kochanie. Słyszałaś przecież. Rozmawiałem z jakąś sierżantką. Zara Salmond, zapisałem sobie. – Sięgnął na blat i podał jej karteczkę samoprzylepną. – Zobacz.

Lesley odepchnęła karteczkę, która spadła na wyłożoną kafelkami posadzkę.

– Nieważne. Co powiedziała ta Zara? Jak zamierzają znaleźć Alex i Rosie?

Malcolm schylił się, podniósł karteczkę i położył ją z powrotem na blacie. Lesley miała ochotę go uderzyć.

– Malcolm!

– Przepraszam, kochanie, ale będzie nam potrzebne jej nazwisko i numer telefonu. – Mówił powoli, jakby zwracał się do starszej osoby. – Powiedziała, że przekaże sprawę Interpolowi, a my powinniśmy zadzwonić do ambasady brytyjskiej w Bangkoku. To mi poradziła. Ale twierdzi, że często tak bywa: młodzi jadą na wakacje i zapominają się odezwać do rodziców. Powiedziała, że jest jeszcze wcześniej i powinniśmy postarać się nie denerwować.

– Czyli uważa, że wszystko będzie dobrze? – Lesley siłą woli zmuszała go, żeby powiedział „tak” albo przynajmniej skinął głową. „Niech to się dobrze skończy...”

Malcolm pokręcił głową.

– Tego nie wie, kochanie. Mamy zadzwonić, jeśli Alex się z nami skontaktuje... albo jeśli nie odezwie się jeszcze przez tydzień.

– Ale się odezwie, prawda?

Malcolm przyciągnął ją do siebie.

– Pewnie, że tak. Będzie się chciała dowiedzieć, jak jej poszły egzaminy. Jutro albo pojutrze. Na pewno się odezwie, jak dwa razy dwa jest cztery.

Lesley otarła oczy ręcznikiem papierowym i spróbowała przybrać pogodny wyraz twarzy.

– Muszę zadzwonić do Jenny – stwierdziła z ulgą, że ma coś praktycznego do załatwienia. – Obiecałam, że dam jej znać, jak tylko porozmawiamy z policją. Wczoraj zaczęła trochę świrować.

– Na pewno szaleje z niepokoju, tak jak my albo i bardziej. Rosie to jedynaczka, a Jenny jest sama.

– Prawda. Co robisz?

Malcolm stukał w klawisze laptopa.

– Policja prosiła o zdjęcie. Obiecałem im jakieś wysłać. Potem poszukam numeru ambasady.

Lesley zajrzała mu przez ramię. Wybrał selfie Alex i Rosie, które zrobiły sobie w tuk-tuku zaraz po przyjeździe – dziewczyny uśmiechały się promiennie do zdjęcia, tło było rozmazane.

– Przynajmniej są razem – powiedziała Lesley i zaszlochała, kładąc głowę na rękach skrzyżowanych na stole kuchennym.

*Bangkok, dzień 1 (niedziela, 27 lipca)*

*www.facebook.com/alexoconnor.333*

*Alex O'Connor*

*27 lipca o 5:00*

*Już na miejscu. Jest bosko. Witaj, przygodo!*

Palce zatańczyły na klawiaturze telefonu, wrzuciła swoje selfie przed lotniskiem Suvarnabhumi – zmęczone oczy i głupi uśmiech. Zaplanowała to zdjęcie już w samolocie. Wiedziała, jak będzie wyglądało, ale nie wzięła pod uwagę zgiełku i fali gorąca, które uderzyły ją tuż po otwarciu drzwi terminalu. Doznała fizycznego wstrząsu. Wiedziała, że będzie gorąco – Google uprzedzał – ale nie że aż tak. Wilgoć oblepiała jej twarz, czuła smak upału na języku. Ostrożnie postawiła plecak na ziemi, przytrzymała go z obu stron nogami, żeby się nie przewrócił, i wyciągnęła obie ręce wysoko nad głowę, ciesząc się pierwszym dreszczykiem wolności.

Alex czekała na ten moment od roku, umilając sobie pracę w sklepie i w pubie, dzięki której mogła sobie pozwolić na wyjazd, fantazjami o wszystkich nowych miejscach, ludziach i przygodach.

Nie mogła się doczekać każdego aspektu podróży, poczynając od lotu – uwielbiała to uczucie nagłego pędu na pasie startowym ku czemuś nowemu. Poczowała tę samą ekscytację i tym razem, kiedy silniki zawyły na najwyższych obrotach i rozpoczął się jej pierwszy w życiu lot na tak długim dystansie, na drugi koniec świata. Podniecenie jednak wkrótce opadło. Czekają ją jedenaście godzin na środkowym fotelu i przez cały czas musiała uważać, żeby nie ocierać się ramionami o sąsiadów śpiących pod cienkimi kocami.

Rosie wypila trzy kieliszki wina do paskudnego samolotowego obiadu – „Kurczak czy makaron?” – i Alex ostrzegła ją, że się odwodni. Koleżanka przewróciła oczami i zaczęła demonstracyjnie flirtować z pasażerem siedzącym obok, po czym zasnęła, lekko pochrapując. Alex też próbowała spać, wierciła się na wąskim fotelu, żeby znaleźć wygodną pozycję, gmerała przy pasie bezpieczeństwa, żeby się jej nie wrzynał w biodro. W końcu się poddała i siedziała w ciemności, oglądając filmy na malutkim ekraniku, aż zaczęły ją szczypać oczy.

Godzinę przed lądowaniem zapaliły się światła, wtedy rozpięła pas i poszła do toalety. Jej twarz w lustrze wyglądała dziwnie. Czerwone obwódki wokół oczu,

usta uchylone z niewyspania. Ziewnęła do swojego odbicia i zaczęła się szarpać z drzwiami, nagle spanikowana.

Wypadła z impetem i zobaczyła, że jakiś chłopak czeka w kolejce. Zaśmiała się sama z siebie.

– Okropnie trudno się otwierają, co?

Odpowiedział nieśmiałym uśmiechem i przepuścił ją w drodze na miejsce.

A teraz już tu jest. Bangkok. Podniosła plecak, zarzuciła go z trudem na ramię i zatoczyła się nieco; zakreśliło jej się w głowie od gwałtownego ruchu. Czuła się sztywna i otumaniona, jakby nie dotykała stopami ziemi.

Nieznajomi zagadywali, żeby z nimi pojechały. Drobnymi mężczyznami o szerokich uśmiechach i natarczywych dłoniach.

– Potrzebujecie taksówki?

– Znam dobry hostel.

– Chcecie do świątyni?

Stała bez ruchu, czując, jak mnogość wyborów bębni jej w czaszce. Była piąta rano, ciemno, gorąco, chciała się tylko gdzieś położyć.

„No dobra, Alex, idziemy – powiedziała w duchu. – Gdzie Rosie?”

Polazła gdzieś szukać czegoś od bólu głowy.

– Trzeba było nie pić tyle wina w samolocie. Nie spakowałaś paracetamolu? – powiedziała Alex, sięgając do zamka bocznej kieszeni plecaka.

– Nie – warknęła Rosie i odmaszerowała.

Alex miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Zresztą już za późno na wątpliwości. Były na miejscu. I było bosko. No dobrze, miało być.



## Rozdział 3

*Piątek, 15 sierpnia 2014 roku*

# DETEKTYW

Od samego rana Zara Salmond chodziła koło niego na palcach, komisarz Bob Sparkes zaczynał się czuć jak tropiona zwierzyna. Zawsze pozostawała tuż poza polem widzenia, ale równie dobrze mogłaby stać z neonem głoszącym: „Żona szefa umiera”.

Dwa miesiące temu Eileen miała nawrót raka, wygryzł w niej nowe dziury, powoli ją pożerał.

– Damy sobie radę – powiedział jej, kiedy odebrali ostatnie wyniki badań. – Raz już z tym wygraliśmy, teraz też nam się uda.

Dzieci płakały z nim wcześniej, w domu, z dala od matki. Teraz wszyscy się trzymali, robili dobrą minę do złej gry, co było śmiertelnie wyczerpujące. Bywały takie dni, kiedy ledwie mógł się zwlec z łóżka.

Przełożeni zachowali się wspaniale, zachęcali, żeby wziął tyle wolnego, ile tylko chce, ale Sparkes czuł się nieswojo i w szpitalu, i w domu. Potrzebował w życiu czegoś, co nie będzie miało nic wspólnego z rakiem. Musiał udawać, że możliwe jest normalne życie, zarówno ze względu na Eileen, jak i po to, żeby sam mógł zapomnieć o tym, jak boli go serce.

Ale wyraźnie zapomniał wytłumaczyć to wszystko Salmond.

Wiedział, że to z dobrego serca stara się trzymać hołotę z centrum koordynacyjnego z dala od jego gabinetu, ale kiedy usłyszał, jak sierżantka mówi do kogoś: „Lepiej przyjdź później, ma dziś kiepski dzień”, jego cierpliwość się wyczerpała. Oczami wyobraźni zobaczył troskę na jej twarzy i wrzasnął:

– Salmond, do mnie!

Kiedy wetknęła przez szparę w drzwiach schludnie ostrzyżoną głowę, od razu stał jej uśmiech z twarzy.

– Zaczynam cię mieć po dziurki w nosie, Salmond. Przestań opowiadać ludziom, że powinni mnie zostawić w spokoju. Idź się zajmij czymś pożytecznym. Czuję się jak poddany kwarantannie.

Policjantka zbyła te słowa śmiechem, ale Bob wiedział, że trochę przesadził. Wstał, żeby ją zatrzymać.

– Przepraszam, ale kiedy rozmawiasz o mnie z ludźmi, mam wrażenie, że mówisz o samobójcy stojącym na moście. Nic mi nie jest.

– W porządku, szefie. Dotarło. Zostawię pana samego. Muszę napisać parę raportów.

– Opowiedz mi, czym się zajmujesz – poprosił, wskazując krzesło.

Salmond usiadła i skrzyżowała ręce na piersi. „Ciągle się gniewa” – pomyślał Bob.

– No dalej, przypomnij mi.

– Próbuję domknąć tę sprawę z narkotykami w Portsmouth.

– Trochę się to wlecze, co?

– Rzeczywiście. Ale ciągle ktoś wyjeżdża na urlop.

– Jakież powody do niepokoju?

– Nie, wszystko w porządku. Aha, i ktoś zgłosił zaginięcie dwóch dziewczyn z Winchesteru.

– Zaginięcie? Ile mają lat? – zapytał, natychmiast robiąc się czujny. – Kiedy to się stało? Dlaczego od razu mnie nie poinformowałaś?

– Osiemnastolatki, zaginęły w Tajlandii.

– Aha – mruknął Sparkes i stracił zainteresowanie. Zaczął myśleć o spotkaniu z lekarką Eileen, które czekało go później.

– To poza naszym rewirem, ale chętnie się zgłoszę, gdyby chciał pan wysłać...

– Salmond podniosła nieco głos, dając mu do zrozumienia, że zauważyła jego pusty wzrok.

– Chyba w twoich snach. Zresztą dopiero co wróciłaś z wakacji.

– Trudno to nazwać wakacjami. Kiedy Neil zapowiedział wyjazd do Turcji, wyobrażałam sobie leżaki i plażę. Przez większość czasu zwiedzaliśmy starożytne latryny, potrzebuje tego do jakiegoś projektu do szkoły. Było ze czterdzieści stopni.

– Latryny? Doskonale. Masz jakieś zdjęcia?

– Neil ma całe tony – odparła Salmond ze śmiechem. – Poproszę, żeby przesłał panu najlepsze ujęcia.

– Nie ma pośpiechu. No dobrze, co z tymi dziewczynami?

– Minął dopiero tydzień, ale rodzice się denerwują. Dziewczyny pierwszy raz wyjechały same, wczoraj nie zadzwoniły, żeby dowiedzieć się o wyniki

egzaminów. Rano zgłosił się ojciec jednej z nich, przekazując informację do Interpolu, ale idę o zakład, że smażą się gdzieś na plaży. Szczęściarzy.

– Tak, pozazdrościć. No nic, dawaj znać, jak będzie coś wiadomo. Jeśli sprawa się rozwinie, to media się na nas rzucą, na wszelki wypadek przygotuj informację dla biura prasowego.

I puścił do niej oko, żeby nie miała wątpliwości, że między nimi wszystko dobrze.

– Mam nowe wieści – powiedziała Salmond dwadzieścia minut później. – Zreferowałam sprawę biura prasowemu. Poza tym rodzina uruchomiła kampanię na Facebooku. – Sparkes się skrzywił. – To naprawdę dobry pomysł. Tam właśnie zaglądają dzieciaki, które może siedzą teraz obok Alex i Rosie w jakimś barze.

– Tak, a oprócz nich wszystkie świry z parciem na szkło, które będą teraz składać fałszywe wyrazy współczucia i twierdzić, że gdzieś je widzieli, żeby mieć swoje pięć minut. A potem zlecą się trolle, które będą obwiniały rodziców, że puścili córki na wakacje, a dziewczyny zwyzywają od dziwek. Boże, kto dopuścił takich ludzi do głosu? Zanim nastąpiły media społecznościowe, przynajmniej nie trzeba było ich wysłuchiwać. Mogli sobie rzygać nienawiścią do świata we własnych czterech ścianach albo w pubie za rogiem.

– Tak czy inaczej... – wtrąciła Salmond. – Może zmienimy temat.

– Słusznie.

Sparkes gapił się w raporty na ekranie komputera, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Oparł się, wyciągnął ręce w stronę klawiatury, ale potem uniósł je nad głowę, aż strzyknęło mu w plecach. W ustach miał metaliczny posmak, a za każdym razem, kiedy wstawał z krzesła, wyrywał mu się jęk. Czuł się staro. Bardzo staro.

Kiedy rano poszedł odwiedzić Eileen, kazała mu więcej spać. Zbył jej troskę machnięciem ręki.

– Nic mi nie będzie, kochanie. Czemu w ogóle rozmawiamy o mnie? Skupmy się na tobie, trzeba zwalczyć tę głupią infekcję.

– Staram się, Bob – odrzekła, opadając na poduszki.

Próbował się skoncentrować na tekście wyświetlonym na monitorze, ale w głowie miał tylko coraz większą słabość widoczną w oczach żony. Te zresztą zapadały się coraz głębiej, coraz dalej od niego. Jakby coś ją wydrążyło od środka. Przeciągnął się i zacisnął pięści.

„Nie teraz. Nie mogę o tym teraz myśleć. Wszystko będzie dobrze”.

Stuknął w touchpada, żeby wybudzić komputer, i na ekranie pojawił się obraz. Salmond przesłała zdjęcia zaginionych dziewczyn i link do strony na Facebooku założonej przez O'Connorów.

Sparkes spojrział na twarze dziewczyn z ciężkim westchnieniem. Kliknął i zaczął czytać, poczynawszy od ich ostatniego posta na Facebooku i mejla do rodziców z soboty dziewiątego sierpnia.

*Alex O'Connor: Szykuję się na świętowanie (emotka z zaciśniętymi kciukami) wyników egzaminów z moją najlepszą kumpelą na Ko Phi Phi, „z widokiem na monumentalne skały wynurzające się z lazurowego morza”, jak piszą w Lonely Planet.*

*Od: alexocon@gmail.com*

*Do: lesandmaloconnor@gmail.com*

*Temat: Wyniki*

*Cześć, ciągle jesteśmy w Bangkoku, ale zamierzamy się przenieść, zanim przyjdą wyniki! Trzymajcie kciuki i wszystko, żebym się dostała do Warwick. Zadzwoń, tak jak się umawialiśmy, koło południa Waszego czasu (tutaj będzie 18.00) i razem otworzymy kopertę. Jak na Oscarach! Koniecznie napiszcie, jeśli poczta przyjdzie wcześniej!!! Kocham Was, buziaki, Alex.*

*PS Jutro jedziemy zobaczyć słonie. Będzie można odhaczyć kolejne marzenie na liście...*

Jako pierwszy alarm podniósł brat Alex O'Connor, z początku dyskretnie. Właściwie tylko ją upominał.

*Hej, Alex. Przyszła koperta z wynikami!!!*

*Nie odzywałaś się już parę dni. Gdzie teraz jesteście?*

*Nie możemy się do Ciebie dodzwonić. Mama się trochę martwi. Odezwij się.*

*Alex?*

*Alex???*

*JPRDL, ALEX. ZADZWOŃ!!!!*

Zapisany wielkimi literami krzyk stanowił punkt przełomowy, od tej pory delikatne wymówki przerodziły się w rozpaczliwe apele.

*Minęły 4 dni, od kiedy ostatnio widziano moją siostrę i jej koleżankę. Proszę o udostępnianie.*

*To już 5 dni.*

*6 dni.*

*„Społeczność” też się włączyła:*

*Alex, Rosie, dajcie rodzinom znać, że wszystko OK.*

*To ty postawiłem wczoraj drinka w Oxxi's Place? Zadzwoń do rodziców.*

*Czekają na info, że nic wam nie jest.*

*Pomyślcie chwilę o innych, skontaktujcie się z rodziną.*

„Jak już się znajdą, to rodzice je nieźle prześwięcą – pomyślał. – Tyle zamieszania. Pewnie żałują, że w ogóle je puścili”.

On nigdy nie musiał podejmować takiej trudnej decyzji. Jego dzieci nie należały do poszukiwaczy przygód. W ogóle nie pamiętał, żeby rozważały rok przerwy po skończeniu liceum. Syn wybierał się na uniwersytet i planował karierę księgowego, a córka była zakochana, więc nigdzie się nie wybierała.

„Ciekawe, czy ich życie potoczyłoby się inaczej, gdyby pojechali do Tajlandii” – zastanawiał się, bezmyślnie przewijając wiadomości. Syn Kate Waters też tam pojechał. Wspomniała o tym jakiś czas temu, kiedy spotkali się, żeby omówić jakąś sprawę. Zwykle nie poruszał osobistych tematów z reporterami, ale Kate wyraźnie potrzebowała się wygadać, opowiadała o długich miesiącach bez żadnych wieści od Jake’a. W głębi duszy martwiła się, że chłopak sobie nie radzi, ale nie chce się przyznać.

Sparkes wolał nie dzielić się z nią swoim zmartwieniem dotyczącym jego własnego syna, takim mianowicie, że jest za stary jak na swój wiek. Był dopiero po trzydziestce i już zaczynał łysieć, a po domu chodził w kapciach.

– Mają dębowe parkiety – zauważyła Eileen, kiedy zwrócił jej na to uwagę. – Wszystko z nim w porządku.

Ale chłopak już na pewno się nie wybierze na imprezę na plaży przy pełni księżyca.

Może po prostu im się udało, mieli szczęście do dzieci. Przełączył okno na zdjęcie roześmianych dziewczyn. Młode twarze. Zaginione dzieci.

Gdzie one się podziewały? Zadzwoń później do Kate i wszystko jej opowie. Trzeba pchnąć sprawę do przodu.

## Rozdział 4

*Piątek, 15 sierpnia 2014 roku*

# REPORTERKA

Joe Jackson siedzi na moim krześle w redakcji i ogląda telewizję. Przechodząc, trzepię go w ramię.

– Ej, Jackson! Wypad!

Szczerzy zęby w szelmowskim uśmiechu i odpycha się od biurka, odjeżdżając mi z drogi, a ja widzę w nim wygłupiającego się Jake’a, z włosami jak zwykle opadającymi na oczy.

– Bierz się do roboty – burczę.

– Dzwonię po ludziach – mówi i na dowód pokazuje trzymaną w ręku komórkę. Jednym susem zrywa się z krzesła i odstawia je na miejsce. – Na razie nic ciekawego. Mam wolną chwilę przed spotkaniem w sprawie poniedziałkowego wydania. Byle tylko Terry nie przełożył go na wcześniej.

Jak za sprawą czarów szef działu wiadomości wyłania się z Akwarium – przeszklonego boksu służącego mu za gabinet.

– Podłożył nam pluskwy na biurkach czy co? – mruczy Joe, a ja przytakuję.

– O czym tam szepczecie? – krzyczy Terry z drugiego końca redakcji. – Mam nadzieję, że o jakimś artykule. Masz fatalne statystyki, Jackson.

Jako najmłodszy dziennikarz redakcyjny Joe Jackson jest łatwym celem tak zwanych docinków, chociaż szczerze mówiąc, to raczej mobbing. Nasze początki z Joem nie należały do najlepszych: przydzielono mi go jako stażystę, żeby zdobył doświadczenie (powiedziałam Terry’emu, że nie mam czasu niańczyć bachorów, ale on się uparł). Z czasem się do niego przekonałam. Wiem, że inni reporterzy nazywają go moim „redakcyjnym synalkiem” albo „chłopcem na posyłki szefowej”, ale staram się ich ignorować. Mam nadzieję, że on też. Ciągle mu powtarzam, że w końcu im się znudzi i znajdą sobie inną rozrywkę.

– Masz, przekaż to Terry’emu – mówię i podsuwam mu wycinek z gazety. – Z daleka widać, że można ten temat pociągnąć dalej.

– Dzięki. Znów mam u ciebie dług.

– Dopisz do rachunku. A teraz dowiedz się czegoś o tej sprawie, żebyś sprawiał wrażenie zorientowanego w temacie.

Zerkam ukradkiem na Terry’ego. Wszystko słyszał. On zawsze wszystko słyszy. Robi minę, jakby chciał powiedzieć: „Zawsze się dajesz urobić”. W odpowiedzi wzruszam ramionami i sięgam po telefon, żeby nie musieć z nim rozmawiać.

Przewijam kontakty w poszukiwaniu potencjalnej ofiary i zatrzymuję się przy komisarzu Bobie Sparkesie. Widzę jego nazwisko praktycznie codziennie – zapisałam go sobie pod imieniem, żeby zawsze był blisko początku listy. Dzisiaj jednak nie zjeżdżam niżej. Wybieram jego numer. Tego ranka potrzebuję usłyszeć znajomy głos. Może zresztą mieć dla mnie jakiś cynk.

Przez lata wypracowaliśmy z Bobem – on może powiedziała, że wymęczyliśmy – pewien rodzaj bliskości wymuszonej wspólną pracą przy trudnych sprawach. To niezaprzeczalny fakt, że detektywi i reporterzy spotykają się pod tymi samymi drzwiami, do których pukają w poszukiwaniu odpowiedzi, albo wpadają na siebie w tych samych pubach, na salach sądowych i w stołówkach.

Niektórzy policjanci traktują dziennikarzy jak dopust boży, każdą informację trzeba im wydzierać z gardła, ale Sparkes to porządny gliniarz. Wie, czego nam potrzeba, żeby stworzyć reportaż, i zwykle chętnie pomaga. Nie bawi się w żadne gierki.

„Współpraca wszystkim nam wyjdzie na dobre – powiedział kiedyś. – Policja zyskuje trochę rozgłosu dla sprawy, co przydaje się w śledztwie, no i trochę uznania dla swojej pracy, a wy macie swój tekst”.

On zaś niewątpliwie zasługuje na uznanie. Przy każdej sprawie wypruwa sobie żyły, daje z siebie wszystko.

Widziałam go w akcji. Kiedy prowadził sprawę Belli Elliott, szukał zaginionej dziewczynki od świtu do nocy, nie myślał o niczym innym. Mówił, że śniła mu się w nocy. Nawet w przypadku spraw, których nie prowadził, był moim łącznikiem. Kiedy próbowałam ustalić tożsamość zwłok noworodka znalezionej na placu budowy w Londynie, zawsze mogłam liczyć na to, że odbierze telefon. Wcale nie musiał tego robić, ale zawsze służył mi radą starszego i bardziej doświadczonego, kiedy za bardzo się w coś angażowałam. Kiedy traktowałam sprawę zbyt osobiście i nie zauważałam czegoś, co miałam pod nosem.

Nie porównałabym nas do Holmesa i Watsona, ale całkiem dobrze się dogadujemy.

To oczywiście oznacza, że wie o mnie zdecydowanie zbyt dużo. Zdaję sobie sprawę, że bywam zbyt wylewna, dzielę się z nim prywatnymi opiniami i zwierzam z problemów rodzinnych, ale ufam mu.

Nagle dzwoni telefon.

– Kate! – rzuca szorstko, aż się płoszę.

– O matko, Bob, dostąpiłeś łaski jasnowidzenia? Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

– Ha! Pewnie myśleliśmy o sobie w tej samej chwili.

Czuję, że oblewam się rumieńcem. „Na litość boską, dziewczyno, uspokój się!”

– Myślałeś o mnie? Pozytywnie czy psioczyłeś?

– Pozytywnie, Kate – odpowiada bez emocji. Nie bawi się we flirty. Nigdy nie był psem na baby.

Staram się powstrzymać uśmiech – usłyszy go w moim głosie.

– No dobra, to czemu o mnie myślałeś?

– Mam tutaj sprawę, z którą chyba mogłabyś nam pomóc. Rodziny dwóch nastolatek zgłosiły ich zaginięcie, dziewczyny pojechały na wakacje do Tajlandii. Nie odzywają się od tygodnia, więc jeszcze wcześniej, ale nie zadzwoniły, żeby się dowiedzieć o wyniki egzaminów, tak że rodzice się niepokoją. Moja sierżantka uważa, że znajdują się całe, zdrowe i skacowane, ale może artykułem uda się je wcześniej wyciągnąć z jakiejś speluny. Słowem, pomyślałem o tobie. I o Jake’u.

Bob Sparkes wiedział o Jake’u. O tym, że rzucił studia, co doprowadziło do ostrej wymiany zdań – opowiedziałam mu o wszystkim po rozwiązaniu sprawy dziecka z budowy, umówiliśmy się na drinka, żeby się odprężyć. On też ma dorosłe dzieci. Wie, jak okropnie czasem być rodzicem, i potrafi uważnie słuchać. Zawsze świetnie słucha. Jest w tym wyszkolony. Ale sam nie powiedział mi o chorobie Eileen. Dowiedziałam się od innego gliniarza. Byłam w szoku, chociaż bardziej zaskoczył mnie fakt, że nic mi nie powiedział, niż sam nawrót raka, szczerze mówiąc. Kilka razy próbowałam go sprowokować, żeby mi powiedział, wspominałam o Stevie, który pracuje na onkologii. Ale Sparkes nie złapał przynęty.

– Jasne. Ile mają lat? Macie jakieś zdjęcia? Skąd są te dziewczyny? Mogę porozmawiać z rodzicami?

– Boziu, Kate, zwolnij trochę. Wyskoczyłaś jak chart wyścigowy. Mają po osiemnaście lat, są z Winchesteru. Poczekaj, prześlę ci wszelkie dane, jak skończymy gadać.



- Świetnie. Informujesz o tym wszystkie media? – Musiałam spytać.
- Tak, biuro prasowe właśnie coś tam kleci, żeby zrobić nagranie.
- Może jakimś cudem mógłbyś dać mi ze dwie godziny przewagi?

Cisza. Czekam cierpliwie.

– Niech ci będzie – mówi. – To raczej nie jest sensacja z ostatniej chwili. Poproszę, żeby wstrzymali się do przerwy obiadowej.

– Bosko. Dziękuję, Bob.

– A właśnie, jak Jake?

Zapomniałam o własnym synu, zupełnie go zignorowałam, żeby napisać tekst o cudzych dzieciach. „Co z ciebie za matka?”

– Eee, trudno powiedzieć. Parę tygodni temu zadzwonił w środku nocy, pierwszy raz od ponad pół roku, ale brzmiało to tak, jakby rozmawiał z budki w środku dżungli, połączenie się urwało.

– Szkoda. No ale zadzwonił.

– Owszem. Powinna się chyba cieszyć i z tego.

– Rodzice Alex O’Connor i Rosie Shaw by się cieszyli, Kate.

Słyszę w jego głosie nutkę wyrzutu, ale postanawiam nie reagować. Zapisuję nazwiska.

– Tak, no to... Prześlij mi jak najszybciej info o tych dziewczynach, na pewno uda mi się to wcisnąć do gazety. Nic ciekawego się nie dzieje. I dzięki, że się wstrzymacie, Bob. Miło z twojej strony.

Otwieram laptopa i czekam na mejla. Skrzynka odbiorcza znowu pęka w szwach. Ledwie pół godziny temu przekopałam się przez biuletyny i masowo rozsyłane wiadomości które napłynęły przez noc, a już czeka na mnie paręnaście PR-owych wydmuszek wychwalających nowe programy telewizyjne oraz biografie celebrytów (napisane przez ghostwriterów) obiecujące „prawdziwe sensacje”.

– Nie wiem, czemu dostaję tyle show-biznesowego spamu – mówię do Joego z irytacją. Ale tak naprawdę wiem. Moje imię trafiło na listę pismaków od celebrytów. Zostałam naznaczona. Kiedyś byłam poważną reporterką, cokolwiek to oznacza w dzisiejszych czasach.

Wczorajsze popołudnie spędziłam na pisaniu „wzruszającego” – w myślach orzę powietrze ironicznym cudzysłowem – fotoreportażu o psie, który adoptował małe kaczątko.

– Pewnie je zeżarł zaraz po sesji zdjęciowej – powiedziałam Steve’owi po powrocie do domu. – Jezu, nienawidzę sierpnia. Cholerny sezon ogórkowy. Tkwimy w strefie bezwydarzeniowej, przeczesujemy grunt w poszukiwaniu jakichkolwiek newsów, a cały kraj byczy się na wakacjach. Naczelnicy oddał mi dziś jakąś moją starą rozkładówkę. Chyba od początku roku trzymał ją w dolnej

szufladzie biurka. Kazał mi trochę odkurzyć tekst, żeby mógł pójść do druku. Musiałam posprawdzać, czy nikt w tym czasie nie umarł.

Steve nalał mi kolejną lampkę sauvignon blanc i współczująco stuknął się ze mną kieliszkiem.

Pokasowałam irytujące wiadomości, nawet ich nie otwierając, odruchowo wyszukując wzrokiem [jakeinparadise2012@hotmail.com](mailto:jakeinparadise2012@hotmail.com).

Nigdy nie odpowiada na regularnie przychodzące do niego mejle ode mnie i Steve'a. Kiedy już pisze, to zwięźle i konkretnie – dwa, trzy zdania, raczej telegram niż list – daje tylko znać, że żyje, ale widać, że wcale o nas nie myśli. My zaś i tak ślęczymy nad nimi godzinami, próbując dopatrzeć się podwójnego znaczenia w każdym słowie.

Już dwa lata temu wyruszył w podróż, żeby „odnaleźć siebie” w Azji Południowo-Wschodniej. W tym roku powinien zdawać egzaminy adwokackie. Tak dobrze radził sobie wcześniej na uczelni... snuł plany na przyszłość w zawodzie prawnika. Cieszyliśmy się razem z nim. Teraz, z perspektywy czasu, dopuszczam możliwość, że cieszyliśmy się bardziej niż on. Ale przecież on zawsze był taki wyluzowany i nonszalancki. Kiedyś doprowadzało mnie to do szewskiej pasji. Był z niego szczęściarz – bystry szczęściarz – ale nie wiedział, co to wdzięczność. Może za łatwo mu wszystko przychodziło. Bez najmniejszego wysiłku dostawał najlepsze oceny, nie to co jego młodszy brat. To o Freddiego zawsze bardziej się martwiliśmy ze Steve'em. Próbowaliśmy to przed nim ukrywać. Z pełnymi troski rozmowami o jego przyszłości czekaliśmy, aż pójdzie spać. Biedny Freddie. W szkole zawsze w cieniu Jake'a. A potem nagle, jak grom z jasnego nieba, Jake przyjechał do domu i bez ceregieli oznajmił, że rzucił uczelnię w diabły i zamierza podróżować.

Kiedy wspomniał, że myśli o wolontariacie w rezerwacie żółwi na Phuket, wybuchła dzika awantura.

Wściekałam się, że rujnuje sobie życie, więc kiedy wyjeżdżał do Tajlandii, praktycznie się do siebie nie odzywaliśmy.

Przez pierwszy miesiąc nie dawał znaku życia, o co Steve obwinał mnie.

– Myśli, że ciągle się gniewasz – powiedział.

– Bo się gniewam – odszczeknęłam.

– Uważaj, Kate, bo go stracisz.

Chciałam mu wykrzyknąć: „Jak można stracić syna? Od dwudziestu dwóch lat był częścią mnie. Zawsze będę jego matką”. Ale zachowałam to dla siebie. Ukryłam ból i udawałam, że jego milczenie jest mi obojętne. Strach zapuścił jednak we mnie korzenie, racząc mnie makabrycznymi wizjami, w których Jake ginął w kraksie motocyklowej albo podczas brutalnego napadu.

Jako reporterka wiem, że takie rzeczy mogą się przytrafić każdemu.

## Rozdział 5

*Piątek, 15 sierpnia 2014 roku*

# REPORTERKA

Minęło pięć minut, mejla brak. Siedzę, bawiąc się telefonem i zastanawiając, czy zadzwonić do Sparkesa i zapytać, kiedy raczy kliknąć „wyślij”. Wkurzyłyby się, chociaż przecież sam powiedział, że od razu mi to prześle. No ale by się wkurzył. Odkładam telefon. Sama poszukam. Wszystko i tak jest w sieci. Wystarczy wpisać nazwiska zaginionych dziewczyn i one też tam są.

„Bingo. Tyle że to blog. Nienawidzę blogów”.

„Bajdurzenie udające dziennikarstwo” – powiedziałam kiedyś do Joego bez namysłu.

„Jezu, gadasz jak moja mama” – odparł. Jego matka, redaktorka naczelna jednego z dzienników, od niedawna na emeryturze, była przedmiotem powszechnych kpin jako dinozaurzyca dziennikarstwa. To zamknęło mi usta. Nie zamierzałam dać się wysłać razem z nią na zieloną trawkę.

Autor bloga, backpacker, bije na alarm i apeluje do Alex i Rosie, żeby skontaktowały się z rodziną.

Zaczynam się zastanawiać, ile zaginięć notuje się wśród tysięcy nastolatków, które robią sobie rok przerwy w nauce na podróżowanie. Teraz pewnie coraz mniej, wszyscy mają smartfony i internet. Ale i tak pewnie trochę ich jest.

Gapię się w ekran. Serce wali mi tak, że mam wrażenie, jakby siniaczyło mi żebra. Moje dziecko też zaginęło. W domu udajemy, że wszystko w porządku: jest dorosły, sam odpowiada za swoje życie i dokonuje wyborów. Ale właściwie nawet nie wiemy, w jakim jest kraju. Dziesiątki razy sprawdzałam ceny lotów do Tajlandii. „Tak tylko patrzę” – wmawiam sobie. Przez ostatnie dwa lata potajemnie wysyłałam mejle do dziesiątków rezerwatów przyrody na Phuket, pytając o niego, ale Jake do żadnego się nie zgłosił. Może być wszędzie, ale zachowuję tę myśl dla siebie. Nie ma sensu martwić Steve’a. Czasem się

zastanawiam, czy on przypadkiem nie robi tego samego i nie ukrywa tego przede mną.

Natychmiast piszę mejla do Jake'a.

*Hej, tak się tylko zastanawiam, gdzie jesteś i co robisz. Dzięki za tamten telefon – miło było Cię usłyszeć. Tęsknimy za Tobą. Freddie wreszcie zdał egzamin na prawko!!! Daj znać, jak to przeczytasz. Buzi, mama.*

Nie wiem, kiedy to przeczyta, ale mejl poszedł w świat i czeka, aż Jake zaloguje się do skrzynki.

– Kate – mówi Joe. – Kate! Pytałem, skąd masz ten wycinek. Błagam, Terry zaraz zwoła zebranie.

– Co? Nie możesz sprawdzić w sieci? Chyba z któregoś z niedzielnych magazynów. Na śliskim papierze? To powiedz, że „Sunday Express”. Nikt tego nie czyta.

– Idziesz ze mną?

– Która godzina jest teraz w Bangkoku, Joe?

– Eee, jakoś po południu albo wieczorem. U nich jest później, nie? A co?

Ale ja już wybieram numer korespondenta „Daily Post” na Azję Południowo-Wschodnią i macham na Joego, żeby nie czekał.

– Za chwilę przyjdę. Muszę tylko coś sprawdzić.

Don Richards odbiera po pierwszym sygnale.

– Tak – warczy do słuchawki, próbując zniechęcić tego, kto ośmielił się zawracać mu głowę.

– Don? Mówi Kate Waters z „Posta”.

Głos łagodnieje, chociaż nadal jest nieco szorstki.

– Aaa, droga Kate. Co słyhać? Chryste, kiedy my się ostatnio widzieliśmy? Chyba z dziesięć lat temu, jak przyjechałaś pisać o tsunami. To był temat, co? Zarobiłem na nowy bungalow.

Zaciskam zęby. Don już dawno stracił subtelność i wyczucie. „Tak to jest, jak się tutaj trochę pomieszka” – wyznał mi wtedy, kiedy oboje byliśmy pijani i wykończeni po długich tygodniach przerażających widoków i rozmów. „To człowieka otepia. No nie, robi się ze mnie jeden wielki kolonialny banał”. Kupiłam nam jeszcze po piwie i sprowadziłam rozmowę na lata jego świetności.

– Boże, naprawdę już dziesięć lat? – odpowiadam. – Chyba się starzejemy, Don. Słuchaj, wiem, że jesteś zajęty, więc postaram się streszczać. Zastanawiałam się, czy zajmujesz się sprawą dwóch zaginionych dziewczyn stąd, Alex O'Connor i Rosie Shaw?

– Mówi się o nich w świątku backpackerów. Ale to się tu zdarza bez przerwy, ambasada codziennie dostaje przynajmniej jedno zgłoszenie. Bezmyślne

gówniary. Rodzice podobno od tygodnia próbowali się z nimi skontaktować, ale dzieciaki szlają się to tu, to tam. Spotykają kogoś w barze, dowiadują się o fajnym miejscu i jadą. Te dwie pewnie dorwały jakichś chłopaków i tak dobrze się bawią, że zapomniały komuś o tym powiedzieć. A co, czemu pytasz? Wysyłają cię tutaj?

Uśmiecham się. Don zawsze wywęszy kasę.

– Nie sądzę, żeby zamierzali mnie tam wysłać na tak wczesnym etapie, ale porozmawiam z Terryem, to może być niezły temat. Dla rodzica to prawdziwy koszmar, przecież wszystkie dzieciaki teraz wyjeżdżają, żeby zrobić sobie rok przerwy przed studiami. A u nas nic ciekawego się nie dzieje.

– Wyślę ci jakiś tekst. Tylko podpisz mnie nazwiskiem, dobra?

Oto rozlega się charakterystyczny zew freelancera pospolitego. „Byle pod nazwiskiem”.

– Pewnie. Podeślij, co masz, a ja tu wszystko załatwię z księgowością. Rozmawiałeś z rodzinami? Przedzwonię do nich.

– Tylko przez Facebooka. Ci O’Connorowie z Winchesteru robią najwięcej zamieszania.

Terry wytyka głowę zza drzwi sali konferencyjnej.

– Chodźże tu, Kate. Jesteś główną reporterką. Powinnaś świecić przykładem, na litość boską.

*Bangkok, dzień 1 (Niedziela, 27 lipca)*

*www.facebook.com/alexoconnor.333*

*Alex O'Connor*

*27 lipca o 8:30*

*Wynajęliśmy penthouse w Bates Motel. YOLO*

Wytoczyły się z Rosie z autobusu linii 551 na ogromnym rondzie, od którego po dwóch stronach ciągnęło się coś w rodzaju autostrady przechodzącej przez centrum miasta. Dziewczyny z samolotu, które też z nimi jechały, widocznie wiedziały, co robią, bo wysiadły wcześniej, Alex nawet ich nie zauważyła. Dopiero kierowca powiedział im, że dotarły do celu.

– Pomnik Demokracji – oznajmił. – Ulica Khao San.

Stojąc przy czterech pasach ruchu, Alex straciła resztki entuzjazmu. Nie tego się spodziewała. Widziała zdjęcia starego miasta, nie tak to wyglądało. Gdzie te wąskie uliczki i zaułki? Rosie patrzyła na nią wyczekująco.

– Gdzie nasz hotel? – zapytała.

– Pensjonat – poprawiła ją Alex, zerkając na pierwszą stronę planu podróży zapisanego w telefonie. – Nazywa się Zielony Raj, powinien być jakieś piętnaście minut stąd.

– Ale w którą stronę?

Nie miała pewności, a była zbyt zmęczona, żeby rozsądnie myśleć. Zamierzała posłużyć się nawigacją w telefonie, ale na lotnisku zapomniała kupić tajlandzką kartę SIM. Ruszyła przed siebie, usiłując wyglądać, jakby wiedziała, co robi, a koleżanka podążyła za nią.

– Tędy – powiedziała, na wszelki wypadek dodając pod nosem „chyba”.

Pudło. Nikt z przechodniów nie rozumiał też, o co jej chodzi, kiedy pokazywała im nazwę pensjonatu.

– To jakiś koszmar – powiedziała Rosie, a Alex przyśpieszyła kroku, żeby jej nie słyszeć.

Kiedy w końcu dotarły na Khao San, sklepy w bocznych uliczkach odsłaniały witryny, gary pełne wody zaczynały bulgotać na paleniskach i kuchenkach gazowych, wszędzie porozstawiano zielone i czerwone plastikowe stołeczki, gotowe na pierwszych gości. Nadal jednak ani śladu ich hostelu.

Naburmuszona Rosie coraz głośniej dawała upust swojemu niezadowoleniu, aż wreszcie Alex zauważyła Raj u Mammy, bar z pokojami gościnnymi przy jednej

z przecznic.

– Ten też miałam na liście – skłamała. „No co, przynajmniej też ma w nazwie »raj«”. – Olejmy tamten i zapytajmy tutaj.

– Jasne – powiedziała Rosie.

– Wygląda w porządku – stwierdziła Alex, wbijając wzrok w półmrok za barem.

Dostały z Rosie pokój na ostatnim piętrze.

Po chwili oczekiwania wyrosła przed nimi imponująca postać w zwiewnym orientalnym kaftanie i platynowoblond peruce i obdarzyła je szerokim uśmiechem.

– Jestem Mamma – przedstawiła się. – To mój lokal. Dostaną prywatny pokój na drugim piętrze. – Brzmiało to jak zapowiedź królewskiego apartamentu.

W rzeczywistości czekał na nie pokój w standardzie noclegowni. Nie żeby Alex kiedykolwiek jakąś widziała, ale czytała na angielskim *Na dnie w Paryżu i Londynie* i uznała, że pokój 32 idealnie odpowiada opisom Orwella.

Wgramoliły się z plecakami po betonowych schodach – Alex pierwsza, z kluczem mocno ściskany w dłoni jak talizman – a na ciemnej klatce schodowej pojawiały się i znikwały kolejne twarze. Numer pokoju wymalowano na ścianie czarną farbą. Kiedy otworzyła drzwi, na korytarz buchnęła fala kwaśnego smrodu starych adidasów.

– Serio? – powiedziała Rosie.

– Jest tanio – odpaliła Alex. Nie miała siły na awanturę. – Sto pięćdziesiąt batów za noc. Trzy funty. Nie można się spodziewać wiele więcej.

– Może faktycznie.

– Zawsze to jakieś doświadczenie – dodała Alex.

– Niewątpliwie.

– No i ktoś musiał to polecić w necie, skoro zapisałam sobie na liście.

– Kto? Chyba ktoś z nietypowym poczuciem humoru, za to pozbawiony węchu...

– Nie jest tak źle – odparła słabo Alex, ogarniając wzrokiem żalospną całość. – Pootwieramy okna. Zresztą i tak nie będziemy tu dużo siedzieć.

– Całe szczęście – mruknęła Rosie, znacząco patrząc na kremowe ściany pokryte rozsmarowanymi komarami. Alex poszła zaciągnąć cienkie zasłony w oknie wychodzącym na korytarz. Nie dosuwały się. Brakowało żabek.

Niewątpliwie nie było tu żadnych bajerów. Wyposażenie pokoju obejmowało wiatrak, plastikowe krzesło i nieduże podwójne łóżko. Prześcieradło nosiło ślady potu kilku pokoleń turystów, zwłaszcza na środku, nad wgłębieniem w materacu, gdzie materiał był najciemniejszy.



– Słodkie poduszki – rzuciła Rosie, nadal nie ruszając się z progu. Upiorne widma rysunkowych kotków gapiły się wielkimi oczami, kiedyś uroczymi, teraz ledwie widocznymi po kilkuset praniach.

– No weź – mruknęła Alex. – Po której stronie chcesz spać? – Nie brała pod uwagę wspólnego łóżka, a po podróży samolotem wiedziała już, że Rosie chrapie.

– Blżej okna – odparła nadąsana Rosie. – Mam nadzieję, że nie chrapiesz...

Rzuciła plecak na ziemię i siadła ciężko na łóżku. Alex zrobiła to samo. W tej chwili najbardziej na świecie chciałyby wrócić do domu.

– Idę pod prysznic. – Udało jej się zapanować nad drżeniem głosu i zaczęła przetrząsać bagaż w poszukiwaniu mydła i szczoteczki do zębów.

Rosie zrobiła wielkie oczy.

– Strach pomyśleć, jak wygląda łazienka. Pewnie jest pełna karaluchów.

– Nigdy nie widziałam karalucha – skwitowała Alex. – Kolejne nowe doświadczenie.

Nagle zauważyły, że w oknie stoją dwie Tajki, które zaglądną przez zasłony, śledząc każdy ich ruch.

– Prysznic? – Alex otworzyła drzwi i odegrała pantomimę, udając, że woda jej pada na głowę.

Bez słowa wskazały na koniec korytarza.

Dziewczyny przepchnęły się obok nich i obadały malutkie pomieszczenie wyłożone kafelkami, z odpływem i prychającą główką prysznicową. Na haczyku wisały cienkie, sprane ręczniki.

– Okej, wchodzę – powiedziała Alex, naśladowując amerykański akcent z filmów.

– Jeśli za pięć minut nie wrócę, wezwij hydraulika.

Rosie parsknęła śmiechem.

„Bogu dzięki” – pomyślała Alex.

Potem, kiedy z mokrymi włosami siedziały w barze na dole, Mamma wychynęła z ciemnego zaplecza, a Rosie szturchnęła Alex.

– Mogłaby grać w reprezentacji Anglii w rugby.

Mamma rzuciła im spojrzenie i Alex zaniepokoiła się, że usłyszała ten komentarz, ale jak gdyby nigdy nic dalej zamiatała śmieci przed lokalem.

– Brudasy – syknęła w stronę przechodnia, który wypluł gumę do zucia na chodnik. Szminka zostawiła czerwony ślad na jej zębach.

Było chyba jeszcze za wcześnie na backpackerów – ledwie minęło południe i na twarzach tych, którym udało się zwlec z łóżka, malowały się kace we wszystkich odcieniach szarości. Minął je chłopak w ich wieku ubrany w same

szorty. Chudy, chudy jak szkielet. Miał zielonkawą skórę i postarzałe oczy, zaciągał się papierosem tak, jakby to był jego ostatni oddech.

Alex właśnie miała powiedzieć, jak niezdrowo wygląda, ale Rosie się ożywiła.  
– Ludzie chyba dobrze się bawią.

## Rozdział 6

*Piątek, 15 sierpnia 2014 roku*

# REPORTERKA

Terry'ego nie trzeba było długo namawiać, żeby zainteresował się tą historią. Lista newsów jest cienka jak bibułka papierosa. „Widzę, że dzisiaj spisał pan listę życzeń, Panie Od Wiadomości. Nie widzę tu żadnego prawdziwego tematu” – wrzasnął redaktor naczelny Simon Pearson z drzwi swojego gabinetu, wymachując felernym dokumentem. Terry się uśmiechnął, jakby chodziło o żart. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że za zamkniętymi drzwiami dostanie ochrzan.

Po wyjściu robi dzielną minę, ale lista newsów jest teraz kulką papieru w jego zaciśniętej piersi.

– Dajemy na czołówkę te zaginione dziewczyny – oznajmia takim tonem, jakby to był jego własny pomysł.

– Trochę słabe jak na pierwszą stronę, Terry – mówię. Słabiutkie. „Nastolatki nie piszą do rodziców z wakacji” nie brzmi jak sensacyjny nagłówek.

– No to dorzuć trochę do pieca, Kate. To jedyny temat, jaki dziś mamy.

Patrzę, jak zamyka się w swoim szklanym boksie, siada za biurkiem i gapi się w przestrzeń. Ciekawe, jak długo jeszcze wytrzyma, obrywa dwanaście godzin na dobę. Zawsze twierdzi, że to kocha – adrenalinę, bycie w centrum wydarzeń – ale z dnia na dzień coraz bardziej przypomina ofiarę przemocy domowej.

Muszę się naprawdę przyłożyć do tego tematu.

Malcolm O'Connor odbiera po pierwszym sygnale.

„Pewnie siedzi przy telefonie”.

– Dzień dobry, pan O'Connor? Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwonię w sprawie pańskiej córki Alex. Jestem reporterką z „Daily Post”, chcę państwu pomóc ją znaleźć.

Próbuję sobie wyobrazić mężczyznę na drugim końcu linii. W średnim wieku, łysiejący? Na pewno zdesperowany. Miałam nadzieję trafić na matkę. Z kobietami znacznie łatwiej rozmawiać o żalu, emocjach, stracie. Facetom, nawet ojcom, trudno znaleźć odpowiednie słowa. A robienie dobrej miny do złej gry wychodzi w druku bardzo zimno i nieczule.

Po drugiej stronie zapada cisza.

– Pan O’Connor?

– Tak, przepraszam. Lepiej poproszę żonę.

Szum odgłosów gdzieś w innym pomieszczeniu, szmer ruchu i ktoś znowu bierze słuchawkę do ręki.

– Halo, kto mówi?

– Kate Waters. Pani O’Connor, tak? Właśnie tłumaczyłam pani mężowi, że pracuję dla „Daily Post” i chcę pomóc w poszukiwaniu Alex.

– „Post”? Nie czytamy, ale... coś pani słyszała? Co pani wie? Na pewno więcej niż my. W końcu jest pani dziennikarką.

– Wiem pewnie tyle, co państwo. Szczerze mówiąc, może nawet mniej. Jestem w kontakcie z policją w Hampshire, ale na razie niewiele mi powiedzieli. Może pani mogłaby mi przekazać jakieś dodatkowe informacje?

– Słyszałam, że powiadomili Interpol, my rozmawialiśmy z ambasadą w Bangkoku. Wszyscy każą nam czekać. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymamy. – Głos zaczyna jej się łamać, czuję, że zaraz się rozklei.

– To był świetny pomysł z tym Facebookiem – mówię, starając się ją odwieść od płaczu. Potrzebuję informacji, nie łez. – Na pewno dotrzecie do tysięcy turystów tam na miejscu.

– Tak twierdzi Dan, mój syn – odpowiada apatycznie. – Ja założyłam konto dopiero po wyjeździe Alex. Powiedziała, że będzie tam wrzucać zdjęcia. Mogliśmy na bieżąco śledzić, co u niej słyhać. Ale od niedzieli nic się nie pojawiło. Nikt nie miał z nią kontaktu. Nikt nic nie wie. Czekaliśmy. Uznaliśmy, że widocznie pojechała na dłuższą wycieczkę, ale wczoraj byliśmy umówieni na rozmowę, miała się dowiadywać o wyniki egzaminów końcowych. Nie mogła się doczekać wieści, czy dostała się na wymarzony uniwersytet. A gdyby oceny okazały się za słabe, to musiałaby podzwonić po innych uczelniach, żeby znaleźć gdzieś miejsce.

– Pamiętam, jak to jest – przytakuję. Jake bez problemu dostał się do pierwszej szkoły z listy, ale Freddiego czekał cały dzień bolesnych rozmów telefonicznych, a ja starałam się go wspierać, uśmiechem pomóc mu znieść upokarzającą porażkę. W końcu zdecydował się na medioznawstwo w Londynie. Ja bym tego nie wybrała – trzy lata bawienia się w dziennikarstwo, a potem potężne długi –

ale byłam już zbyt wykończona, żeby się z nim kłócić. Twierdzi, że studia mu się podobają. – A Rosie? – pytam.

– Ona też się nie odzywała. Ale zwykle to Alex pisała. Rosie była trochę mniej... wie pani.

– Tak, sama mam taki egzemplarz. Czy mogłabym do was przyjechać? Możemy przejść na ty? Będziemy mogły spokojnie porozmawiać. Przez telefon trudno się dogadać, prawda? Mogłabym podjechać nawet teraz.

W słuchawce zapada cisza, słyszę, jak Lesley O'Connor szepcze do męża:

– Chce tu przyjechać. – Odpowiedzi nie udaje mi się dosłyszeć, ale już po chwili Lesley mówi: – Dobrze. Masz adres?

Prowadzi Mick Murray. Tak woli.

– Mam w bagażniku aparat i cały sprzęt, wygodniej wziąć moje auto. Poza tym ty beznadziejnie jeździsz.

Siadam na fotelu pasażera, butem spychając na bok puste butelki po coli i szczątki starożytnych opakowań po żarciu na wynos, staram się zignorować przepelnioną popielniczkę. Ale fotograf zauważa moje spojrzenie.

– Wybacz, w tym tygodniu nie robiłem generalnych porządków.

– W tym tygodniu? Chyba w tym wieku! Masz tu pudełka po Big Macach starsze od moich dzieci.

– Trochę chlew, ale przytulny – mówi ze śmiechem i zapala papierosa.

– Tak że tego... Terry się uparł, żeby to walnąć na czołówkę. Moim zdaniem trochę to kulawe, no ale mamy sierpień.

– My w zdjęciach też jesteśmy zdesperowani. Coś z tego ukręcimy. Ładne dziewczyny, na tej stronie założonej przez brata jednej z nich jest parę zdjęć przed jakąś świątynią, ale konta na Facebooku mają dostępne tylko dla znajomych.

– Miejmy nadzieję, że rodzice nam jakieś dadzą. Biedni ludzie. Brzymieli sympatycznie. To będzie kulturalna rozmowa.

Mick przytakuje, wyrzuca peta przez okno i wygrzebuje następnego papierosa z paczki na desce rozdzielczej. Zapala i zaciąga się głęboko.

– Niech to szlag, Mick, otwórz chociaż okno. Palę te fajki razem z tobą.

Wybucha śmiechem i zanosi się takim kaszlem, jakby miał wypluć płuca.

– Nawróceni palacze są najgorsi. Korzystaj. Masz jednego za darmo...

Otwieram okno i zaczynam myśleć o wywiadzie.

Parkujemy pod wskazanym adresem, przed szeregowcem z czerwonej cegły na obrzeżach zamożnego miasta targowego, a kiedy wysiadam z samochodu, dzwoni mój telefon. To Steve, ale ledwie go słyszę przez uliczny szum.

– Przepraszam, kochanie, stoję na chodniku i zaraz wchodzę na wywiad. Możemy pogadać później?

– Chciałem ci tylko przypomnieć, że idziemy wieczorem na tapasy z Henrym i Deepiką. Pamiętasz?! – krzyczy.

– Tak, tak. – Zapomniałam. Steve pewnie by uznał, że to celowo, ale mam po prostu dużo na głowie. Poza tym nie znoszę Henry’ego. Może i jest kolegą Steve’a ze szpitala, ale jest też strasznym dupkiem. To taki typ, któremu wydaje się zabawne krytykować żonę w towarzystwie, a potem ryczeć: „Żartuję!”, kiedy zapada krępująca cisza. Deepika, partnerka w kancelarii prawnej, chyba nie ma nic przeciwko. Wtórjuje mu, kiedy on z rechem nazywa ją „tą, której nie wolno się sprzeciwić” i porównuje ich małżeństwo do wyroku dożywocia, ale dla mnie to jest nie do przełknięcia.

Kiedy ostatni raz wyskoczył z czymś takim, zamówiłam kolejną lampkę wina, mimo że Steve posłał mi spojrzenie pod tytułem „już ci wystarczy”.

– Przekaż mu, że jeśli dziś znowu wyjdzie z niego neandertalczyk, to wepchnę mu do nosa grillowaną papryczkę! – odkrzykuję.

– Katie, będziesz się zachowywała, prawda? – pyta Steve ze śmiechem, ale słyszę napięcie w jego głosie.

– Być może. Kocham cię, pa.

– Kogo zamierzasz zaatakować chili? – pyta Mick, zarzucając sobie na ramię torbę z aparatami.

– Nie twoja sprawa. No, chodź, nie ma na co czekać.

## Rozdział 7

*Piątek, 15 sierpnia 2014 roku*

# REPORTERKA

**D**roga przez salon O’Connorów przypomina tor przeszkód najeżony meblami i bibelotami – żeby dostać się do fotela wskazanego przez Lesley, muszę wyminąć wyściełany podnóżek, duży trzęsący się storczyk i stolik kawowy o ostrych kantach. Na kanapie siedzi już jakaś kobieta z kubkiem herbaty w ręku.

– To Jenny, mama Rosie. Zadzwoniliśmy, że przyjeżdżacie, i chciała dołączyć – tłumaczy Lesley szybko.

„Ale ty nie wyglądasz na zachwyconą tym pomysłem – myślę. – Ciekawe czemu?”

Jenny kłania mi się bez słowa i upija łyk herbaty.

– Dzień dobry, ja jestem Kate, a to Mick, mój...

Mick ucisza mnie wzrokiem.

– Jestem fotografem, współpracuję z Kate przy tym artykule – mówi.

Ostatnimi czasy coraz bardziej się wścieka, kiedy się zapomnę i nazwę go „moim fotografem”.

– Nie jestem twoją tresowaną małpką, kurwa – syczy. Mogę się założyć, że Lesley O’Connor to słyszy, ale udaje, że nic nie zauważyła.

– Herbatki? – rzuca, przerywając nagłą ciszę.

Kiwam głową z wdzięcznością.

– Jeszcze dwie herbaty, Malcolm! – woła w stronę drzwi. Lesley jest mniej więcej w moim wieku, na oko trochę po pięćdziesiątce. Ma na sobie dzinsy z supermarketu z wysokim stanem, sandały w kolorze plastra opatrunkowego i długi T-shirt. Zero makijażu. Żadnych kolczyków. W pełni naturalna.

Rozpinam żakiet i szybko zsuwam go z ramion. Nie chcę wyglądać jak urzędniczka.

– Lesley... – zaczynam, ale wchodzi mi w słowo.

– Trafiliście bez problemu?

„Odsuwa ten okropny moment, kiedy trzeba będzie zacząć o tym mówić”.

– Tak, żadnych trudności. Bardzo dziękujemy, że zgodziliście się z nami spotkać.

Nachylałam się do przodu, żeby złapać kontakt wzrokowy.

– Możesz mi trochę opowiedzieć o Alex? Na pewno strasznie się cieszyła na wyjazd.

Lesley uśmiecha się z wdzięcznością. Wspomina szczęśliwe czasy sprzed ostatniego tygodnia, właśnie do nich chciałyby wrócić.

– Tak, bardzo. Obie się cieszyły, prawda, Jenny?

Jenny Shaw nie podnosi wzroku znad kubka. Czuję, że atmosfera nieco się zagęszcza. Ale Lesley najwyraźniej nic nie zauważyła i nadaje dalej.

– O niczym innym nie mówiła. Na początku miała jechać z Mags, swoją najlepszą przyjaciółką, ale nic z tego nie wyszło i w końcu Rosie się zdecydowała. Alex godzinami siedziała w internecie, oglądała różne wyspy, sprawdzała, jak się tam dostać, no wiesz, rozkłady autobusów, promy, zakwaterowanie. Wszystko zaplanowała. Miały jechać na trzy miesiące, a potem zobaczyć, co dalej. Myślały o Australii, gdyby udało im się znaleźć jakąś pracę.

– Czyli to była poważna wyprawa. Podróżowały już wcześniej?

– Nie – mówi Jenny Shaw. Pierwsze słowo z jej ust.

– To prawda, nie – potwierdza szybko Lesley. – Pierwszy raz same poza domem. Ale to rozsądne dziewczynki, wszystko sobie zaplanowały. Alex zrobiła całą tabelkę.

Z ust Jenny Shaw słyszę coś w rodzaju prychnięcia.

– Przepraszam, nie dosłyszałam.

– Nic nie mówiłam.

– Jenny jest bardzo zdenerwowana – wtrąca się Lesley. – Jak my wszyscy.

Malcolm O'Connor stawia na stoliku tacę z dzbanuszką na mleko, cukierniczką, herbatnikami w czekoladzie i czajnikiem z ocieplaczem. „Dbają o utrzymanie standardu w każdej sytuacji” – notuję w myślach.

– Tak, denerwujemy się – przyznaje i siada między żoną a Jenny.

– Musimy je znaleźć – mówi Lesley, łapiąc męża za rękę. – Jesteśmy zrozpaczeni. Nie śpimy, wyobrażamy sobie najgorsze.

– Dlaczego wszczęłaś alarm, Lesley? Alex powiedziała coś, co cię zaniepokoiło?

– Nie. Nic z tych rzeczy. O to właśnie chodzi. Świetnie się bawiły. Ale przez tydzień się nie odzywały, a umówiliśmy się, że będą się kontaktować przynajmniej co drugi dzień. Na Facebooku, esemesem, mejlem, jeśli będą miały czas napisać coś więcej. Poza tym wczoraj przyszły wyniki egzaminów. Jeszcze



nie otworzyłam koperty, bo chcieliśmy to zrobić razem z Alex. Wiedziała, że miały przyjść czternastego sierpnia, nawet umówiła się z nami mejlowo, że zadzwoni o konkretnej godzinie. Wiedziała, że czekamy na telefon, prawda, Mal?

Malcolm kiwa głową i puszcza dłoń żony, żeby nalać herbaty do filiżanek.

– Mogłabym zobaczyć te mejle, Lesley? Jeśli to możliwe, chciałabym zacytować słowa dziewczynek.

– Po co?

„Żeby lepiej się czytało”, ale tego nie mogę im powiedzieć.

– Żeby w tej historii wybrzmiał ich głos – mówię. – W końcu to one są tu najważniejsze.

Nie wygląda na przekonaną, więc zmieniam temat.

– Z kim w Tajlandii rozmawiałaś, Lesley?

– Jesteśmy w kontakcie z tamtejszą ambasadą. Są bardzo mili, ale mówią, że jeszcze za wcześnie. Że to się często zdarza. W zeszłym roku zgłoszono zaginięcie ponad czterystu turystów. Ludzie podobno szybko się znajdują, nie powinniśmy wpadać w panikę. Więc staramy się nie panikować.

Ostatnie słowo więźnie Lesley w gardle, urywa. Podtrzymuję kontakt wzrokowy, kiwam zachęcająco głową. Bierze głęboki oddech i podejmuje wątek.

– Na pewno by się odezwała. Alex to kochana dziewczyna. Nie chciałyby nas tak martwić. Wiemy, że zarezerwowała hostel w Bangkoku, czy raczej pensjonat, Zielony Raj, ale kiedy tam zadzwoniliśmy, powiedzieli, że się nie zjawiła. Nie wiemy, gdzie w końcu zamieszkały, na Facebooku pisała coś o Bates Motel, ale to oczywiście żart. Nie wiedziałam, że zmieniły pensjonat, nie wspominała o tym, kiedy rozmawiałyśmy pierwszy raz, tyle było innych tematów do obgadania. Buzia jej się nie zamykała, cieszyła się jak dziecko. Opowiadała o świątyniach, o nowych znajomych. A potem nic. Cisza, zero kontaktu. Nie tylko z nami, obdzwoniliśmy wszystkich znajomych i nic. Telefon ma wyłączony. Nie wiemy, co się dzieje.

Malcolm obejmuje ją ramieniem. Jenny Shaw całkowicie się izoluje, przycupnięta na drugim końcu kanapy, więc wyciągam do niej rękę i dotykam ramienia, żeby wciągnąć ją do rozmowy.

– A jak ty się miewasz, Jenny? Jak sobie radzicie z mężem?

– Byłam mężem.

„Szlag”.

– Oczywiście, przepraszam. To musi być dla ciebie bardzo trudne.

Jenny Shaw bierze głęboki wdech. Wygląda tak krucho, jakby lada chwila miała się rozpaść na kawałki.

– Tak – mówi. – Bardzo trudne. Mam tylko ją. Zresztą w ogóle nie powinna teraz być w Tajlandii. Powinna zaczynać studia, poślubnictwo. Ale postanowiła

zacząć rok później.

– Żeby podróżować? – podpowiadam.

– Tak. Właściwie to był pomysł Alex, ale namówiła Rosie.

Lesley rzuca jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Są dobrymi przyjaciółkami? – Zapuszczam się dalej na wzburzone wody.

– Koleżankami. Znają się dopiero parę lat, odkąd się tu przeprowadziłyśmy. Po rozwodzie musiałyśmy znaleźć coś tańszego.

Kiwam współczująco głową.

– Na pewno nie było łatwo.

– Poradziłyśmy sobie – mówi Jenny sucho. – Bardzo się zdziwiłam, kiedy Rosie powiedziała, że chce jechać. Chodziły do tego samego liceum, ale nie spędzały dużo czasu razem. A po powrocie pójdą na inne uczelnie.

Na krótką, ale zauważalną chwilę zapada cisza. „Po powrocie”.

– Rosie dobrze poszły egzaminy? – pytam.

– Nie otwierałam jeszcze koperty, ale na pewno tak.

– Jaka jest Rosie?

– To bystra dziewczyna. – W jej głosie słychać napięcie, można odnieść wrażenie, że brakuje jej tchu. – Ale jest młoda i czasem może się w coś wplątać. Niekoniecznie w coś złego, ale na przykład ostatnio jak sobie coś ubzdura, to nie sposób jej wyperswadować tego pomysłu.

– Tak jak z tą podróżą?

– Tak, tak jak z tą podróżą. Ja uważałam, że powinna zgodnie z planem zacząć studia. Ale ona nie chciała mnie słuchać, a ojciec pożyczył jej pieniądze, żeby mogła jechać.

Mówi ostrożnie, każde zdanie zatwierdza ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Przypomina mi ptaka zamkniętego w klatce. Ten ciągły ruch głowy w górę i w dół.

– A mąż... przepraszam, były mąż, zaangażował się w akcję poszukiwawczą?

– Nie. Ma nową żonę, jest potrzebny w domu. Właśnie urodziła dziecko.

Żal i oskarżenie o rozbicie rodziny pozostają w podtekście, niewypowiedziane. Na razie. Czuję jednak, że uraza buzuje tuż pod powierzchnią, to tylko kwestia czasu, aż wykipi.

„I to krótkiego czasu, jeśli Rosie się nie znajdzie. Jenny będzie potrzebowała kogoś obwinić”.

– Policja mówi, że może pojechały na parę dni gdzieś, gdzie nie ma internetu ani zasięgu – mówi Malcolm O'Connor, kręcąc głową.

Lesley patrzy na męża.

– Czemu wszyscy to powtarzają? Kiedy ostatnio się odzywały, były najprawdopodobniej ciągle w Bangkoku. Alex pisała, że w ubiegłą środę miały

ogłądać jakieś słonie. Świetnie się bawiły. – Urywa. W zdanie wkradł jej się czas przeszły. – Tak się boję, że ją straciliśmy. Ciągłe przypominam ją sobie na lotnisku, jak machała nam z kolejki do kontroli bezpieczeństwa. Gotowa na wielką przygodę.

Łzy spływają jej po twarzy, skapują z brody na gołe przedramię męża.

– Przepraszam – szepcze, ociera je rękawem i zbiera się do wstania.

– Daj sobie chwilę, Lesley – mówię cicho i wyławiam z torby chusteczkę higieniczną. – Nic dziwnego, że się martwisz. Który rodzic by się nie bał? Masz zdjęcie dziewczyn z lotniska?

Jenny wstaje i przeciska się między kolanami gospodarzy a stolikiem. Ona też płacze.

– Muszę na minutkę wyjść – mówi.

– Zostań, Jenny – szlocha Lesley, ale sąsiadka znika w holu. Potem zwraca się do mnie: – Czujemy się tacy bezradni. Pomożesz nam, prawda?

Malcolm przesuwają się nieco, a ja siadam obok niej i łapię ją za rękę.

– Oczywiście, że pomogę. Jak tylko skończymy rozmawiać, napiszę artykuł, żeby poszukiwania nie ustawały. Internetowe wydanie „Posta” czytają ludzie na całym świecie.

Na twarzy Lesley pojawia się nagle nieufność. „Właśnie sobie przypomniała, że jestem dziennikarką”.

– Co napiszesz?

– Że rozpaczliwie szukacie Alex i Rosie, że się o nie martwicie. Coś o nich, o ostatnim miejscu pobytu, jakie miały potem plany. Będą nam potrzebne ich zdjęcia, wasze też. Chcemy, żeby inni rodzice zrozumieli, przez co przechodzicie.

– Skoro to ma pomóc... – Głos Lesley się załamuje.

Wróciła Jenny, stoi w drzwiach i ociera oczy.

– Jak myślisz, Jenny? – pyta Lesley.

Jenny wbija wzrok w dywan.

– Dobrze – mówi w końcu.

*Bangkok, dzień 2 (poniedziałek, 28 lipca)*

*www.facebook.com/alexoconnor.333*

*Alex O'Connor*

*28 lipca o 6:30*

*Naprawdę tu jestem! Marzenia się spełniają...*

Mało brakowało, a miesiąc przed wyjazdem odwołałaby całą podróż, bo jej najlepsza przyjaciółka Mags zrezygnowała. W dniu, w którym miały kupować bilety lotnicze, Mags przysłała jej powiedzieć, że zmieniła zdanie. Bardzo jej przykro, ale jej nie stać. Alex tak zatkało, że nawet nie zrobiła jej awantury. Dopiero potem zaczęła się zastanawiać, czy koleżanka od początku nie miała zamiaru jechać.

A potem Rosie zaczęła błagać, żeby ją ze sobą wzięła. Alex była w szoku. Przede wszystkim nie były bliskimi koleżankami. Nie znała jej od dziecka, tak jak Mags. Rosie zamieszkała przy ich ulicy dopiero na początku liceum, chodziły na inne przedmioty. To mama Alex zasugerowała, żeby może odprowadziła Rosie do szkoły na początku nowego roku szkolnego, zapoznała ją ze swoimi znajomymi i tak dalej.

– Jest tu nowa, Alex. Bądź dobrą koleżanką.

Pierwszy raz spotkały się, kiedy Rosie z mamą – taty nie było – przyszły do nich na powitalny obiad, który miał się okazać prawdziwą męczarnią.

Alex otworzyła gościom drzwi. Na progu stała drobniejsza od niej blondynka ze sterczącym końskim ogonem, w krótkim kombinezonie w kwiatki i butach na wysokich koturnach. Zawstydzona Alex wyciągnęła z dzinsów koszulkę z logo Hogwartu i gestem zaprosiła ją do środka.

– Nie wiedziałam, że mieliśmy się stroić – mruknęła do mamy w drodze do jadalni.

Musiały jakoś przebrnąć przez niezręczną rozmowę z cyklu „Z jakich przedmiotów będziesz zdawała?”. Na szczęście mama zaraz zawołała je na obiad. Rosie wyraźnie się ucieszyła na widok Dana, starszego brata Alex – przy stole usiadła koło niego i zaczęła całkowicie monopolizować jego uwagę tymi swoimi dołeczkami i nabożnym słuchaniem odpowiedzi na każde swoje pytanie. Alex zapadła w ponure milczenie. Jakoś wytrzymali aż do deseru, puddingu chlebowego z jabłkami – „popisowego dania Lesley”, jak zapowiedział jej tata – a Alex wolałaby w tej chwili umrzeć. Jakby tego było mało, zaraz zaczęły się rodzicielskie licytacje.

– Rosie będzie studiowała położnictwo na uniwersytecie – powiedziała Jenny, matka Rosie. – Zawsze o tym marzyła. Będzie musiała zdobyć najlepsze stopnie, na szczęście jest bardzo inteligentna.

Mama Alex uśmiechnęła się z zaciśniętymi ustami.

– To pięknie – powiedziała. – Alex też wybiera się na studia, prawda, kochanie?

Dziewczyny wstały od stołu jak na komendę i wyszły na taras.

– Sorry, ona już tak ma. Ciągłe gada o tych położnych – powiedziała Rosie. – Wcale nie jestem pewna, że będę miała takie dobre oceny, ale ona się uparła, żebym to studiowała.

– Moja też jest ciężkim przypadkiem – odparła Alex z uśmiechem. – Nadopiekuńcze matki, co?

Wtedy wydawało się, że nawiązały nić porozumienia, ale nie udało im się go potem wzmocnić. Alex nigdy nie potrafiła określić dlaczego. Zwykle to do niej wszystkie koleżanki zwracały się z prośbą o pomoc czy radę. Żartowały, że jest jak przewodnicząca klasy. Ale kiedy w drodze do szkoły Alex próbowała rozmawiać z nową koleżanką o ulubionych książkach (Rosie czytała tylko lektury i kolorowy magazyn „Heat”) czy filmach, które chciała obejrzeć (Rosie najbardziej lubiła odmóżdżające komedie romantyczne), okazało się, że tamtą interesują tylko chłopcy. Tylko i wyłącznie. Chciała, żeby się za nią oglądali, mówili jej, jaka jest ładna, podziwiali jej stroje. Nic innego jej nie obchodziło. Alex próbowała się rewanżować opowieściami o chłopaku, z którym chodziła, i udało jej się wykrzesać iskrę zainteresowania. Od tej pory to był główny temat ich rozmów, a kiedy Alex z nim zerwała i mówiąc jej o tym, rozpląkała się trochę, Rosie dała jej chusteczkę i powiedziała, że jej przejdzie. Ale tak naprawdę nigdy nie rozmawiały na poważniejsze tematy niż te, które porusza się w mediach społecznościowych.

– Jesteśmy jak znajome z Facebooka – poskarżyła się mamie, która wyraźnie nie zrozumiała tego porównania. – Niby rozmawiamy, ale nie ma między nami żadnej więzi.

– Aha – odparła mama. – No nic, próbowałaś.

Na początku trimestru zimowego Rosie zaczęła jeździć do szkoły autobusem – „Jest zimno, a poza tym mogę wstać dwadzieścia minut później” – a Alex zbyła to wzruszeniem ramion. Nadal witały się, kiedy wpadały na siebie w szkole czy na mieście, zapraszały się wzajemnie na urodziny, ale Alex nie musiała jej już niańczyć.

Kiedy więc dzień po zaskakującej wiadomości od Mags Rosie czekała na nią po szkole, Alex nawet się nie domyślała, o co może chodzić.

- Słyszałam, że spotkał cię zawód – oznajmiła Rosie bez żadnych wstępów. – Wszyscy o tym gadali na przerwie obiadowej. Strasznie mi przykro.
  - Dzięki, Rosie – odparła Alex, autentycznie wzruszona. – Nie wiem jeszcze, co teraz zrobię. Mama nie chce mnie puścić samej...
  - To może ja pojedę? Proszę! Tajlandia brzmi super – powiedziała Rosie, biorąc ją pod rękę.
  - Serio? Chciałabyś jechać?
  - Tak. Byłoby bosko.
  - To bardzo miła propozycja... – zaczęła Alex ostrożnie, ciągle w szoku, więc bała się, żeby nie powiedzieć czegoś nie tak. – Myślałam, że od razu po wakacjach idziesz na uniwersytet...
  - Tak miało być, ale zmieniłam zdanie.
  - Tak? Nie wiedziałam.
  - Nikt nie wie. Tobie pierwszej mówię.
  - Okej... Wiesz co, możemy pogadać o tym jutro rano? Mam teraz spotkanie samorządu.
  - Pewnie. Ale chyba dziś nie zasnę!
- Rosie odeszła ze śpiewem na ustach.

Alex też wtedy niewiele spała, bo przez całą noc męczyła ją wizja trzech miesięcy z Rosie. Miała wątpliwości. Oczywiście, że tak. O czym będą rozmawiać podczas dwunastogodzinnych podróży autobusami? Czy Rosie zaraz po przyjeździe nie zacznie tęsknić za domem? Nie zostawi jej tam na pastwę losu? Ale w końcu o trzeciej nad ranem zebrała wszystkie czarne myśli i zamiotła je pod dywan.

Prawda była taka, że chwyciłaby się nawet brzytwy, byle uratować swoją wymarzoną wyprawę. Kiedy rano zobaczyła Rosie czekającą na nią na końcu ulicy, krzyknęła: „Tak!” i pobiegła rzucić się jej na szyję.

Rosie odwzajemniła uścisk, roztrzęsiona z emocji, i powiedziała:

– Dziękuję. Ratujesz mi życie.

Alex nie miała zielonego pojęcia, o czym mowa, ale dorzuciła ten problem pod tamten dywan kryjący pozostałe wątpliwości. Nie chciała psuć nastroju, a Rosie już do tego nie wracała. Przez całą drogę do szkoły nawijała jak najęta, pytała, co tam będą robić, co powinna spakować. Czy pojedą zobaczyć słońce?

Na fali euforii przepłynęły przez kolejne, dość burzliwe dni. Alex próbowała sobie wmawiać, że to tylko drobne komplikacje, ale zdarzyło się parę karczemnych awantur. Prawdę mówiąc, więcej niż parę. Najpoważniejszy problem polegał na tym, że Rosie nie uprzedziła mamy o planowanym roku przerwy, więc nieustannie urządzały sobie pyskówki, które przeniosły się na

bardzo trudne spotkanie z rodzicami Alex. Potem, na dziesięć dni przed planowanym wyjazdem, okazało się, że Rosie nie było stać na zwrócenie Alex pieniędzy za bilety lotnicze, w ogóle nie miała funduszy na podróż. Wyprawa została odwołana, ale dwie okropne doby później Rosie nagle oznajmiła, że zdobyła kasę. Dostała ją od ojca.

– Właściwie to nie miał wyboru – stwierdziła ze śmiechem.

– Jak to? – zapytała Alex.

– Powiedziałam mu, że jest mi coś winien za to, jak się zachował. I tak jest.

Alex odczuła taką ulgę, że nie zadawała już żadnych pytań.

– To super, Rosie – powiedziała.

Jednak wieści o „wtrącaniu się” ojca wywołały kolejne scysje między Rosie i jej mamą. Alex wykańczały te wszystkie wzloty i upadki, modliła się, żeby już się to skończyło.

Skoro udało jej się postawić na swoim w konflikcie z rodzicami, Rosie zyskała nową pewność siebie. Wcześniej, kiedy Alex przedstawiała jej plan, który miesiącami układały z Mags, Rosie tylko siedziała i kiwała tą swoją blond główką. „To wszystko brzmi bajecznie” – mówiła.

Teraz jednak jej się odmieniło.

– Ja piernicę, znowu jakaś świątynia? – prychnęła, przeglądając swój egzemplarz elegancko wydrukowanej „Ostatecznej wersji planu podróży A. i R.”, kiedy czekały na samolot. – Lecisz na mnichów czy co? – Alex zbyła to śmiechem, ale Rosie nie odpuszczała. Naciskała, drażyła, wierciła jej dziurę w brzuchu, ograniczała program kulturalny. Rosie nie zależało już na bajecznych przygodach. Chciała imprezować.

Jakoś rozwiązały kwestie sporne. Przynajmniej większość z nich.

## Rozdział 8

*Piątek, 15 sierpnia 2014 roku*

# REPORTERKA

Spóźniam się, siedzą już przy stoliku przed restauracją. Henry spogląda na zegarek. „Niech się goni”.

Macham do nich z daleka i odgrywam scenkę przeprosin, podnoszę rękę w geście kapitulacji. Będzie musiało im to wystarczyć.

Obaj faceci wstają, kiedy podchodzę do stołu i całuję wszystkich na powitanie.

– Zamówiliście już?

– Czekaliśmy na ciebie, Katie – mówi znacząco Steve.

– Jasne, przepraszam. Chyba aż tak się nie spóźniłam, co?

– Nie. Czego się napijesz?

„Oho, jestem w tarapatach”.

Rozglądam się po pozostałych. Chłopaki wzięły na spółkę butelkę czerwonego wina, Deepika sączy ze szklanki wodę gazowaną.

– Robię sobie tydzień bez alkoholu – wyjaśnia z wyższością.

– Proszę kieliszek białego wina – mówię. – Duży. Miałam ciężki dzień.

Deepika uśmiecha się współczująco.

– Jakaś sensacja?

– Sensacyjka. Dwie dziewczyny zagięły w Tajlandii. Robiłam wywiad z ich rodzicami, w Winchesterze.

– Jake przypadkiem nie jest teraz w Tajlandii? – pyta, maczając paluch chlebowy w tapenadzie.

– Zgadza się – przyznaję i rozglądam się za kelnerem z moim winem.

Henry i Steve gadają o pracy, narzekają na najnowsze cięcia kosztów w szpitalu, a ja próbuję skłonić Deepikę do zmiany tematu.

– Ale miły wieczór, prawda? – zagaduję i sama słyszę nieszczerłość w swoim głosie. – Nie widzieliśmy się całe wieki. Co słyhać?



Zaczyna opowiadać o jakiejś skomplikowanej sprawie sądowej i problemach z hałaśliwymi sąsiadami, a ja się wyłączam i wyobrażam sobie, jak Lesley i Jenny siedzą każda w swoim domu i próbują jakoś sobie poradzić z myślą, że ich córkom może grozić niebezpieczeństwo.

Rozwinęłam historię najlepiej, jak potrafię, chwytając za serce cytaty z wypowiedzi bliskich poprzeplatałam oficjalnymi komunikatami i historiami o innych zaginionych backpackerach, ale wiedziałam, że innych rodziców najbardziej zakłuje w sercach i żołądkach na widok selfie roześmianych dziewczyn w tuk-tuku pod nagłówkiem „Zaginione dziewczyny”.

Kruszę paluszki i staram się zignorować ściskanie we własnym żołądku.

Zanim kelner przyniósł mi wino, Henry zdążył się już przerwycić na politykę. Staram się nie wychylić kieliszka duszkiem, ale Henry i tak zauważa, że pociągnęłam wielki łyk.

– Pić ci się chce, Kate? – Wybuchła tym swoim rechotem kibola, a Steve łapie mnie pod stołem za kolano, żeby mnie uspokoić.

– Trochę tak – odpowiadam. – Co zamawiamy do jedzenia?

Później, kiedy już wyczyściliśmy talerze pełne krewetek, kurczaka i kalmarów, Henry przynosi na mnie szkliste od wina spojrzenie.

– Słyszałem, że znowu aresztowali twoich kumpli za hakowanie – mówi, wydłubując sobie kawałek sałaty spomiędzy zębów.

– Hmm – odpowiadam, udając, że jestem zajęta przeżuwaniami. Na moim kolanie znów ląduje dłoń Steve’a, ale odsuwam od niego nogę.

– Nie wiem, po co się w ogóle bawili w hakowanie poczty głosowej – ciągnie Henry – przecież wiadomo, że reporterzy i tak wszystko zmyślają. No nie?

– Henry! – napomina go Deepika, ale na twarzy ma uśmiech. Wspólniczka. Coś we mnie pęka.

– Ja też jestem reporterką, Henry – mówię, a Steve podnosi rękę, żeby poprosić kelnera o rachunek.

– Owszem, jesteś – bełkocze Henry i zanosi się śmiechem.

– I nigdy niczego nie zmyśliłam.

– Jasne – rzuca i zerka na żonę spod uniesionej brwi.

– Twierdzisz, że kłamię? – pytam, ścisząc głos, tak że musi się nachylić do przodu, żeby mnie słyszeć.

– Daj spokój, Katie – mówi Steve. – Henry się tylko droczy. O, jest rachunek.

– Tylko się droczę, Katie – chichocze Henry, podczas gdy Steve wciska kartę do terminala i wstukuje PIN. – Zdziorna jest, co? Lubię takie kobiety – zwraca się do Steve’a, a chwilę później ocieka gazowaną wodą Deepiki, po twarzy spływa mu plasterki limonki.

Steve odciąga mnie od stolika, na migi pokazując przemoczonemu Henry'emu, że za dużo wypiałam.

Na postoju taksówek dostaję ataku śmiechu. Steve z początku bardzo się powstrzymuje, ale w końcu oboje zaczynamy się prawie tarzać.

– Ale miał minę – mówię. I znów się zarykujemy.

– Zadzwoń później, żeby go przeprosić. Powiem, że byłaś pijana – mówi już w taksówce.

– Nie ma mowy! – protestuję.

– Muszę z nim pracować, Kate.

– A zresztą rób, co chcesz, ale ja już nigdy nie pójdę z nimi na żadną kolację.

– Wątpię, żeby chcieli ryzykować.

– No wiesz, podobno lubi zadziorne dziewczyny. Może mieć ochotę na rewanż.

Bangkok, dzień 2 (poniedziałek, 28 lipca)

Od: Alexinnit96@yahoo.co.uk

Do: Magsishot@hotmail.co.uk

Temat: JUŻ NA MIEJSCU!!!

Hej, Mags, jesteście!

GORĄCO! Ale poza tym super. Wczoraj wyszliśmy na miasto z Rosie i dwoma chłopakami z hostelu, żeby uczcić pierwszy wieczór na miejscu. Jeden jest z Anglii, drugi z Australii. Shaun. Chciał nam pokazać miasto, bo potem jedzie na Ko Tao. Pierwszy raz jechałyśmy tuk-tukiem i przez całą drogę chichrałyśmy się jak głupie, wrzucałyśmy mnóstwo selfie, trzymałyśmy się mocno poręczy i wrzeszczałyśmy na całe gardło. SZALONA JAZDA – jak w grze komputerowej i bez pasów bezpieczeństwa. Buziak, A.

– Śpię we wspólnym pokoju jeszcze z czterema osobami – powiedział Shaun, wynurzając się ledwie obudzony. – Piętrowe są za pół ceny. Chcecie zobaczyć?

Otworzył drzwi, pokazując wewnątrz. Przerwy między kratami w oknie zostały załatanе koszulkami i bokserkami.

– To zamiast zasłon – wyjaśnił.

Pokój był zastawiony metalowymi łózkami piętrowymi i zalany morzem dobytku lokatorów, które wdzierało się w każdy kąt. Na jednym z cienkich materaców spał jakiś chłopak, leżał na brzuchu z poduszką na głowie.

– Przytulnie. Taka męska dziupla... – powiedziała Rosie, wesolutka i głośniejsza po piwie.

Shaun zawtórował jej śmiechem.

– Już tylko jedna noc. Potem na plażę. – Podróżował do Ko Tao autobusem, a potem promem. – Dziewięć godzin, będę mógł po drodze odespać.

– Zabukowałaś sobie nocleg? – zapytała Alex, wciąż przeżywając koszmar poszukiwania łóżka na najbliższą noc.

– Nie. Najwyżej się kimnę na plaży. W rajcu człowiekowi jest wszystko jedno, gdzie śpi.

– Pewnie – przytaknęła Rosie, jakby cokolwiek na ten temat wiedziała.

„Jesteś w tym kraju od pięciu godzin – pomyślała Alex. – Poza tym to tutaj to też niby jest raj”. Spojrzała na szyld pensjonatu spowity płataniną grubych kabli. „Przypomina raczej Bates Motel”.

Kiedy wsiadły do swojego pierwszego tuk-tuka, wrzeszczała i śmiała się razem z Rosie, ale potem było już tylko gorzej. Impreza zmieniła się w rajd po knajpach

z plastikowymi wiaderkami pełnymi wódki z red bullem oraz długich słomek. Smakowało to paskudnie, Alex zamówiła sobie colę.

Kiedy o pierwszej w nocy dojechali pod Nana Plaza, Alex już zupełnie nie było do śmiechu. Szyld na wielopiętrowym budynku obwieszczał wielkimi literami, że znajduje się tu „Największy na świecie plac zabaw dla dorosłych”. Shaun wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Gotowe? – zawołał.

– Gotowa na wszystko! – odrzyknęła Rosie. Alex się zawahała.

– Jestem trochę niewyspana, chyba wrócę do hostelu – wymamrotała. Jej słowa zagłuszyła jednak głośna muzyka, więc ruszyła za resztą.

„Mama zawsze mówi, że wszystkiego trzeba spróbować – mówiła sobie w duchu. – Chociaż chodzi jej raczej o brukselkę, a nie o ladyboyów”.

W środku było trochę obleśnie, a trochę żałośnie. Ich rówieśniczki ocierały się o siebie miednicami, całowały z języczkiem i smarowały pianą od stóp do głów, obserwowane przez turystów i zбочeńców.

– Myślałam, że idziemy do klubu – warknęła Alex półgłosem do Rosie, która obłapiała Shauna, próbując się nie przewrócić.

– Idziemy. Shaun mówi, że jest ich tu ze trzydzieści. Mega, co?

– I wszystkie są takie? – zapytała Alex, pokazując na bar Spanky's reklamujący się „ucieczkami pod prysznicem”.

– Pewnie tak – odparła ze śmiechem, potykając się o własne nogi. – Wyobrażasz sobie, co by powiedziała moja mama, jakby nas tu zobaczyła?

– Nie – skwitowała Alex. Ale wyobrażała sobie. „Żałuję, że więcej nie wypiałam – pomyślała. – Nie musiałabym się martwić, co pomyślałaby sobie Jenny Shaw. O mojej mamie nie wspominając”. – Tak czy inaczej, ja raczej długo nie zostanę. Trochę to wszystko obleśne, co? – dodała.

Rosie już się od niej odwróciła.

Po godzinie erotycznych tańców topless Alex na cały głos oznajmiła, że chce iść spać. Decyzję ostatecznie podjęła, kiedy Shaun zaczął się do niej pijacko przystawiać.

– Wracaj ze mną, Rosie! – po raz trzeci poprosiła Alex, przekrzykując muzykę.

– Nie chcę wracać, Alex, świetnie się bawię. Shaun jest słodki, nie? – wybełkotała Rosie z bardzo bliska, dysząc jej w twarz wilgotnymi i gorącymi oparami wódki. – Widzimy się w Raju...

Wracając tuk-tukiem do Mammy, Alex walczyła z poczuciem winy, że zostawiła Rosie. Już pierwszej nocy oblała test na mamę.

„Co ze mnie za przyjaciółka?”

## Rozdział 9

*Sobota, 16 sierpnia 2014 roku*

# MATKA

Zdjęła fotografię Alex z regału i postawiła na stole, żeby wypić z nią pierwszą tego dnia kawę.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała, jak każdego poranka, od kiedy urodziła się jej córka.

Malcolm poszedł po gazetę. Widzieli już artykuł Kate Waters w internecie, na laptopie Danny’ego, ale chcieli wziąć go do ręki. Potrzebowali czegoś namacalnego, co mogliby zatrzymać. Wszystko inne przeciekało im przez palce albo działo się w cyberprzestrzeni, gdziekolwiek ona istniała.

Kiedy wrócił, usiedli ze zdjęciem Alex i jeszcze raz przeczytali tekst.

– Mam wrażenie, że to się nie dzieje nam – powiedziała.

– Wiem, skarbie. Ale to chyba powinno pomóc, nie sądzisz? Kate odwaliła kawał dobrej roboty. Teraz ludzie naprawdę zaczną szukać, co?

– Danny mówi, że ciągle pojawiają się nowe wiadomości na tej stronie na Facebooku. Ludzie się odzywają.

– A co piszą?

– Głównie, że nam współczują. Chcę, żeby zaczęła ich szukać policja, a nie dzieciaki w strojach kąpielowych.

– Wiem, skarbie, ale podobno nic nie wskazuje na to, że dziewczynkom stało się coś złego.

– To dlaczego się nie odzywają, kurwa?! – wrzasnęła Lesley. Przekleństwo odbiło się echem od szafek w ich skromnej, schludnej kuchni. Chciałaby kimś potrząsnąć. Usłyszeć szcęknięcie zębów.

Malcolm zerwał się z krzesła, prawie je przewracając, i odsunął się od niej.

– Lesley, na litość boską, uspokój się! – krzyknął w odpowiedzi. – Danny cię usłyszy.

Bał się jej, widziała to w jego oczach. Ona też się bała. Nie poznawała tej kobiety, która wrzeszczała jak przekupka i waliła pięściami w stół. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co powiedzieliby jej współpracownicy ze szkoły. To ona zawsze uspokajała gorące nastroje, do niej wszyscy zwracali się o racjonalną radę. Ale nie mogła się opanować. Wybuchnęła głośnym szlochem.

– Chcę tylko, żeby ktoś coś zrobił. Żeby ją znaleźli – zawyła.

– Ja też, Lesley – odparł Malcolm, ale przezornie trzymał się swojej strony stołu. – Zrobię ci herbaty.

– Nie chcę, kurwa, żadnej herbaty! – wybuchnęła i wybiegła z kuchni.

Słyszała później, jak mąż rozmawia przez telefon z siostrą, zdając jej ocenioną relację z kłótni, i na chwilę poczuła palący wstyd.

– Jest tak załamana, że sama nie wie, co mówi – tłumaczył. Oczami wyobraźni widziała wyniosłą minę szwagierki.

„Ona pewnie nigdy w życiu nie użyła tego słowa na »k«”, pomyślała Lesley i zachciało jej się śmiać na myśl o tym, że świętoszkowata Sheila mogłaby zakląć tymi swoimi idealnie uszmińkowanymi ustami.

Zrobiło jej się trochę lepiej. No i nie powinna już chyba mówić „słowo na »k«”, skoro zaczęła na głos rzucać kurwami.

*Sobota, 16 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

„Herald” wrzucił na czołówkę wywiad na wyłączność z ojcem Rosie. Przewijam artykuł naszym rywali na telefonie i niemal słyszę, jak Terry zgrzyta zębami w swoim domu na przedmieściach.

Chyba ściągam go myślami, bo w tej samej chwili do mnie dzwoni.

– Dlaczego my tego nie mamy?

Pokazuję Steve’owi na migi, że to praca, i idę do kuchni, żeby nie zakłócać mu rytualnej lektury sobotnich gazet przy porannej kawie. Poza tym nie chcę, żeby słuchał tej rozmowy. Bardzo osobiście traktuje sytuację, kiedy szefostwo ma do mnie pretensje. Jakby to on dostawał ochrzan.

„Nie mogę patrzeć, jak jest ci przykro” – mówi. „Spływa po mnie jak po kaczkę” – tłumaczę, ale on i tak się dąsa – i to znacznie dłużej niż ja – i w końcu to ja muszę pocieszać jego. Próbuję więc trzymać go z dala od moich problemów zawodowych.

Wolałabym już publiczną awanturę na oczach całej redakcji.

– To wcale nie taki świetny tekst, Terry – mówię, włączając czajnik. – Mamy świetne dojście do obu matek. Gdybyśmy to puścili, stracilibyśmy Jenny Shaw. To trudna osoba, bardzo drażliwa, ale zaczynam się z nią dogadywać. Nienawidzi byłego męża: zostawił ją, a do tego dał Rosie pieniądze na wyjazd. Lepiej nie mówić o jej stosunku do Imogen, jego nowej kobiety. Gdybyśmy zrobili ten wywiad, nigdy już nie chciałaby ze mną rozmawiać. Nie było się nad czym zastanawiać.

Odpowiada mi cisza.

– No i to zdjęcie... – Zwracam Terry’emu uwagę na fotografię, na której Mike Shaw obejmuje ramieniem drugą żonę i trzyma zdjęcie swojej zaginionej córki. – Zrobiła sobie włosy i twarz – mówię. – Nie wygląda na pogrążoną w żałobie

macochę. W rozmowie z nim nie ma żadnych nowych tropów. On nic nie wie. Przez ostatnie pięć lat praktycznie go nie było. My mamy sto razy więcej. To matki są tu najważniejsze.

– Okej, okej. Tylko dopilnuj, żeby matka Rosie wiedziała, że zamierzamy się jej trzymać. Potrzebujemy jej na wyłączność.

– Tak jest. Zaraz się pewnie zbierasz na wielkie zakupy do supermarketu?

– Spadaj. Do usłyszenia.

„Załatwione”.

Dzwonię do Jenny, która od razu zaczyna krzyczeć w słuchawkę.

– Widziałas „Heralda”? Co to ma być? Hańba. – Nie daję mi dojść do słowa, więc cierpliwie wysłuchuję, jak daję upust skumulowanej przez lata wściekłości na świętoszkowatą Imogen. – Dlaczego dali jej zdjęcie? Co ona ma wspólnego z tą sprawą? Panienka na boku. Wiesz, że ona dla niego pracowała? Tymczasowa pomoc biurowa. Bardziej szampowo by się nie dało. Zostawił nas dla sekretarki w push-upie. Po dwudziestu latach małżeństwa.

– Jenny – próbuję się delikatnie wtrącić – wiem, że jesteś zdenerwowana. Nie dokładaj sobie jeszcze zmartwień z takiego powodu. Obie dobrze wiemy, że wygląda żałośnie, wypindrzyła się do zdjęć, jakby zaginięcie twojej córki było do tego dobrą okazją.

Jenny prychnęła. Właśnie to chciała usłyszeć.

– Masz rację. Mam nadzieję, że ludzie od razu ją przejrzą, jego zresztą też. Egoiści. Wszystko się kręci wokół nich. Mike prawie nie wspomina o Rosie, liczy się dla niego tylko to, jak sam się czuje. Bydlak.

– Rozumiem. Słuchaj, chciałam cię tylko zapewnić, że w „Poście” zależy nam właśnie na tobie.

– Jasne. Na pewno nie zamierzam gadać z „Heraldem”, co za szmatławiec.

„Sukces. Ale nie ma co popadać w pychę. Potrzebuję nowego materiału”.

– A jak poza tym się czujesz? Spałaś w ogóle w nocy? Masz jakieś nowe wieści?

– Telefony się urywają od samego rana. Najpierw matka Mike’a coś tam głądziła o problemach z bankiem, ale rzuciłam słuchawkę, kiedy zobaczyłam, że Lesley dzwoni do mnie na komórkę. Coraz więcej osób pisze w sieci, że mogli je gdzieś widzieć. Ale to wcale nie muszą być nasze dziewczyny.

– Też widziałam te posty, Jenny. Ale, jak sama mówisz, nic nie rzuca się w oczy. Widziałas to o dwóch dziewczynach, jasno- i ciemnowłosej, jak Rosie i Alex, które w jakiejś kawiarni planowały podróż autobusem do Laosu? Blondynka miała podobno na ramieniu wytatuowaną jaszczurkę.

– Rosie nie ma tatuaży. Nie pozwoliłam jej. Takie to pospolite, no i ryzyko zakażenia.



„Mogła sobie jakiś zrobić bez twojej wiedzy – myślę. – Teraz nie możesz jej niczego zabronić”.

Robię Steve’owi kolejną kawę i uzupełniam artykuł w wersji online o informację o tatuażu. Postanawiam też wysłać Dona na rajd ze zdjęciami dziewczyn po salonach tatuażu i firmach busowych, ale kiedy do niego dzwonię, parska śmiechem.

– Mogę spróbować, ale jest tego tyle, że szanse są raczej niewielkie. Normalna stawka dzienna?

– A jak ten Bates Motel? Coś znalazłeś? – pytam.

– Byłaś kiedyś w Bangkoku, Kate? Mają tu całą sieć. Niektóre z tych pokoiów nie nadają się nawet na budę dla psa.

– Ech, bierz się do roboty. Zadzwoń, zanim pójdziesz spać.

Wybieram numer Mike’a Shawa. Muszę. Trzeba się zabezpieczyć na wszystkich frontach.

Bangkok, dzień 7 (sobota, 2 sierpnia)

Od: Alexinnit96@yahoo.co.uk

Do: Magsishot@hotmail.co.uk

Temat: ROSIE!

Hej, Mags,

trochę się martwię o R. Shaun wyjechał, a ona się zadała z jakimiś dwoma Holendrami z jego pokoju. Dzisiaj zupełnie odjechała. Nie ma z nią kontaktu. Siedzi, dyszy ciężko, oczy ma szklane i straszne. Nie wiadomo, co wzięła. Pytałam Larsa, jednego z tych gości, ale tylko się zaśmiał i powiedział, że nic jej nie jest. On też coś brał. Położę ją do łóżka i spróbuję rano z nią pogadać. Jest mi coraz ciężiej. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Od przyjazdu totalnie jej odbiło. Zalicza po kolei wszystkie knajpy przy Khao San, więc muszę wysłuchiwać opowieści o tym, jak podpaliła sobie włosy płonącymi szotami sambuki (tak się to pisze?), albo o strzelaniu piłeczkami pingpongowymi z cipek. Jprdl. Nie wiem w sumie, z którym R. sypia, z Larsem czy Diederikiem. A może z oboma? Mam wrażenie, że chce zaliczyć wszystkich w hostelu!

Zdecydowanie nie zależy jej na poznaniu prawdziwego Bangkoku. Mówi, że nic tu nie jest prawdziwe. Sztuczny świat, chodzi tylko o zabawę. Dlatego tak jej się podoba, a ja podobno jestem zazdrosna. Jasne...

Próbuję się tym nie przejmować i dobrze bawić, ale czasem strasznie mi ciężko. Co u Ciebie? Zdecydowałaś już, czy idziesz w październiku na studia? Odpisz jak najszybciej, opowiedz mi wszystko. Muszę iść poszukać Rosie. Myślałam, że będziemy razem zwiedzać, ale jakoś to nie wychodzi. Tak, wiem, na pewno sobie myślisz „A nie mówiłam?”. Powinnam była Cię posłuchać. Teraz już za późno. No nic, jakoś to będzie. A.

Mags próbowała ją ostrzec, kiedy się dowiedziała, że Rosie zajmie jej miejsce.

– Jesteś pewna, Alex? Czy ty cokolwiek o niej wiesz?

– Pewnie, że tak – warknęła Alex. – Wszystko będzie dobrze. Zresztą nie będziemy przecież same. Ciągłe będziemy poznawać nowych ludzi. – Miała ochotę dodać: „Zresztą to wszystko twoja wina”, ale nie chciała znów wzbudzać w Mags poczucia winy i doprowadzać jej do łez.

– Mówią, że nie pozna się drugiej osoby, dopóki nie wyjedzie się z nią na wakacje.

– Dzięki, Mags, nie pomagasz.

Ale Mags miała rację.

Alex starała się ignorować Rosie, patrzyła na potężne burzowe chmury kłębiące się nad wieżowcami. Kiedy ulewne deszcze zaczęły codziennie bębnić o dachy, zakopywała się w zaczytanych książkach zostawionych przez poprzednich gości albo wrzucała posty na Facebooka. Pisała zabawne historyjki o mnichach, którzy w świątyniach oglądali na telefonach opery mydlane, o straganiarzach, którzy ustawili namiot z parasolek, a na głowy powkładali sobie czepki kąpielowe, żeby nie przemoknąć do suchej nitki.

Z początku czytała te posty Rosie, ale dała sobie spokój, kiedy koleżanka oznajmiła, że „ma już potąd świątyń”. Drugiego dnia poszła do dwóch i chyba wyrobiła swój limit.

– Byłam, widziałam, nie chcę już w życiu słyszeć zawodzenia jakiegoś mnicha – oznajmiła wszystkim obecnym w barze. – Bez urazy – dodała pod adresem przysłuchującej się Mammy, która obnażyła zęby w uśmiechu, ale nadal świdrowała je zza baru martwym spojrzeniem, aż Alex robiło się nieswojo. Ale Rosie chyba niczego nie zauważyła.

Teraz opowiadała wszem wobec, że chce sobie zrobić tatuaż. Dużą jaszczurkę, taką jak miał Holender, na którego leciała.

## Rozdział 11

*Sobota, 16 sierpnia 2014 roku*

# DETEKTYW

Sparkes rozmawiał przez telefon z żoną, kiedy w jego gabinecie pojawiła się Salmond w stroju do biegania – obraz zdrowia i wydajności.

Machnął ręką, mówiąc bezgłośnie „chwile”, i podwładna wybiegła.

– Niech to szlag – rzucił do słuchawki. – Myślałem, że w weekend będę miał trochę spokoju, ale Zara właśnie przyszła, chyba znowu ma fazę na sport. Nie zniosę kolejnych kazań.

– Ani się obejrzysz, a wciśnie cię w gatki z lycry – odparła Eileen ze śmiechem. – A ja się teraz trochę zdrzemnę. Ta morfina jest cudowna.

– Wpadnę później. Kocham cię.

– Dobra, dobra, zjeżdżaj łapać przestępców – rzuciła żartobliwie.

Salmond wróciła już po prysznicu, w normalnym stroju i z wilgotnymi włosami związanymi w koczek, tak ciasny, że naciągał jej skórę na skroniach.

– Nie wiedziałam, że pan dziś będzie. Wpadłam, żeby przejrzeć materiały do egzaminów. Ale pomyślałam, że powinien pan wiedzieć, że dzwoniła babcia Rosie Shaw – powiedziała.

– I co? Ma od niej jakieś wieści?

– Nie, chciała zgłosić kradzież pieniędzy z konta bankowego.

Sparkes oparł się wygodnie.

– Słucham uważnie.

– Nie jest pewna, ile dokładnie zginęło, ale wydaje jej się, że około dwóch tysięcy. Ma skomplikowaną sytuację finansową i masę różnych rachunków: na udziały, akcje, dywidendy i tak dalej. Zorientowała się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy zadzwonił do niej kierownik oddziału banku.

– Jak to? Nie zauważyła, że zginęły jej dwa tysiące? – spytał Bob. – Eileen zauważyłaby brak pięciu dych. – „To zawsze była domena Eileen, ale ciekawe, kiedy ostatnio zaglądała na konto” – pomyślał. – Jest w ogóle jeszcze coś takiego jak kierownicy oddziałów? Myślałem, że teraz to wszystko idzie przez call center...

– Ja tam nie wiem, ale ona tak powiedziała. W każdym razie ten gość, jak zwał, tak zwał, powiedział jej, że ma nieregularny debet. Twierdzi, że pierwszy raz w życiu jej się coś takiego zdarzyło.

– No i?

– Uważa, że ktoś wyciągnął pieniądze z konta bez jej wiedzy.

Sparkes westchnął. Starzy ludzie i pieniądze. Jego ojciec deponował pieniądze w komodzie. Po jego śmierci znaleźli z bratem kilkaset banknotów dziesięciofuntowych schludnie zawiniętych w skarpetki, majtki i chusteczki do nosa.

– Ma jakieś podejrzenia, kto to mógł być? Chyba nie Rosie?

– Cóż... Wygląda na to, że to niewykluczone. Bank twierdzi, że dokonano przelewu elektronicznego na kwotę dwóch tysięcy funtów na konto Rosie przed jej wyjazdem. Ale Jenny Shaw mówiła, że Rosie dostała pieniądze na wyjazd od ojca.

– Może babci się coś pomyliło? Ile ona ma lat?

– Osiem dych z hakiem, ale umysł ma sprawny.

Sparkes zebrał myśli i przetrawił nowe informacje.

– Czyli dwa tysiące z konta babci wylądowało u Rosie? Może sama zrobiła przelew? I dlaczego bank nic wcześniej nie powiedział?

– Nie od razu weszła na debet. Wczoraj wyszło parę stałych zleceń i dopiero wtedy babcia Shaw spadła pod krechę.

– Pytanie, czy to może mieć jakiś związek ze zniknięciem Rosie?

Salmond wzruszyła ramionami.

– Może się bała, że ktoś się lada chwila zorientuje. Może postanowiła się ukryć.

– No a Alex? Dlaczego ona miałaby uciekać?

– Nie wiem. Może współudział?

Sparkes nachylił się do przodu.

– Z kim się kontaktowałaś?

– Bankowy dział do spraw przestępczości finansowej ustala dokładną datę, a na popołudnie jestem umówiona z Michaeliem Shawem, ojcem Rosie, u niego w domu.

Sparkes usłyszał jakieś niedopowiedzenie w jej głosie.

– No co? Powiedz wprost, co o tym myślisz? Co ci mówi intuicja?

Zara Salmond się uśmiechnęła.

– Myślałam, że mamy już nie słuchać głosu serca.

Sparkes skrzywił twarz w grymasie. Rzeczywiście odciął się od działania na wycucie, po tym jak przy sprawie uprowadzenia Belli Elliott dostał takiej obsesji na punkcie podejrzanego, Glena Taylora, że zaprzepaścił wysiłki śledczych i niemal przypłacił to posadą.

– Bo nie słuchamy. Przynajmniej oficjalnie. Ale zawsze ma się jakiś instynkt. – Spojrzał na nią wymownie. Wiele razem przeszli.

– Sama nie wiem. Coś mi nie gra.

– Z czym?

– Z ojcem Rosie. Rozmawiałam z nim wczoraj, kiedy zgłoszono zaginięcie córki, i był jakiś taki wycofany. Nie miał wiele do powiedzenia, o nic nie pytał. Jakby była dla niego obcą osobą.

– Może to szok?

– Może, ale dziś w gazetach robi wielki pokaz, jaki to jest zrozpaczony.

– Czyżbym wyczuwał nutkę cynizmu?

– Mojemu sercu nie przypadł do gustu.

– Czyżby? To kiedy z nim rozmawiamy?

## Rozdział 12

*Sobota, 16 sierpnia 2014 roku*

# DETEKTYW

**M**ike Shaw poprawił krawat. Bob Sparkes obserwował go przez okno salonu, czekając, aż Salmond zamknie samochód. Wykorzystał tę chwilę, żeby dokonać wstępnej oceny biznesmena w średnim wieku stojącego po drugiej stronie okien PCV.

Niewiele zaobserwował. Raczej wysoki, raczej szeroki w barach, raczej szatyn w drogiej koszuli i z krawatem zawiązanym na jeden z tych głupich, ostentacyjnych węzłów. „Węzeł windsorski”. Nie dał sobie zawiązać takiego na ślub Sam. W ogóle nie miał ochoty zakładać intensywnie różowego krawata, ale zgodził się tylko pod warunkiem, że będzie mógł zawiązać go po swojemu. Eileen trochę marudziła, ale dopiął swego. „Wydaję córkę za mąż, to nie otwarcie nowego funduszu hedgingowego” – powiedział wtedy, ucinając temat. Sam nie miała nic przeciwko. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Salmond szturchnęła go w łokieć – skończyła rozmowy z bankiem i z matką Shawa, była gotowa. Sparkes stanął na progu, odchrząknął i zapukał do drzwi. Byli umówieni, ale Shaw i tak łypnął na nich nieufnie, kiedy pani Shaw numer dwa wprowadziła ich do pokoju. Każdy tak reagował na widok funkcjonariusza policji. Nawet niewinni.

– Dzień dobry. Bardzo dziękujemy, że zechciał się pan z nami spotkać – przywitał się Sparkes życzliwie, starając się uspokoić rozmówcę.

Shaw z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu zaczekał, aż detektywi zajmą miejsca przy stole, po czym usiadł na krześle naprzeciwko.

– O co chodzi? Są jakieś nowe wieści? – zapytał, opierając się na blacie. – Chyba mogliście przekazać mi je przez telefon. Chciałbym wrócić do pracy. W sobotę zawsze mam urwanie głowy, a dzisiaj wyjątkowo.

„Czyli nie bawimy się w uprzejmości” – pomyślał Sparkes.

– I tak, i nie. To dość delikatna sprawa, ale przejdę od razu do sedna. Dziś rano pańska matka, pani Constance Shaw, zgłosiła nam kradzież dwóch tysięcy funtów z konta bankowego. Dowiedziała się o tym od pracownika banku, którego zaniepokoił fakt, że przekroczyła stan konta bez wcześniejszego porozumienia.

Mike Shaw otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jego ręka znów powędrowała do krawata, odkaszlnął.

– Przepraszam, sądziłem, że chodzi o Rosie.

– Bo chodzi o nią. W pewnym sensie – powiedział Sparkes łagodnie. – Matka coś panu o tym wspominała?

– Mnie? Nie, nie. Nie rozumiem, czemu nic mi nie powiedziała.

– Czyżby? Może nie mogła pana złapać w pracy.

– Tak, to na pewno dlatego.

– Po otrzymaniu zgłoszenia ustaliliśmy, że właśnie dwa tysiące funtów przelano na rachunek pańskiej córki Rosie w banku NatWest piętnastego lipca, dwa tygodnie przed jej wylotem do Bangkoku.

– Na rachunek Rosie? Dlaczego sprawdzacie jej konto? Co chcecie przez to powiedzieć? – Wzburzony Shaw zaczął wstawać z krzesła. – Nie mogę uwierzyć, że moja matka od razu zawiadomiła policję.

„Ale nie twierdzi, że Rosie nie mogła ukraść tych pieniędzy” – zauważył Sparkes.

– Jej wnuczka zaginęła, a ona się martwi o pieniądze – rzucił Mike Shaw. – Typowe. Największa egoistka, jaką w życiu spotkałem.

– Ale to może mieć jakiś związek z zaginięciem Rosie. Jeśli wzięła te pieniądze. Może na przykład się boi, że ktoś się o tym dowiedział. Rozumie to pan?

– To kompletny absurd. Na pewno da się to jakoś wyjaśnić. Może moja matka zapomniała... – gardłował Shaw.

– Pańskiej matce zdarza się zapominać różne rzeczy?

Mężczyzna po drugiej stronie stołu pokiwał powoli głową, jakby przetwarzał tę myśl.

– No, ma już osiemdziesiąt dwa lata. Pamięć może ją czasem zawodzić.

– Mhm. W rozmowie ze mną sprawiała wrażenie całkiem przytomnej – stwierdziła Salmond, wspominając przesłuchanie, jakie urządziła jej Constance Shaw. Rozmawiały przez telefon dwa razy, a starszka chciała wiedzieć wszystko o każdym kroku planowanym przez policję.

– Czyli sądzi pan, że pańska matka mogła dać Rosie dwa tysiące funtów na wyjazd? I o tym zapomniała?

– Cóż, to możliwe... Sam nie wiem.



– Ale z tego, co powiedziała mi pańska żona... przepraszam, była żona... zrozumiałem, że to pan pożyczył Rosie pieniądze. Bardzo się przy tym upierała.

– Nie wątpię, że się upierała – skwitował Shaw, patrząc na Sparkesa wymownie. – Jenny bardzo się lubi upierać, ale właściwie ze sobą nie rozmawiamy, więc nie wiem, co mówiła. – Zawiesił głos.

„Gra na czas – pomyślał Sparkes. – Nad czym musi się zastanowić?”

Shaw odchrząknął.

– No dobrze, nie dałem Rosie żadnych pieniędzy. Prosiła mnie, ale odmówiłem. Powiedziałem jej, że jest już dorosła, więc niech sobie sama sfinansuje wakacje. Zresztą co za bezczelność, żeby mnie o to prosić. Okropnie traktuje Imogen, moją żonę. Gdybyście zobaczyli, jaki list do niej wysmażyła...

– Rozumiem – powiedział Sparkes. „Może wróćmy do tematu...”

– Rzecz w tym, że po tym telefonie z banku pańska matka zaczęła bardzo dokładnie przeglądać wszystkie wyciągi z bieżącego roku – wtrąciła Salmond.

Shaw zeszytniał, po czym zaczął wygładzać materiał nogawki, udając, że jego uwagę całkowicie pochłania kant spodni.

– Okazuje się, że przez ostatnie miesiące regularnie przelewano stałą kwotę na pański rachunek. Pańska matka twierdzi, że nic jej o tym nie wiadomo. Mówi, że odkąd uruchomił jej pan bankowość elektroniczną, przestała sprawdzać wyciągi.

– Uznałem, że tak jej będzie wygodniej.

– Pańska matka nie ma komputera, więc w jakim sensie miało jej być wygodniej?

– Pomyślałem, że pomogę jej z płaceniem rachunków i tego typu sprawami.

– Jakiego typu konkretnie? – zapytał Sparkes.

Shaw opadł na oparcie krzesła i zamknął oczy, jakby próbował sobie przypomnieć. Nie podnosząc powiek, zaczął mówić:

– Moja matka jest bardzo trudną, wymagającą kobietą, panie komisarzu. Ciężko dla niej pracowałem. Odebrałem sobie po prostu to, co mi się należało.

– Z tego, co mi wiadomo, pracuje pan jako sprzedawca w firmie produkującej dywany. Jakiego rodzaju prace wykonywał pan na rzecz swojej matki? Podklejał pan wykładzinę?

– Nie, skądże. Chodziło mi o to, że zawsze z własnej kieszeni pokrywałem kosztą różnych jej zachcianek. Poza tym robiłem dla niej różne rzeczy.

– Takie jak zarządzanie finansami?

– Tak, poprosiła mnie o to po śmierci ojca.

– Ona twierdzi, że pan to zaproponował. „Nalegał na to”, cytuję. A jak tam stan pańskiego konta?

– To znaczy?

– Dwie rodziny na utrzymaniu to musi być droga rozrywka...

– Nawet sobie nie wyobrażacie – powiedział i ukrył twarz w dłoniach. – Jedna się domaga czesnego za studia, druga marudzi o remont.

– To chyba bardzo stresujące.

– Chyba? W weekend kupowaliśmy farbę do ścian. Imogen wybrała „Oddech słońca”, mówiłem jej, że to znacznie droższe, niż ustaliliśmy, ale w ogóle mnie nie słuchała. Powiedziała, że ten odcień idealnie pasuje do pokoju dziecka i musi ją kupić. Kredyt hipoteczny spłacałem w tym miesiącu z karty kredytowej. A jeszcze ta cała sprawa z Rosie...

Shaw zaczął się trząść, wargi mu drżały, rozdygotane dłonie wprawiały stół w wibracje. Salmond nachyliła się do przodu i spojrzała mu w oczy.

– Musi być panu bardzo ciężko. Może poproszę żonę, żeby przyniosła panu wody?

Zamrugął.

– Nie, nie chcę, żeby Imogen się o tym wszystkim dowiedziała. Łatwo się teraz denerwuje, ciąża, hormony, emocje... Boże, to niewiarygodne. Moja córka zaginęła, a wy mi grzebiecie w kontach bankowych. Co z was za ludzie? Nie widzicie, w jakim jestem stanie?

Sparkes pilnował się, żeby nie podchwycić wzroku Salmond.

– Oczywiście. Musimy jednak jakoś zareagować na zgłoszenie, rozumie pan to, prawda?

Nawet jeśli rozumiał, to nie chciał już o tym rozmawiać.

– Porozmawiam z matką i wyjaśnię tę sprawę. To na pewno jakaś głupia pomyłka.

– Jasne – powiedział Sparkes. – My też będziemy z nią w kontakcie.

– Muszę wracać do pracy – stwierdził Mike Shaw, wstając od stołu.

Sparkes i Salmond skinęli głowami.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas. Odezwiemy się do pana – powiedziała Salmond.

Druga pani Shaw czekała niecierpliwie w holu.

– Wszystko w porządku, Mikey? – zapytała.

– Powiem ci za chwilę – odparł mąż, niemal wypychając funkcjonariuszy za drzwi.

– No i co? – zapytała Salmond już w samochodzie.

– Mojemu sercu też się nie podoba – odparł Sparkes cicho. – I co to, kurde, jest „Oddech słońca”?

*Bangkok, dzień 9 (poniedziałek, 4 sierpnia)*

*www.facebook.com/alexoconnor.333*

*Alex O'Connor*

*4 sierpnia o 7:18*

*Kacze łapki – mniam! Tak trzeba żyć.*

Nie była pewna, czy to rzeczywiście kacze łapki, ale jadła coś trudnego do zidentyfikowania, czego nazwa brzmiała bardziej egzotycznie niż „makaron”. I na pewno ciekawiej niż zestaw Rosie z McDonalda.

Alex zaczęła wstawać codziennie o świcie i włączyć się po różnych dzielnicach miasta, póki było chłodno i spokojnie. Zwykle wyruszała sama, chodziła nad rzeką, łapała łódkę, by popłynąć w jakieś nowe miejsce, robiła zdjęcia i wrzucała na Facebooka i Instagrama z emotkami butelek szampana i gwiazdek.

Wrzucała kolejne posty będące wariacją na temat „świetnie się bawię” i zliczała lajki, serduszka oraz zabawne komentarze znajomych i przypadkowych użytkowników. Uwiarygadniały jej fikcję. Prawdę, czyli: „Żałuję, że tu przyjechałam”, zachowała dla siebie.

Dla takiej prawdy nie było odpowiedniej emotki. Była nieszczęśliwa i tęskniła za domem. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażała. Zaczynała też powoli przyznawać się przed sobą, że wyjazd z Rosie nie był najlepszym pomysłem.

Alex nie mówiła o tym nikomu oprócz Mags. „Bogu dzięki za Mags...”

Nie mogła wyznać prawdy rodzicom: „Rosie jest stale narąbana i sypia po kolei z wszystkimi facetami w pensjonacie. Nie po to przyjechałam do Tajlandii. Ona wszystko psuje. Chciałabym ją zamordować”.

Pewnie zaczęliby ją namawiać na powrót do domu. A ona ciągle miała resztki nadziei w jakimś zakamarku umysłu. Da im jeszcze tydzień, a zwierzać będzie się Mags – tu jeszcze z nikim się tak blisko nie zaprzyjaźniła.

Anglik, którego poznały pierwszego wieczoru, coraz częściej przesiadywał na sąsiednim stołku w barze. Czasem, kiedy wychodziła rano na spacer, siedział na dole. Przedstawił się jako J.W., co wywołało uśmiech na jej twarzy, ale szybko go ukryła. Nie miał wiele do powiedzenia, lecz zawsze cieszył się na jej widok. Może on też czuł się samotny?

Próbowała go zachęcić do mówienia, głównie przez uprzejmość, a on zaczął się otwierać, opowiadać o swojej wyprawie, ukradkiem badając jej reakcję. Podróżował sam.

– Łał, odważny jesteś – powiedziała Alex, a on się uśmiechnął nieśmiało. Zrobiło mu się miło.

Wziął ją pod swoje skrzydła, uczył o środkach bezpieczeństwa – jak chronić swoje rzeczy przed ciekawskimi i złodziejami. Alex jednym uchem słuchała długiej listy zaleceń: obserwować współmieszkańców w sali sypialnej, trzymać pieniądze i paszport w specjalnym pasku, nigdy go nie zdejmować. Kiedy wspomniał o chowaniu go do plastikowej torebki pod prysznicem, z powrotem włączyła się do rozmowy.

– To chyba trochę przesada? – zapytała ze śmiechem. Odwrócił wzrok. – Ale oczywiście nigdy za wiele ostrożności – dorzuciła szybko.

– To prawda – przytaknął. – Zwłaszcza w pokoju z obcymi ludźmi – dodał i pociągnął łyk wody. – Te chłoptasie z Holandii trzymają rzeczy w szafkach na zapleczu. Głupole. Nikt nie używa szafek. Wszyscy wiedzą, że jest tam czego szukać, a taki zamek można otworzyć z palcem w nosie.

– Skąd wiesz o tych szafkach?

– W podróży dowiadujesz się różnych rzeczy – odparł.

Nie powinna była go tak podpuszczać. Mama by powiedziała, że to nie w porządku. Wiedziała, że wpadła mu w oko, a on jej wcale nie. Ale potrzebowała się komuś wygadać, a on był taki miły. Słuchał, śmiał się z jej żartów, spijał każde słowo z jej ust. Przejął rolę, którą miała w zamyśle odgrywać Rosie.

Wiedziała, że gdyby nie on, nie zrobiłaby połowy z tych rzeczy, które udało jej się zaliczyć. A on chyba też polubił jej towarzystwo. Może trochę za bardzo. Starła się utrzymać ich znajomość na stopie koleżeńskiej, ale coraz bardziej oczywiste stawało się dla niej, że on chciałby czegoś więcej.

Rozmawiali o wszystkim, jak to się zwykle zdarza samotnym ludziom – odsłaniali się zbyt szybko, marząc o błyskawicznym porozumieniu dusz. Już drugiego dnia powiedział jej, jak bardzo się cieszy, że w Bangkoku nikt nie wie, kim jest. Nikt go nie ocenia. Pomyślała, że go rozumie, i przytaknęła, po czym dalej wskazywała na różne dziwaczne towary na ulicznych straganach – skorpiony czy kaczkę tak jaskrawopomarańczowe, jakby pomalowano je odblaskową farbą. Ciągle miały głowy, które wisiały na wysokości jej twarzy, z bielmem na oczach.

– To nie Tesco – stwierdził J.W. – Widać, że to martwe zwierzęta.

Kiedy wychodzili wieczorem, wszystko się zmieniało. Bardzo wczesnie robiło się ciemno, mimo że pogoda wciąż była letnia, i na ulice wylegały hordy oblechów i seksturystów.

„Da się ich rozpoznać na odległość. Starzy, biali, grubi i wytatuowani. No i zdesperowani – pisała w mejlu do Mags. – Wyglądają, jakby świetnie się bawili, śmieją się i gadają za głośno, ale chyba muszą wiedzieć, że wszyscy ich nienawidzą, nie? Te uwieszane na nich drobniutkie kobiety, które wyglądają jak dzieci, tak naprawdę ich nienawidzą”.

Pierwotna towarzyszka podróży nawet się nie przebudzała, kiedy Alex wstawała i tłukła się po pokoju. Zwykle była w łóżku dopiero od paru godzin. Z każdym dniem widywały się coraz mniej. A kiedy Alex wspominała o zachodzie słońca albo ulicznym straganie rybnym, Rosie tylko wywracała oczami.

Powtórka ze wspólnych spacerów do szkoły – wspólny wyjazd tak daleko od domu nie uczynił ich przyjaciółkami. Wręcz przeciwnie, dzieląca je przepaść jeszcze się pogłębiła. Alex odkryła, że obsadzono ją w roli nudnej starszej siostry, wiecznej malkontentki, Rosie zaś była tą fajną, imprezową dziewczyną.

Rosie powtarzała wszystkim, że jest wolnym duchem. Alex uważała, że brzmi to idiotycznie, a bycie wolnym duchem w jej wykonaniu oznacza chyba jak najczęstsze chłanie na umór. Ale kiedy Alex próbowała ją ostrzegać, na przykład żeby uważała, czy nikt nie dorzuca jej czegoś do drinka, Rosie się naburmuszała i mówiła, że czuje się jak na wakacjach z mamą.

Alex chciała jej powiedzieć, że wizja wolności i robienia wszystkiego, na co tylko będzie miała ochotę, dawała jej siłę, kiedy ustawiała puszki fasolki na półce w supermarkecie. Ale nie mogła. A już na pewno nie mogła jej powiedzieć, że obie matki powierzyły jej rolę opiekunki. Przed wyjazdem wzięły ją na rozmowę i poprosiły, żeby miała Rosie na oku. Jakby potrzebowała troski! Zasiały jednak radioaktywne ziarno lęku głęboko w jej duszy.

*Poniedziałek, 18 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

To strata czasu. W końcu się pojawią – powtarzał Don jak mantrę.

I pojawiły się, dzisiaj. Usłyszałam wieści rano. Don zadzwonił, kiedy wstawałam z łóżka.

– Znalazły się – powiedział. – Ale martwe.

– O Boże – odparłam. – Gdzie? Co się stało?

– Pożar w jednym z tych podłych pensjonatów przy Khao San. Paliło się w piątek, ale policja dopiero teraz znalazła ciała. Mówią, że nie było żadnego rejestru gości, a ze względów bezpieczeństwa do dziś nie można było wchodzić do środka.

– To na pewno Alex i Rosie?

– Nie przeprowadzili jeszcze oficjalnej identyfikacji, ale mówi się, że to one. Ciekawe, czy rodzice już wiedzą?

Dokładnie ta sama myśl przemknęła mi przez głowę. Nie chciałam do nich dzwonić, na wypadek gdyby policja jeszcze się nie odzywała. Zrobiłam coś takiego tylko raz i nigdy nie zapomnę tego okropnego ściskania w żołądku, kiedy się zorientowałam, że osoba po drugiej stronie linii nie miała pojęcia o śmierci swojego męża. Ani szaleńczej gonitwy myśli, kiedy próbowałam jakoś odkręcić to, co powiedziałam, i jak najszybciej zakończyć rozmowę.

Dzwonię do Boba Sparkesa, żeby się zorientować, co wie. Jest wcześniej, jeszcze przed ósmą, ale nie będzie miał mi tego za złe. Na pewno jest już w pracy.

Jednak kiedy odbiera, jego głos brzmi jak w komorze pogłosowej.

– Bob, możesz rozmawiać?

– Nie bardzo. Jestem w szpitalu.

– Jezu, przepraszam. Miałeś jakiś wypadek?

- Nie. To Eileen. Słuchaj, oddzwonię później.
  - Jasne.
- I się rozłącza.

Powoli wybieram numer O’Connorów, ćwiczę swoją kwestię, która zależy od tego, jakimi słowami rozpoczną rozmowę po odebraniu telefonu.

„Jeśli Lesley powie coś w rodzaju: »Dzień dobry, Kate, ale z ciebie ranny ptaszek«, udam, że tak tylko się melduję, zanim wyjdzie do pracy. Wspomnę, że słyszałam o jakichś wydarzeniach w Bangkoku, namówię ją, żeby zadzwoniła do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jeśli będzie zapłakana...”

Odzywa się obcy głos. Starsza kobieta. Przez chwilę wydaje mi się, że pomyliłam numer.

– Przepraszam, chciałam rozmawiać z Lesley, ale to chyba pomyłka.

– To ja – odpowiada Lesley. „Już wie”. – Jest tu policja, Kate. Mówią, że był jakiś pożar w Bangkoku, znaleziono dwa ciała. Ale nie są pewni, czy to one. Podobno na dziewięćdziesiąt procent. Więc jest jeszcze szansa. Możliwe, że będą musieli wykorzystać dokumentację medyczną i dentystyczną. – Głos załamuje jej się na ostatnim słowie, próbuję coś powiedzieć, jakoś ją pocieszyć.

– Strasznie mi przykro, Lesley. Naprawdę miałam nadzieję...

– Wszyscy mieliśmy. Dzisiaj tam lecimy. Muszę lecieć, Kate. Żeby mieć pewność. I przywieźć ją do domu, jeśli to ona...

Terry po cichu upaja się wieścią, że tak wcześniej trafiła mu się sensacja na pierwszą stronę.

– Kurwa! – Takie hiperbole nie są w jego stylu. – Rodziny już wiedzą? Rozmawiałaś z nimi?

– Tak.

– Super, to szybko wrzucaj tekst, zanim inni nas ubiegną. A potem do mnie zadzwoń.

Kiedy w końcu wyczerpuje mi się cierpliwość i dzwonię do Boba Sparkesa, nie wspomina ani o Eileen, ani o szpitalu.

– Przepraszam za to wcześniej, Kate. Słyszałaś już?

– Tak, dzwonił do mnie nasz człowiek z Bangkoku.

– No tak. My dowiedzieliśmy się w nocy, wysłałem Salmond, żeby powiedziała rodzinom. Chyba ciągle u nich jest. Byli na to zupełnie nieprzygotowani. Zresztą jak my wszyscy.

– Wiem, dzwoniłam przed chwilą do Lesley i ledwo rozpoznałam jej głos. Właśnie złożyłam artykuł.

– Już? To jeszcze niepotwierdzone informacje, Kate. Trzeba dokonać formalnej identyfikacji zwłok.

– Wiem, wiem. Sformułowałam tekst bardzo ostrożnie. Ale to one, nie?

– Wydaje mi się, że istnieje takie prawdopodobieństwo – odpowiada z namysłem.

– Na miłość boską, Bob, nie będę cię cytować. Tak czy inaczej rodziny nie zamierzają czekać – dodaję. – Dziś wieczorem lecą na miejsce.

„I ja też”.

– Nina załatwi wam bilety – mówi Terry, wychodząc z gabinetu naczelnego ze zgodą na nasz wyjazd.

– Dzięki, Terry – odpowiadam, szarpiąc się z szufladą w biurku, w której mam spakowaną torbę na krótkie wyjazdy.

– Zbieraj się. Dział foto próbuje namierzyć Micka, a u nas tu na miejscu sprawą zajmie się Joe.

Joe aż podskakuje, ale próbuje ukryć podniecenie.

„Uczy się – myślę. – Nie opłaca się sprawiać wrażenia zbyt chętnego”.

Mój młody podopieczny krzywi się jak stary wyjadacz i mruży pod nosem:

– Podzwonię, gdzie trzeba.

– Dzięki, Joe – mówię. – Wszystko, czego się dowiedziałam od Dona i Lesley, jest w dokumentacji i na naszej stronie. Dzwoniłam do niej znowu, ale są z Malcolmem zajęci, pakowanie i tak dalej, więc musisz pogadać z Dannym, to ich syn. To on prowadzi tę stronę na Facebooku.

– Już się robi – rzuca Joe, notując numer Danny’ego. – Żałuję, że z wami nie jadę.

Dotychczas wysłano go na tylko jeden zagraniczny wyjazd służbowy, do „dżungli” w Calais, gdzie rozmawiał z uchodźcami. „Na wycieczki szkolne jeździłem dalej” – marudził potem. „Nikogo nigdzie nie wysyłają, Joe. Nie bierz tego do siebie. To kwestia pieniędzy – tłumaczyłam cierpliwie. – Dawniej ciągle gdzieś lataliśmy, ale teraz księgowość pyta: po co płacić za bilety, skoro wszystko da się załatwić przez internet? Podróżuję tak rzadko, że lada chwila spadnę na niższy poziom w programie lojalnościowym linii lotniczych”.

– Następnym razem – mówię mu teraz i wychodzę, czując, jak całą redakcję zalewa fala adrenaliny wywołanej potencjalną sensacją, i to w sierpniu. Przed windą dzwonię jeszcze do Steve’a.

– Jadę do Bangkoku, kochanie – mówię. – Na dziewięćdziesiąt procent to te dwie zaginione Brytyjki zginęły w pożarze. Rodziny muszą dokonać identyfikacji.



– Wiedziałem, że tak to się skończy – narzeka Steve. – Zawsze to samo, psiakrew. Jak tylko kupię na coś bilety. Mieliśmy iść dziś na tę sztukę z Davidem Tennantem.

– Przepraszam, Steve. Idź z jakimś kolegą z pracy. O, weź Henry’ego. Słuchaj, to naprawdę ważna sprawa, a ich rodzice też dziś lecą. Muszę jechać.

– No trudno, zadzwoń, jak dotrzesz.

– Oczywiście. Aha, Steve, mógłbyś spłacić kartę kredytową? I miałam załatwić odbiór tej starej lodówki, numer leży na górze.

– Dobra, dobra. To ile cię nie będzie?

– Trudno powiedzieć. Parę dni... góra tygodni.

Słyszę głębokie westchnienie męża.

– Wiem, że to wkurzające, ale zgłosiłam się do wyjazdu, żeby spróbować skoczyć na Phuket. Z Bangkoku to tylko półtorej godziny samolotem. Chcę poszukać Jake’a i namówić go na powrót do domu.

– Aha. Bardzo miły pomysł. Ale nie rób sobie nadziei, Katie. To dorosły człowiek, a nie mały chłopiec. Słuchaj, muszę wracać do pracy. Spokojnego lotu. I zadzwoń!

W drodze na lotnisko siedzę bez słowa w taksówce, oglądając zdjęcia Jake’a w komórce i wyobrażając sobie jego zdumienie, kiedy pojawię się w tym jego rezerwacie. „Jeśli w ogóle go znajdę”. Ale odrzucam tę myśl. Skupiam się na tym, jak będzie się śmiać, a ja płakać, kiedy się zobaczymy. Mam nadzieję, że tak to będzie wyglądać.

*Poniedziałek, 18 sierpnia 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Salmond wydawała się najodpowiedniejszą osobą do poinformowania rodzin. Sparkes pojechałby sam, ale Eileen miała konsultację z lekarką prowadzącą, więc chciał być przy niej, żeby pomóc jej pogodzić się z najnowszą prognozą. Był pewny, że czekają ich złe wieści.

Zresztą Salmond radziła sobie w takich sytuacjach lepiej niż on. Miała talent do rozmów z krewnymi ofiar. Podczas gdy niektórzy gliniarze w obliczu żałoby zachowywali się sztywno i czuli się skrępowani, a inni za bardzo się wczuwali, jej udawało się łączyć ciepło z profesjonalizmem. Jeśli chodzi o niego, nie potrafiłby określić, w którym miejscu tej skali sam się znajdował.

– Włączył im się tryb nerwowego działania, odsuwają chwilę, kiedy w pełni do nich dotrze, co się stało – zameldowała po powrocie na komisariat.

– Widziałas się z Mikiem Shawem?

– Tak. Na koniec pojechałam do niego. Chyba był w szoku. Jenny dzwoniła do niego przed moim przyjazdem. Jedzie z nią, próbował się przyszykować do podróży, więc nie siedziałam tam długo. – Salmond już miała wyjść, ale nagle się zatrzymała. – Aha, i podobno jego matce się przypomniało, że pożyczyła Rosie pieniądze.

– Co? Powiedział to, kiedy przyjechałaś go poinformować, że prawdopodobnie znaleziono ciało jego córki?

– No wiem, ale tak, tak powiedział. A ja na pewno nie zamierzam dziś dzwonić w tej sprawie do Constance Shaw.

– Jasne. Ale nie zapominaj o tym, Zaro. Prędzej czy później trzeba to będzie załatwić.

Siedział i myślał o tych dziewczynach. Wcale nie były w żadnym barze, przyprawiając rodziców o niepotrzebny stres, tylko w workach na zwłoki. Mózg detektywa pracował na najwyższych obrotach. Gdzie? Jak? Dlaczego te dziewczyny zginęły? Ogień to paskudny zabójca. Nie ma szans na szybką i bezbolesną śmierć. Wyglądało na to, że po prostu miały pecha, znalazły się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Jednak... Przeglądał szczegółowo dokumentację, ale nic nie zwracało jego uwagi. Problem w tym, że pracował na danych z drugiej czy nawet trzeciej ręki, na tym etapie mógł się opierać tylko na doniesieniach o doniesieniach za pośrednictwem rodziców, każdy fakt został przekształcony przez różne punkty widzenia. Chciałby tam być, obejrzeć miejsce zdarzenia, zebrać dowody, przesłuchać świadków, a nie tkwić w dusznym gabinecie, czytając mejle. Rozruszał zeszytywniałe ramiona i zrobił drugie podejście, ale jego myśli wciąż wędrowały do Eileen. Dziś okazało się, że miał rację. Czasu było coraz mniej.

– Pięknie dziś wyglądasz, kochanie, za każdym razem lepiej – powiedziała, wchodząc do jej sali. Poświęcił na wizytę przerwę obiadową.

– Niedługo wrócę do domu, Bob – odpowiedziała z łóżka. Powietrze wprawiane w ruch łopatkami wiatraków wichrzyło jej perukę.

Sparkes usiadł na tym samym co zwykle, obitym ciemnoczerwonym skajem krzesle. Przednia krawędź siedzenia była przetarta – przez lata niespokojni współmałżonkowie siedzieli na samym brzegu, żeby nie uronić ani słowa, ani spojrzenia. Przysunął krzesło do samego łóżka, żeby mogli się trzymać za ręce.

– Jak dzisiaj ból?

– Znośnie. A jak tobie mija dzień? – zapytała, z oczami nieco rozbieganymi, ale zwróconymi w jego stronę.

– Aaa, w porządku. Ale to nieważne, kochanie. – Bob nachylił się szybko i pocałował ją w czoło. Było zimne i wilgotne, odniósł wrażenie, że czuje smak chemii pompowanej do żył Eileen.

Niechący przesunął jej perukę – przy pierwszym pobycie w szpitalu wybrała ją sobie z katalogu, decydując się na zmianę koloru. „Miałam ochotę na coś nowego, a zawsze chciałam być blondynką” – powiedziała mu wtedy, radosna, blada, łysa, oglądając na wszystkie strony hełm z popielatoblond włosów. Roześmiał się – pierwszy raz szczerze od czasu otrzymania diagnozy – i mocno ją pocałował. Namiętnie, jak kochanek. Od tej pory za każdym razem stawał jak wryty na widok tej nowej Eileen, ale kiedy zdejmowała perukę, odsłaniała czaszkę porośniętą szczecinką w znajomym brązowym kolorze. „Może rozjaśnię sobie włosy po powrocie do domu – droczyła się, kiedy łapała go na tym, że się na nią gapi. – Co o tym sądzisz? Sexy?” Uśmiechał się i trzymał ją za rękę. Wtedy jeszcze wygrywali.

Zamknął oczy, myśli o Eileen wyparły wszystkie inne. Powinien być w domu, przygotować się na jej wypis ze szpitala. Zmienić pościel w łóżkach – jednym na piętze, drugim w salonie, w zależności od jej samopoczucia. Najbardziej lubiła poszwę na kołdrę w pączki róż. Powinien ją wyprasować. I kupić tę jej ukochaną herbatę malinową. Załatwi to później. Zanotował sobie „herbata m.” i „prasowanie” na żółtej karteczce i chciał przykleić ją gdzieś, gdzie później na pewno ją zobaczy. Ale w końcu odłożył ją z powrotem na notesik, gdzie zwinęła się jakby z pogardą dla jego nieudolności.

Sparkes zaczął głęboko oddychać, żeby poskromić panikę, przez którą czuł już ucisk w klatce piersiowej. „Otwórz płuca – mówiła instruktorka jogi na jakimś DVD Eileen. – Poczuj, jak oddech otwiera nowe przestrzenie w twoim ciele”. Próbował się do tego zastosować, ale nie dało się wraz z wydechem wypuścić przerażenia tym, co oznaczał powrót do domu. Eileen wracała, bo w szpitalu nic już nie mogli dla niej zrobić. Koniec gry. Kiedy lekarka przedstawiła im prognozę, trzymali się za ręce. Jego były wilgotne ze strachu, jej – od leków.

– To może być kwestia miesięcy, ale raczej tygodni – oznajmiła łagodnie, acz rzeczowo. Nie było miejsca na podważanie faktów ani odwoływanie się od wyroku. Po wszystkim siedzieli jakby zamroczeni, nie śmieli na siebie patrzeć, żeby przypadkiem nie musieć o tym rozmawiać.

– Pogadamy w domu – przerwała milczenie Eileen. – Pamiętaj o herbacie malinowej, dobrze?

Miał przyjechać po nią jutro rano, po obchodzie. Specjalnie dla niego będzie wesoła i uśmiechnięta. Eileen ciągle potrafiła robić dobrą minę do złej gry, głównie dzięki morfinie, ale z upływem dnia działanie leków osłabnie. Oczami wyobraźni widział, jak żona chodzi powoli po domu, dotyka mebli i sprzętów, jakby się z nimi żegnała. Cierpienie zmieniało jej osobowość. Zdarzało się, że odrzucała jego czułość i troskę. Czasem wpadała w gniew, nie mogła znieść jego dotyku. To właśnie w tych najczarniejszych chwilach docierało do niego z całą mocą, jak bardzo ją kocha. Jak wiele miał do stracenia. „Kilka miesięcy, błagam, niech to nie będą tygodnie...”

Odsunął się od biurka, jakby fizyczny ruch mógł uwolnić go od dręczących myśli, i zaczął gorączkowo szukać czegoś, czym mógłby się zająć, żeby choć na ten jeden, ostatni dzień zapomnieć o chorobie Eileen.

*Poniedziałek, 18 sierpnia 2014*

## **REPORTERKA**

Salonik lotniskowy pęka w szwach – w skórzanych fotelach wylegają się biznesmeni z poluzowanymi krawatami, w okularach i z kieliszkami pinot noir w rękę. Na jednym z ogromnych telewizorów leci mecz piłki nożnej, na drugim, pod uśmiechniętą twarzą prezenterki, przewija się pasek z najświeższymi wiadomościami.

To właśnie kocham najbardziej w mojej pracy. Wyjazdy za granicę. Załatwianie wszystkiego w ostatniej chwili, pęd na lotnisko, chociaż sekretarka redakcji jeszcze rezerwuje bilety, przepychanie się w kolejkach, wsiadanie na pokład tuż przed odlotem. Niecierpliwe wyczekiwanie na historię, która czeka na drugim końcu świata.

Mimo tłoku udaje mi się znaleźć stolik w kącie i powoli zajmuję miejsce, przy okazji obserwując otoczenie. Do Bangkoku jadą też na pewno inni dziennikarze, ale przy darmowym barze nie widzę żadnych znajomych twarzy. Widocznie lecą ekonomiczną.

Dzięki złotej karcie lojalnościowej i urokowi osobistemu załatwiłam sobie przeniesienie do klasy biznes. „Może ostatni raz udał mi się taki numer” – myślę, ale jestem z siebie zadowolona. Muszę siedzieć blisko rodziców, żeby móc z nimi spokojnie porozmawiać. A ich na pewno przeniosą na przód samolotu, żeby chronić ich przed prasą. „Przed takimi jak ja”.

Ludzie w salonikach lotniskowych dzielą się zwykle na dwie grupy: Bywalcy, rozwaleni wygodnie i zaprzyjaźnieni z personelem, i Turyści – ci są tu pierwszy raz i roją się wokół darmowych kanapek jak podekscytowane osy.

Ale O'Connorowie i Shawowie nie załapują się do żadnej z tych kategorii.

Lesley i Malcolm siedzą przy stoliku pod oknem i trzymają się za ręce. Oboje wyglądają na wykończonych, żadne się nie odzywa. Lesley nie odrywa wzroku

od telefonu, jakby siłą woli próbowała go zmusić, żeby zadzwonił. Podnosi wzrok, zauważa mnie i unosi rękę w powitalnym geście.

Komórka zaczyna dzwonić. Zerka na numer na wyświetlaczu, podaje ją Malcolmowi i rusza w moją stronę slalomem między stolikami.

– Mogę się przysiąc? – pyta i opada na krzesło. – Przepraszam, nie masz nic przeciwko, prawda? Czuję się trochę niestabilnie.

– Oczywiście. Chcesz się napić wody albo czegoś mocniejszego?

Kręci głową.

– Chcę tylko jednego: żeby się okazało, że to nie Alex – mówi i zalewa się łzami.

– Och, Lesley – mówię i przysuwam się bliżej z krzesłem.

– Wiem, że to brzmi okropnie, ale chcę, żeby to było dziecko kogoś innego, bo nie potrafię się pogodzić z myślą, że moja córeczka może nie żyć.

– To wcale nie jest okropne – oponuję. – Jesteś zrozpaczona i załamana. Rozumiem cię.

– Chyba nikt nie potrafi tego zrozumieć – mówi, szukając w mojej twarzy prawdy.

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć jej o Jake’u. Podzielić się własnym nieszczęściem. „Też tak mam”. Ale ona nie potrzebuje teraz słuchać o moich zmartwieniach. Nieważne, co się teraz dzieje z innymi ludźmi. Nie może myśleć o niczym poza Alex.

– Do tego wszystkiego boję się latać. – Lesley czka i prawie się śmieje z absurdu całej sytuacji. – Nie wierzę, że to się dzieje. Powinnam teraz siedzieć w pubie, dziś wieczór quizowy. Nasza drużyna nazywa się Małe Szare Komórki. A zamiast tego czeka mnie jedenastogodzinny lot w celu sprawdzenia, czy zwłoki w policyjnej kostnicy to moja córka.

– Świetnie się trzymasz, Lesley.

– Wcale nie. Zupełnie się sypię, Kate. Nie chcę wsiadać do tego samolotu. A co, jeśli nadejdą jakieś wieści? Będziemy lecieć kilkanaście godzin, bez łączności. Niczego nie będziemy wiedzieć aż do lądowania. To przerażające.

Nachylam się, żeby musiała na mnie spojrzeć, na czymś się skupić.

– Tam jest teraz noc. I tak nic się nie wydarzy aż do rana. Jutro sprawy mogą się trochę rozjaśnić. Musisz spróbować się przespać w samolocie. Masz coś na sen?

Lesley niespokojnymi dłońmi wykręca chusteczkę higieniczną, drze ją na kawałeczki.

– Poradzę sobie.

Kiwam głową, nie odrywając wzroku od tej kobiety, która na moich oczach rozpada się na kawałki. Wyławiam telefon z torby i dzwonię do Joego.

– Cześć, to ja. Jestem na lotnisku. Mógłbyś dać mi jeszcze znać przed wylotem, gdyby pojawiło się coś nowego? – Joe i tak by to zrobił, ale chcę uspokoić Lesley, że na pewno nie umkną nam żadne informacje.

Joe rozmawia ze mną swoim „telefonicznym” głosem i chciałabym się z niego ponabijać, ale nie teraz, nie przy Lesley.

– Tak jest, się robi. Na razie żadnych wieści, ani w depeuszach z agencji, ani na Twitterze, ani w grupie na Facebooku. A jak tam u ciebie?

– W porządku, dzięki. Odezwę się już stamtąd. – Rozłączam się i kręcę głową, patrząc na Lesley. – Tutaj nic nowego, ale przedzwonię jeszcze do naszego reportera tam na miejscu, żebyśmy przed wylotem miały najświeższe wiadomości. – Wybieram numer Dona. – Cześć, lecę do ciebie. Co się teraz dzieje? Powinam o czymś wiedzieć przed wylotem?

– Jest środek nocy, Kate. Tak że raczej niewiele się dzieje. Ciągłe nie ma potwierdzenia. Policja próbuje zabezpieczyć budynek, żeby umożliwić dalsze przeszukanie. Mam nadzieję, że mają kaski, ta rudera nawet przed pożarem groziła zawaleniem, co dopiero teraz. No ale śmierdzi. Stałem tam dzisiaj i wyraźnie czuć zapach trupów. Biedni ci ludzie, co przyłecą tu szukać swoich dzieciaków. – W myślach na bieżąco redaguję jego wypowiedź, żeby nadawała się do przekazania opinii publicznej. – Poznałaś którychś rodziców? – pyta Don.

Lesley na mnie patrzy, mam nadzieję, że go nie słyszy.

– Tak – odpowiadam z naciskiem, oby wymownym.

– Aha, właśnie z nimi jesteś?

– No, tak że tego... Co policja mówi o tym pożarze?

– Że to wina *farang ki-nok*... sorry, tych backpackerów za dychę. Sąsiedzi mówią, że ciągle były tam imprezy, i to mocno odjechane. Ale mój kontakt w szpitalu twierdzi, że ktoś mógł przeżyć: w noc pożaru zgłosił się jakiś poparzony chłopak. Na razie nic o nim nie wiadomo, ale rozpytuję się.

– Który to szpital? – pytam. – Mówiłeś już o tym komuś?

– Jeszcze nie. Próbuję załatwić sobie z nim spotkanie.

– Dopilnuję, żebyś nie był pokrzywdzony, jeśli zachowasz dla nas wszystko, czego się dowiesz. Przynajmniej do mojego przylotu... Don?

Oboje dobrze wiemy, że wywiad z ocalałym z pożaru może być kolejną wielką sensacją. Zwłaszcza jeśli chłopak okaże się bohaterem.

– Zrobię to tylko dla ciebie – mówi Don. – Ale nie mogę sobie pozwolić, żeby reszta się na mnie obraziła, więc cicho sza! Okej?

– Dzięki. Widzimy się, jak wyląduję. Aha, Don, jeśli czegokolwiek się dowiesz, wyślij mi, proszę, wiadomość.

– Nie ma sprawy – odpowiada Don. – Do zobaczenia w barze.

Lesley nachyla się do przodu wyczekująco.

– Co powiedział? Kto jest w szpitalu?

– Jakiś chłopak być może został ranny w tym samym pożarze, ale na razie wszystko jest raczej mgliste.

Na twarzy Lesley maluje się głęboki zawód.

– Chłopak – powtarza półgłosem. – On wie, co się stało?

– Nie wiem – przyznaję, wyciągając do niej rękę. – To ciągle bardzo wczesny etap dochodzenia, Lesley, nic nie jest pewne. – Lesley kiwa głową, ale widzę, że tak naprawdę wcale nie słucha. Wygląda, jakby już to wszystko kiedyś słyszała. Bo tak jest. – Mój kolega stamtąd da nam znać, jeśli czegokolwiek się dowie, jest w stałym kontakcie z lokalną policją.

Dziękuję mi bezgłośnie i wraca do męża, żeby powtórzyć mu to, co jej powiedziałam. Potem podchodzi do innego stolika. Siedzi przy nim Jenny Shaw odwrócona plecami do byłego męża.

„Czyli wcale ich to nie zbliżyło do siebie” – myślę i podnoszę rękę, witając się bez słowa z Jenny, która właśnie mnie zauważyła.



*Poniedziałek, 18 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Dzwoni mój telefon, widzę, że Lesley też go usłyszała. To Mick, więc kręcę głową, żeby jej przekazać, że nie mam dla niej nic nowego.

– Właśnie się odprawiam, Kate. Jakim, kurwa, cudem udało ci się przenieść? Ja nie miałem szans. Kiedy zapytałem o klasę biznes, laska z linii lotniczych zrobiła taką minę, jakbym ją poprosił, żeby zrobiła mi loda. – Odwracam się, żeby Lesley nie zobaczyła, że się śmieję. – W kolejce do bramek widziałem troje innych fotografów – ciągnie Mick. – Będzie tłok. – Słyszę w jego głosie, że się szczerzy od ucha do ucha. Mick uwielbia takie wyjazdy: picie, rywalizacja, spędzanie czasu z bandą dziennikarzy.

– A jak u ciebie?

– Spoko. Rozmawiałam z Lesley. Wszyscy są przerażeni, biedaki. No ale siedzę z nimi w samolocie. Jeśli będę z nimi od chwili lądowania, to wszystko znacznie uprości.

– Dobra, dobra, przynajmniej o mnie pomyśl, jak będziesz się obżerała pysznościami i chlęła szampana.

– Wezmę ci coś na wynos.

Kiedy rodzice dziewczyn zaczynają drzemać, idę do klasy ekonomicznej. Mick śpi jak zabity, głowa mu się kiwa.

– Mick – szepczę nieco za głośno i na sąsiednich fotelach podrywają się głowy innych pasażerów.

– Cześć, Kate. – George Clarkson z „Telegrapha” wita się ze mną z następnego rzędu. – Nie wiedziałem, że też z nami lecis. Co słychać?

– Co, siedzisz z przodu? – zagaduje przez przejście Louise Butler z „Heralda”.

– Cześć, wszystko w porządku, tak – odpowiadam. – A co u ciebie, George? Nie widziałam cię, od kiedy odszedłeś z „Maila”. Jak to jest na głębokiej wodzie?

– Znacznie mniej pisków i hejtu – mówi z uśmiechem. – Nikt się nie drze. Bardzo cywilizowanie.

Dziennikarska banda wstaje z miejsc i zbiera się wokół mnie. Udaje mi się naliczyć pięć gazet i jedną stację telewizyjną. Wszystkich ich znam. To moi ludzie. Czuję się tutaj jak w domu, w tym zaduchu samolotowego jedzenia i gazów unoszących się nad tanimi siedzeniami.

– Rozmawiałaś z rodzinami? Czy stewardesy robią za obstawę i nikogo nie dopuszczają? – pyta Louise. Domyślałam się, że nie widzieli mojego artykułu, który wysłałam tuż przed wejściem na pokład. Nie odpowiadam od razu. Reporterzy słyszą tę chwilę wahania i rozumieją bolesną prawdę. Ktoś ich ubiegł.

– Co mówią? Pewnie są w rozsypce? – dopytuje Louise. „Sama podsuwa mi kwestie”. Kiwam tylko głową. – Jak ci się udało namówić redakcję, żeby zapłacili za klasę biznes? Moi nie chcieli. Próbowałam się wbić na przód, żeby ich chociaż zobaczyć, kiedy podawano jedzenie, ale mnie złapali.

„Pieprzona Louise Butler. Miss nachalności”. Przyłapuję się na tej myśli i nagle przemyka mi przez głowę nieprzyjemna wizja mnie samej na czyimś progu. Odwracam się znowu do George’a.

– Jak oni się trzymają, Kate? – pyta.

– Nie najgorzej. Ma ich odebrać ktoś z ambasady.

– A ty będziesz sobie z nimi jechała wygodnie samochodem, mogę się założyć. Ale dasz nam jakiś cynk, co? – Louise nie odpuszcza, podchodzi jeszcze bliżej i łapie mnie za ramię. – Bądź dobrą koleżanką.

George unosi brew w imieniu pozostałych reporterów.

– Rozumiem, że zależy ci na tym temacie, Louise – mówię, odsuwając się od niej. – Wszystkim nam zależy. Słuchajcie, chwilę przed wylotem wysłałam do redakcji wywiad z nimi. Możecie sobie przeczytać na naszej stronie.

– Patrzcie ją – mruczy Louise i zaczyna mnie przedrzeźniać. – „Możecie sobie przeczytać na naszej stronie”. Za kogo ona się uważa?

– Jest środek nocy – mówię, próbując załagodzić konflikt. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni i rozdrażnieni. Powinniśmy się teraz przespać. A gdzie macie noclegi?

Kiedy odchodzę, Mick łapie mnie za rękę, w odpowiedzi ściskam mu dłoń. Idzie za mną aż do zasłonki oddzielającej pokłady i tam się zatrzymujemy.

– Po wylądowaniu spróbuj wysiąść jak najszybciej, Mick. Ja pojedę przodem z O’Connorami i Shawami, spotkamy się na miejscu. Tymczasem postaram się porobić zdjęcia i filmiki telefonem. Zadzwoń, jak będziesz w drodze... aha, i postaraj się zgubić Louise. Tylko czeka na okazję, żeby nas wycyckać.

- No to jest już spalona. – Mick szczyrzy się złościwie.
- Super. A swoją drogą lepiej nie używaj tego wyrażenia przy rodzicach dziewczyn.

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**K**iedy Lesley przedstawia mnie pracownikowi ambasady, ten obdarza mnie cierpiętniczym spojrzeniem.

– Prasa Jej Królewskiej Mości, tak? Na pewno może pani sobie sama zorganizować transport.

– Jedzie z nami – mówi Lesley. – Ścieśnimy się trochę.

Nic nie mówię, bo nie muszę, Lesley świetnie sobie radzi. Malcolm się nie odzywa, a Shawowie odwracają wzrok.

– Cóż, skoro pani nalega – ustępuje urzędnik, ale jego niezadowolenie słychać w każdej sylabie wypowiedzianej ze snobistycznym akcentem. – Tędy proszę.

Wicekonsul Clive Barnes czekał na nas pod bramką z wiadomością, że nadal nie potwierdzono tożsamości ofiar. Cała nasza grupa znów popadła w apatię.

– Budynek miał wielu lokatorów, policja chce się włączyć w proces identyfikacji, żeby uniknąć ewentualnych błędów – tłumaczył.

Ruszam przodem, pozostali toczą się za mną, ciągnąc walizki. Zależy mi na tym, żeby zaprzyjaźnić się z Clive'em.

– To pewnie najtrudniejszy aspekt pańskiej pracy – mówię, bezskutecznie starając się go dogonić. – Angażowanie się w ludzkie tragedie.

– Owszem. Ale domyślałam się, że pani też coś o tym wie. Nie mogę powiedzieć, żebym się cieszył, że mam panią zabrać na miejsce zdarzenia, ale tego najwyraźniej chcą rodziny.

„Zapowiada się ciężka przeprawa”.

Zwalniam kroku, żeby zrównać się z Lesley, i delikatnie wyjmuję jej z dłoni rączkę walizki.

– Wyglądasz na wykończoną. Daj mi to na trochę, pomogę ci.

Jej mąż człapie na końcu, ze spuszczoną głową, obładowany drugą walizką i torbami na zakupy. Mike Shaw dźwiga torby swoją i Jenny. Wskazała mu ją po przylocie, pozwoliła ściągnąć z taśmy bagażowej i nawet nie próbowała jej potem od niego wziąć. Teraz idzie tuż za Lesley, ale praktycznie ze sobą nie rozmawiają. Nie dochodzi między nimi do żadnej komunikacji poza tą najbardziej podstawową.

Lesley trzyma męża za rękę, czekając, aż Clive Barnes załaduje walizki do bagażnika czekającego już na nas minivana. Mimo upału wygląda na przemarznąętą. Kiedy próbuje coś powiedzieć, szcękają jej zęby. „To wszystko jest już zbyt realne – myślę. – To nie tylko Facebook. Są tutaj, a ich córka prawdopodobnie nie żyje”.

Malcolm pomaga Lesley wsiąść do auta, ja wciskam się między nią a Jenny i zaczynam się szarpać z niewygodnym pasem na środkowym siedzeniu, przepaszając za zamieszanie. Mężowie siadają w przednim rzędzie. Lesley i Jenny gapią się przez okna na ruch uliczny, a faceci próbują prowadzić normalną rozmowę.

– Zarezerwowałem wam pokoje w hotelu niedaleko ambasady – mówi Clive Barnes. – Zabiorę was tam po identyfikacji... – Urywa. Nie może mu przejść przez gardło słowo „zwłok”, a nikt z obecnych nie pali się, żeby pomóc mu jakoś wybrnąć.

W końcu odzywa się Malcolm.

– Czy to Alex i Rosie znaleziono?

Czuję, jak siedząca obok mnie Lesley sztywnieje.

– Na tym etapie nie mamy jeszcze pewności, ale jak wiecie, potwierdzono, że to dwie młode kobiety.

Gładzę po rękę Lesley, która opiera się na moim ramieniu i zaczyna szlochać. Jenny jeszcze bardziej odwraca głowę. Malcolm próbuje pociągnąć wątek.

– Chcemy od razu porozmawiać z policją i udać się na miejsce pożaru.

– Tak, oczywiście. – Clive Barnes jest mu wyraźnie wdzięczny. – Jeden z moich kolegów rozmawiał wcześniej z detektywem prowadzącym śledztwo. Lekarz sądowy rozpoczął już badania, policja nadal przeszukuje miejsce zdarzenia. Radziłbym zatrudnić tłumacza, na wypadek gdybym ja nie był dostępny. Pomóc wam to załatwić?

– A ile to będzie kosztować? – pyta Mike Shaw pod nosem.

– Tak, bardzo pana prosimy – mówi Malcolm.

– Mówcie mi Clive.

Na tylnym siedzeniu Lesley wciąż łąka mi w rękaw.

– Och, kochanie – mówi Malcolm, obracając się na fotelu i sięgając po jej dłoń. – Trzymaj się jakoś. Już tu jesteśmy.

Samochód zatrzymuje się przed czerwono-białą taśmą rozwieszoną w poprzek wąskiej uliczki. Za blokadą widzę policjantów w szarych mundurach i z maskami na ustach oraz robotników obsługujących ciężki sprzęt. A także Dona Richardsa.

– Najlepiej nie rozmawiać z prasą – mówi Clive Barnes, po czym gryzie się w język. – Przepraszam panią, to nasze standardowe zalecenie.

– Rozumiem. Oczywiście dziennikarze mogą pomóc, na przykład wywrzeć nacisk na władze, żeby dogłębnie zbadały sprawę. – Staram się zachować spokojny ton głosu.

– No tak. Może wyśiadźmy.

Rodzice idą razem, a kiedy docierają do blokady, widzę, że Lesley i Jenny chwytają Malcolma za ręce. Mike pozostaje dwa kroki za nimi, całkowicie odizolowany.

Don Richards natychmiast występuje do przodu.

– Państwo O’Connorowie? Państwo Shawowie?

Z nadzieją podnoszą na niego wzrok.

– Cześć, Don – mówię.

– A, też tu jesteś, moja droga.

Słyszę rozczarowanie w jego głosie. Ubiegłam go.

– Boże! Spraw, żeby to nie była ona – szepcze Lesley, kiedy wraz z resztą rodziców zostaje wpuszczona za blokadę. Ruszam za nimi, ale mój nowy przyjaciel Clive powstrzymuje mnie wzrokiem.

– Tylko rodziny. Rozkaz policji.

„Szlag”.

Próbuję pochwycić spojrzenie Lesley, zaapelować o wsparcie, ale O’Connorowie nie widzą niczego oprócz poczerńiałego szkieletu budynku. Resztki pensjonatu chylą się nad ulicą niczym stary pijak rzygający gruzem. Wygląda na to, że wszystkie stropy się zawaliły. Na ulicy leży skurczony, osmalony materac piankowy, wokół stóp śledczych kłębią się popioły.

– Zaczekam tu na ciebie, Lesley! – wołam za nimi, czując w gardle smród dymu i sadzy. Nie wiem, czy mnie usłyszała, ale wydaję telefon i nagrywam, jak idą w stronę zgliszczy.

Przykucam na krawężniku, w upale i pyłe, żeby napisać artykuł na telefonie. Marzę o laptopie, ale nie wiem, czy zdążę go wypakować, podłączyć do telefonu, napisać tekst i wysłać do redakcji przed powrotem rodzin. Muszę wypchnąć artykuł i tkwić w gotowości na dalszy rozwój wydarzeń. Kciukami wystukuję wypowiedzi i opis całej sceny, a Don Richards próbuje mi czytać przez ramię.

– Spadaj, Don – mówię, kiedy udaje, że chce mi wyrwać telefon. – Zapisz sobie swoje własne obserwacje.

– Właśnie to robię, koleżaneczko.

Stoi obok mnie i skrobie w sfatygowanym notatniku.

– Zaraz przepiszę na laptopie i wyślę. Wszyscy czekają na ten tekst – mówi, wciskając notes z powrotem do kieszeni. – Oho, wracają. Szybko poszło.

Naciskam „wyślij” i podnoszę się na nogi, żeby sfilmować powrót. Wracają powoli, z opuszczonymi głowami, jak kondukt pogrzebowy. Malcolm obejmuje żonę, podtrzymuje ją w pionie.

– Jak się trzymasz, Lesley? – pytam cicho, kiedy do nas docierają.

– Serce mi pęka, Kate. Widziałaś, jak to wygląda?

Obchodzę najbliższego policjanta i przez szparę zaglądam do środka, na stertę spalonych rzeczy. Trudno coś wypatrzeć, ale wydaje mi się, że widzę poczerniały stelaż plecaka, a może to poskręcana rama łóżka? Przetwał tylko metal. Nic ludzkiego.

– Nie widzę nic z rzeczy Alex – mówi Lesley. – To chyba dobry znak, prawda? Jak sądzisz?

Kiwam głową.

– Co mówi policja?

Clive Barnes głośno odchrząkuje.

– Myślę, że powinniśmy teraz jechać na komendę. A potem do hotelu. Na pewno padacie z nóg.

– Nie położymy się, dopóki nie wyczerpiemy wszystkich możliwości działania – mówi Malcolm. – Musimy porozmawiać z policją. Chodź, Lesley.

Mike Shaw przytakuje i próbuje wziąć byłą żonę za rękę. Ona prawie mu na to pozwala, widocznie zupełnie straciła instynkt samozachowawczy, ale w ostatniej chwili coś ją powstrzymuje i odtrąca jego dłoń.

– Jenny – słyszę, jak fuka. – Na miłość boską. Tu chodzi o Rosie, nie o nas.

Twarz jej się kurczy.

– To wszystko by się nie wydarzyło, gdybyś nie dał jej pieniędzy.

Lesley gwałtownie nabiera powietrza. Staram się nie patrzeć jej w oczy, kiedy Mike Shaw odchodzi w stronę minivana.

– Zostawcie go – mówi Jenny, kiedy Malcolm rusza za nim. – Odchodzenie to jego specjalność.

– Cicho, Jenny – mówi Lesley. – Wszyscy czujemy się okropnie, nie musisz jeszcze dodatkowo znęcać się nad Mikiem.

Jenny wybuchła płaczem, Malcolm odprowadza ją do auta. Przechodząc obok mnie, Lesley łapie mnie za rękę.

– Nie pisz o tym wszystkim w gazecie, dobrze? Oboje są załamani. W takich sytuacjach ludzie mówią paskudne rzeczy.

## Rozdział 18

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

# REPORTERKA

Don prowadzi mnie do jednej z kilkadziesiąt pobliskich kafejek, gdzie czekamy na Micka, próbując przekrzyczeć zgiełkliwe rzępolenie największych hitów Eagles.

– Dlaczego jeszcze nie zidentyfikowali ciała? – Mieszam zieloną herbatę, żeby fusy osiadły na dnie. – Nie mają niezbędnego sprzętu? Nie mogą zbadać DNA?

– Pewnie, że mogą. To ważny ośrodek miejski, międzynarodowy węzeł komunikacyjny, a nie wioska w kraju Trzeciego Świata. Ale przyjezdni z zagranicy nie są dla policji priorytetem. Rok w rok giną tu setki turystów, głównie utonięcia i wypadki drogowe, to dla nich straszny wrzód na dupie. Próbują jak najszybciej przekazywać te sprawy komuś innemu. Śmierć i inne nieszczęścia nie pasują do przemysłu turystycznego.

Siedzący przy sąsiednim stoliku spalony słońcem chłopak w koszulce bez rękawów przysłuchuje się nam z absolutnym brakiem dyskrecji, tak nadstawia uszu, że prawie spada z krzesła.

– Dzień dobry – mówię, bo nie mogę go już dłużej ignorować. – Mieszkasz w jednej z tych śmiertelnie groźnych rud? – Odpowiada uśmiechem pod tytułem „Jestem totalnie nawalony” i macha rękami w bliżej nieokreślonym geście. – Tak czy nie? Byłeś tutaj, jak się paliło?

Kiwa głową.

– Wracałem właśnie do siebie, jak zobaczyłem dym i w ogóle.

– Znałeś ludzi, którzy tam mieszkali?

Chłopak śmieje się nerwowo.

– Nie no, zwykle nawet nie wiem, kto śpi w sąsiednim łóżku, a co dopiero w innym hostelu.

Zwracam się do Dona i wzruszam ramionami.



– Beznadzieja.

– Tak tu jest. W niektórych hostelach upychają te dzieciaki jak sardynki w puszcze. A właściciel tego spalonego zniknął bez śladu. W sumie trudno się dziwić. Nie było żadnych zabezpieczeń, w chwili wybuchu pożaru budynek zmienił się w pułapkę. Spójrz tylko na te kable. – Podnoszę wzrok na splecione przewody rozciągnięte między dachami. – Ciągłe są zwarcia, a tu wszędzie walają się śmieci i stare kanistry po benzynie. Jeśli dziewczyny były w środku, nie miały żadnych szans.

– Gdzie jest Mick, do jasnej cholery? – rzucam podniesionym głosem, aż zjarany chłopak przy stoliku obok podskakuje na krześle. – Tracimy czas.

Wybieram numer i wypijam łyk gorzkiego płynu.

– Gdzie jesteś? – krzyczę do telefonu. – Nie wiem, gdzie to jest... Za ile? Okej. Jesteśmy w kawiarni na początku ulicy. Jak za pięć minut cię nie będzie, to idę sama.

Don pytająco unosi brew.

– Muszę porozmawiać z tym ocalałym – mówię. – To jedyny trop, o którym nikt inny nie wie.

Nerwy wypalają mi dziurę w żołądku. Te pierwsze godziny na miejscu przesądzą o tym, czy temat wypali. Wszędzie muszę być pierwsza, zacznę się zastanawiać, gdzie jest teraz Louise, dopada mnie reporterska paranoja.

„Pewnie siedzi przy łóżku tamtego chłopaka, trzyma go za rękę i wyciąga z niego całą historię. Zapłaciła Donowi, żeby mnie tutaj zatrzymał”.

– Zaraz mnie szlag trafi, po prostu tam pójde.

– I tak nie możemy go odwiedzić – hamuje mnie Don. – Na razie nie. Pojechałem tam z samego rana, ale nic z tego. Mój człowiek da nam znać, kiedy będzie można.

Wstaję i chwieję się na nogach w coraz dotkliwszym upale.

– To oni – mówię na widok taksówki. Wysiada z niej Mick i od chwili otwarcia drzwi zaczyna przeproszać.

– Pierdolone kontrole na lotnisku. Ktoś musiał nakablować na mnie i na tego gościa z BBC, bo nas wzięli na osobistą. Obstawiamy, że to sprawka Louise.

– Gdzie ona teraz jest? Ona i pozostali?

– Na komendzie. Rodziny też tam jadą. Podobno potem ma być jakaś konferencja prasowa. George zadzwoni, jak coś będzie wiadomo. Powiedziałem, że jakoś mu się odwdzięczymy.

– Dobra. Jak coś tam powiedzą, dowiemy się z sieci. Umówiłam się z Lesley na rozmowę w hotelu za parę godzin, więc mamy trochę czasu. Musimy się dostać do szpitala, zanim reszta dowie się o ocalałym.

– Ocalałym? – powtarza Mick.

– Powiem ci w taksówce. – Wrzucam torbę do bagażnika i wskakuję na przednie siedzenie obok zdeorientowanego kierowcy.

– Wsiadaj, Don. Potrzebujemy tłumacza. I poproś go, żeby podkreślił klimę. Zaraz się ugotuję.

Po drodze streszczam Mickowi sytuację i dzwonię do redakcji, by upewnić się, że mój tekst dotarł. Chciałam porozmawiać z Terryem, ale straciłam poczucie czasu. W Londynie jest sześć godzin do tyłu, pracuje jeszcze nocna zmiana. Przebrzmiały gwiazdy i weterani. Loteria, na kogo trafię.

– Dom spokojnej starości, słucham – rzuca do słuchawki Gordon Willis, były szef kroniki kryminalnej. – A, to ty. Właśnie czytałem twoje teksty, Kate. Bardzo wzruszające, jeśli kogoś interesują takie rzeczy.

– Odwal się, Gordon. To rozmowa na wyłączność. A swoją drogą co ty tam robisz? Nie mogę uwierzyć, że wpuścili cię do budynku. Powinieneś cieszyć się emeryturą gdzieś na hiszpańskim wybrzeżu, tak jak wszystkie łotry, o których pisałeś. Co się stało? Przepuściłeś całą odprawę na sangrię?

– Trochę mi się znudziło w hacjendzie, a oni tak ładnie prosili. Widziałaś się już z Donem?

– Właśnie siedzi za mną w rozpędzonym samochodzie. Przekażę mu pozdrowienia.

– Nie omieszkaj. Dokąd teraz jedziecie?

– Do szpitala. Chcemy się spotkać z potencjalnym świadkiem, jakiś chłopak zgłosił się z poparzeniami w noc tamtego pożaru. Na razie tylko my o nim wiemy. Przekaż to Terry’emu, jak się obudzi, i powiedz mu też, że potem widzę się z rodzicami dziewczyn, sam na sam, dzisiaj ma być oficjalna identyfikacja, a policja nic nie mówi.

– Okej. Każę mu do ciebie przedzwonić, jak się odezwie. Pewnie najwcześniej za godzinę, chyba że mam go obudzić.

– Lepiej nie. Dobra, dojechaliśmy. Do usłyszenia.

## Rozdział 19

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

# MATKA

Lesley skupiła się na obserwacji otoczenia: pomieszczenie oświetlały jarzeniówki zamontowane pod sufitem, podłoga była wyłożona szachownicą z brudnych kremowych i czarnych kafelków, pod ścianami stały wysokie szafy ze stali nierdzewnej. Zapachu nie dało się opisać. Dopiero po kilku długich minutach pozwoliła sobie popatrzeć na stół. Spod białego prześcieradła przykrywającego ciało wystawała stopa o paznokciach pomalowanych limonkowym lakierem.

– Pani O’Connor – powiedział ktoś. Clive. – Jest pani gotowa?

Nie była, ale jak ktokolwiek mógłby być na to gotowy? Malcolm wziął ją za rękę. Jego dłoń była lodowata w dotyku. Jak kamień.

– Tak – odparła, bo cóż innego mogłaby powiedzieć.

Pracownik kostnicy podniósł prześcieradło, ukazując woskową figurę jej córki. Dłoń Malcolma zatrzepotała spazmatycznie. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć twarzy swojego dziecka. Pogłaskać ją czule. Ale pracownik zauważył ruch i ją powstrzymał.

– Proszę nie dotykać ciała – powiedział cicho policjant, surowy mężczyzna stojący z boku.

– Alex – poprawiła go Lesley. – Proszę nie dotykać Alex.

– Czy może pani potwierdzić, że to jest pani córka Alexandra O’Connor? – ciągnął, jakby nic nie powiedziała.

– Była – wydusiła z siebie. – To już nie jest ona, prawda?

Funkcjonariusz spojrział na nią z konsternacją.

– To nasza córka – stwierdził Malcolm.

Chciała zostać, ale mąż wyprowadził ją do poczekalni, gdzie w milczeniu siedziała Jenny Shaw. Lesley nie musiała nic mówić. Na ich widok Jenny

skrzywiła twarz w grymasie bólu, Malcolm ujął jej dłoń.

– To Alex, Jenny. Pokazać wam, gdzie macie iść?

– Nie trzeba – powiedział Mike Shaw, sztywno podnosząc się z miejsca. – Poradzimy sobie.

Była żona stanęła u jego boku, otwarto drzwi i wprowadzono ich do środka.

Lesley siedziała, słuchając odgłosów rozpaczyny niosących się echem z sąsiedniego pomieszczenia, i próbowała sobie wyobrazić, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Zaraz się obudzi, zobaczy swój stary budzik i usłyszy, że córka jest już pod prysznicem. Zużywa całą ciepłą wodę.

Wtedy jednak wrócili Mike i Jenny i znów znalazła się w kostnicy.

– Właśnie sobie myślałam, że może to wszystko mi się śni – powiedziała.

– Nie, kochanie. Obawiam się, że to nie sen – szepnął jej mąż. – Musimy teraz zachować trzeźwość umysłu.

„Teraz. Teraz, kiedy mamy już pewność”.

Lesley spojrzała na pozbawioną wyrazu twarz zszokowanej Jenny.

– Chciałam dotknąć Alex – wybąkała – ale mi nie pozwolili.

– Przez chwilę myślałam, że to nie ona – powiedziała Jenny. – Ta dziewczyna miała na ramieniu tatuaż, małą różyczkę. Chciałam powiedzieć, że to nie Rosie, ale to ona. Nie wiedziałam o tym tatuażu. Próbowałam ją pocałować, ale powiedzieli, że nie wolno, że na to jeszcze będzie czas. Ale nie będzie już na to czasu, prawda? Nie będzie już buziaków. Ostatni raz pocałowałam ją na lotnisku.

– Musimy się dowiedzieć, co się stało – stwierdziła Lesley.

– Dowiemy się, kochanie – odparł Malcolm.

– Jedźmy na komendę porozmawiać z policją – zarządził Clive.

Pułkownik z wydziału kryminalnego policji zachowywał się bardzo formalnie, acz uprzejmie. Towarzyszył mu tłumacz wynajęty przez rodziny ofiar, młody mężczyzna w przyciasnym garniturze, z okularami à la Harry Potter i włosami zaczesanymi na bok w absurdalną fryzurkę na uczniaka.

Gdy tylko usiedli, oficer od razu przedstawił im wszystkie znane sobie fakty.

– Ofiary znaleziono razem na tyłach budynku – oznajmił tłumacz, wysłuchawszy go w skupieniu. Jego słowa nieprzyjemnie kontrastowały z melodyjną relacją policjanta.

– Przecież miały pokój na ostatnim piętrze – zaproponowała Lesley. – Alex pisała o tym w mejlu. Żartowała, że to penthouse.

– Nie w pokoju. W takiej jakby szafie. – Harry Potter wyglądał na zmieszanego.

– W szafie? – powtórzyła Lesley.

Tłumacz zapytał o coś pułkownika, uważnie zanotował odpowiedź, po czym zwrócił się znowu do obecnych.

– Większe niż szafa. Miejsce do przechowywania rzeczy. Zimnych rzeczy – próbował wyjaśnić, ale policjant zaczął mówić dalej, potok słów umykał tłumaczowi, który szybko spuścił wzrok i notował dalej.

– Na parterze była impreza – wytłumaczył, kiedy oficer zrobił przerwę na oddech.

– Na pewno powiedział coś więcej – zaprotestowała Lesley. – Mówił i mówił. Dlaczego nie tłumaczy pan wszystkiego?

– Tłumaczę, proszę pani – odparł Harry Potter, wyraźnie dotknięty kwestionowaniem jego profesjonalizmu. – Miałem mówić dalej...

– Dobrze – wtrąciła Lesley.

– Na imprezie był alkohol i narkotyki...

– Nasze dziewczynki nie brały narkotyków – przerwała mu Jenny podniesionym głosem. – Czemu on o tym mówi?

Jej pytanie nie zostało przekazane pułkownikowi.

– Policja sądzi, że na tej imprezie ktoś pod wpływem alkoholu albo narkotyków przewrócił jakąś świeczkę – kontynuował. – Albo nie zgasił papierosa. Duże prawdopodobieństwo wypadku.

– Rosie paliła? – zapytał Mike.

– Nie – zaprzeczyła Jenny.

– Ogień szybko rozniósł się po pokojach. Prząd budynku był głównie z drewna. Dziewczyny schowały się przed ogniem w chłodni. Umarły od... – Chłopak próbował znaleźć brakujące słowo, po czym złapał się rękami za szyję, odgrywając duszenie.

– Chodzi mu chyba o zatrucie dymem – wtrącił szybko Clive Barnes, żeby przerwać pantomimę, zanim stałaby się jeszcze bardziej obrazowa.

– I zawał serca – dodał tłumacz.

Lesley zdawało się, że Barnes przewrócił oczami.

– Właścicielka pensjonatu jest poszukiwana w związku z naruszeniem przepisów bezpieczeństwa.

Po tych słowach pułkownik zamknął teczkę z aktami, złożył ręce na piersi w geście *wai*, uklonił się lekko i zaczął zbierać do wyjścia. Malcolm próbował odwzajemnić pożegnalny gest, ale Lesley zerwała się na równe nogi, żeby zatrzymać policjanta.

– Nikt ich nie słyszał? Musiały wzywać pomocy...

Oficer stał z twarzą pozbawioną emocji.

– Pan pułkownik mówił, że nikt nie wiedział, że tam były, dopóki nie znaleziono ciała – powiedział tłumacz.

- Nikt niczego nie słyszał? A inni ludzie na tej imprezie? – dopytywał Mike. – Co oni mają do powiedzenia?
- Policjant sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.
- Nie znaleziono żadnych świadków.
- Czyli twierdzi pan, że na imprezie były tylko nasze córki?
- Oficer wzruszył lekko ramionami.
- Podobno w szpitalu jest jakiś młody człowiek z poparzeniami – powiedziała Lesley, przypominając sobie rozmowę z Kate.
- On nie ma żadnego związku z tym śledztwem.
- Jak to? – zapytała Lesley tłumacza.
- Z kamienną twarzą policjant przedstawił dłuższe wyjaśnienie.
- Mówi, że ten młody człowiek w szpitalu nic im nie powiedział – przełożył tłumacz. – Nie wiadomo nawet, czy był w tym samym pensjonacie.
- Pułkownik wymienił z rodzicami słabe uściski dłoni.
- W najbliższych dniach wydamy ciała – rzucił na do widzenia. – Przekażemy też całą dokumentację, możecie je zabrać do domu.

Po wszystkim Clive Barnes odprowadził ich do samochodu.

- Nie wyglądałeś na zadowolonego, Clive – zauważyła Lesley. – Wydaje mi się, że Harry Potter nie powtórzył nam dokładnie słów swojego szefa.
- Barnes zrobił zbolaną minę.
- Może nie mówię biegle po tajsku, ale mam wrażenie, że pominął kilka fragmentów.
- Czego nam nie powtórzył?
- Że policja już wcześniej interesowała się tym pensjonatem w związku z narkotykami. Powiedzmy, że władze znały to miejsce. Było też trochę szczegółów o tym, w jakim stanie znaleziono dziewczyny. Nie odniosły poparzeń ani ran. Ta chłodnia była metalowa, a one dodatkowo zawinęły się w jakieś maty, żeby się ochronić.
- Mój Boże. – Lesley oczami wyobraźni ujrzała swoje przerażone dziecko kulące się wśród płomieni.
- Myślisz, że naprawdę była tam jakaś impreza? – zapytała nagle Jenny. – Gdzie inni uczestnicy? Dwie osoby to przecież za mało na imprezę.
- Barnes pokręcił głową.
- Może pozostali goście nie chcą rozmawiać z tajlandzką policją o narkotykach? – zasugerował oględnie.
- Nasze dziewczynki nie brały narkotyków – powtórzyła Jenny.
- Zawahał się.

– Nie możemy wiedzieć, co nasze dzieci robią pod naszą nieobecność, prawda?

– Myślisz, że dlatego ten chłopak ze szpitala nic nie powiedział? Jeśli tam był, to musi coś wiedzieć – stwierdziła Lesley. – Policja powinna go jeszcze raz przesłuchać.

Clive Barnes w odpowiedzi znowu tylko przewrócił oczami.

Bangkok, dzień 11 (środa, 6 sierpnia)

Od: Alexinnit96@yahoo.co.uk

Do: Magsishot@hotmail.co.uk

Temat: ROSIE TO TOTALNA MASAKRA

Hej, Mags,

to był straszny dzień. Najpierw R. sobie wymyśliła, że chce tatuaż! Ubłagała mnie, żebym poszła ją trzymać za rękę. Mówiłam jej, że to zły pomysł. Nie będzie mogła się opalać, pływać, robić niczego, co może grozić infekcją. Ale mnie nie słuchała. Nie mam pojęcia, jakim cudem ją na to stać, zwłaszcza że ciągle się rozbija po knajpach. Jakby jej mama się dowiedziała, toby ją zabiła.

J.W. mówił, że to boli jak nie wiem, i pokazał jej swój tatuaż – mały sztylecik, który ktoś mu zrobił igłą i atramentem, podobno z nudów, bo akurat nic ciekawego nie leciało w telewizji. Ale jego też nie chciała słuchać. Oczywiście zaczęła ryczeć, jak tylko tatuażysta dotknął jej igłą. Wrzeszczała: „On mi robi krzywdę, Alex! Każ mu przestać!”. Co za oooooobciach. Robiła takie sceny, że babka, która siedziała na kasie, przyszła ją ochrzanić, że straszy innych klientów. Uśmiechała się, jakby żartowała – oni się tu ciągle uśmiechają, zwłaszcza w najbardziej nieodpowiednich momentach – i powiedziała, że nie przewidują zwrotu pieniędzy, więc żeby Rosie siedziała spokojnie i się zamknęła. Zamówiła sobie wielką jaszczurkę na ramieniu, taką jak u Larsa, ale namówiłam ją, żeby wybrała coś mniejszego. W końcu zdecydowała się na różyczkę. Zaraz po zrobieniu wyglądało to paskudnie, sączyła się krew i jakiś inny syf. Fuj.

Wróciłyśmy prosto do pensjonatu, żeby Rosie mogła się położyć, i właśnie pomagałam jej zdjąć koszulkę przez ramię, tak żeby nie dotykać rany, kiedy stało się coś strasznie dziwnego. Masz czasem takie wrażenie, że ktoś cię obserwuje? I jeszcze zdawało mi się, że zasłonki się poruszyły, w tym miejscu na środku, gdzie się nie do końca schodzą. Aż podskoczyłam, a Rosie wrzasnęła, bo dotknęłam jej ręki. Obie się wystraszyłyśmy. Rosie kazała mi iść sprawdzić. Okropnie się bałam. Powoli otworzyłam drzwi. Nie mogłam przestać myśleć o tym horrorze, który kiedyś oglądałyśmy, o Hostel. Cała się trzęsłam. Ale nikogo tam nie było. Chociaż jestem pewna, że wcześniej był.

Rosie interesowało tylko jedno: nałykać się leków przeciwbólowych, ale ja wygrzebałam przybornik do szycia i zszyłam zasłony. Odezwe się niedługo! Buzi, A.



Rosie jeszcze wieczorem starała się wyciągnąć z tatuażu ile się dało, krzywiła się teatralnie, gdy ktokolwiek choć zbliżał się do jej ramienia, i zanudzała wszystkich opowieściami o tym, jak bardzo bolało.

– Jakby mnie ktoś dźgał nożem – mówiła Mammie, jedynej osobie w pensjonacie, która jeszcze chciała słuchać jej żalów. – Ktoś mógł mnie ostrzec.

Mamma zacmokała nad raną i uśmiechnęła się samymi ustami.

– Biedna Rosie – mruknęła. – Mam coś na to.

Przyniosła watę z zaplecza, tajemniczego pomieszczenia, gdzie najwyraźniej mieszkała. Nie wykazała za to zainteresowania historią Alex o podglądaczu.

– Pewnie wiatrak ruszył zasłonami – skwitowała. – To jest porządny pensjonat. Nie ma tu żadnych problemów. – Koniec tematu.

„Ciekawe, czy ma jakiegoś faceta?” – zastanawiała się Alex, obserwując gospodynię krzątającą się w zwiewnym kaftanie i szpilkach rozmiaru kajaków.

Alex roześmiała się głośno z własnych myśli, aż pacjentka i pielęgniarzka zgromiły ją wzrokiem.

– Zamknij się, Alex. Ja tu cierpię – powiedziała Rosie.

– Weźmiesz to, złotko. – Mamma wcisnęła jej jakąś tabletkę. – Od razu się poprawi.

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Lekarz wziął nas za rodzinę pacjenta. Nic takiego nie powiedzieliśmy, ale że wyskoczyliśmy z taksówki, która zahamowała przed szpitalem z piskiem opon, a wyglądaliśmy na zdesperowanych i niewątpliwie przyjezdnych z Zachodu, ochroniarze bezzwłocznie zaprowadzili nas do gabinetu.

Don przeprowadził rozmowę po tajsku z poważnym młodym doktorem. Ciągi słów wznosiły się i opadały na skali intonacji, a na koniec lekarz pokiwał głową i uśmiechnął się współczująco do mnie i Micka.

– Co ty mu powiedziałaś? – zapytałam, ale Don mnie uciszył i wyprowadził z gabinetu.

– Nieważne.

– Gadaj!

– Że przyleciałaś tu z Anglii zobaczyć ocalałego z pożaru. Od razu założył, że jesteś krewną.

– A ty go wyprowadziłaś z błędu? Don...?

Don puścił oko i powiedział:

– Milcz. Wkręciłem cię. Trzecie piętro, sala sześć. Lekarz mówi, że masz pięć minut.

Stałam niezdecydowana, ciągle mijali nas jacyś ludzie, aż w końcu Mick mnie szturchnął.

– No chodź, Kate. Pójdziemy zapytać, czy chce z nami rozmawiać. To nic złego.

Skinęłam głową i poszłam do windy.

No i jesteśmy tutaj. Patrzymy na puste łóżko. Nie tylko nikt w nim nie leży, ale i nie ma nawet pościeli, goły materac czeka na nowego pacjenta. Don wychodzi

na korytarz, żeby sprawdzić, czy nie pomyliliśmy sal, po czym wraca, kręcąc głową.

– To na pewno szóstka. Pójdę poszukać pielęgniarki. – Po chwili przychodzi z ponurą miną. – Nie ma go. Z samego rana się wypisał. Pielęgniarka mówi, że nie mogli go zatrzymać.

„A ja w tym czasie czekałam na Micka” – wściekam się w duchu.

– Nazwisko, adres?

– Nie. Mówi, że to poufne dane. Wypytywała, kim jestem. Poszła chyba poszukać przełożonych. Możliwe, że będziemy musieli się szybko zwinąć.

– Twierdziłeś przecież, że masz tu wtyki.

– Mam, ale ten mój znajomy robi teraz obchód.

Chce mi się wrzeszczeć. „Tak mało brakowało, minęliśmy się o włos. Gdybyśmy dotarli tu parę godzin wcześniej...”

Przeglądam szafkę w poszukiwaniu czegokolwiek z nazwiskiem pacjenta, a wtedy do sali wchodzi ten poważnie wyglądający lekarz z koleżanką po fachu.

– Dzień dobry – mówi kobieta po angielsku. – To był mój pacjent, pan Waters.

– Pani Waters – poprawiam ją. Wygląda na skonsternowaną. – Nieważne, przepraszam – dodaję szybko. – Wie pani, dokąd mógł pójść pacjent?

– Nie. – Wzrusza ramionami. – Może policja wie. Rozmawiali z nim. Rano powiedział, że chce się wypisać. Nie miał pieniędzy na pobyt w szpitalu.

– Był Anglikiem?

– Tak, pan Waters, Anglik.

– Pani Waters – powtarzam, starając się nie okazywać irytacji. – Jestem pani Waters, a nie pan Waters.

– Pani się nazywa Waters? – pyta lekarka.

– Tak, tak. Co jeszcze wiecie o tym pacjencie? Jak się nazywał?

– Pan Waters – odpowiada.

– Proszę posłuchać... – Zaczynam się czuć jak w jakimś absurdalnym skeczu Abbotta i Costello.

– Chce pani powiedzieć, że nazywał się Waters? – przerywa mi Don.

– Tak. Pacjent to pan Waters.

Czuję się tak, jakbym spadała w przepaść.

– A imię? – chrypię, chociaż znam odpowiedź.

Wyciąga jakąś kartkę.

– Jake.

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**O** co chodzi? Znasz go? – pyta Mick. Jego głos wydaje mi się nagle ogłuszający. – Kate?

– To mój syn – mówię i opadam na krzesło przy pustym łóżku Jake’a.

– Nie gadaj! Ale numer! – Mick przysuwa sobie drugie krzesło.

– Nie mogę uwierzyć, że to on – mówię i słyszę, jak Mick mamrocze: „No raczej, kurwa...”.

Lekarka i Don rozmawiają o czymś półgłosem.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział? – pytam. – Dlaczego nie skontaktowano się ze mną, kiedy się zgłosił?

– Nie chciał nikogo informować – mówi lekarka. – To jego prawo, proszę pani.

– Dlaczego? Dlaczego nie chciał, żebyśmy się dowiedzieli? – krzyczę w przestrzeń i wszyscy rzucają się w moją stronę. Don pomaga mi stanąć na roztrzęsionych nogach.

– Chodź, złotko, trzeba cię zabrać do hotelu. Przeżyłaś szok. Mick, weź ją pod ramię.

– Doznał poważnych obrażeń? Był poparzony? – pytam, odtrącając pomocników.

– Nie bardzo – odpowiada lekarka. – To nie były poważne obrażenia. Miał lekkie poparzenia na dłoniach, przypieczony prawy policzek i nos.

Opowiada o głębokości i powierzchni poparzeń, o szansach wyleczenia, a ja próbuję przyswoić sobie wszystkie informacje, ale wyobraźnia wciąż podsuwa mi obraz Jake’a próbującego się wydostać z płonącego budynku. Panika, którą musiał wtedy czuć, teraz wywraca mi żołądek. Chciałabym go przytulić, żeby mieć pewność, że jest bezpieczny, ale nie mogę. Zamiast tego gładzę materac, na którym niedawno leżał.

– Wiedział coś o tych dziewczynach? – pyta lekarkę Don i dopiero wtedy sobie przypominam, co tu robię.

– Policja go o to pytała, ale nie wiadomo, czy rozumiał. Na początku był w szoku. Przez pierwsze dwa dni w ogóle nie mógł mówić, a potem też o nich nie wspominał. Ale w tych okolicznościach to całkowicie rozumiałe.

Kiwam głową, jakbym rzeczywiście rozumiała, ale fakty ciągle mi się wymykają.

– To na pewno był Jake? – pytam.

Pokazuje mi kartę przyjęcia do szpitala. Jego data urodzenia, numer jego paszportu. Mój synek.

W rubryce „osoba bliska, którą należy powiadomić” widnieje wpis „nie podano”.

– Muszę zadzwonić do Steve’a – mówię do Micka, a on daje Donowi sygnał do wyjścia.

– Przyniesiemy ci wody – mówi i słyszę, jak rozmawiają, wychodząc z sali.

– Jasny gwint, nikt by czegoś takiego nie wymyślił – dobiegają mnie słowa Dona.

Powoli wybieram numer, starając się jak najbardziej opóźnić tę chwilę.

„Co ja mu powiem? Co mam mu powiedzieć? Przecież nic nie wiem. Na przykład dlaczego Jake był w tym hostelu? Albo co robił. Co on w ogóle robił przez ostatnie dwa lata?”

Steve od razu odbiera.

– Halo? Wcześniej dzwonisz. Na szczęście właśnie przed chwilą się obudziłem. Która tam jest godzina? Jak lot? Sztuka była świetna, spróbuję upolować bilety na kolejny spektakl, żebyś też mogła pójść.

– Steve, coś się stało. Chodzi o Jake’a – mówię prosto z mostu.

– O Jake’a? Jak to? Co się stało? – Jego podniesiony głos wylewa się z telefonu, wypełnia salę. – Jesteś już na Phuket? Co u niego? Możesz mi go dać?

– Steve, jestem w szpitalu w Bangkoku. Jake był w tym pożarze hostelu. Tym, w związku z którym tu przyjechałam.

Na chwilę zapada cisza – mąż próbuje sobie poradzić z zaskakującymi wieściami.

– Co?! – krzyczy w końcu. – Nie rozumiem. Co Jake ma wspólnego z tym pożarem?

– On tam był, Steve. Nie wiem dlaczego. Policja z nim rozmawiała. Byli w szpitalu, zadawali mu pytania.

– W szpitalu? Policja? Jest świadkiem?

- Nie wiem.
- Chryste, jest ranny?
- Lekarze mówią, że nic mu nie grozi. Podobno ma poparzone ręce i twarz.
- Jak to, nie widziałaś go?
- Nie. Nie ma go. Zniknął ze szpitala.
- Zniknął?
- Tak, zniknął. Boję się o niego, Steve.
- Nie rozumiem, Katie.

– Ja też nie. Lekarka powiedziała, że wypisał się po wizycie policji. Nie chciał, żebyśmy o tym wiedzieli, Steve. Poprosił, żeby nas nie informowali.

Zalewam się łzami, płaczę tak obficie, że nie mogę mówić, więc Steve prosi, żebym zadzwoniła za chwilę.

– Trzy głębokie wdechy, kochanie. Muszę dokładnie rozumieć wszystko, co do mnie mówisz. I muszę widzieć twoją twarz. Zadzwoń na FaceTimie, żebym mógł cię widzieć.

Zamykam oczy, robię powolne, roztrzęsione wdechy i pozwalam panice opaść z gardła z powrotem do żołądka, po czym dzwonię jeszcze raz. Kiedy Steve pojawia się na ekranie, widzę napięcie na jego twarzy.

– Zaczynaj jeszcze raz, od początku – mówi.

Więc zaczynam. Jakbym dyktowała artykuł redakcji przez telefon, jak za starych dobrych czasów. „Akapit. Myślnik, cytat, myślnik, mówi. Kropka”.

Steve zaś mówi do mnie tym swoim spokojnym lekarskim tonem, powtarza, że go znajdziemy, że skóra się świetnie regeneruje, że niedługo ściągniemy go do domu, że wszystko będzie dobrze. Mówi to, co potrzebuję usłyszeć.

– Przepraszam, Steve – mówię, kiedy docieramy do końca historii.

– Za co przepraszasz? – pyta. Ale wie.

– Straciłam go. Tak jak mnie ostrzegałeś.

Steve wzdycha.

– To nie twoja wina. Jedź do hotelu. Musimy zawiadomić władze. Będziemy potrzebowali pomocy w poszukiwaniach. Ale znajdziemy go. Zadzwoń do mnie z pokoju, dobrze?

– Dobrze.

Ale wcale nie jest dobrze. Wszystko się zmieniło, w tej sali pachnącej bandażami i środkami odkażającymi. Tutaj nie jestem już reporterką. Jestem matką.

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Don wydzwania do Policji Turystycznej, a ja odruchowo nadstawiam uszu za każdym razem, kiedy pada imię Jake’a. Ciekawe, co im powiedział. Mick sadza mnie na ławce przy recepcji, a ja próbuję myśleć jak dziennikarka. Gdzie poszedłby ranny człowiek bez pieniędzy? Do najbliższego hostelu? Do ambasady? Do znajomych? Pewnie szukał apteki, żeby kupić środki przeciwbólowe. Miał receptę? Muszę zapytać lekarkę. Mogłaby uprzedzić okoliczne apteki. Zapisuję „apteki” w notesie. Pismo mam rozchwiane, myślami wciąż wracam do pustego łóżka.

„Gdzie ty jesteś?” – myślę. Zadawałam sobie to pytanie od 1 maja 2012 roku, kiedy wymaszerował z domu z torbą i urażoną dumą. „Nie powinnam była pozwolić, żeby to tak długo trwało”.

Muszę coś zrobić. Cokolwiek. Dzwonię pod numer z wizytówki Clive’a Barnesa. Nie cieszy go dźwięk mojego głosu.

– Na tym etapie nie mamy nic dla mediów, proszę pani. Będziecie musieli poczekać. Jestem w tej chwili raczej zajęty, opiekuję się rodzinami tych dziewcząt, więc jeśli pani pozwoli...

Przerywam mu w pół formalnego pożegnania i zdaję się na jego łaskę. Opowiadam mu o Jake’u. Natychmiast zmienia ton, przechodzi w tryb wspierania ofiar, nie daje po sobie poznać zaskoczenia – ani cichej satysfakcji, jaką musi dawać mu świadomość, że przedstawicielka prasy Jej Królewskiej Mości znalazła się w niekorzystnym położeniu.

– Rozumiem – mówi po prostu. – Na pewno się pani martwi. Proszę mi podać dane syna: datę urodzenia, numer paszportu, jeśli pani go zna, rysopis, a ja sprawdzę, co da się zrobić. Proszę postarać się za bardzo nie zamartwiać.

„Nauczył się scenariusza na pamięć” – myślę, ale próbuję to zignorować.

- Czy mówiła już pani o tym O’Connorom albo Shawom, jeśli można wiedzieć? – pyta. – Z tego, co rozumiem, jest pani z nimi w stałym kontakcie?
- Eee, jeszcze nie. Dopiero co sama się dowiedziałam.
- Ja im powiem. Nie chcielibyśmy, żeby dowiedzieli się z mediów, prawda?
- „A jednak pozwolił sobie na krótki moment triumfu”.
- Sama chciałabym powiedzieć Lesley – proszę. – Będę mogła odpowiedzieć na jej pytania. Będę z nią rozmawiała jak matka...
- Jak sobie pani życzy. Będziemy w kontakcie. I proszę dać mi znać, jeśli Jake się pojawi.

Mick szarpie mnie za ramię.

- Już są – syczy.

Przez podwójne drzwi widzę dziennikarską bandę wysiadającą z karawany taksówek. Wlewają się do holu i od razu mnie zauważają.

- Niech to szlag, dotarła tu pierwsza – słyszę Louise.

Mick próbuje ich zatrzymać.

- Hej, byliście już na miejscu pożaru? A jak ta konferencja? – zagaduje. – Policja ma już jakieś hipotezy?
- Na razie niewiele wiadomo – odpowiada George. – Mówi się, że ten hostel to było centrum imprezowe, można się tam było zaopatrzyć w narkotyki. Czekamy na info o identyfikacji zwłok i wyniki sekcji, więc na razie wszyscy tylko wysyłamy teksty z opisami miejsca zdarzenia i wywiady z tymi samymi zjaranymi backpackerami.
- Próbuję się śmiać razem z nimi, ale brzmi to sztucznie.
- To wszystko nieważne, rozmawiałaś z tym chłopakiem z pożaru? – woła Louise. Nie daje się łatwo nabrać na zmianę tematu.
- Nie – odpowiadam drżącym głosem.
- Louise mierzy mnie wzrokiem, wszyscy podchodzą bliżej.
- Wyglądasz na zdenerwowaną – mówi George. – Co się stało? Była jakaś awantura? Wywalają cię?
- Nie – odpowiadam. – Nic z tych rzeczy. – Robię głęboki wdech i przez chwilę rozważam milczenie. Ale przecież i tak się dowiedzą. Ja bym się dowiedziała. – Chodzi o to, że ten chłopak to mój syn Jake.
- Żartujesz! Twój syn? – powtarza George i dziennikarze wymieniają podnieconym szeptem jakieś uwagi.
- Tak, wiem. Niewiarygodne. Dowiedziałam się dopiero od lekarzy.
- Łał – mówi Louise i widzę, że skrobie coś w notesie.
- Wiedziałam, że jest w Tajlandii... mówiłam ci zresztą, George. Ale sądziłam, że ratuje żółwie na Phuket – próbuję się tłumaczyć, choć brzmi to słabo.



– Boże, to musiał być straszny szok. Co z nim, Kate? – pyta George.

– Lekarka mówi, że nie najgorzej. Lekkie oparzenia dłoni i twarzy.

„Czuję się tak, jakbym rozmawiała z kolegami – bo z większością z nich się przecież koleguję – ale przecież prawie wszyscy z nich notują moje słowa. Co to, konferencja prasowa?”

– Ile lat ma Jake? – pyta ktoś.

– Przyjechał na wakacje?

– Jak udało mu się wydostać z pożaru?

– Poparzył się, próbując uratować tamte dziewczyny?

– Jest bohaterem, Kate?

Gorączkowo szukam odpowiedzi na te wszystkie pytania, a Louise znów atakuje:

– Pozwolisz nam się z nim zobaczyć, prawda?

Zapada cisza. Z trudem przełykam ślinę.

– Nie mogę tego zrobić. Jake’a już tu nie ma.

– To gdzie jest? Już go zamelinowałaś w jakimś hotelu? – warczy.

– Nie. Sama też go w ogóle nie widziałam. Dziś rano wypisał się na własne żądanie, zanim tu przyjechałam. Nie mam pojęcia, gdzie on teraz jest.

– Jak to? Zniknął? – pyta, a wszyscy skupiają się jeszcze bliżej mnie, żeby nie uronić ani słowa.

– Policja o tym wie? – pyta jakiś reporter telewizyjny zza kamery wideo.

Kiwam głową.

– Rozmawiali z nim wczoraj wieczorem.

– To jest bohaterem czy podejrzanym? – pyta Louise teatralnym szeptem, ale na tyle głośno, żebym na pewno usłyszała.

– Zamknij się, Louise – mówi George. – Nie przejmuj się nią, Kate.

– Nie będę – odpowiadam. Patrzę na nich, na te znajome twarze. To ludzie, z którymi razem odczuwałam strach, śmiałam się, zwierzałam się im, upijałam się z nimi, ale nagle jestem wśród nich jak obca. To ja jestem gorącym tematem.

*CZĘŚĆ DRUGA*

# **W ŚWIETLE KAMER**

## Rozdział 23

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

# MATKA

**G**dy tylko zamknęły się za nimi drzwi pokoju hotelowego, zwróciła się do Malcolma.

– Dlaczego mnie nie poparłeś? Siedziałeś tam i nic nie mówiłeś.

– Nie miałem już nic do dodania, Lesley. Zadałyście z Jenny wszystkie pytania. A policja wie, co robi.

– Skąd niby wiesz? Widziałam, jak ten facet z ambasady przewracał oczami, kiedy policjant coś mówił. Chcę się dowiedzieć, co się stało mojej córce.

– Naszej córce.

– Tak, tak, naszej.

– Ja też tego chcę. Wiesz przecież. Nie możemy pozwolić, żeby to nas rozdzieliło, kochanie. Tak się często dzieje, kiedy jakąś parę spotyka coś strasznego. Zwracają się przeciwko sobie. Obwiniają się nawzajem. Czytałem o tym w gazecie.

– My nie jesteśmy jak Jenny i Mike – ucięła Lesley. W tej chwili nie zależało jej na racjonalności. Była tak wściekła, że czuła, jakby miała pęknąć. Jej córka. Jej córka leżała w kostnicy i nikt nie potrafił jej powiedzieć dlaczego. Dlaczego Alex nie żyje? Kto ponosi winę?

Malcolm położył się do łóżka w ubraniu, zbyt wyczerpany, żeby zdjąć choćby buty.

– Nie możemy teraz spać! – krzyknęła, aż przestraszony otworzył oczy. – Musimy się dowiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny. Wstawaj!

Malcolm przewrócił się na plecy i wbił wzrok w sufit, a łzy spływały mu między włosy.

– Przestań być taki bierny! – wrzasnęła.

Wyciągnął ku niej rękę, a ona upadła na łóżko, wtulając się w niego.

– Dowiemy się – mówił, głaszcząc ją po głowie i uspokajając zaciskające się pięści. – Ale nie możemy funkcjonować bez snu, kochanie. Jesteś taka zmęczona, że nie myślisz logicznie. Zamknij oczy choćby na pół godziny.

Zaczekała, aż mąż odpłynie, uważnie nasłuchując oddechu, który coraz bardziej spowalniał, po czym wstała z łóżka i usiadła przy biurku z lichym notesikiem znalezionym na szafce nocnej.

U góry strony umieściła nagłówek „DO ZAŁATWIENIA”, tak jak robiła na co dzień w domu. Jednak pod spodem zamiast „bank, karma dla kotów, PRALNIA!” wypisała: „Jak wybuchł pożar? Kto jeszcze był w pensjonacie? Gdzie była ta impreza? Gdzie były Alex i Rosie? DLACZEGO NIE UCIEKŁY?”.

Ścisnęła tani hotelowy długopis tak mocno, że popękał i rozpadł się na kawałki.

Kiedy podniosła wzrok znad kartki, zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Patrzyła na nią osierocona matka o pustych oczach.

– Dlaczego nie uciekałaś, Alex? – zapytała, ale kobieta w lustrze nie miała dla niej żadnej odpowiedzi.

Zadzwoił telefon. Odebrała szybko, żeby nie obudził Malcolma.

– Pani O’Connor? – zapytał śpiewnie słodki głos z recepcji. – Ma pani gościa. Proszę poczekać.

– Lesley? Tu Kate, mam nadzieję, że cię nie obudziłam. Mogę wejść?

– Dobrze. Ale Malcolm śpi.

Kiedy otworzyła drzwi, pomyślała, że Kate wygląda okropnie. Miała kompletnie rozmazany makijaż, jakby płakała. „A czemu ona niby miałaby płakać?” – przemknęło Lesley przez myśl, ale nie zapytała. Nie mogła zebrać w sobie wystarczająco dużo energii.

– Musimy iść do łazienki – szepnęła i poprowadziła dziennikarkę.

Opuściła klapę i usiadła na sedesie. Kate przycupnęła na brzegu wanny.

– Musieliśmy zidentyfikować ciała. To one – powiedziała Lesley na jednym wdechu. – Miałam nadzieję, że się pomylili, ale to Alex i Rosie.

– Strasznie mi przykro, Lesley.

– No cóż. Teraz musimy się dowiedzieć dlaczego. – Wiedziała, że sprawia wrażenie ogarniętej manią, ale musiała coś zrobić, żeby się nie załamać. „Trzymaj się” – powtarzała sobie, ugniatając udo pięścią, żeby nie tracić koncentracji.

– Oczywiście – przytaknęła Kate. – Co mówi policja?

– Że była tam wtedy impreza. Alkohol, narkotyki. Najprawdopodobniej wypadek. Tak nam powiedział tłumacz. Przewrócona świeczka czy coś takiego.

– Aha. A były jakieś dowody, że to świeczka spowodowała pożar?

– Nie wiem. Nic nie powiedzieli. Rzecz w tym, że nie ma żadnych świadków, tak przynajmniej twierdzi policja.

– Aha – powtórzyła Kate.

„Dlaczego ona ciągle to mówi, jakby mi nie wierzyła?”

– Ale Clive Barnes wspominał coś o tym chłopaku, o którym mówiłaś na lotnisku... Tym, któremu udało się stamtąd wydostać. Chcę z nim porozmawiać i dowiedzieć się, dlaczego mojej córce się nie udało.

Cisza wypełniła wykafelkowane pomieszczenie. „Znowu kafelki” – pomyślała Lesley, odrywając listek papieru toaletowego, żeby otrzeć oczy.

– Przepraszam, Lesley. Jestem nieco rozkojarzona. Kiedy Clive ci o tym mówił? Podał ci nazwisko?

– Nie. A czemu? Wiesz, kto to jest? Widziałaś się z nim? – wypytywała Lesley.

– To mój syn.

– Co twój syn? O czym ty mówisz? – Czuła się zagubiona, jakby na chwilę straciła przytomność i ocknęła się już na innym etapie rozmowy.

Kate nachyliła się, żeby wyjaśnić jej, o co chodzi, i prawie spadła z wąskiej krawędzi wanny. Lesley wyciągnęła rękę, żeby pomóc jej odzyskać równowagę.

– Uważaj – powiedziała, ale Kate ją odsunęła.

– Lesley, pojechałam do szpitala, żeby porozmawiać z tym poparzonym chłopakiem, a kiedy dotarłam na miejsce, okazało się, że to mój syn Jake. Lekarze mi powiedzieli. Nie miałam pojęcia, że w ogóle jest w Bangkoku, myśleliśmy, że siedzi na Phuket. Tak nam mówił. Byłam w szoku.

– Twój syn?

– Tak. Jake.

– Był w tym pożarze?

– Tak. Wiem, że na pewno trudno ci to sobie przyswoić. Mnie też było trudno.

Lesley przez chwilę nie była w stanie mówić, musiała sobie to wszystko poukładać.

– Opowiadał, co się stało? – zapytała w końcu.

– Lekarze powiedzieli, że nie potrafił odpowiedzieć na pytania policji.

– Tak, nam policjant mówił to samo. Ale opowie nam wszystko, prawda?

– Na razie nie.

– No ale kiedy możemy do niego jechać? – Zerwała się na równe nogi, napędzana falą adrenaliny, z rozmachem otworzyła drzwi łazienki i zawołała Malcolm.

– Co? – stęknął. – Alex?

– Wstawaj, kochanie, jedziemy do szpitala. No już, jedziemy. – Nic nie mogło jej powstrzymać. Kate próbowała złapać ją za ramię, uspokoić. Lesley niecierpliwie strząsnęła jej dłoń. – No chodź, Kate. Możesz nas tam zawieźć?

Coś jednak było nie tak. Tylko ona w tym towarzystwie tryskała energią. Kate wyglądała na przygnębioną i spanikowaną.

– Zaczekaj, Lesley. Problem w tym, że ja nie wiem, gdzie on teraz jest. Nikt tego nie wie. Rano wypisał się ze szpitala.

– Dlaczego? Uciekł? – Kate nie mogła jej spojrzeć w oczy. – No co? Tak było?

– Nie, Lesley – odparła Kate głośno. – Powiedział lekarce, że nie stać go na rachunki za leczenie.

– Nie dzwonił do ciebie, że jest w szpitalu?

Znowu cisza.

– Nie. Od dłuższego czasu praktycznie się nie odzywał. Przyjechał do Tajlandii, żeby się odnaleźć. Przepraszam, na pewno nie interesują cię moje rodzinne sprawy. Istotne jest to, że nie ma sensu jechać do szpitala. Naprawdę. Jego już tam nie ma.

– O czym wy mówicie? – zapytał wycieńczony Malcolm słabym głosem, z głową wciąż na poduszce.

– Śpij, kochanie – odparła Lesley. Ona się tym zajmie. – Co robisz, żeby go znaleźć? – zapytała.

– Wszystko, co w mojej mocy, ale potrzebuję twojego wsparcia. Rozmawiamy z różnymi ludźmi, Lesley, ale możemy połączyć siły i wymieniać się informacjami. Proszę, dawaj mi znać, jak tylko czegokolwiek się dowiesz.

Tym razem ona na chwilę umilkła.

– A ty będziesz publikowała to, co ci powiem? Nadal rozmawiam z reporterką?

– Nie. Teraz nie. – Kate odpowiedziała za szybko, ale uznała, że nie będzie się wycofywać. – Chcę odnaleźć syna.

– Dobrze. Potem widzimy się z Clive'em, a rano robimy konferencję prasową. Chcemy porozmawiać z mediami.

– Wszyscy będą pytać o narkotyki, Lesley. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Ona nie brała narkotyków.

– Nie, ale policja i lokalne media będą pewnie twierdzić coś innego. Bądź na to gotowa.

– A ty to co? Musisz się przygotować na pytania o syna, prawda? Jedziemy na tym samym wózku.

Bangkok, dzień 13 (piątek, 8 sierpnia)

Od: Alexinnit96@yahoo.co.uk

Do: Magsishot@hotmail.co.uk

Temat: Masakra postępuje!

Hej, Mags,

ciągle nie ruszyliśmy w trasę, siedzimy tu już tydzień dłużej, niż planowałam, ale R. zachowuje się jak totalna pizda i w ogóle nie chce o tym rozmawiać.

Dzisiaj weszłam do naszego pokoju i nakryłam ją z Larsem. Ale wstydziór! Rosie się na mnie wydarła, że mam spadać. No kurde, przecież to też mój pokój. Lars wyszedł w końcu, jeszcze bez koszulki, i przeprosił. Rosie za to udawała, że nic się nie stało. Jest strasznie dziwna. Powiedziała, że Lars znowu zabiera ją dziś do jakiegoś klubu. Będzie didżejował. Występuje jako DJ Rappo. Chyba Srappo!!! Myślę, że on mi grzebie w rzeczach. Ktoś na pewno to robi, bo ciągle coś gubię – nigdzie nie ma tych kolczyków, które kupiłam na bal absolwentów. O to też pokłóciłyśmy się z Rosie. Ona twierdzi, że ja zostawiam swoje rzeczy gdzie popadnie. Ale to nieprawda. Nie wymyśliłam sobie tego.

Tak strasznie chciałabym już jechać dalej, że zaczynam na poważnie brać pod uwagę zostawienie Rosie i podróżowanie solo. Ale za bardzo się boję. Nie chciałabym sama nocować w takim miejscu jak to. Bez przerwy kręcą się tu jacyś dziwni ludzie, zamki praktycznie nie działają. Może lepiej zaczekać. Holendrzy jadą w poniedziałek autobusem do Mjanmy, więc nie będzie już miała kumpli do zabawy. Ciągle myślę, że może wszystko się zmieni, kiedy ruszymy w trasę i będziemy same. Może wtedy będzie spoko.

Staram się nie nudzić, dużo czytam i obserwuję ludzi. Tylu się ich tu przewija. Mamma prowadzi ich na zaplecze. Ale nie zostają tu na noc. Czasem wypijają w barze kawę albo piwo. Czasem po prostu znikają. W każdym razie jest na co popatrzeć. I jest tu taki jeden tajemniczy gość. Nie rozmawia z nami, siedzi na parapecie i pali zioło przez okno, pod tabliczką z napisem „Lokal wolny od narkotyków”. Chłopaki z jego pokoju mówią na niego Zielarz, ja widziałam go tylko parę razy.

Ale ma w sobie to coś. Jest starszy i interesujący. Wiem, że to nie brzmi zbyt sexy, ale on jest sexy, na swój dziwny sposób. Lecę na śniadanie... Później jeszcze coś dopiszę.

Temat: Część 2!

Okazuje się, że ten tajemniczy chłopak nie jest turystą. Pracuje tutaj w zamian za dach nad głową – sprząta łazienki, robi śniadanie. Zwykle kiedy wracam

*z porannego spaceru, jest już po pracy, ale dzisiaj nie poszłam – zajęłam się pisaniem do Ciebie!*

*Tak czy inaczej, dziś pierwszy raz się do mnie odezwał. Tylko jednym słowem! Ale zawsze coś...*

*Siedziałam przy barze, na drugim końcu Holendrzy gadali o tym, jak przez całą noc chlali. A i tak udało im się zjeść po wielkim omlecie z ostrą papryką, jakimś mięsem i takimi jakby skrzepami keczupu!!! Paskudztwo.*

*„Mogę?” – zapytał i zabrał mój talerz, wsadzając kciuk w resztki keczupu. Jedno słowo. Ale ma uroczy uśmiech.*

*Zaczęliśmy gadać o tym paskudnym żarciu – powiedział, że wie, jakie jest paskudne, bo kiedyś też je jadł! Powiedział jeszcze, że pokaże mi lepszy hostel niedaleko. Podobno jest tam mniej karaluchów, a do tego taniej. Podwójne zwycięstwo!*

*Trzymaj kciuki. Buziak! A.*

Potem uświadomiła sobie, że nawet nie spytała go o imię! Jeden z Holendrów powiedział jej, że chłopak ma na imię Jake.



## Rozdział 24

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

# REPORTERKA

Dzwonię do Terry'ego ze swojego pokoju, powtarzam mu wszystko, co wiem o Jake'u, już znieczulona na szok, jaki ta historia we wszystkich wzbudza.

– Czyli co, chłopak jest bohaterem? – pyta Terry niepewnie.

– Możliwe – odpowiadam, w myślach zaklinając rzeczywistość, żeby to była prawda.

– Wyślij, co masz, Kate, a Joe tu wszystko poskleja. Możemy wpleść jakieś wypowiedzi członków rodziny, jest tego trochę. Co teraz zamierzasz?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna. Don rozsyła wici po swoich kontaktach, ale to jak szukanie igły w stogu siana. Jake może być wszędzie.

Po raz pierwszy w karierze nie wiem, od czego zacząć. Zwykle uwielbiam polowanie na temat, ale ta sprawa jest osobista. Każdy aspekt, każdy szczegół zyskuje fundamentalne znaczenie. Poza tym boję się, co mogę odkryć.

– No to działaj – mówi Terry. – I odzywaj się.

Kładę się na łóżku – tylko na pięć minut, mówię sobie, zanim będę musiała wziąć się do działania. Zamykam oczy, żeby uspokoić chaos w głowie. Myśli, wizje, obrazy, lęki. Przypomina mi się, jak Jake zeskoczył z dachu szopy. Siedział na ziemi, trzymając własny nadgarstek, jakby wcale do niego nie należał. Błady, ale opanowany. „Chyba złamałem” – powiedział. To Freddie się rozplakał. „Mój dzielny chłopczyk” – powtarzałam Jake'owi w kółko, kiedy siedzieliśmy na oddziale ratunkowym, czekając na prześwietlenie. Dopiero potem wyszło na jaw, że zanim spadł, próbował namówić młodszego brata do skoku. Ale puściliśmy mu to płazem. Przecież miał złamany nadgarstek. Ciekawe, na ile jeszcze rzeczy przymknęliśmy oko. Mój ojciec zawsze mówił, że go zepsuliśmy. Wiecznie się o to kłóciliśmy. „Zepsuć” to okropne słowo. Brzmi

niby niewinnie, ale oznacza krzywdę, zniszczenie. Nie mogę przestać się zastanawiać, czy to prawda. Czy naprawdę zepsuliśmy starszego syna?

Moje myśli pędzą dwa razy szybciej niż zwykle.

– Uspokój się! – mówię na głos. – To przecież dobre wieści. Żyje. Nie odniósł poważnych obrażeń. Prawdopodobnie próbował uratować tamte dziewczyny.

Ale jakiś głosik w mojej głowie uporczywie pyta: „No to dlaczego zniknął?”.

Siadam i zaczynam stukać w klawiaturę. „Trzeba napisać, a potem zacząć dzwonić” – mówię sobie.

Kiedy znów dzwonię do Terry’ego, dowiaduję się, że temat trafił na pierwszą stronę i na rozkładówkę na stronach cztery–pięć, do tego jest jeszcze kolumna o parlamentarzystcie, który stracił dziecko za granicą.

– A o Jake’u? – pytam.

– Trzy akapity w leadzie, że przeżył i jakie ma obrażenia. W porządku? Jakiś tabloid pompuje to do rozmiarów historii superbohaterskiej, zdobyli skądś zdjęcie Jake’a.

– Jakie zdjęcie?

– Chyba z waszej lokalnej gazety. Nie wiedziałem, że dostał specjalną nagrodę za wyniki egzaminów. Wydałaś na świat geniusza.

– Tak. – Pamiętam, jak do naszych drzwi zapukali reporter z fotografem, a Jake popędził na górę przebrać się w najlepszą koszulę. „Jestem z ciebie taka dumna” – powiedziałam mu wtedy, pocałowałam w policzek i szybko starałam ślad po szmince. Patrzyłam, jak pozuje do kamery, mój mądry, pewny siebie chłopiec.

– A teraz się połóż i trochę prześpij – mówi Terry, wciągając mnie z powrotem do koszmaru.

– Jasne – rzucam. Ale nie mam najmniejszego zamiaru iść do łóżka. Muszę dokładnie wiedzieć, co się dzieje. Jakoś to wszystko ogarnąć. – Joe jest w redakcji? Chciałam z nim chwilę pogadać.

– Jest. Złote dziecko ogląda właśnie jakiś teleturniej razem z resztą przedszkolaków. Każę mu zaraz do ciebie zadzwonić.

– Hej, Kate – mówi Joe chwilę później. – Jak tam? Jakies wieści o Jake’u?

– Na razie nie. A ty coś masz?

Joe wymienia długą listę osób, z którymi rozmawiał, ale to dla mnie szum w tle. „Takie z nich były urocze dziewczyny” to chyba jedyny efekt jego zachodu, ale pozwala mi to przestawić się z powrotem na tryb reporterki. Przynajmniej na chwilę.

– Utrzymuj kontakt z nimi wszystkimi – mówię. – Chcemy wiedzieć wszystko, co oni wiedzą.

- Tak, Kate.
- A swoją drogą, co tam w *Familiadzie*?
- Co?
- Terry się wygadał. A, i jeszcze jedno.
- Tak, Kate?
- Tylko przegrywy oglądają telewizję w ciągu dnia.
- Tak, Kate.

*Wtorek, 19 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Zaraz po rozmowie wracam na Khao San, muszę chociaż spróbować zrozumieć, co właściwie się stało. W każdej twarzy szukam twarzy syna. Nie ma go tutaj, twarze zaczynają się rozmywać, bo tak intensywnie się w nie wpatruję, zdeterminowana dostrzec znajome rysy. Ludzie zaczynają się na mnie gapić, więc pokazuję im zdjęcie Jake'a w telefonie. Uśmiecha się na nim do kogoś poza kadrem – może do mnie. Nie pamiętam. Mam je od dwóch lat i nie pamiętam już, w jakich okolicznościach je zrobiono. Ludzie uśmiechają się ze współczuciem i kręcą głowami, ale wiem, że tak naprawdę wcale nie patrzą, nie przyswajają go. Muszą zapamiętać jego twarz. Idę do punktu ksero, żeby przerobić zdjęcie Jake'a na ulotki. Na dole drukuję jego imię i nazwisko, swój numer telefonu i apel „Pomóżcie mi znaleźć Jake'a”. Jak bohaterka jakiegoś opowiadania. Potem przedzieram się przez zatłoczone ulice, rozdając je przechodniom. Dzieciaki pewnie myślą, że to kupony na darmowe drinki albo zaproszenia do jakiegoś klubu. Widzę, jak zerkają na kartkę, po czym chowają ją do kieszeni albo wyrzucają do kosza. Czemu miałyby ich to obchodzić?

Siadam przy stoliku przed jednym z barów, jak najbliżej ulicy i jak najdalej od głośników, ale dudnienie disco wali mnie po głowie jak grad.

Obserwuję paradyżujących przede mną nowych przyjezdnych, dziewczyny w szortach odsłaniających białe jeszcze uda i wielkich kolczykach. Najwyraźniej słyszały, że można się tu świetnie bawić, a na ich twarzach maluje się determinacja, żeby z tego skorzystać. Ich głośny śmiech odbija się echem od witryn barów, walcząc z muzyką o pierwszeństwo w ataku na moje uszy.

Chłopcy wyglądają przy nich jak chude dzieciaki, wiecznie trzymają w ręku piwo, podpuszczają się wzajemnie, szturchają łokciami, mrugają porozumiewawczo, a śliczne dziewczyny zatrudnione w restauracjach

w charakterze podniecajek udają, że obciążają króciutkie spódniczki, w rzeczywistości zadzierając je jeszcze wyżej.

„Planeta Uciech” – myślę, ale szybki rzut oka na sąsiednie stoliki mówi mi coś innego. Pozbawione wyrazu, śmiertelnie zmęczone twarze znieczulające się plastikowymi wiadrami wódki z red bullem albo wielkimi butlami piwa Chang. Znudzone pary interesują się tylko swoimi telefonami, a nie sobą nawzajem. Samotny chłopak przygląda się bacznie fotelom do masażu w salonie naprzeciwko. Masażystki o młodych ciałach i starych twarzach wylegują się na łatwo zmywalnej tapicerce jak jaszczurki wyczekujące najlepszej chwili, żeby zaatakować.

„Później – myśli sobie pewnie chłopak. – Jak wypiję jeszcze parę piw. I jeśli nie poszczęści mi się gdzie indziej”.

To wszystko wydaje mi się jakieś tandetne. „Coś jak kurort w stylu Blackpool, tylko z lepszą pogodą – myślę. – Boże, zacznym brzmieć jak stara, zrzedliwa ciotka”.

– Gin z tonikiem – wołam do kelnera kręcącego się między stolikami. Jego mina nie zdradza przyjęcia zamówienia, ale po chwili przynosi mi drinka i rachunek. Pokazuję mu ulotkę z Jakiem, ale on tylko wzrusza ramionami i pokazuje za swoje plecy. Wsporniki podtrzymujące markizę są obklejone kilkunastoma takimi skserowanymi zdjęciami, a każde jest opatrzone rozdzierającym apelem przyjaciół albo rodziców. Biorę wielki łyk drinka, delektując się goryczką i lekkim rauszem.

– Siedzisz sama – słyszę jakiś głos za sobą. Odwracam się i dwa stoliki dalej widzę Louise.

– Owszem – odpowiadam i wracam do drinka. Nie mam na nią siły. Nie zniosę obowiązkowej udawanej troski, podchwytliwych pytań. Ona jednak zajmuje krzesło obok mnie.

– Na pewno jest ci teraz bardzo ciężko – zagaduje, a ja wybucham śmiechem.

– Ja pierdolę, Louise, naprawdę próbujesz mnie podejść tym tekstem? – gaszę ją.

– Jeszcze jeden gin z tonikiem – woła do kelnera. – Sorry. Przyzwyczajenie, wiesz, jak jest... Jak się trzymasz?

– Bywało lepiej. Słuchaj, Louise, naprawdę nie mam nastroju na rozmowy. Czemu nie jesz kolacji z resztą bandy?

– Nie miałam ochoty, właśnie się uchlewają w barze hotelowym. Ty już jadłaś?

Nie, nie jadłam nic od przyjazdu, jeszcze w poprzednim życiu. Czuję, że od ginu zaczyna mnie ścinać. Ale Louise nawet nie czeka na odpowiedź.

– Zamówię tu sobie coś – mówi Louise. – I dla ciebie też. Musisz jeść, żeby mieć siłę.

„Odstawia mój numer – myślę i prawie się uśmiecham. – Matkuje, przejmuje kontrolę”. Chciałabym jej powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić to żarcie, ale tak miło czuć, że ktoś się o mnie troszczy, więc jej nie powstrzymuję.

A potem pochłaniam słodkiego kurczaka z kleistym ryżem z takim apetytem, jakbym od tygodnia nie miała nic w ustach. Kończę pierwsza, a Louise natychmiast odstawia swoją dopiero w połowie pustą miskę. „No tak, z pełną buzią nie da się zadawać pytań” – oceniam w myślach jej występ.

– Masz jakiś pomysł, dokąd mógł pójść Jake? – pyta. – Na pewno jest wstrząśnięty tym, co się stało.

Nie odpowiadam, biorę ją na przeczekanie. Tyle że ona robi to samo. Siedzimy w milczeniu, ona bawi się serwetką, potem ślini palec i próbuje pozbierać pojedyncze ziarenka ryżu rozsypane na stole.

– Co napisałaś? – Pękam pierwsza.

– Dziewczyny, ich matki, wakacje marzeń. Standard. A z Jake’a zrobiłam bohatera mimo woli, który ryzykował życie i zdrowie, żeby je uratować, a potem się wymknął poza światła reflektorów.

– Aha. Słyszałam, że macie jego zdjęcie...

– Taa, wygrzebała to jakaś lokalna agencja. Wszyscy je chyba mają. Ładne zdjęcie, tylko trochę stare. Domyślałam się, że teraz wygląda trochę inaczej.

– Tak – mówię, chociaż nie mam pojęcia. Próbuję wyobrazić go sobie z brodą albo ogoloną głową.

– Kiedy ostatni raz go widziałaś? – rzuca Louise jak gdyby nigdy nic, przywołując gestem kelnera, żeby zamówić drinki.

– Dla mnie nie, dzięki – wtrącam szybko. – Muszę wracać do hotelu.

Zaczynam przekopywać torbę w poszukiwaniu portfela, ale Louise tylko macha ręką.

– Ja stawiam. I tak wrzucę to wszystko w koszyki. – Potem podnosi ulotkę, którą przy okazji wyciągnęłam. – Dobry pomysł – mówi. – Mogę ją zatrzymać?

Później, już w hotelu, kiedy przeglądam portale newsowe, widzę nagle swoją ulotkę z nagłówkiem: „Zrozpaczona matka szuka syna”. To o mnie. Zaczynam wybierać numer Louise, ale rezygnuję. Wszystko, co od tej pory powiem, trafi do mediów. Muszę milczeć.

*Środa, 20 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Terry nie może znaleźć właściwych słów. Zawsze ma z tym problem, często się zastanawiałam, jak sobie radził jako reporter.

– Słuchaj, Kate, to gorący temat, ale nie możesz przysyłać tekstów, jeśli sprawa dotyczy cię bezpośrednio. Rozumiesz to, prawda?

Rozumiem, ale i tak czuję, że tracę szansę.

– No dobra, ale tylko przez parę dni, dopóki nie uporam się z Jakiem – próbuję się targować. Bagatelizuję sprawę, jakbym mówiła o dziecku robiącym sceny.

– No tak, a co jeśli sytuacja się skomplikuje?

– Skomplikuje? – powtarzam z irytacją, chociaż oboje dobrze wiemy, co ma na myśli.

– Wiesz, jak się czasem rzeczy układają – mówi znużony Terry. – Nie muszę ci tłumaczyć. – Rzeczywiście nie musi. Może nawet już się zaczęło.

– To co się mówi o Jake’u?

– Niewiele więcej niż wcześniej. Wszystko raczej pozytywne. Przedstawiają go jako tego, który przeżył i może mieć klucz do rozwiązania tej sprawy.

– To nie brzmi źle – stwierdzam optymistycznie.

– Mam nadzieję, że powiedziałaś Steve’owi, żeby nic nie mówił. – „Nie, ale teraz na pewno to zrobię. Freddiemu też powiem”. – Tak czy inaczej, powinnaś się teraz skupić na bliskich – dodaje.

Ostatni gwóźdź do trumny. Kiedy szefowie zaczynają wspominać o rodzinie, wiadomo, że już po zawodach.

– To decyzja naczelnego? – pytam.

Terry nie odpowiada od razu, ale to oczywiste, że tak. Odcina się ode mnie, żebyśmy z synem nie zaszkożdziłi cennej reputacji jego gazety.

– Simon bardzo się o ciebie martwi, Kate – mówi w końcu Terry. – On też ma dzieci. Uważa, że powinnaś teraz cały swój czas poświęcić Jake’owi. Wszyscy tak uważamy.

– To kogo będziemy mieć tu na miejscu? Dona?

– Wysłałam tam Joego.

– No tak, pewnie się ucieszy. Kiedy przyjeżdża?

– Już jest w drodze. Zadzwoń jutro po przylocie... Jezu, u ciebie już pewnie jest jutro. Idź spać, Kate. Aha, i koniecznie daj znać, czy mogę coś dla ciebie zrobić, jakoś pomóc. Okej?

Nie może się doczekać zakończenia tej rozmowy i swoich nieudanych prób wczucia się w moją sytuację.

– Okej.

Sprawdzam czas na ekranie telewizora. Druga w nocy. Biorę do ręki notes i jeszcze raz czytam całą listę: szpitale, apteki, rezerwy żółwi.

Kiedy dzwonię do domu, w słuchawce odzywa się automatyczna sekretarka z nagrany przeze mnie powitaniem, więc zaczynam zagłuszać samą siebie, prosząc Steve’a, żeby odebrał.

– Kate? Sorry, kochanie, ale muszę odsiewać połączenia. Ciągłe wydzwaniają tu ci twoi z pytaniami o Jake’a. Masz jakieś wieści?

– Na razie nie. Rozdawałam ulotki w okolicy tamtego pensjonatu.

– Powinienem tam z tobą być.

– Radzę sobie sama – kłamię. – Zaczekajmy jeszcze z dzień czy dwa, Steve. Myślę, że się pojawi, kiedy zobaczy te wszystkie artykuły. Wrócę do domu razem z nim.

– Boże, mam nadzieję. Freddie mówi, że dziennikarze zapraszają go do znajomych na Facebooku.

– Jak on się trzyma? Zaraz do niego zadzwonię.

– W porządku, Katie. Trochę jest zagubiony, jak my wszyscy.

– Rozumiem. Słuchaj, wiem, że nie muszę ci tego mówić, ale nie rozmawiaj z reporterami. Nawet znajomymi. Zwłaszcza ze znajomymi.

– A myślisz, że czemu odsiewam telefony? Ale nieważne. Co mówi policja?

– Nic na temat Jake’a. Była impreza, a pożar wybuchł przez zagranicznych turystów.

– Słyszę, że jesteś wykończona. U ciebie jest przecież środek nocy. Nic już teraz nie zrobisz. Prześpij się, żebyś jutro była w stanie w ogóle myśleć.

– Dobrze.

– Mówię poważnie, Kate.

Zostawiam Freddiemu wiadomość na poczcie głosowej.



– Kochanie, mówi mama. Na razie nie mamy tu żadnych wieści, ale jestem pewna, że Jake się niedługo pojawi. Idę już spać. Kocham cię. I nie rozmawiaj z dziennikarzami!

*Środa, 20 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**B**udzi mnie telefon, Joe jest już na dole.

– Hej, to ja. Właśnie przyjechałem. Taksówkarz policzył mi za dużo, bydlak.

Nerwowa energia aż wylewa się ze słuchawki, zmusza mnie, żebym usiadła. Mam ochotę go zamordować.

– Zaraz zejść – mówię, zwlekając się z łóżka. – Zamów dużo kawy.

W dziesięć minut udaje mi się umyć twarz, ubrać się i przeciągnąć szczotką po włosach. Po minie Joego od razu widać, że muszę wyglądać okropnie.

Odwraca wzrok, a ja zauważam swoje odbicie w lśniących chromowanych naczyniach bufetu śniadaniowego. Wyglądam, jakbym miała dziewięćdziesiąt lat.

– Wszystko w porządku, Kate? – pyta Joe z troską.

– Nie bądź dla mnie taki miły, bo się poryczę. A jeśli myślisz, że teraz wyglądam kiepsko, to zdziwiłbyś się.

Joe sprawia wrażenie przerażonego.

– Nie martw się, nic mi nie jest. Po prostu się nie wyspałam.

– Chyba zgubiłaś jeden kolczyk – mówi.

– Nieważne. Nie zajmujmy się teraz moimi wykroczeniami przeciwko modzie i skupmy na sprawie. Widziałeś się już z innymi?

– Tylko z Mickiem. Wygląda jeszcze gorzej niż ty...

– Dzięki. – Wypijam łyk gorącej kawy i parzę się w język.

– Gdzie O’Connorowie i Shawowie?

– Pewnie na górze, w swoich pokojach. Całkiem rozsądnie nas unikają. Weź sobie coś do jedzenia, Joe.

Sączę kawę i patrzę, jak sieje spustoszenie w bufecie, ładując sobie na talerz stopy naleśników i oklapłego bekonu. Pyta na migi, czy czegoś nie chcę, ale kręcę głową. Nie mogę myśleć o jedzeniu. Patrzę, jak sekundnik zegara w jadalni

odmierza kolejną minutę, i próbuję obmyślić jakiś plan dnia, skoro nie jestem już reporterką.

– Co będziesz robiła po śniadaniu? – pyta Joe, jakby czytał mi w myślach. Tak naprawdę pytanie brzmi: „Co mam robić?”.

Recytuję całą listę osób, do których powinien zadzwonić – Don, policja, Clive Barnes, rodziny dziewczyn – a on pakuje sobie jedzenie do ust, notując na serwetce i kiwając głową.

– Musisz się zapoznać z Lesley i Jenny, przedzwonię do nich, jak już się nażresz.

– Uuuuu, to wygląda apetycznie! – Mick wyrasta nagle za plecami Joego. – W przeciwieństwie do pani, pani redaktor.

– Przeglądałeś się dziś w lustrze? Myślę, że jednak ty byś wygrał w konkursie na przebranie za żywego trupa. Ile ty wczoraj wypiliśmy?

– Parę drinków.

– Chyba parę litrów.

– Spierdalaj. Co ty masz na talerzu, Joe? Wygląda jak przeszczep skóry.

– Bekon z kurczaka. Smakuje jak normalny.

– Niech będzie. Zaraz wracam.

Ciekawe, co redakcja powiedziała Mickowi. Co ważniejsze, wie też pewnie, co robi reszta bandy. Co o tym wszystkim myślą.

– Naprawdę musisz zjeść aż trzy jajka sadzone?

– Zamknij się. Dobrze mi to zrobi. Coś musi pomóc.

– A gdzie reszta?

– W łózkach. Przed chwilą gadałem z George’em z „Telegrapha”. Mamy tu konfę o dziesiątej.

Joe zapisał godzinę w notesie.

– Pojadłeś? – pytam. – Chodź, pogadamy z rodzinami.

– Czekać na mnie – mówi Mick, robi sobie kanapkę z ostatnim jajkiem i łapie torbę z aparatem.

Kiedy wchodzimy do holu, widzimy Lesley, która podnosi rękę w geście powitania.

– Dzień dobry, jak się czujesz? – pytam. – Spałaś?

– Nie, a ty? Jakies wieści o twoim synu?

Ujmuję ją za łokieć i prowadzę do foteli ustawionych we wnęce.

– Lesley, chwilowo nie będę zajmować się waszą sprawą, bo muszę załatwić sprawę Jake’a, ale temat przejmie mój kolega Joe Jackson.

Patrzymy na Joego, który domyśla się, że o nim mówimy, uśmiecha się i macha do Lesley.

– Wygląda jak dwunastolatek – wzdycha Lesley.

– To dobry dziennikarz. I porządny chłopak.

– Skoro tak twierdzisz... Jakaś reporterka się do nas dobijała rano o barbarzyńskiej porze. Powiedziałam jej, co o niej myślę.

„Louise pewnie ruszyła na poranny zwiad”.

– Malcolm wisi na telefonie, pertraktuje z liniami lotniczymi. Chcemy jak najszybciej zabrać dziewczynki do domu, ale trzeba załatwić masę formalności. Nie jestem na to gotowa.

– Mogę wam pomóc, jeśli chcesz – proponuję. – Może spotkajmy się po konferencji prasowej?

Lesley kiwa głową, jej uwagę odwraca pojawienie się jej męża i Shawów.

– Jak ci poszło? – pyta Jenny Malcolm.

– Rozmawiałem z bardzo miłą panią z lotniska. Mam zadzwonić o jedenastej.

Daję znak Joemu, żeby podszedł, i przedstawiam go wszystkim. Mick wyrzuca resztki śniadania do kosza i po kolei ściska wszystkim dłoń, przy Jenny zatrzymując się ciut dłużej. Ona się rumieni, ale nie cofa ręki.

„Biedna kobieta, potrzebuje trochę ciepła – myślę. – Ja w sumie też”.

– Jak się trzymasz, Jenny? – pyta Mick i ściska ją jeszcze za łokieć.

Joe rozmawia z Malcolmem i Lesley o szalonym ruchu na ulicach Bangkoku, trzymając się z dala od głównego tematu i nieco ich uspokajając. „Dobrze ci idzie, chłopaku – myślę. – Poradzisz sobie”.

Rodzice postanawiają jechać do ambasady przed umówionym spotkaniem, żeby zadzwonić stamtąd do kraju.

– Nabiłam już ponad sto funtów na komórce – mówi Jenny. – Nie stać mnie na to. Nie wiem, jak my za to wszystko zapłacimy...

Malcolm bierze ją pod rękę, widząc rozpacz na jej twarzy.

– Jakoś to będzie, zajmiemy się tym po powrocie. Chodź, Jenny. Jest już samochód.

## Rozdział 28

*Środa, 20 sierpnia 2014 roku*

# MATKA

Clive wpisał ich do księgi odwiedzających na portierni i zaprowadził do budynku ambasady. Minęli palaczy na dziedzińcu, przeszli przez poczekalnię pełną interesantów, którzy zgubili paszport albo chcieli załatwić wizę. Kiedy ich mijali, ludzie podnosili głowy, Lesley czuła na sobie ich wzrok. Nie mogli przecież wiedzieć, kim ona jest.

„Ludzie są ciekawscy, jak powiedziałyby tata, gdyby tu był”. Lesley żałowała, że go nie ma. Mocniej ścisnęła rękę Malcolma.

Lesley została jako pierwsza wpuszczona do pomieszczenia o wystroju przywodzącym na myśl scenografię dramatu kostiumowego. Drewniana podłoga rezydencji ambasadora była wypastowana na wysoki połysk, przez wysokie okna wpadało światło słońca złagodzone przez woalowe firany.

– Tu jest jak w filmie – powiedziała i poczuła się głupio. Miała rozmawiać o śmierci swojej córki, a nie zwiedzać. – Gdzie mamy usiąść? – dodała pośpiesznie.

Przyniesiono herbatę i usadzono ich przy nakrytym białym obrusem stole w Sali Ogrodowej, gdzie patrzył na nich portret uśmiechniętej królowej, a przez okno zaglądał pomnik królowej Wiktorii z brązu. Zapadały długie momenty ciszy, znalezienie odpowiednich słów zdawało się zbyt trudne.

Clive opowiadał o procedurach i zakładach pogrzebowych, a Malcolm wtrącał od czasu do czasu „rozumiem” i „oczywiście”. Kobiety siedziały w milczeniu.

– Mamy jeszcze trochę czasu – powiedział Clive. – Zanim będziecie musieli wrócić do hotelu. Chcecie może gdzieś zadzwonić?

– Tak – wypaliły jednocześnie Jenny i Lesley.

– Proszę – zreflektowała się Lesley.

Musiła słuchać, jak Jenny płacze w słuchawkę siostrze. Sama przyciskała pięści do brzucha, żeby zapanować nad żalem, a Mike siedział z pustym wzrokiem.

Potem przyszła jej kolej. Jenny zwinęła się w kłębek na niskiej sofie w kącie pokoju dla gości ambasady, z zapasem chusteczek higienicznych, a Mike wyszedł zapalić. Lesley wybrała numer domowy. Za pierwszym razem zapomniała o kierunkowym i apatycznie słuchała niezrozumiałych komunikatów.

– Nie działa – powiedziała. Ze zmęczenia jej głos brzmiał niemądrze.

– A wstukałaś międzynarodowy numer kierunkowy? – zapytał Clive łagodnie, po czym wyjął jej z ręki słuchawkę i sam wybrał numer.

Wyobraziła sobie, jak telefon dzwoni w ich domu, i zamknęła oczy. Przez chwilę miała nadzieję, że nikt nie odbierze. Była zbyt wyczerpana na rozmowy.

„Dzień dobry, tu mieszkanie rodziny O’Connorów. Proszę zostawić wiadomość dla Malcolma, Lesley, Dana albo Alex, oddzwonimy” – powiedziała automatyczna sekretarka.

„Alex”. Nie mogła wydusić ani słowa.

– Mmm... mówi... – wyjąkała w końcu.

– Mama? – odezwał się Danny. – To ty?

– Tak, skarbie.

– Jak się trzymacie z tatą?

– W porządku. Wczoraj widzieliśmy Alex. – Nie może, nie chce użyć słowa „ciało”. – Załatwiamy sprowadzenie jej do domu, Danny.

Dziewięć tysięcy kilometrów stąd jej synowi łamie się głos, a ona nic nie może z tym zrobić.

– Trzymaj się, skarbie. Wszyscy wrócimy najszybciej, jak to będzie możliwe. Jest tam ciocia Sheila?

– Tak, przyjechali dziś z wujkiem Rickiem. Stoi koło mnie, jeśli chcesz z nią porozmawiać.

Słuchawka zostaje przekazana niczym pałeczka w sztafecie.

– Les? – pyta szwagierka. – Jak się czujesz? Jak Malcolm?

– Ledwie się trzymamy, Sheilo – przyznaje Lesley. Już nie musi zgrywać silnej. – Ale chcemy ją przywieźć do domu. Bardzo ci dziękuję, że jesteś z Dannym. Co powiedziałaś mamie? Zrozumiała coś w ogóle?

– Nie bardzo. Może to i lepiej. Nie martw się o Danny’ego. Zaopiekujemy się nim. Uważajcie na siebie i zadzwońcie, jak będziecie mieć wolną chwilę.

W hotelu przygotowano już wszystko do konferencji prasowej. Clive Barnes pokazał im krzesła dla reporterów oraz pękate czarne mikrofony na stole, za

którym miały zasiąść rodziny. Młoda kobieta rozstawiała tabliczki z nazwiskami na białym obrusie. Zrobili literówkę w jej nazwisku. Lesley O'Conner.

Miała zwrócić im na to uwagę, ale się pohamowała. Co to za różnica? Alex nie żyje.

Stojąc w przedsionku dziesięć minut później, słyszała coraz głośniejszy szum głosów w sali konferencyjnej, szuranie przesuwanych krzeseł, wesołe szczebiotanie. Clive powiedział, że wprowadzą ich dopiero, kiedy wszyscy zajmą miejsca. Jak gości w talk show, chciała powiedzieć. Tydzień temu by tak powiedziała. Zaledwie tydzień.

Popatrzyła na Malcolma, Mike'a i Jenny, a oni odwzajemnili spojrzenie.

– Ciekawe, czy będą o coś pytać – powiedziała Lesley i uświadomiła sobie, że już to mówiła.

– Bóg jeden wie – odparła Jenny.

– Nie musicie odpowiadać na żadne pytania – stwierdził stanowczo Clive. – Tak pewnie będzie najlepiej. Nie ma co ich zachęcać.

Doradzał im przy pisaniu oświadczenia, które Malcolm miał odczytać. „Powinno być krótkie i eleganckie”, powiedział, więc opracowali je razem. Clive przeczytał całość, pokiwał głową z aprobatą i dorzucił jeszcze na dole: „Zależy nam na prywatnym przeżyciu żałoby po naszych córkach i mamy nadzieję, że uszanują państwo nasze życzenie”.

– Nie zaszkodzi spróbować – mruknął.

Kiedy ich wprowadzono, Lesley aż podskoczyła na głośny dźwięk, jakby stado ptaków zerwało się do lotu. Kiedy kilkanaścioro fotografów wycelowało w nich obiektywy aparatów, potknęła się, czując na sobie ich wzrok.

– Chodź, kochanie – powiedział Malcolm.

Odczytanie oświadczenia przebiegło sprawnie. Malcolm trzymał się prawie do samego końca, głos uwiązał mu w gardle dopiero, kiedy powiedział, że zabierają Alex i Rosie do domu. Lesley przycisnęła do ust zmiętą chusteczkę, żeby opanować drżenie warg, a potem podniosła się z krzesła, gotowa wyjść. Zawahała się jednak, słysząc, że ktoś woła ją po nazwisku.

– Pani O'Connor? – powiedział ten głos. – Bardzo dziękujemy, że zechcieli państwo dziś z nami porozmawiać. Rozumiemy, jakie to musi być dla państwa trudne.

Próbowała skupić wzrok na rozmówcy, ale nie mogła wyłowić jego twarzy spośród morza innych.

– Dziękuję państwu za wsparcie – rzuciła w przestrzeń.

W odpowiedzi podniósł się las rąk. Lesley skinęła głową do mężczyzny w pierwszym rzędzie.

– Kiedy się pani dowiedziała, że to Alex zginęła w tym pożarze?

– Dziś rano już na pewno – odparła.

– Pani Shaw? Wie pani, jak doszło do wybuchu pożaru?

– Nie – odparła Jenny, wbijając wzrok w stół.

– Podobno była tam wtedy jakaś impreza. Czy państwa córki brały w niej udział?

– Na to wygląda – odparła Lesley.

– Wiecie, kto jeszcze tam był? – spytał Joe, ten młody, z końca sali.

– Był tam Jake Waters? – zapytała kobieta z przodu.

– Kto? – zdziwił się Mike.

– Syn Kate, tej reporterki – szepnęła mu Lesley. – Nie wiadomo – zwróciła się do pytającej. – Tej nocy, kiedy wybuchł pożar, trafił do szpitala z poparzeniami. Ale na ten moment nie wiemy nic więcej.

– Są państwo zadowoleni z postępów w śledztwie? – zapytała ta sama kobieta, nachylając się do przodu, żeby dokładnie usłyszeć odpowiedź.

– Hm... – zaczęła Lesley.

– Czy policja traktuje Jake'a Watersa jako podejrzanego?

– Podejrzanego o co? – wybuchnął Malcolm, rozglądając się pytającym wzrokiem. – Co to niby ma znaczyć? To był wypadek. Tak orzekła policja.

– Cóż, docierają do nas niepokojące informacje o tamtym pensjonacie. Wiedzą państwo, że Raj u Mammy to lokal dobrze znany policji? Miejscowi nazywają go Towarownią. Ludzie kupują... przepraszam, kupowali tam narkotyki – wyjaśniła im takim tonem, jakby zwracała się do dzieci. Naiwniacy za granicą.

Lesley nie mogła oderwać wzroku od dziennikarki.

– Doszło tam już do jednej śmierci – ciągnęła kobieta. – Pod koniec ubiegłego roku w niewyjaśnionych okolicznościach zmarł tam czterdziestodwuletni mężczyzna.

– Nie – wychrypiał Mike. – Oczywiście, że nie wiedzieliśmy.

– To już niestety ostatnie pytanie – wtrącił Clive Barnes gładko, praktycznie podnosząc Lesley z krzesła za łokieć. – Bardzo państwu dziękujemy.

Skończyło się. Jednak kiedy Lesley znów stanęła w przedsionku, ogarnęło ją wrażenie, że to dopiero początek.



*Środa, 20 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Zostałam sama, zgarbiona w fotelu w hotelowym holu. Chwilowo zagubiona. Powinnam coś robić. Prawda?

„No dalej, Waters, rusz się”.

Wyszłam na postój taksówek i kazałam się zawieźć z powrotem na Khao San.

Czerwono-biała taśma, która odgradzała wczoraj uliczkę z Rajem u Mammy, została zerwana i wałała się teraz w kurzu. Zniknął także ciężki sprzęt. Podchodzę do skorupy pensjonatu, zapach sadzy drapie mnie w gardle, a oczy mi łzawią, kiedy docieram do miejsca, w którym kiedyś musiało być wejście. Szyld jakimś cudem ocalał, zwisa na ostatniej śrubce, ale utracił tożsamość, drewno jest osmolone, farba odłazi całymi płatami.

Zaglądam do środka, obracam się dookoła. Nikt mnie nie powstrzymuje.

– Jest tu kto? – wołam w półmrok, tak na wszelki wypadek, po czym na palcach wchodzę do środka. Nie wiem, co niby miałabym tu znaleźć, ale kiedy dochodzę pod ścianę w pracy nad artykułem, instynkt każe mi zawsze wrócić do początku. Sprawdzić, co przegapiłam. A tu właśnie jest początek.

Ostrożnie krocę przed siebie, wzrok stopniowo przyzwyczaja się do ciemności i zaczyna do mnie w pełni docierać koszmar pożogi. Pewien ekspert kryminalistyczny, z którym robiłam wywiad, powiedział mi kiedyś, że pożar sam pokazuje nam miejsce wybuchu – ślady dymu czy ognia w kształcie w litery V wskazują niczym strzałka jego zarzewie.

Zaczynam się rozglądać i zauważam, że najbardziej ucierpiała tylna część budynku, ale postanawiam nie zagłębiać się dalej. Górne piętra wiszą mi nad głową, odłamki drewna i betonu balansują w powietrzu jak akrobaci w cyrku.

– Wyłaż stamtąd! – krzyczy jakiś głos. – Zwariowałaś? Zabijesz się.

Wystawiam głowę z ciemnego wnętrza. Przed pensjonatem stoi ten upalony chłopak z kawiarni, z wczoraj.

– A co cię to obchodzi? – odkrzykuję. – Chcę się tylko rozejrzeć.

– To niebezpieczne. Ja pierdolę, mogłabyś być moją matką, to ty powinnaś mnie ochrzaniać.

Jest tak absurdalnie zbulwersowany, że aż wybucham śmiechem – mam wrażenie, że pierwszy raz od wielu dni.

– Weź wyluzuj – mówię. – Ile ty masz lat? Czternaście?

– Dwadzieścia, skoro pytasz. Po co się w ogóle tu kręcisz? Policja już skończyła. Mówią, że to był wypadek. No ale zawsze tak mówią.

– Czyżby?

– Jeśli pyta taki *farang* jak ja. I jak tamte dziewczyny.

– Znałeś je? Te dziewczyny? – Chłopak rozgląda się ukradkiem. – No co? – mówię.

– Ostrożności nigdy za wiele – wyjaśnia. – Różni ludzie zadają dużo pytań.

– Słuchaj, mój syn też był w tym pożarze.

– Syn?

– Tak. A teraz zniknął. Strasznie mi zależy, żeby go znaleźć. – Wyciągam z torby ulotkę.

Patrzy na kartkę, a potem na mnie, oczy ma jak spodki.

– Jake – mówi. – Jesteś mamą Jake'a?

Dziesięć minut później siedzimy w jego pokoju, on po turecku na podłodze, ja w nogach jego łóżka. Ross nie chciał rozmawiać na ulicy, boi się policji i dziennikarzy. Nie powiedziałam mu, że jestem jedną z nich. Nie musi tego wiedzieć. Powiedział, że mieszka zaraz za rogiem, przy Soi Ram Buttri, jeśli chciałabym wpaść na herbatę, więc idę za nim. W ostatniej chwili piszę do Micka, żeby wiedział, dokąd idę. Dla bezpieczeństwa.

W pokoju Ross przeprosza za bałagan i czeka, czy go nie ochrzanię. Dla niego jestem czyjąś mamą. Ale ja tylko odgarniam plastikowe śmieci, słomki i brudne ciuchy i siadam na materacu.

Zaczyna robić herbatę na kuchence turystycznej, ja niecierpliwie potupuję nogą. Podnosi wzrok, więc przestaję się wiercić i uśmiecham się zachęcająco.

– Długo tu mieszkasz? Masz tu jak w domu.

Śmiechem zbywa moją niemrawą próbę nawiązania uprzejmej rozmowy i odwraca się do garnka z wrzątkiem. Podaje mi paskudnie brudny kubek, udaję, że piję łyk, a on tymczasem zapala skręta.

– Masz coś przeciwko? – pyta, jakby robiło mu to różnicę.

„Oczywiście, że mam, do jasnej cholery”.

– Nie, skąd, jesteś u siebie. Możesz robić, co chcesz. – „Ale czy moglibyśmy porozmawiać, zanim całkiem się nastukasz?” – chciałabym dodać. – Czyli znasz Jake’a – mówię, a on powoli kiwa głową, trzymając dym w płucach.

– Pracuje u Mammy – mówi, wypuszczając w końcu powietrze. – W kuchni, na zmywaku i tak dalej. Mówił, że nie płaci mu dużo, ale pozwala mu tam mieszkać. Siedzi tam od wieków. Był tam już, kiedy ja tu przyjechałem, a to było w styczniu dwa tysiące trzynastego. – „Siedział tu cały czas, oszukiwał nas, udawał, że liczy zółwie na Phuket. Mój genialny syn myje gary w jakiejś spelunie”. – Czasem zaglądam tam, żeby się z nim spotkać – ciągnie Ross. – Albo on wpada tutaj.

– Czyli się przyjaźnicie?

– No, tak jakby. – Ross znowu zaciąga się głęboko. – Nie gadamy za dużo. Czasem razem palimy. Ma dojścia do dobrego gówna. Niezły towar. – I chichra się jak głupi. Splatam mocno dłonie, żeby go nie walnąć.

– Towar? – pytam, chociaż wiem. Ale nadzieja umiera ostatnia.

– Czasem jakieś zioło, nic więcej. Yaba i hera to nie dla niego. Nic mocniejszego – wyjaśnia Ross. – Dobry chłopak z tego Jake’a.

„Dobry chłopak? Nie wierzę, że rozmawiamy o narkotykach w kontekście mojego syna”. Łapię się na myśli, że był beznadziejny z chemii. „Przestań, skup się”.

– Wiesz, gdzie on teraz jest? – pytam, rozpaczliwie pragnąc już wyjść.

– Nie mam pojęcia. Chodzi swoimi ścieżkami. Zdziwiłem się, że w ogóle wrócił po śmierci tamtego gościa.

– Jakiego gościa?

– Takiego Szkota po czterdziestce. Znaleźli go w jego pokoju u Mammy, zaraz przed świętami. Policja stwierdziła samobójstwo, ale...

– Ale co?

– Nooo, powiedzmy, że nie zostawił listu. Wyglądał, jakby się z kimś pobił, a jak go znaleźli, to nie było jego rzeczy. Ktoś zabrał pieniądze i paszport.

– Został zamordowany?

– Nie wiem. Poprzedniego wieczoru strasznie balował, naprawdę poszedł w tango. Jake lał mu hektolitry gorzały, mówił mi też, że facet wciągał ketę.

– Ketę?

– Ketaminę. Dużo ludzi to tu bierze, daje bardzo szybki haj. Zajebiste.

„Przestań zadawać pytania, nie musisz już nic więcej wiedzieć”. Ale teraz nie mogę przestać.

– Przyjechała policja? Przesłuchiwali kogoś w tej sprawie? Rozmawiali z Jakiem?

– Nie – odpowiada Ross z uśmiechem od ucha do ucha. – Mamma kazała mi zniknąć, a sama załatwiła sprawę. Powiedziała mi, że gliny zawsze oskarżają cudzoziemców, jeśli tylko się jakiś trafi. A on miał nieważną wizę. Mamma zna się na rzeczy, ma swój układ z policją. Ale Jake’a to mocno ruszyło. Wyjechał na jakiś czas. Zrobił sobie małe wakacje, czekał, aż się tu wszystko uspokoi. Najrozsądniejsze, co mógł zrobić w takiej sytuacji. No i trzymał się z dala, kiedy wybuchły te całe zamieszki antyrządowe. To był totalny chaos. Szaleństwo. Ale potem znów się zjawił u Mammy. Mówił, że nie ma gdzie się podziać. Że nie może powiedzieć rodzicom. Bo oni od początku mówili, że tak będzie. Że sobie nie poradzi.

– Wcale tak nie mówiłam – protestuję, ale może jednak mówiłam? Próbuję sobie przypomnieć. – Kiedy go ostatnio widziałeś, Ross?

– W zeszłym tygodniu, parę razy. Wpadłem na niego na ulicy, mówił, że u niego wszystko super. Podobno poznał jakąś laskę. – Ross puszcza oko i uśmiecha się sennie.

– To fajnie – mówię. – A powiedział, kto to?

– Nie. Ale myślę, że musiała go jednak odpulic, bo parę dni później przyszedł tu trochę rozpieprzony i chciał zajarać. Było megawczesnie, jeszcze spałem. Ale dobijał się do drzwi, tak że w końcu mu otworzyłem. Wyglądał okropnie. Spodnie miał usyfione, jakimiś rzygami czy czymś, więc pożyczyłem mu swoje. Te jego w sumie ciągle tu mam. Nie miałem czasu ich wyprać, ale możesz je sobie wziąć. – Grzebie w stercie ciuchów i wyławia parę niebieskich džinsów. – Sorry, trochę śmierdzą.

Potwornie cuchną, wpycham je na samo dno torby.

– Słuchaj, to jest dobry chłopak – dodaje Ross z uśmiechem. – Nie martw się, na pewno się znajdzie.

W głowie mi szumi od tych wszystkich rewelacji, o które wcale nie prosiłam, chciałabym, żeby ten szczaw się już zamknął.

– Mówiłeś jeszcze komuś, co wiesz o Jake’u? – pytam. „O mój Boże, kto jeszcze wie?”

Ross kręci głową.

– Jakaś reporterka mnie wczoraj wypytywała, ale powiedziałem, że nic nie wiem. Nie spodobała mi się. Strasznie nachalna. Upierdliwa. Ciebie pewnie też ciągle próbują dorwać, co nie?

– Tak, ale ja też nic nie mówię. Możesz zachować to wszystko dla siebie? Tego Szkota, palenie trawki? Dla dobra Jake’a. Jak prasa się o tym dowie, to nie dadzą mu spokoju. Jak już go znajdą.

Ross uroczyście kiwa głową. Niezgrabnym gestem pokazuje, że będzie trzymał buzię na kłódkę. Wstukuję mu do komórki swój numer, na wypadek gdyby się

czegoś dowiedział, i zostawiam go w słodkich, otępiających oparach.

*Środa, 20 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**G**eorge stoi pod hotelem, produkując ogromną chmurę sztucznego dymu z papierosa elektronicznego. Kiedy podchodzę bliżej, czuję woń jabłek z cynamonem.

– Hej, Kate – mówi. – Nowy nałóg... Próbowłaś? Paskudztwo, ale mogę udawać, że zdrowe, bo ładnie pachnie. Codzienna porcja owoców załatwiona.

George był kiedyś u nas z żoną i dziećmi. Chyba na jakimś grillu. Jego syna użądliła osa, więc posmarowałam opuchliznę octem, tak jak robiła moja mama, kiedy byłam mała. Miłe popołudnie ze znajomymi, wylegiwaliśmy się na sfatygowanych leżakach, śmiejąc się z opowieści o pracy i popijając schłodzone różowe wino.

Teraz uśmiecha się współczująco.

– Brakowało nam ciebie na konferencji, nie miał kto zadawać zabójczych pytań. Co porabiałaś?

– No, dziwnie się czułam, że mnie tam nie było. Trochę tu grzebię, rozmawiam z ludźmi, ale niewiele to daje. Pojawiło się coś sensownego?

– Takie tam pierdoły. Wygłosili oświadczenie, potem parę pytań. Właśnie wysłałem tekst. Rodzice dziewczyn wyglądali na kompletnie zdruzgotanych, biedni. Dopiero co oglądali swoje córki w kostnicy, a tu Louise wyskakuje z pytaniem, czy wiedzieli o innym zgonie w tamtym pensjonacie.

Dostają gęsiej skórki. Wyprzedzam ich tylko o krok.

– Jak to? – pytam.

– Jakiś tynkarz na wakacjach, policja twierdzi, że popełnił samobójstwo. Rodzina się upiera, że na pewno się nie zabił, dopiero co wydał ładnych parę tysięcy na karnet sezonowy na mecze Arsenalu... Ale tajlandzka policja nie chce ich słuchać.

- Rozmawiałaś z tą rodziną?
- Tak, sympatyczni ludzie, poza tym to dobrze pasuje do tematu. Wszyscy o tym napisaliśmy. No i o tym, że u Mammy była znana melina narkotykowa. Podobno zagłębienie ćpuństwa.
- Chryste – mówię z nadzieją, że brzmię jak autentycznie zdumiona.
- Nie wiedziałaś? – pyta George.
- Kręcę głową. Muszę się od tego odciąć. Skończyć rozmowę.
- Jake długo mieszkał w tym pensjonacie? – pyta, drażąc w moim milczeniu.
- Nie wiem, George, naprawdę. Jest już dorosły. Od wyjazdu z domu przestał nam się meldować.
- Jasne – mówi George. – Nie możemy się doczekać, aż nasze wylecą z gniazda. – Gryzie się w język. Zorientował się, że ta uwaga była nie na miejscu.
- Dobra, powinnam znów spróbować podzwonić – rzucam, dając do zrozumienia, że puszczam go wolno.

W pokoju hotelowym przeglądam na telefonie artykuły o tej poprzedniej śmieci. Nikt nie wie, że mój synek tam był. I że wtedy też się ulotnił.

Wracam do listy i dzwonię do kolejnego rezerwatu na Phuket. „To bez sensu, próbuję tylko zabić czas. Nigdy go tam nie było. Żył zupełnie innym życiem, a my powtarzaliśmy innym jego kłamstwa”.

Ktoś puka do drzwi. Otwieram i widzę na progu Louise, która ma na twarzy wypisane „Mam jakąś sensację”. Widziałam tę minę tyle razy, że z niczym bym jej nie pomyliła.

– Jestem teraz zajęta, Louise – próbuję ją zbyć, ale ona jest na to przygotowana.

– Musisz się o tym dowiedzieć, Kate. Zanim trafi do sieci.

– O czym? – Daję się podejść. Powinnam być odporna na takie sztuczki, ale nie mogę się oprzeć. Chcę poznać tajemnicę.

– Znaleźliśmy profil Jake’a na Facebooku.

– A, o to chodzi! – Prawie parskam śmiechem. Jesteśmy na bezpiecznym gruncie. – Nie używał go od wyjazdu. Nie cierpiał tych portali. Sam tak powiedział... – „A ja i tak zaglądałam, wciąż i wciąż”.

Louise odpowiada mi półuśmiechem.

– Nie ten profil, Kate. Nie ten pod prawdziwym nazwiskiem. Ten drugi. Znajomi z Facebooka znają go jako Jake’a Sweetmana.

– Sweetmana? Skąd wiecie, że to mój Jake?

– To on.

– Jak go znaleźliście?

– Mój redakcyjny geek go namierzył. Trafiłam tu na jednego kumpla Jake’a, takiego gnojka Rossa, próbował udawać, że nigdy o nim nie słyszał. Zawsze od razu widać, kiedy ściemniają, nie? Sprowadziłam rozmowę na inny temat, rozgadał się, dowiedziałam się, jak się nazywa i skąd jest, i tak doszliśmy do Jake’a.

– Wrzuca jakieś posty? – pytam. – Wiecie, gdzie jest?

Louise kręci głową.

– Nic nowego od czasu pożaru. Ale są tam inne rzeczy.

Czuję ucisk w żołądku.

– Jakie inne rzeczy?

– Najlepiej zobacz sama. Nie wygląda to dobrze.

– No, powiedz mi – rzucam zniecierpliwiona.

– Pisze, że musiał w pośpiechu wyjeżdżać z Phuket. Skontaktowaliśmy się z barem, o którym wspominał w jednym z postów, właściciel mówi, że Jake tam pracował, ale wyjechał ponad rok temu. Mówił ludziom, że został okradziony, a miejscowa mafia groziła mu śmiercią, bo był im winny pieniądze. Wygląda na to, że podpadł niewłaściwym ludziom...

„Nic nie mów. Nie dawaj jej niczego, co mogłaby wydrukować”. Staram się zachować kamienną twarz.

– Dobra. Zaraz sama zobaczę.

– Są też zdjęcia...

– Domyślam się. – Nieznacznie popycham ją w stronę wyjścia. – Dzięki, że mnie uprzedziłaś, Louise.

„A teraz spieprzaj”.

Odwraca się jeszcze i nalega:

– Musisz je obejrzeć, Kate. Trafią do druku.

W pół zdania zamykam za nią drzwi i biegnę po laptopa.

Kiedy znajduję jego stronę, zalewam się łzami. To on. Na imprezie na plaży. W świetle ogniska. Włosy usztywnione pastą czy woskiem w kształt rogów. Oczy mocno obwiedzione czarną kredką. A podpis głosi: „Taki ze mnie pokręcony piroman”<sup>1</sup>.



Czwartek, 21 sierpnia 2014 roku

## REPORTERKA

Zdjęcie trafiło na okładki niemal wszystkich gazet. Oczywiście. Nawet „Posta”. Obok nazwisko Joego pod nagłówkiem „Pożar w Tajlandii: czy to jest zaginiony świadek śmierci turystek?”.

Dzwonię do mojego redakcyjnego syna i wyrywam go ze snu.

– Co to ma być, do jasnej cholery? – wrzeszczę mu do ucha.

– Wszyscy mieli to zdjęcie, Kate. Agencja je do wszystkich rozesłała, musiałem napisać do tego jakiś tekst. Próbowałem łagodzić, ale Terry mi nagadał. Kazał mi dorzucić mięsa. Przepraszam, ale to zdjęcie jest niesamowite.

– Tak, ale według Facebooka zrobiono je ponad rok temu. A on jest przebrany za Keitha, wokalistę The Prodigy, tej kapeli rave’owej.

Domyśliłam się, jak tylko zobaczyłam fotografię. To był nasz rodzinny żart – kiedyś na wywiadówce jedna z nauczycielek nazwała Jake’a cudownym dzieckiem<sup>2</sup> i od tamtej pory zawsze się z nim droczyliśmy i przezywaliśmy Keithem, kiedy za bardzo zadzierał nosa. On był tym zachwycony. Tańczyli z Freddie’em po całej kuchni, wyrzaskując cały tekst *Firestarter*. Debilna piosenka.

– A, no tak – mówi Joe i zaczyna nucić idiotyczny refren.

– Zamknij się, Joe. To mi nie pomaga.

– Przepraszam. Słuchaj, napisałem w artykule, że to stare zdjęcie. Że zrobiono je z rok temu na Phuket. Nie wiem, czy mi tego redakcja nie wywaliła...

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– Bo wiedziałem, że mi zrobisz awanturę. Jestem w strasznie trudnym położeniu, Kate. Musisz to zrozumieć. Wiem, że chodzi o twoje życie osobiste, ale dla mnie to temat. Muszę robić to, co mi każe szef działu wiadomości, Kate. Jest moim przełożonym...

– Tak to sobie tłumacz, Joe. – „Zacząła się nagonka. Jake się teraz nie będzie wychylał. Kto by się ujawnił na jego miejscu?”

– Chcesz mi coś powiedzieć? Przedstawić tę sprawę od jego strony? – W jego głosie słyszę nadzieję.

– Odwal się. Nie wiem, jaka jest jego strona. Aha, to było nieoficjalnie. To wszystko jest nieoficjalnie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak, tak. Ja wiem, ale co z innymi? Co im powiesz? Niektórzy jadą na Phuket. Od nas jedzie jeden z chłopaków Dona. Terry woli, żebym trzymał się rodzin.

– O Boże, Lesley to widziała?

– Nie wiem.

Rozłączam się z Joem i dzwonię do pokoju Lesley. Odbiera Malcolm.

– Kate? Tak się zastanawialiśmy, czy się dzisiaj odezwiesz. Widziałaś swojego syna w gazetach?

– To manipulacja. Zdjęcie z przebieranej imprezy sprzed ponad roku. Przebrał się za Keitha, tego piosenkarza z The Prodigy. *Firestarter* to ich największy hit. To był żart, bez żadnego związku z tym, co się tutaj wydarzyło. Rozumiesz, prawda?

Ale w słuchawce zapadła głucha cisza.

Kolejni zaczynają się dobijać. Puk-puk, stuk-stuk-stuku-stuk, łup-łup.

Nie mają pewności, czy tu jestem, więc siedzę cicho jak mysz pod miotłą. Ale coraz trudniej mi wytrzymać. Duszę się. Mam wrażenie, że pokój robi się coraz mniejszy, a ściany cieńsze, tymczasem oni wołają przez drzwi.

– Kate! Wiem, że tam jesteś. Otwórz!

Kiedy to nie skutkuje, zaczynają się porozumiewawcze szepty.

– Kate, to ja, George. Słuchaj, mogę ci pomóc. Musimy porozmawiać.

Wiem, że gdyby role się odwróciły, to ja bym tam stała, wydzwaniała do mojego pokoju hotelowego przez całą noc, od rana czekała na progę, wsuwała liściki pod drzwiami.

Słyszę samą siebie po drugiej stronie drzwi. Zastanawiam się, jak długo oni tam zostaną. „Ile ja bym została?”

Przysłuchuję się rozmowom na korytarzu.

– Myślisz, że ona tam jest? Nic nie słyhać.

– Musi być w rozsypce – zauważa ktoś inny.

– Ale założę się, że i tak wysłała tekst – rzuca Louise. – Nie powstrzymałby jej taki drobiazg jak to, że jest jego matką.

Już trzymam rękę na klamce, gotowa szarpnięciem otworzyć drzwi i powiedzieć, co o niej myślę. Ale się powstrzymuję.

„Ona wie, że ją słyszysz, idiotko. Próbuje cię sprowokować, żebyś coś powiedziała”.

Znowu dzwoni komórka. Wyłączyłam dźwięk, żeby reporterzy nie słyszeli. Na ekranie wyświetla się numer Joego. Na palcach idę do łazienki i w zwolnionym tempie zamykam drzwi.

– Kate – mówi, kiedy w końcu odbieram. – Wszystko w porządku?

– A jak myślisz? – szepczę.

– Pójdę tam i powiem, że z tobą rozmawiałem – odszeptuje. – Że jedziesz do ambasady. Miejmy nadzieję, że to ich zniechęci.

– No dobra, może, ale co potem?

– Mick zarezerwował ci pokój na swoje nazwisko w innym hotelu. Pozbieraj rzeczy i przygotuj się do ewakuacji, kiedy ta banda sobie pójdzie.

– Dzięki, Joe. – Nie mogę powiedzieć nic więcej. Emocje ściskają mi gardło.

– Za chwilę powinnaś mnie usłyszeć pod drzwiami. Mick zapuka trzy razy, kiedy będzie czysto.

Dwie minuty później słyszę, że przyszedł.

– Joe, namów Kate, żeby z nami porozmawiała! – woła George. – Musi coś powiedzieć.

– Właśnie z nią gadałem. Przez telefon, nie ma jej tutaj. Pojechała do ambasady spotkać się z Clive'em Barnesem.

– Kurwa – mówi Louise. – Na pewno? Nie próbujesz nam wciskać kitu, co?

Wstrzymuję oddech. Nie dałabym głowy, że Joe potrafiłby wcisnąć kit komuś takiemu jak ona.

– Zamknij się, Louise. Myślisz, że wszyscy są tacy jak ty. – „Dobry chłopak. Jak mogłam w niego wątpić?” – Jak chcecie, to możecie sobie stać pod drzwiami do pustego pokoju. Ja tam jadę do ambasady.

Słyszę, że odchodzi. Na chwilę zapada cisza, mocniej chwytam się krawędzi łóżka.

– Czeka, też jadę. Możemy wziąć jedną taksówkę! – woła George w głąb korytarza i wszyscy się wynoszą, zlorzecząc pod nosem.

Aż podskakuję na umówione trzy stuknięcia. Uchylam drzwi i widzę Micka.

Przytula mnie szybko.

– Chodź, pobawimy się w chowanego z tą wstrętną prasą – mówi, podnosząc moją torbę. – Taksówka czeka pod tylnym wyjściem. Na wypadek gdyby postanowili jednak koczować od frontu...

Nawija tak przez całą drogę, kiedy taksówka jedzie krętymi uliczkami do małego, anonimowego hoteliku.

Zameldował nas już jako małżeństwo – „państwo Murrayowie” – więc idę prosto do pokoju.

– Dobra, muszę wracać do pracy, bo zaczną coś podejrzewać – mówi. – Ale zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Zapisuję cię w telefonie jako „mame”, żeby nikt się nie zorientował, kto dzwoni. Joe ma zrobić to samo. Dobrze sobie poradził, co? Niedaleko pada jabłko...

– Nie to co Jake – ucinam.

– Nie bądź taka surowa, Kate. To była impreza. Pewnie wszyscy się poprzebierali. Miał po prostu pecha.

– Nie wiem tego. Nic już nie wiem, zupełnie go nie znam. Leć. Nic mi nie będzie. No i dzięki, Mick. Jesteś super.

– Zgadza się, taki ze mnie boss. Nie wychylaj się.

Nie mogę zadzwonić do Steve’a, żeby dać mu znać, że się przeniosłam – zaczął już obchód – więc kładę się na łóżku i próbuję sobie to wszystko poukładać, ale w głowie mam mętlik.

Dlaczego Jake uciekł? Lekarze mówią, że doznał traumy. Na pewno o to chodzi. Nie może znieść myśli o tamtej nocy. Musi być taki przerażony. A może się wstydzi?

Próbuję się dodzwonić do Lesley. Wyświetli jej się mój numer, trzymam kciuki, żeby odebrała. Zbyt długo słyszę jednak w słuchawce tylko sygnał i już zamierzam się rozłączyć, ale wtedy Lesley odbiera, lekko zdyszana.

– Kate? Przepraszam, musiałam wyjść z pokoju. Malcolm nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

– Rozumiem, Lesley. Ten dzisiejszy artykuł to musiał być dla was wszystkich straszny szok. Dziękuję, że odebrałaś. Wiesz, że to strasznie stare zdjęcie? Z imprezy przebieranej?

– Tak, tak. Ale i tak to nami wstrząsnęło. Zasiało ziarno wątpliwości. Malcolm ciągle mnie pyta, czy to możliwe, że ktoś celowo podłożył ogień. Ale policja chyba o tym wiedziała, prawda?

– Myślę, że tak. Rozmawialiście dzisiaj z nimi?

– Malcolm rozmawiał. Twierdzą, że to był wypadek. Nie ma żadnych nowych dowodów.

Zalewa mnie fala ulgi, aż się cała trzęsę i prawie wypuszczam telefon z ręki.

„To śmieszne. Weź się w garść – besztam się w myślach. – Pewnie, że to był wypadek”.

– Dla ciebie to też musiało być straszne – ciągnie Lesley. – Zobaczyc go w gazetach...

„Czyli ciągle jesteśmy po tej samej stronie”.

– Przeniosłam się do innego hotelu, żeby uciec przed dziennikarzami – mówię, a ona prychnęła.

– Witaj w naszym świecie. My odwalamy papierkową robotę. Ubezpieczyciele załatwiają transport dziewczynek, a my organizujemy pogrzeb w naszym lokalnym zakładzie. Wydaje mi się, że najlepsze, co możemy zrobić, to ciągle mieć jakieś zajęcie.

– Jeśli mogę wam w jakikolwiek sposób pomóc...

– Na razie chyba nie. Porozmawiam z Malcolmem. Jest taki podminowany. Zwykle to on jest tym spokojniejszym z naszej dwójki, ale ten stres daje mu się we znaki. Chcemy już tylko wrócić do domu.

– Oczywiście. Wiadomo, ile to jeszcze potrwa?

– Kilka dni. Wszyscy są dla nas tacy mili. Dzwonili nawet z policji w Hampshire. Ten miły komisarz Sparkes. Chcieli się tylko dowiedzieć, jak się mamy, i złożyć kondolencje. Ale musimy wracać do Dana. Musi sobie sam z tym wszystkim radzić, a przez tę różnicę czasu jakoś nigdy nie możemy trafić na odpowiednią porę, żeby porozmawiać.

– Niedługo będziecie w domu – uspokajam ją.

Kiedy się rozłącza, wybieram numer Boba Sparkesa. U niego jest teraz wpół do dziewiątej rano. Muszę porozmawiać z kimś dorosłym.

*Czwartek, 21 sierpnia 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Zastanawiał się, kiedy do niego zadzwoni.

Kiedy pojawiły się pierwsze wzmianki o tym, że Jake jest zamieszany w sprawę pożaru, Zara przyleciała do jego gabinetu. Naprawdę pędziła korytarzem, aż się przestraszył, że był jakiś zamach terrorystyczny, gdy spotkał się z nią na progu.

– Co jest? – wrzasnął, czując mocne pulsowanie krwi w żyłach.

– Syn Kate Waters. Był w tym samym pożarze w Bangkoku, co tamte dziewczyny. Próbował je wyciągnąć.

– Co?

– Syn tej pana ulubionej dziennikarki, Jake. Jest dziś prawie we wszystkich gazetach. Był na miejscu w czasie pożaru.

Z podniecenia oczy prawie wychodziły jej z orbit. Sparkes jęknął głośno.

– Na litość boską, Salmond. Uspokój się. Myślałem, że tak pędzisz, żeby mi powiedzieć, że nie możemy opuszczać budynku czy coś. Poza tym ona wcale nie jest moją ulubioną dziennikarką.

– Przepraszam, ale po prostu nie mogłam w to uwierzyć. – Salmond miała wypieki z wysiłku i zażenowania. – Przepraszam jeszcze raz, pójde się zająć czymś użytecznym.

– Dobrze.

Kiedy wyszła, poszukał artykułów i przeczytał je uważnie po kilka razy, pozwalając sobie na dyskretny „jasny gwint” pod nosem. Już miał zadzwonić do Kate, ale Salmond wkurzyła go tą „ulubioną dziennikarką”. Naprawdę było to aż tak ewidentne? Zresztą to nieprawda. Porozmawia z nią, jak już wróci z Tajlandii z bohaterским synem.

Ale tego ranka wystarczyło usłyszeć sierżantkę skradającą się korytarzem na palcach, żeby się domyślić, że to jeszcze nie koniec.

– Dzisiaj już nie jest bohaterem – powiedziała, udając, że tak tylko przechodziła, czemu przeczyły dowody w postaci zarumienionych policzków. – Teraz prasa nazywa go „pokręconym piromanem”. Wygląda na to, że dał nogę. Niech pan sam zobaczy to zdjęcie!

– Dziękuję za serwis informacyjny. Później się tym zainteresuję...

Zaczął szukać artykułu, gdy tylko jej głowa zniknęła ze szpary w drzwiach, i przekonał się, że twarz Jake’a przewija się przez portale internetowe wszystkich tabloidów. Fotografia była groteskowa. Nie wiedział, jak wygląda Jake Waters, ale miał nadzieję, że to nie jest norma. Sparkes przeczytał wszystkie teksty, zwracając uwagę na brak komentarza ze strony tajlandzkiej policji, i znowu przyjrzał się zdjęciu, próbując dopatrzeć się rysów Kate w wymalowanej twarzy. Jednak ani w jego oczach, ani w okolicach ust nie dostrzegł żadnego podobieństwa do matki.

Niemniej jego własny syn też prawie w ogóle go nie przypominał – wrodził się w Eileen i jej krewnych.

– Biedny chłopak – powiedział na głos. – Miałby lepsze włosy, gdyby odziedziczył moje geny.

Ciekawe, jak się trzymają dzieciaki. Wiedzieli, że Eileen wróciła do domu, ale nikt nie zapytał, czy to ostatni raz. Sądził, że wszyscy zdają sobie z tego sprawę, ale może i lepiej nie mówić tego na głos. Nie ma co wybiegać w przyszłość, będą żyli z dnia na dzień. Nagle ogarnęło go wrażenie spadania i musiał mocno ścisnąć poręczę fotela, żeby się uratować.

Mógł potraktować Jake’a Watersa jako temat zastępczy na dziś. Teraz był już niemal pewny, że Kate do niego zadzwoni.

I rzeczywiście, zadzwoniła czterdzieści minut później.

– Cześć – powiedział. – Jak się miewasz?

– Beznadziejnie, Bob. Widziałeś gazety?

– Tak. Moja sierżantka właśnie pobiła swój rekord w bieganiu, tak szybko dostarcza mi najnowszych wieści.

– To jest jakaś farsa. Wyciągnęli to cholerne zdjęcie sprzed ponad roku. To nie ma nic wspólnego z pożarem. Zniszczą biednemu Jake’owi życie przez fotkę z jakiejś durnej imprezy na plaży.

– Muszę przyznać, że zdziwiłem się, kiedy to zobaczyłem. Wczoraj we wszystkich gazetach pisali, jaki to on jest dzielny.

Kate westchnęła ciężko, aż zaświszczało w słuchawce.

– To akurat przez lekarzy. Któryś z nich powiedział, że być może Jake doznał obrażeń, kiedy próbował wyciągnąć ludzi z płomieni. A wszyscy to podchwycili.

Na dwadzieścia cztery godziny, dopóki nie znaleźli tego zdjęcia. Klasyczna historia od bohatera do zera.

– Wiesz pewnie nawet lepiej niż ja, do czego potrafią się uciekać dziennikarze, kiedy zaczyna im się nudzić...

Cisza.

– Miałaś jakieś wieści od Jake'a? Jak myślisz, dlaczego tak się zmył ze szpitala?

– Nie mam pojęcia. Okropnie się o niego martwię. A jednocześnie chciałabym go udusić. Dlaczego nie chce się ujawnić, do jasnej cholery? Ludzie gadają, że zbiegł, ale to przecież bzdura. Dorosły człowiek postanowił się wypisać ze szpitala na własne żądanie. To nie zbrodnia.

– Prawda. Ale trochę dziwne, że go wypuścili i że do tej pory się nie pojawił. –

Sparkes ważył słowa. Gdyby to było jego śledztwo, dopilnowałby, żeby potencjalny świadek mu się ulotnił. – Bardzo był poparzony?

– Nie, dzięki Bogu. Lekarka mówiła, że tylko trochę na policzku i dłoniach.

– To może po prostu się gdzieś zaszył, żeby wydobrzeć. Albo pojechał do domu?

„Do domu” odbiło mu się echem w głowie. To on powinien tam jechać.

– Do domu? – powtórzyła Kate.

– No tak. Gdybym to ja doznał obrażeń w traumatycznych okolicznościach, to pewnie chciałbym wrócić do domu.

Znowu zapadła wymowna cisza.

– Czy jestem złą matką, skoro nawet nie wzięłam tego pod uwagę? – szepnęła.

„Możliwe – pomyślał. – Czy ja jestem złym mężem, skoro rozmawiam z tobą, zamiast opiekować się żoną? Wiele osób mogłoby tak uznać. Ale robimy wszystko, co w naszej mocy. Dlaczego mamy się osądzać, tak jak mogliby nas oceniać inni?”

– Słuchaj – powiedział, zmieniając pozycję w fotelu. – Nikt nie jest doskonały. A ty znalazłaś się w oku medialnego cyklonu, Kate. – „Tym razem dla odmiany po stronie ofiar” – pomyślał, ale powstrzymał się przed docinkiem. – Trudno wymagać, żebyś myślała logicznie. Jake miał bilet powrotny?

– Przed Bożym Narodzeniem przesłaliśmy mu przez Western Union pieniądze na bilet, mówił, że odebrał, ale do samolotu w końcu nie wsiadł. Jego znajomy powiedział mi, że Jake miał wtedy trochę kłopotów...

– Rozumiem. Ale mógł zachować bilet na później. To była elastyczna taryfa? Ambasada mogłaby się skontaktować z liniami lotniczymi. A może policja już się do nich odzywała, o ile naprawdę im zależy, żeby go znaleźć. Rozmawiałaś z ekipą śledczą?



– Nie, jeszcze nie. Wszystkie wieści o Jake’u mamy z gazet, nie od policji. Lesley O’Connor mówi, że śledczych Jake nie interesuje. Twierdzą, że nie ma związku z dochodzeniem. Nie wiem, co on im powiedział, ale policja nie ma nawet pewności, czy on był w tamtym hostelu. Wydaje mi się, że policji wystarczy stwierdzenie wypadku. Dziewczyny udusiły się dymem. Sprawa zamknięta.

– A co o tym myślą O’Connorowie?

– To samo. Ale ten materiał wytrącił ich z równowagi, nic dziwnego. A dzisiaj pojawiły się jeszcze doniesienia o innej śmierci w tym samym hostelu. Samobójstwo, całkowicie niepowiązane z tą sprawą. Ale wydaje się coraz bardziej podejrzane. Moja teoria jest taka, że dziennikarze szukają kozła ofiarnego, więc uwzięli się na Jake’a przez tamto zdjęcie. Klasyka. Wystarczy wyglądać trochę inaczej, żeby media urządziły ci publiczny proces.

– Rzeczywiście, to wasza specjalność – stwierdził Sparkes, tym razem postanawiając jej nie oszczędzać. – Pamiętasz tego biednego dyrektora szkoły z Bristolu, którego gazety praktycznie oskarżyły o morderstwo, bo ma dziwną fryzurę?

– Nie moja gazeta – zastrzegła Kate szybko. – Zresztą nie wiem nawet, czy Jake znał te dziewczyny. Nikt tego nie powiedział. A jego tu nie ma, nie może się bronić. To nie fair.

– Mogę przedzwonić do Interpolu, zorientować się, czy za Jakiem nie rozesłano jakiegoś listu gończego – zaproponował. – Jeśli tajlandzkie władze go nie szukają, mogłabyś to opublikować i trochę pokrzyżować szyki reporterom.

– Boże, mógłbyś to zrobić?

– Spróbuję to załatwić, Kate. Masz tam swoją komórkę?

– Tak. Zadzwoń, jak tylko skończysz z nimi rozmawiać, dobrze? Dziękuję, Bob. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Po rozmowie Sparkes oparł się w fotelu i zaczął rozmyślać. Już dawno dzwonił do Interpolu, zaraz po tym, jak przeczytał najnowszy artykuł.

Nie wspomniał też Kate o tym, że poprzedniego wieczoru kontaktował się z Hilary Young z biura koronera. Służbowe sprawy policji, nie do wiadomości mediów. Zadzwoił do Hilary, bo dowiedział się, że ciała dziewczyn mają zostać sprowadzone do kraju. Tutejszy koroner otworzy dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu, kiedy tylko wylądują w Wielkiej Brytanii, więc Sparkes chciał dogadać terminy. Omówili z Hilary całą sprawę i zaczęli rozważać, czy rodziny zdecydują się na kremację ciał przed powrotem.

– Tak będzie taniej i nie będziemy tu robić sekcji – powiedziała Hilary. – Mogą woleć takie rozwiązanie. Mam nadzieję, że ambasada przedstawiła im wszystkie

możliwości.

– Dopilnuję, żeby się dowiedzieli – odparł Sparkes. To była rutynowa rozmowa. Tyle że wtedy Sparkes oczywiście nie wiedział, że Jake Waters nawiał. To zupełnie zmieniało postać rzeczy.

*Czwartek, 21 sierpnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**W**łaśnie usiłuję się dogadać z tajlandzką policją, kiedy słyszę piknięcie w telefonie – Mick próbuje się do mnie dodzwonić. Oddzwonię później.

– Nazywam się Kate Waters – powtarzam. – Mówi pan po angielsku?

Głos na drugim końcu linii, już trzeci z kolei, mówi: „Przepraszam, przepraszam” i słyszę, że odkładają słuchawkę i każą mi czekać, aż znajdzie się ktoś, kto mnie zrozumie.

– Halo? Halo? – powtarzam uprzejmie, bo nikt się nie pojawia. Chciałabym wrzasnąć: „Odbierzcie w końcu!”, ale to nic nie da. Nikogo nie ma, tylko szum. Rozłączam się i próbuję jeszcze raz. Zdążyłam się już nauczyć numeru na pamięć.

– Dzień dobry. Mówi Kate Waters – zaczynam, starając się nie okazywać frustracji. – Mówi pan po angielsku?

Odpowiada mi odgłos sapania i absolutny brak zrozumienia.

– Proszę nie odkładać słuchawki... – krzyczę, kiedy dociera do mnie, co się tam dzieje, ale za późno, moje połączenie znów zostaje zawieszona.

W ambasadzie, gdzie zadzwoniłam na samym początku, potraktowali mnie uprzejmie, acz stanowczo.

– Nie możemy prosić o informacje dotyczące pasażerów linii lotniczych. Na pewno pani rozumie, to kwestia bezpieczeństwa. Być może policja będzie mogła pani pomóc.

Kolejne dziesięć minut i ponowne zerwane połączenie, aż w końcu udaje mi się przebić do kogoś, kto zadaje magiczne pytanie:

– Czym mogę służyć?

Wychodzę z siebie, żeby jak najprzystępniej przekazać, o co mi chodzi, na bieżąco upraszczając język.

– Jake Waters to mój syn. Doznał obrażeń... poparzył się w pożarze pensjonatu Raj u Mammy. Tam, gdzie zginęły te dwie Angielki.

– Tak – mówi funkcjonariusz.

– Rozumie mnie pan? – pytam.

– Tak – odpowiada. Nie wiem, czy to prawda.

– Szukacie mojego syna, Jake'a Watersa?

– Tak.

„Dlaczego zadajesz mu takie pytania? – krzyczę na siebie w myślach. – Zapytaj o coś, na co nie będzie mógł odpowiedzieć monosylabą”.

– Dlaczego?

– Mamy do niego kilka pytań.

„No, jedziemy!”

– Pytań w związku z czym? Z tego, co zrozumiałam, śledztwo zostało zamknięte?

– To sprawa policji. Wie pani, gdzie jest pani syn?

– Nie, bardzo mi przykro, ale nie wiem. Mnie też ogromnie zależy na tym, żeby go znaleźć.

– Tak. Proszę zadzwonić, gdyby się odezwał.

– Zadzwonię – mówię, ale krzyżuję palce jak małe dziecko. Sama się zastanawiam, czy zadzwonię. – Sprawdzaliście, czy mój syn nie opuścił Tajlandii?

Pauza.

– A ma bilet na samolot?

– Możliwe. Nie jestem pewna...

– Rozumiem. Które linie? Sprawdzimy.

Przekazuję mu informacje z mejla do Jake'a, powoli i wyraźnie dyktuję numer rezerwacji.

– Dziękuję pani.

Bob dzwoni z wiadomością, że Jake jest na liście alertów Interpolu.

– To żółty alert, czyli jest osobą zaginioną. Dziewczyny były na tej samej liście do momentu identyfikacji zwłok. To dobre wieści. Czerwony alert oznaczałby, że jest ścigany za przestępstwo, to coś w rodzaju międzynarodowego nakazu aresztowania.

– Dzięki, Bob, ale obawiam się, że media nie będą wnikać w niuanse kolorystyczne. Napiszą tylko, że jest poszukiwany przez Interpol. Chyba jednak zachowam to dla siebie.

W końcu oddzwaniem do Micka i znów dostaję złe wieści.

– Wyciągnęli kolejne brudy – mówi. – Joe właśnie gadał z byłą dziewczyną Jake’a z uczelni. Okazuje się, że wywalili go ze studiów.

– Wywalili? Mówił, że rzuca uniwersytet, bo nie odpowiada mu kierunek.

– Ale nie rzucił. Przyłapali go na ściąganiu.

Mam wrażenie, że wpadam w obłąd. Stopniowo tracę wszystko, co uważałam za pewne.

– Daj mi Joego – warczę do Micka.

– Hej, Kate – mówi Joe nerwowo, a ja oczami wyobraźni widzę, z jaką miną Mick musiał mu podać telefon.

– Co to za pierdoły z wyrzuceniem Jake’a ze studiów?

– Czyli nie wiedziałaś o tym?

– Pewnie, że nie wiedziałam. Co to w ogóle za pytanie?

– Spoko. Dziewczyna sama się zgłosiła. Jakaś jego była, zobaczyła w gazetach to o piromanie i zadzwoniła z pytaniem, czy interesuje nas to, co nam ma do powiedzenia. Terry skierował ją od mnie.

– Co to za jedna? Chciała kasę? Założę się, że tak. No dobra, mów. Chcę znać najdrobniejsze szczegóły.

Joe się waha.

– No co?

– Mówiła, że Jake brał narkotyki. Uznałem, że najlepiej od razu ci to powiedzieć.

Zamykam oczy i czekam na dalszy ciąg horroru.

– W skrócie chodzi o to, że wywalili go za przeklewanie prac zaliczeniowych z internetu. Dziewczyna mówi, że spokojnie mógłby je sam napisać, bo jest bystry, ale zajmował się imprezowaniem, więc nie miał czasu.

Przypomina mi się tamten poranek, kiedy odprowadzaliśmy Jake’a na pociąg do Durham. Nie chciał, żebyśmy go odwieźli na miejsce – „To kawał drogi, zresztą pociągi są w porządku” – i strasznie się nas wstydził, że machamy i robimy zamieszanie, ale nic nas to nie obchodziło. To ważny rytuał przejścia: pierwotne dziecko wkracza w dorosłość. Wyglądał trochę jak młody Stephen Hawking w tych swoich kujońskich okularach – dobrze wiedzieliśmy, że to poza – i z prześlicznym uśmiechem.

Co się stało z tym chłopcem? Myślałam, że go znam. Może na uniwersytecie odkrył, że zabawa się skończyła. Nigdy wcześniej nie musiał się przesadnie wysilać, żeby odnieść sukces. W szkole był zawsze najlepszy. A jeśli obawiał się porażki – jak w przypadku tej tragicznej historii z nauką gry na saksofonie – od razu się poddawał i przerzucał na coś innego. „Przyzwyczał się, że wszystko w życiu przychodzi mu gładko”. Ale na uczelni musiała być cała masa takich Jake’ów. Kiedy dzwonił do domu, twierdził, że wszystko jest w porządku.

A może próbował dać mi coś do zrozumienia, ale nie słuchałam uważnie? Zawsze się chlubiłam, że podczas przeprowadzania wywiadów potrafię czytać między wierszami, dosłyszeć brzydką prawdę pod pięknymi kłamstwami. Ale nie tym razem. Myślę, że słyszałam tylko to, co chciałam. „Dobre wieści nie pochłaniają tyle energii emocjonalnej. Miałam zresztą dość problemów innych ludzi”.

Próbuję wrócić myślami do tamtych rozmów, wyłuskać wskazówki, które powinny mi wtedy dać do myślenia. Wspomniał, że ma na roku samych prymusów, a niektórzy są od niego mądrzejsi, ale tylko sobie z niego ze Steve'em żartowaliśmy. Biedny Jake, pewnie był w szoku, kiedy odkrył, że musi popracować, żeby nadgonić. Z początku niewątpliwie próbował. Opowiadał o wieczorach spędzanych w bibliotece („Nie poznałabyś mnie, mamó, zrobił się ze mnie kujon”), o wszystkich przeczytanych lekturach, chwalił się dobrymi ocenami.

Ale widocznie po jakimś czasie ciężka praca straciła blask, a on stracił zapał. Może uznał, że skoro kosztuje go to tyle wysiłku, to nie warto. To nie byłby pierwszy raz. Porzucił naukę gry na saksofonie po trzech miesiącach, mimo że wcześniej błagał ich o kupno instrumentu za kilkaset funtów.

Joe nawija dalej, w pikantnych szczegółach relacjonuje upadek mojego syna, więc wrywam się z zamyślenia i słucham.

– Dziewczyna mówi, że zaczął się codziennie upijać i wciągać trochę koki. Jego kumple robili to samo. Na wykładach ciągle zgrzytał zębami i pociągał nosem, a na ćwiczeniach wygadywał kompletne bzdury i wydawało mu się, że jest geniuszem.

– Co za kretyn – mruczę.

– Jake jej powiedział, że na początku drugiego roku opiekun naukowy udzielił mu przyjacielskiego ostrzeżenia. Poradził mu mniej wciągać, a bardziej wciągnąć się w pisanie prac zaliczeniowych. Ostrzegł go, że od narkotyków wcale nie jest bardziej błyskotliwy, tylko bardziej denerwujący, że grozi mu oblanie. Ale Jake wszystkiego się wyparł i dalej robił swoje. Znajomi bardzo się o niego martwili, Kate.

– Tak się martwią, że sprzedają informacje na jego temat prasie. Super. – „Dlaczego nic nam nie powiedział? Nie dzwonił już tak często, ale co w tym dziwnego? Nie potrzebował nadopieczniczki matki. A może potrzebował. Czy ja do niego dzwoniłam? Nie, pisałam esemesy. Troska w kilkudziesięciu znakach. To nie to samo. A potem został w Durham na wakacje. Twierdził, że pracuje”.

– Zaczął kopiować z sieci fragmenty cudzych tekstów, bo zapomniał odrabiać zadania domowe. A potem ściągał całe prace. Przyłapali go, podobno nie było

trudno. Nie chciało mu się zmienić ani słowa, nie próbował nawet upodabniać ich do swoich prac. Odbył się formalny proces dyscyplinarny i kazano mu odejść.

– Chryste. – Nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Puszczamy to, Kate – dodaje Joe cicho. – Bardzo mi przykro.

– Serio? – pytam. – To ma być temat? Przecież to nie ma nic wspólnego z pożarem. Domyślałam się, że Joe rzucił tamtą pannę? Dlatego zadzwoniła. Ma w tym interes. – Ostatnia niemrawa próba zatrzymania publikacji. Ale zbyt dobrze go wyszkoliłam.

– Nie, mówi, że to ona go rzuciła, przez to ćpanie. Zmienił się. No i sprawdziłam fakty, wszystko się zgadza. Władze uniwersytetu wydały oświadczenie o wydaleniu go z uczelni.

– Świetna robota – mówię i sama się nienawidzę za gorycz w swoim głosie. Dwa dni temu pewnie bym mu kibicowała. Teraz jednak nie mogę. Sama tysiące razy byłam w tej samej sytuacji, co teraz Joe Jackson, triumfalnie wymachiwałam sztandarem prawdy. Uczy się nas, że tylko prawda się liczy. Mój pierwszy szef w dziale wiadomości mawiał: „Nieważne, jak ładnie napiszesz artykuł. Jeśli fakty się nie zgadzają, jest do niczego”.

Każdy chce poznać prawdę o jakichś wydarzeniach. Z wyjątkiem tych, którzy mogą z tego powodu coś stracić. Teraz już to wiem.

– Muszę porozmawiać ze Steve’em – mówię i rozłączam się z Joem.

Mój biedny mąż w całkowitym milczeniu wysłuchuje mojej relacji.

– Ech, Katie – mówi w końcu. – Co się z nim stało?

– Nie wiem, Steve. Może wpadł w złe towarzystwo? – Krzywię się, słysząc ze swoich ust wyświechtany frazes, od wieków używany przez każdego rodzica, którego dziecko coś zbroiło.

– Wracaj do domu, Kate, proszę. Potrzebujemy cię z Freddiem. Nie wiadomo nawet, czy Jake ciągle jeszcze tam jest...

Czuję wściekłość i desperację, że namawia mnie na opuszczenie Tajlandii, skoro Jake mógłby tu być, ale nie mam argumentów za pozostaniem na miejscu.

– Dobrze – zgadzam się niechętnie. Udaję, że robię to tylko ze względu na Steve’a, ale prawdę mówiąc, jestem zbyt wykończona i załamana, żeby zrobić cokolwiek innego. Dzwonię do biura podróży współpracującego z naszą gazetą i przebukowuję bilet na najbliższy lot. W poprzednim życiu poczułabym znajome ukłucie radości z powrotu do domu po zakończonej misji. Ale to wcale nie jest koniec, prawda?

Po spakowaniu włączam telewizor, żeby zagłuszyć ciszę, ale zaraz przestaje zwracać uwagę na przekombinowany film akcji, jakby był częścią tapety. Siedzę i próbuję wczuć się w położenie Jake’a. Usiłuję sobie wyobrazić wstyd i rozpacz, jakie musiał poczuć w chwili, kiedy go wyrzucono. Może wyjazd do Tajlandii

zdawał się oczywistym wyborem. Zrobiłby sobie rok przerwy, a potem wrócił na dobrą drogę. Potrzebował trochę odpoczynku i rozrywki. Podróże, poznawanie nowych ludzi, nabranie dystansu i szerszej perspektywy.

Ale wszystko wskazywało na to, że Jake zjechał po równi pochyłej, próbując się gdzieś zaczepić i uciekając przed prawdą. Odciął się od rodziny, zbywając nas sporadycznymi mejlami i jeszcze rzadszymi telefonami. Ten jego kumpel Ross mówił, że Jake nie czuł się na siłach wrócić do domu. Nie mógł powiedzieć rodzicom.

Nie mógł nam powiedzieć, co się z nim stało. Że poniósł porażkę.



## Rozdział 34

*Piątek, 22 sierpnia 2014 roku*

# MATKA

Malcolm rzucił się w wir skomplikowanych formalności z jako takim entuzjazmem. Wiedziała, że dzięki temu przynajmniej on nie musi myśleć o przyszłości bez Alex, więc starała się nie wytrącać go z ciągu przygotowań. Sama tylko siedziała i patrzyła, jak mąż rozmawia przez telefon o zezwoleniach i dokumentach. Będzie musiała go potem o to spytać. Wszystko skrupulatnie notował w specjalnym zeszycie. Lesley zauważyła, że jego pismo, z którego zawsze był skrycie dumny, robiło się coraz drobniejsze i ściślejsze.

Zmarszczył czoło, słuchając jakiejś podyktowanej nazwy. Zupełnie jakby był w pracy, w swoim gabinecie w urzędzie. Podchodził do zadania bardzo konkretnie i merytorycznie, wyglądał jak szef, a nie jak pogrążony w żałobie ojciec. Dopóki ich spojrzenia się nie spotkały – wtedy twarz wykrzywił mu grymas.

– Przepraszam – powiedział bezgłośnie i podniósł pięć palców na znak, że tyle jeszcze minut mu zejdzie.

– Skoczę po kawę – odparła również na migi.

Zanim otworzyła drzwi, przez chwilę nasłuchiwała odgłosów z korytarza. Lesley już się nauczyła: uśmiechać się i nic nie mówić. Reporterzy ustalili sobie grafik dyżurów – koczowali teraz dwójkami, bo kierownictwo hotelu zagroziło, że wszystkich ich wyrzuci, jeśli nadal będą blokować korytarze.

– Bardzo mi przykro, proszę pani – powiedział wtedy uroczy kierownik z szerokim uśmiechem. Potrzebowała sporo czasu, żeby przywyknąć do tych ciągłych uśmiechów. Z początku Lesley sądziła, że sobie z niej kpią, kiedy poskarżyła się na nocne pukanie do drzwi.

– Dlaczego się pani z tego śmieje? – zaatakowała recepcjonistkę. – To bardzo nieprzyjemne. – Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej, więc Lesley

obróciła się na pięcie i odeszła.

Clive powiedział jej później, że to kulturowe, taki tik, który wytrąca z równowagi wielu przybyszów z Zachodu.

– Uśmiechała się przeprasząc, a potem ze wstydu, bo zauważyła, że jest pani przykro.

– Skąd ja miałam to wiedzieć? – zapytała Malcolma. – Głupawe zachowanie. Myślisz, że powinnam ją przeprosić?

– Daj spokój, kochanie.

Przyzwyczała się już do odgłosów zmiany warty pod drzwiami, szurania krzeseł, które dziennikarze przynosili ze swoich pokoi. Wyglądali jak w poczekalni u dentysty.

Ciekawe, kto teraz przyszedł. Może Joe z „Posta”? Miała taką nadzieję. Na jej widok zawsze zrywał się na równe nogi. Doskonałe maniery. Przypominał jej nieco Dana. Albo George’a z „Telegrapha”. Poważny, traktował ich z szacunkiem. Nie to co niektórzy. Na przykład taka Louise Butler. Stawała za blisko, udawała, że jej na nich zależy. Ale Lesley nie dała się nabrać, dziennikarkę zdradzała zacięta mina.

Na zewnątrz panowała cisza, a kiedy otworzyła drzwi, nikogo nie zastała. Poczła coś w rodzaju rozczarowania. „Weź się w garść, Lesley – powiedziała sobie w myślach. – Przecież powinnaś właśnie unikać prasy”.

I tak rozejrzała się jednak we wszystkie strony po korytarzu, licząc na to, że ich gdzieś dostrzeże. Prawdę mówiąc, ci wszyscy reporterzy i fotografowie stali się ich najbliższymi bliźniami, jedynymi znajomymi twarzami w obcym kraju. Pytali, jak się miewa, jak sobie radzi, chcieli rozmawiać o Alex. Lesley też co nieco o nich wiedziała. Oczywiście znała wszystkie zmartwienia Kate, ale dowiedziała się też, że Mick się żeni („To jest jakiś, kurwa, skandal, ile sobie życzą za kawałek łososa i sałatkę na weselu” – podsłuchiwała kiedyś pod drzwiami), Joe zamierza kupić mieszkanie, a George nabawił się sensacji żołądkowych. Mało brakowało, a zaniósłaby mu leki na biegunkę, ale Malcolm uznał, że to byłaby przesada.

Tak czy inaczej, przy najbliższej okazji zapytała dziennikarza, czy już mu przeszło.

A w jadalni pomachała też dwójce fotografów jedzących śniadanie.

Kiedy wróciła z dwiema filiżankami na zalanych kawą spodeczkach, Malcolm robił notatki na papierze hotelowym.

– Uważaj, żeby sobie nie pokapać tych papierów! – zawołała z łazienki, rozwijając rolkę papieru toaletowego, żeby powycierać wychlapany napój.

– Zakład pogrzebowy zajmuje się załatwieniem aktu zgonu, zaświadczenia o zabalsamowaniu zwłok i dokumentami niezbędnymi do transportu zwłok do Anglii – powiedział Malcolm. – Clive mówi, że możemy rezerwować loty powrotne.

Opadła ciężko na sedes. Słowa „transport zwłok” odczuła niczym cios pięścią w żołądek. Postanowili przewieźć dziewczynki w stanie nienaruszonym, bo nie mogli znieść myśli o kremacji bez ceremonii pogrzebowej.

– Nic ci nie jest?

– Nie, nie, tylko musiałam odetchnąć. Jenny i Mike już wiedzą?

– Nie, właśnie miałem do nich zapukać. Kto tam dziś siedzi?

– Nikt. Trochę dziwne. Ciekawe, co oni wszyscy robią? Ja pójdę.

Jenny Shaw była nieubrana. Nie czuła się na siłach, żeby zdjąć piżamę, wybrać strój i włożyć go na siebie, powiedziała, wpuszczając Lesley do pogrążonego w półmroku pokoju. Najchętniej poszłaby spać i już nigdy się nie obudziła.

Lesley miała ochotę nią potrząsnąć, ale zamiast tego zdecydowała się na stanowcze działanie.

– Odsunę zasłony, Jenny. W świetle dnia wszystkie sprawy wyglądają lepiej.

– Rosie nie żyje, światło tego nie zmieni, Lesley – powiedziała Jenny.

A Lesley obróciła się i spojrzała jej w twarz.

– Wiem. Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, ale musimy działać. Nie możemy się załamywać. Jest jeszcze sporo do zrobienia, Jenny. – Zaczęła gorączkowo szukać zadań, którymi nie zajął się Malcolm. – Musimy kupić dziewczynkom ubrania. Dla zakładu pogrzebowego.

– Ubrania? – powtórzyła Jenny, jakby nie rozumiała tego słowa.

Lesley usiadła obok niej na niezasłanym łóżku. Rozpacz Jenny zdawała się spływać strumieniami po ścianach pokoju. Czaiła się w zmaltretowanej pościeli, w pustych buteleczkach z barku i w nietkniętej wystygłej kolacji stojącej na szafce nocnej.

W tym pokoju świat się zatrzymał. Zwróciła się znów do Jenny i ujęła ją za ramiona.

– Myślisz, że my wszyscy też w głębi serca nie umieramy? Nie jesteś sama, Jenny. Mike też ledwie się trzyma.

– Mike wraca do domu – powiedziała Jenny, kuląc się w sobie. – Tak to właśnie ledwie się trzyma. Imogen czegoś od niego chce, więc zostawia mnie, żebym sama tu wszystko załatwiła. Pieprzony egoista.

Lesley próbowała się powstrzymać od reakcji – nie chciała jeszcze dodatkowo nakręcać Jenny – ale była na niego wściekła. „Nie mógłby poczekać tych paru

dni?” – pomyślała. Poprosi Malcolma, żeby z nim pogadał i spróbował namówić do zostania na miejscu.

– Słuchaj, Jenny – powiedziała cicho. – Nie możemy zmienić tego, co się stało. Możemy jednak się upewnić, że wszystko będzie zrobione jak trzeba, żeby dziewczynki wróciły z nami do domu. Malcolm odwała kawał roboty, my też musimy się czymś zająć. No chodź, ubierz się, pojedziemy do tego centrum handlowego koło ambasady.

To właśnie tam, kiedy bezmyślnie przerzucały wieszaki pełne nieodpowiednich strojów, Jenny zadała pytanie, które miało wszystko zmienić.

Lesley trzymała w górze malutką, elastyczną sukienkę, która pasowałaby na pięciolatkę, i cmokała z niezadowoleniem.

– A co miały na sobie, kiedy je znaleźli? – zapytała Jenny.

Obie znieruchomiały, wieszaki z grzechotem wróciły na swoje miejsce.

– Nie wiem, Jenny. Ten pułkownik mówił chyba, że owinęły się w jakieś maty, żeby się ochronić przed ogniem, prawda?

– Ale o ubraniach nikt nie wspominał. Nikt nie chciał mi oddać ubrań Rosie. Chcę wiedzieć, co miały na sobie, Lesley. Muszą być jakieś zdjęcia z miejsca zdarzenia. Zadzwoń do Clive’a.

Lesley niezgrabnie wygrzebała telefon i stanęła sztywno jak jeden z manekinów w sklepie.

– Clive, mówi Lesley. Chciałybyśmy się dowiedzieć, co dziewczynki miały na sobie, kiedy je znaleziono. No to zapytaj kogoś. Ktoś musi wiedzieć.

Kobiety przywarły do siebie na chwilę, przepychając się obok ekspedientek do wyjścia.

Telefon Lesley rozzwonił się na hotelowym korytarzu.

– Clive? Poczekaj, aż wejdę do pokoju. Już prawie jesteśmy. Dobra. Czego się dowiedziałeś?

W luksusowo urządzonej sypialni zapadła cisza, która ciągnęła się przez długie minuty – Lesley nasłuchiwała, przyciskając telefon do ucha tak mocno, że został jej ślad na policzku.

Jenny nie odrywała od niej wzroku, próbowała czytać jej z oczu, bezgłośnie błagała o jakąś wiadomość.

Malcolm nie rozumiał, co się dzieje, ale Lesley wiedziała, że zaczeka do końca rozmowy. Wolał skończone historie – nie znosił oper mydlanych, w których akcja urywała się w najbardziej dramatycznym momencie. Syn czasem dla żartów nazywał go widzem sezonowym – seriale oglądał najchętniej w całości.

Lesley rozłączyła się i opadła ciężko na łóżko obok męża.

- Powiedz – poprosiła Jenny, zrywając się z fotela. – Po prostu mi powiedz.
- Były nagie, Jenny.

*Piątek, 22 sierpnia 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Salmond znalazła Sparkesa w stołówce, gdzie grzebał widelcem w oklapłej lazanii.

– Wygląda odrażająco – stwierdziła, zajmując miejsce przy jego stoliku.

– Dzięki – powiedział, odsunął talerz i przykrył resztki posiłku serwetką, żeby nie musieć już na nie patrzeć. – Mam przerwę obiadową, dwadzieścia minut ciszy i węglowodanów. O co chodzi, nie możesz poczekać?

– Nie bardzo – odparła sierżantka poważnie. – Te nasze dziewczyny znalezione w chłodni były nagie.

Sparkes wstał i ruszył do swojego gabinetu.

Salmond zrelacjonowała mu rozmowę z rozhisteryzowaną Lesley O'Connor oraz swój późniejszy telefon do ambasady w Bangkoku.

– Zgadza się. Wicekonsul skontaktował się z policją. Potwierdzili, że według protokołu ciała były nagie, a na miejscu zdarzenia nie znaleziono żadnej odzieży.

– Wiedzieli o tym od początku? Nic nie wspomnieli? Jasny gwint. Musimy sprawdzić ten protokół, dowiedzieć się, co jeszcze przemilczeli. Zwykle zaniedbanie gliniarzy czy celowe zatajanie faktów?

– Raczej to drugie – powiedziała Salmond. – Zatajanie czy jak to zwą. Niezbyt pasuje do teorii, że dziewczyny próbowały uciec, co? To otwiera zupełnie nowe możliwości, wszystkie raczej niewesołe.

– Owszem. Co tam się wyrabiało na tej imprezie?

– O to samo zapytała Lesley.

– Co jej powiedziałaś?

– Że dam panu znać i poproszę, żeby pan do niej oddzwonił.

Z początku rozmowa nie przebiegała dobrze. Pierwsza odebrała telefon Jenny Shaw, która nie dawała mu dojść do słowa, bo wygłaszała tyradę o beznadziejnym sposobie prowadzenia śledztwa, o kłamstwach i zaginionych dowodach. Czekał, aż rozmówczyni się zmęczy, i robił sobie notatki.

– Proszę pani? – rzucił w ciszę, która zapadła w słuchawce.

– Jestem, słucham – mruknęła. – Wszyscy słuchamy. Przełączę pana na głośnik.

– W porządku. Dlaczego zapytaliście o to policję? Macie mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Nie, nie wydaje mi się. Kupowałyśmy z Lesley ubrania dla dziewczynek na podróż do domu. Przypomniała mi się sukienka, którą córka kupiła tuż przed wyjazdem. I zaczęłam się zastanawiać, czy miała ją na sobie w chwili śmierci. Nie wiem dlaczego. Ostatnio dręczą mnie strasznie dziwne myśli.

– To była świetna myśl. Być może to krok w kierunku odkrycia prawdy o tym, co się tam tak naprawdę wydarzyło.

– Tyle że tutejsza policja wcale nie chce jej odkryć. Zamknęli sprawę.

Lesley włączyła się do rozmowy.

– Nie chcą nas słuchać, panie komisarzu. Pojechaliśmy na komendę porozmawiać z pułkownikiem, ale jest niedostępny. Wszedł do nas jakiś niższy stopniem funkcjonariusz i się uśmiechnął. Upierał się, że akt zgonu to ich ostatnie słowo w tej sprawie. Poprosiliśmy o kopię protokołu, ale odmówił. Podejrzewam, że mogą tam być inne rzeczy, których nie chcą nam mówić – tłumaczyła Lesley. – Kiedy naciskaliśmy, żeby nam wyjaśnili, dlaczego były nagie, powiedział w końcu: „Może się rozebrały, bo było im za gorąco?”.

Sparkes jęknął.

– Serio?

– Wydaje mi się, że powiedziałby cokolwiek, żeby się nas pozbyć.

– Postaram się przedyskutować tę sprawę z policją w Tajlandii – powiedział Sparkes. – Powinni państwo wiedzieć, że będę prowadził śledztwo w sprawie śmierci państwa córek. Omówiłem najnowsze doniesienia z koronerem okręgu West Hampshire i poprosił mnie, żebym się tym zajął.

– Bogu dzięki – powiedziała Lesley.

– Oczywiście to bardzo ważne, żeby ciała nie zostały skremowane w Bangkoku. W przeciwnym razie nie będziemy mogli przeprowadzić sekcji. Na pewno państwo wiedzą, że przed repatriacją zwłoki się balsamuje, co może pomóc zachować ślady wskazujące na to, jak dziewczęta zmarły.

Słuchawkę przejął Malcolm.

– Właśnie to wszystko załatwiam, panie komisarzu. Skontaktuję się z panem, jak tylko będę znał datę powrotu.

– Dziękuję! – zawołała Lesley z drugiego końca pomieszczenia. Nie tylko z tego powodu jej głos brzmiał jakby z oddali.

– Mają państwo jeszcze jakieś pytania? – zapytał raczej z przyzwyczajenia niż z chęci przedłużenia tych męczarni.

– Nie. Dopiero po powrocie do domu – odparła.



## Rozdział 36

*Poniedziałek, 1 września 2014 roku*

# MATKA

Siłą woli zmusiła się do tego, by skupić się na sprowadzeniu Alex do domu, wyrzuciła z umysłu wszystkie pytania i koszmary ostatnich dni w Bangkoku. Zamknęła się na wszystko z wyjątkiem tej jednej wąskiej działki, uparcie ignorowała coraz bardziej sensacyjne nagłówki o nagich ciałach dziewczyn i o Jake’u Watersie („Mroczna prawda o »bohaterskim wybawicielu«”, „Narkotyki zrobiły potwora z »bohatera«”) oraz pozornie niezobowiązujące pytania kilkorga ostatnich reporterów pozostałych w hotelu.

Przez wiele dni nie potrafiła wybiec myślami w przyszłość dalej niż do chwili lądowania na Heathrow. Gdy jednak w końcu otworzyli drzwi kluczami, które miała wciśnięte do bocznej kieszeni torebki, poczuła, że coś w niej pęka. Wróciła do prawdziwego życia – świata, w którym co rano wychodziła do pracy w agencji nieruchomości, co tydzień jechała na zakupy do supermarketu i zaglądała do pubu na quiz, podśpiewywała z radiem, prasując koszule Malcolma. Ale teraz to wszystko już nic dla niej nie znaczyło. Czuła się jak aktorka na scenie teatralnej. Jak automat otwierała kolejne koperty ze stosu poczty na kuchennym blacie, udawała, że czyta listy z banku i ubezpieczalni.

Potrzeba odkrycia prawdy o tym, co stało się z Alex, dudniła jej w głowie jak ryk wzburzonego oceanu, brzęczała w uszach.

Musiała znaleźć dowody zignorowane przez Tajlandczyków, by pokazać, że ktoś zrobił krzywdę jej córce.

Odurzono ją narkotykami? Zgwałcono? Zostawiono w ogniu na pewną śmierć?

Przyłapała się na tych myślach i siłą odciągnęła samą siebie znad krawędzi szaleństwa. Musiała być teraz silna. „Nie mogę cię uratować, moja kochana córeczko – zwróciła się do Alex. – Ale umówiliśmy się z tatą, że nie spoczniemy, póki nie poznamy prawdy. Sprawiedliwości stanie się zadość”.

Lesley nie wiedziała, jak właściwie będzie wyglądała ta sprawiedliwość – już nawet nie przebywali w tym samym kraju, w którym to wszystko się stało. Wydawało się jednak, że inni rozumieją tak postawiony cel, zwłaszcza prasa. Napisali o planowanym śledztwie koronera w Hampshire, zdjęcia trumien trafiły na jakąś czołówkę, ale temat stopniowo przesunął się na dalsze strony. Na horyzoncie majaczyły już konwencje partii politycznych, kalendarz newsowy toczył się własnym rytmem. Sezon ogórkowy, o którym wspominała Kate, został zwinięty i schowany na przyszły rok niczym ręczniki plażowe.

– Mamy akty zgonu z Tajlandii – powiedział Malcolm funkcjonariuszce z biura koronera, zaskakująco pogodnej kobiecie w kolorowej wzorzystej sukience, kiedy dzień po powrocie zasiedli w jej gabinecie w Winchesterze. – Zleciłem przetłumaczenie wszystkich dokumentów.

– Na imię mi Hilary, proszę się tak do mnie zwracać. Bardzo dobrze. Mam już kopie od zakładu pogrzebowego – powiedziała, krążąc po pokoju i szeleszcząc papierami.

– Musimy się dowiedzieć, co się stało – usłyszała Lesley swoje słowa, jakby dobiegały z innego pomieszczenia.

– Oczywiście.

A Lesley przyłapała się na tym, że próbuje zidentyfikować ptaki fruujące na sukience Hilary. „Żurawie? Czaple?”

– A co do pogrzebu... – zaczął Malcolm.

– Przykro mi, ale nie możemy wydać ciała Alex aż do zakończenia wszystkich czynności śledczych. – Nachyliła się do przodu i poklepała go po ręce. – Zajmiemy się tym jak najszybciej. Sekcję zaplanowano na koniec tego tygodnia.

Po przyjeździe do domu Lesley położyła się do łóżka i przepłakała resztę poranka z twarzą zagrzebaną w wilgotnej poduszce, aż w końcu Dan przyniósł jej herbaty na pocieszenie i załamał się na jej widok. Zmusiła się do opanowania.

„Nie będę już płakała aż do pogrzebu Alex” – obiecała sobie później, sięgając po ścierkę, żeby wytrzeć naczynia stojące na suszarce.

Jenny i Mike usłyszeli dokładnie to samo podczas identycznego spotkania. Lesley zgłosiła Malcolma na ochotnika, żeby im towarzyszył – na wypadek gdyby potrzebny był mediator – ale Fran, siostra Jenny, przyjechała skądś z północy kraju, żeby im pomóc.

– To dobrze – stwierdziła Lesley. – Potrzebni ci teraz bliscy.

– Ona w ogóle nie przestaje gadać – poskarżyła się Jenny. – Przez cały ten czas nie będę miała ani chwili dla siebie. – Lesley zgromiła ją wzrokiem, więc dodała niezbyt przekonująco: – Wiem, że ma dobre intencje.

Fran powtórzyła O'Connorom calutką rozmowę Shawów z funkcjonariuszką. Lesley kilkakrotnie próbowała jej przerwać, mrużąc pod nosem: „Tak, nam powiedziała to samo”, ale Fran nie zamierzała dać się przyćmić.

– A jak Mike? Jak on sobie radzi? – zapytała Lesley. Według Fran bezpośrednio po spotkaniu zniknął i wrócił do swojego nowego życia.

Jenny, która nie powiedziała jeszcze ani słowa od chwili powrotu, nagle jakby ożyła.

– Kto go tam wie? Wygląda, jakby żałował, że w ogóle musi tam być.

– On też stracił córkę, Jenny – powiedziała Fran, beztrosko stąpając po cienkim lodzie.

– Stracił ją już dawno temu, kiedy ją porzucił. Nie chcę o nim rozmawiać. To wszystko jego wina.

Malcolm wziął do ręki filiżankę.

– Komuś drugą kawę? – zapytał. – Zostało jeszcze w kawiarni.

Fran spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Chętnie. Uwielbiam prawdziwą, parzoną kawę, a ty, Malcolmie? – Wyszli razem, a ona nie przestawała gadać.

Lesley próbowała nawiązać rozmowę z Jenny, ale tamta unikała jej wzroku.

– To nie jest wina Mike'a, Jenny – powiedziała. – Przecież o tym wiesz. Ale rozumiem, że jesteś wściekła i zrozpaczona. Ja też.

Jenny zapadła się w fotelu.

– Nie zginęłaby, gdyby nie pojechała. A nie pojechałaby, gdyby nie dał jej pieniędzy.

– Jenny...

– Wiem, wiem – warknęła Jenny. – Zachowuję się nieracjonalnie.

Lesley spuściła głowę i wbiła wzrok w swoje dłonie. To niewłaściwa pora.

– Najgorsze jest to, że Fran ciągle o nim nawija – ciągnęła. – Rozdrapuje rany. Jak Mike musi się czuć, jak mu pewnie smutno. On powinien być tu ze mną, Lesley.

Wyglądała na równie zszokowaną jak Lesley, kiedy wypsnęła jej się prawda.

– Mówiłaś mu, co czujesz? – zapytała szybko Lesley.

– Nie. Nie mogę znieść myśli, że Imogen podniesie słuchawkę.

– No to poproś Fran, żeby zadzwoniła i zdobyła numer komórki.

Jenny pokiwała głową.

*Poniedziałek, 1 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**B**iała, ręcznie zaadresowana koperta była ciągle wilgotna, kiedy podniosłam ją z wycieraczki – pewnie przeleżała deszczowy poranek w torbie listonosza, bo atrament się rozmazał. Otworzyłam ją bez namysłu, kciuk sam znalazł słaby punkt przyklejonego skrzydełka i rozdarł papier, podczas gdy ja pobieżnie przeglądałam resztę poczty.

– Świetnie – powiedziałam na widok pierwszego zdania i usiadłam przy stole w kuchni. – Mandat za szybką jazdę, niech to szlag. – Odrzuciłam list na bok. Ostatnia kropla do czary goryczy tego okropnego dnia.

Dopiero Steve przeczytał pismo porządnie, kiedy godzinę później wrócił do domu.

– Cześć! – zawołał, przekrzykując serwis informacyjny w radiu nastawionym na cały regulator. Chciałam słyszeć je z każdego miejsca w domu. – Katie, ścisz to, na litość boską! Słyszać to chyba na całej ulicy.

Wystawiam głowę z kuchni i pokazuję mu język.

– Oho, pan Radosny wrócił do domu. Kiepski dzień?

Chrząka groźnie. Bez wątpienia miał fatalny dzień. Nauczyłam się interpretować wszystkie jego odgłosy. Przez dwadzieścia pięć lat ucho idealnie mi się dostroiło do wszystkich sygnałów niewerbalnych mojego męża.

– U mnie tak samo. Napijmy się wina i wzniesmy toast za uzalanie się nad sobą – mówię, całując go delikatnie. Ostatnio więcej pijemy. Próbujemy stłumić panikę, która kipi tuż pod powierzchnią.

Siada ciężko, ze zmęczenia ma wielkie wory pod oczami.

– Dwanaście godzin na nogach. Okropnie napakowany grafik operacji – mówi.

Postanawiam zmilczeć. W porównaniu z jego problemami moje wydają mi się żałosne. W pracy dostaję tylko łatwe zadania, Terry trzyma mnie z dala od czegokolwiek poważniejszego. Uparłam się, żeby wrócić, argumentując, że i tak nie będę się zajmować pożarem, a poza tym mnie potrzebują.

„Raczej nie narzekasz na nadmiar pracowników, Terry – powiedziałam. – Jeśli chcesz, mogę się zająć choćby przeredagowywaniem. Muszę coś zrobić”.

Naczelnny wezwał mnie do siebie pierwszego dnia po moim powrocie – na krótką pogawędkę, żeby zapewnić mnie o tym, jak ważna jestem dla gazety – ale od tamtej pory mnie unika. A moje nazwisko nie pojawia się w druku.

„Lepiej przez jakiś czas się nie wychylać, Kate” – poradził mi Terry. Ostatni tydzień spędziłam więc na taśmowej produkcji tekścików o niczym oraz użeraniu się z agentami celebrytów tłumaczącymi mi, co mogę napisać, a czego absolutnie nie.

– Wygrałeś. Miałeś gorszy dzień – mówię.

Steve wbija wzrok w wino.

– Zdrówko – mówię, stukając kieliszkiem w jego kieliszek sauvignon blanc, i oboje bierzemy po dużym łyku. – No dobra, co chcesz na kolację? Jest jeszcze resztką tej zapiekanki rybnej. Albo możemy coś zamówić.

– Wszystko mi jedno – mówi Steve. – Zjem cokolwiek. Wyglądasz na padniętą, Kate.

– Bo jestem – burczę. – Wstawię zapiekankę do mikrofal.

– Okej. Były jakieś wiadomości na sekretarce? Coś w poczcie? – pyta jak zawsze, kiedy pierwsza wracam do domu.

– Twoja mama dzwoniła w sprawie niedzieli. Cieszy się na spotkanie i tak dalej. Przypomnienie o ubezpieczeniu mieszkania i od dentysty, niedługo mam przegląd. No i jakiś mandat za szybką jazdę.

– Kate! Znowu? – mówi. – Musisz ciągle jeździć jak Jenson Button? Wydajemy majątek na te mandaty.

– Siedź cicho i pij wino – odszczekuję. – Zresztą może to twój. Nie czytałam do końca.

– Gdzie masz ten mandat?

Znajduję oklapłą kopertę na blacie, podaję mu i zaglądam do lodówki w poszukiwaniu warzyw, których zapomniałam kupić.

– No i co? – pytam. – Kto tym razem zawinił?

– Jake – odpowiada Steve.

Odwracam się i gapię na niego z niedowierzaniem. Steve jakby na dowód podnosi kartkę z pismem.

– To mandat dla niego. Dwudziestego szóstego sierpnia nasz syn miał jechać z prędkością stu trzydziestu jeden kilometrów po autostradzie A3. W zeszłym

tygodniu. Wynajęty samochodem. Wypożyczalnia przesłała mu mandat.

– Jake? – powtarzam. Nie usłyszałam właściwie nic innego.

– Jake – potwierdza Steve i bierze mnie za rękę.

– Wrócił do domu...

## Rozdział 38

*Wtorek, 2 września 2014 roku*

# DETEKTYW

Pojechali z Salmond spotkać się z rodzinami dzień po ich powrocie. Trumny przewieziono samochodami chłodniami do „zakładu” – eufemistyczne określenie na kostnicę w rozmowach z cywilami – a dwie matki wreszcie mogły zabrać głos. Wyraźnie długo wyczekiwały tej chwili. Domyślał się jednak, że z pewną obawą.

– Jak dobrze porozmawiać z detektywem, który zna się na rzeczy – zaczęła Lesley.

Sparkes uśmiechnął się zachęcająco, ale miał nadzieję, że rozmowy nie zmonopolizuje narzekanie na zagraniczne służby mundurowe. „Wysłuchamy ich do końca bez osądzania i wyciągania pochopnych wniosków – powiedział wcześniej Salmond. – Ale rodzice nie byli bezpośrednimi świadkami zdarzeń, więc nie zapominajmy, że mamy do czynienia z informacjami z trzeciej ręki”.

Malcolm O’Connor siedział i przytakiwał żonie i sąsiadce, które przedstawiały wszystkie znane sobie fakty. Albo to, co uważały za fakty, pomyślał Sparkes. „Trudno obiektywnie ocenić, co jest dowodem, a co nie, kiedy w grę wchodzi tak silne emocje”.

– Jak już mówiliśmy panu przez telefon, nie miały na sobie ubrań, kiedy je znaleziono – mówiła Lesley O’Connor, odhaczając „fakty” na palcach dłoni – ale tamtejsza policja odmawia wszczęcia śledztwa w sprawie ewentualnej napaści seksualnej.

Sparkes zauważył, że na tę wzmiankę Malcolm O’Connor odruchowo spojrzął na sufit.

„Nie może znieść tej myśli. Dla ojców to zawsze trudne” – przemknęło Sparkesowi przez głowę. Widział, że Lesley nic nie zauważyła. Za bardzo pochłaniało ją wyszczególnianie wszystkich błędów tajlandzkiej policji.

– Odgrodzili miejsce zdarzenia zaledwie na dwadzieścia cztery godziny, a potem każdy mógł tam wejść i zdeptać dowody. Absolutny brak profesjonalizmu. Nawet nie próbowali szukać świadków. Nie zgłosił się nikt, kto brał udział w tej rzekomej imprezie. To przecież pensjonat, musieli tam mieszkać jeszcze inni ludzie, ale wiadomo tylko o jednej osobie, Jake’u Watersie – wypluła to jak przekleństwo – a on zbiegł.

– Nie jestem pewny, czy określenie „zbiegł” jest tu najbardziej na miejscu, proszę pani. – Sparkes uniósł dłoń, żeby ją powstrzymać. – Jake Waters wypisał się ze szpitala, a od tamtej pory nie miał kontaktu ani z rodziną, ani z policją. Może nie wiecie, że w ogóle chcemy z nim rozmawiać.

– No to chyba wylądował na bezludnej wyspie.

– Z tego, co mi wiadomo, w tamtej części świata jest to całkiem możliwe – powiedział Sparkes oględnie.

– Panie komisarzu, przecież cały internet o tym trąbi. Dziennikarze uważają, że powinien się wytłumaczyć z kilku spraw – wtrąciła Jenny.

„Na szczęście to nie oni wydadzą wyrok – pomyślał. – Strach pomyśleć, co by było, gdyby oficjalnie założyli peruki i togi”.

– Poza tym dziewczynki zostały zniesławione przez tajlandzką policję. Zrobili z nich imprezowiczki, żeby zrzucić na nie winę i przykryć prawdę. Nie widzi pan tego?

Lesley coraz bardziej podnosiła głos, wyrzucając z siebie oskarżenia, a przy ostatnim błagalnym pytaniu już prawie stała. Malcolm O’Connor złapał ją za przedramię i delikatnie pociągnął z powrotem na miejsce.

– Rozumiem państwa zdenerwowanie – powiedział Sparkes. – Chcecie poznać prawdę. Wszyscy tego chcemy. I odkryjemy ją. Wyniki sekcji zwłok pomogą nam ustalić okoliczności śmierci państwa córek.

Wzmianka o sekcji zwłok wszystkich uciszyła, a Lesley wybuchnęła płaczem.

– Nie mogę tego znieść – szlochała. – Wiem, że musicie to zrobić, ale nie chcę, żeby ktoś znów dotykał Alex. Dotykali jej już policjanci, balsamistki, pracownicy prosektorium i zakładu pogrzebowego. No i ktoś w pensjonacie. Ktoś rozebrał Alex i Rosie, zawiązał je w maty kokosowe. Ale co jeszcze zrobili? Nie mogę przestać myśleć o dłoniach na jej skórze. I nie mogę w żaden sposób ich powstrzymać.

– Ale trzeba to zrobić i już, kochanie – stwierdził stanowczo Malcolm. – Też wolałbym, żeby było inaczej, ale to jedyne dowody, jakimi dysponujemy. W pewnym sensie to Alex ma klucz do tego, co się wydarzyło.

– Rosie też – dodała Jenny. – Chciałyby, żebyśmy poznali prawdę, nie sądzicie?

– Tak, Jenny – odparł Malcolm. – Chciałyby tego.



Sparkes słuchał, jak wszystko racjonalizują, żeby się nie załamać.

- Gdzie się podziewa Jake Waters? – zapytał Sparkes po powrocie na komisariat.
- Co on tam widział?
  - Pewnie jest gdzieś w Azji – odparła Salmond niepotrzebnie.
  - Tego nie wiemy. Musimy porozmawiać z jego matką, upewnić się, że się z nią nie kontaktował.
  - Myślałam, że już pan to zrobił – rzuciła Salmond wymownie.
  - Oficjalnie nie. Nie w ramach śledztwa. Musimy na bieżąco się orientować w sytuacji w Bangkoku. Może mają jakieś nowe wieści, ale nikomu ich nie przekazali. Nawiaż kontakt z tamtejszą policją, a ja pogadam z tym kumplem z Interpolu. Musimy też mieć wgląd we wszystkie mejle, esemesy, wiadomości na WhatsAppie, posty na Facebooku i tweety Alex O’Connor i Rosie Shaw. Rodzice dali nam hasła, prawda?
    - Alex tak, miała jedno hasło do wszystkiego. Jenny Shaw powiedziała, że nie zna haseł Rosie.
    - No to zacznijmy od Alex.
    - Już się robi – powiedziała i wymaszerowała z gabinetu.

Kiedy wróciła, wyglądała na znękaną.

- Collins przekopuje się przez internet, jest w tym świetny.
- Bogu dzięki, że mamy kogoś takiego – skwitował Sparkes ze śmiechem. – A jak ci z Tajlandii?
  - Pułkownik Prasongsanti z wydziału kryminalnego policji w Bangkoku nie ma żadnych informacji na temat miejsca przebywania Jake’a Stephena Watersa, urodzonego piętnastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku – wyrecytowała Salmond.
  - Dobra, to przedzwonię do Kate Waters. Nie będę zaraz jechał taki kawał drogi, żeby się dowiedzieć, że nie miała z nim kontaktu.
  - Może ja powinnam zadzwonić, komisarzu. Byłoby bardziej... oficjalnie.
  - No to dzwoń. – Sparkes podyktował jej telefon ze swoich kontaktów, a sierżantka wstukała numer i włączyła tryb głośnomówiący.
  - Kate Waters, słucham. – Brzmiała całkiem rześko.
  - Dzień dobry, mówi sierżant Zara Salmond z policji w Hampshire.
  - Hampshire? – Sparkes słyszał w jej głosie, że próbuje się zorientować w sytuacji. – Koleżanka komisarza Sparkesa? Spotkałyśmy się już kiedyś, prawda? Chyba ze dwa lata temu. Może w sądzie?
    - Tak, zgadza się. To była sprawa tego noworodka z placu budowy, o ile dobrze pamiętam. Proszę pani, dzwonię w związku z naszym śledztwem

w sprawie zbadania okoliczności śmierci Alex O'Connor i Rosie Shaw.

Cisza.

– Halo?

– Przepraszam, jestem. Musiałam tylko odejść od biurka. Myślałam, że śledztwo zostało zamknięte.

– W Bangkoku owszem, ale ciała dziewcząt sprowadzono do kraju i koroner poprosił nas o wszczęcie dochodzenia.

– Oczywiście, przepraszam, zapomniałam, jak to działa. W takim razie czym mogę służyć?

– Chcielibyśmy namierzyć pani syna Jake'a – powiedziała Salmond gładko.

– Też bym chciała – mruknęła Kate.

– Porozmawiać z nim o tamtym pożarze w Bangkoku.

– Nie wiadomo nawet, czy on na pewno tam był – odparła Kate pełnym napięcia głosem.

– Dlatego właśnie musimy z nim porozmawiać, dowiedzieć się, gdzie był. Może okazać się ważnym świadkiem.

– Jasne.

– Miała pani jakiś kontakt z synem? Domyśla się pani, gdzie on może teraz być?

– Czy Bob Sparkes wie, że pani do mnie dzwoni? Kontaktowaliśmy się już w tej sprawie.

– Tak, komisarz Sparkes wie o naszej rozmowie.

– Wolalabym porozmawiać z nim, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

Sparkes pokręcił głową.

– Obawiam się, że w tej chwili komisarz jest niedostępny – odparła Salmond zwięźle i zasadniczo. – No to jak, syn się do pani odzywał?

Króciuteńkie zawahanie.

– Nie.

Sparkes nabazgrał: „A do innych?” na jakimś świstku i zamachał nim Salmond pod nosem.

– A do kogoś innego się odzywał?

Znowu chwila ciszy.

– Nie jestem pewna – odparła Kate.

– Jak to nie jest pani pewna?

– Nie jestem pewna, czy to ma jakieś znaczenie, ale doszły mnie słuchy, że może być z powrotem w Anglii.

Brwi Sparkesa podjechały aż pod włosy.

– Skąd się pani o tym dowiedziała? – spytała Salmond.

– Dostał mandat za przekroczenie prędkości.

*Środa, 3 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Sierżant Salmond chciała, żebym przyjechała natychmiast, ale poprosiłam o przełożenie na dzisiejszy ranek. Zwróciłam jej uwagę, że dzieli nas kilka godzin drogi, a ja mam do skończenia artykułu. Nie dodałam, że piszę jakieś bzdury o najgorętszych sierpniach w historii. Chciałam zachować przewagę.

Umówiliśmy się na dziś na jedenastą. Powiedziałam Terry'emu, że mam wizytę u lekarza, a on nie protestował. I tak chce się mnie pozbyć z redakcji.

Powrót okazał się znacznie trudniejszy, niż to sobie wyobrażałam. Steve mnie ostrzegał, ale ja tak bardzo się cieszyłam na powrót na stare śmieci, do przyjaciół i kolegów z pracy. Doświadczenia z Tajlandii odcisnęły jednak na mnie swoje piętno. Zaczęłam podejrzliwie traktować nawet niewinne rozmowy.

– Musisz być załamana, Kate – powiedziała Gail, jedna z publicystek, którą znam od czasów kursu stenografii. Przytuliła mnie. – No i biedny Jake. Wypisują o nim takie okropne rzeczy.

Poczułam, że sztywnieję, jakbym czekała, aż współczucie i litość przerodzą się w przesłuchanie.

Problem w tym, że po prostu nie potrafimy się opanować. Chcemy wiedzieć wszystko, wiem, że sama zadawałabym te same pytania: „Wiedziałaś o tej aferze z uczelnią? Jak myślisz, co on tam robił przez cały ten czas? Myślisz, że mógł mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią tych dziewczyn?”.

Kiedy się okazało, że nie dostarczę im żadnych informacji, ludzie zaczęli się wycofywać i teraz rozmawiali o mnie zamiast ze mną. Zaczęła mnie męczyć ta krępująca atmosfera. Wchodziłam gdzieś i rozmowy natychmiast cichły.

Dostałam paranoi, wydawało mi się, że ludzie odwracają wzrok i udają, że są zajęci. Nie mogłam zdecydować, czy to dlatego, że ich zdaniem Jake jest złym człowiekiem, czy że myślą tak o mnie.

Ciągle zadaję sobie te same pytania. Szukam odpowiedzi, codziennie piszę do niego mejle, błagam, żeby się odezwał. Miałam nadzieję, że może Freddie coś wie, ale twierdzi, że nie. Wysłaliśmy go z powrotem na uczelnię – deklarował, że może zostać, ale raczej niechętnie. Musi wrócić do normalnego życia. Tutaj i tak nic nie mógłby zrobić, siedziałby tylko w domu i próbował nas pocieszać. To dobry chłopak, ale cierpliwość nie należy do jego mocnych stron. Wydaje mi się, że wykańczało go czekanie na nowe wieści. Po jakimś czasie tylko chodziliśmy za sobą z pokoju do pokoju, bez przerwy parzyliśmy herbatę i oglądaliśmy *Targowisko antyków*, żeby nie musieć rozmawiać. Nie można przecież w kółko powtarzać: „Nie wierzę, że to się dzieje”.

Uciezka w banały wydawała się najłatwiejsza. Atmosfera jednak coraz bardziej się zagęszczała od niewypowiedzianych słów. Czasem się zastanawiałam, czy Freddie w głębi serca nie odczuwa złośliwej satysfakcji – oto duma rodziny, złoty chłopak spadł z piedestału – ale obwiniałam się za takie myśli. Przecież on kocha brata.

O ironio, najlepiej dogaduję się z reporterem, którego właściwie mogłabym obwiniać o złą sławę Jake’a. Joe przynosi mi kawę i najnowsze redakcyjne plotki.

Postanowiłam trzymać się jak najbardziej na uboczu, dopóki się to wszystko nie przewali. Dopóki koroner nie orzeknie śmierci w wyniku nieszczęśliwego wypadku i będzie można pochować dziewczyny. Wtedy dopiero wpędzę ich w poczucie winy za to, że go podejrzewali. Kiedy będzie już po wszystkim.

Steve z ulgą przyjął wiadomość o telefonie z komisariatu w Hampshire. Chciał zadzwonić do nich od razu, kiedy dostaliśmy mandat, ale go powstrzymałam.

– To pewnie jakaś pomyłka. Zadzwonię do wypożyczalni. A jeśli to naprawdę on, jest szansa, że się do nas odezwie. Albo wróci do domu. Nie zrobi tego, jeśli zgłoszę to policji, a sprawa wycieknie do mediów. Znowu będzie sensacja. Zaczekajmy, proszę.

Od razu zatelefonowałam do wypożyczalni samochodów i czekałam na połączenie, słuchając odtwarzanych w kółko największych hitów Vivaldiego. Niestety, nie w interpretacji Nigela Kennedy’ego. W głowie miałam tylko Jake’a, a wygładzając zagięcia leżącej na biurku kartki z oficjalnym pismem, głaskałam palcem jego imię. Powtarzałam sobie, że to musi być jakaś pomyłka administracyjna. Upierałam się przy tym. A Steve poszedł w moje ślady, bo żadne z nas nie mogło znieść bólu, z jakim wiązałoby się przyznanie przed sobą, że nasz syn wrócił do kraju i nic nam nie powiedział, nie próbował się z nami skontaktować. No więc lepiej uznać to za błąd systemu.

W słuchawce w końcu odezwała się pracowniczka wypożyczalni, więc wyłuszczyłam sprawę.

– Dostałam od państwa list – powiedziałam. – Podobno mój syn przekroczył prędkość, jadąc jednym z państwa samochodów. Tyle że on jest teraz w Tajlandii, to musi być jakiś błąd.

– Czy może pani podać numer wypożyczenia?

Dziesięć długich minut później kobieta porzuciła zatroskany acz profesjonalny ton na rzecz trybu „nic nie wiemy i co nam pani robi”. Zaczęła w każdym zdaniu powtarzać „proszę pani”, co nigdy nie jest dobrym znakiem, i kurczowo trzymała się oficjalnego stanowiska, że mandat za szybką jazdę to sprawa policji.

– Proszę pani, obawiam się, że nie mogę powiedzieć nic więcej, o ile pani syn się do nas nie zgłosi.

– Ale on jest w Tajlandii.

– Będzie musiał wyjaśnić tę sprawę z policją, proszę pani. To oni wystawili mandat, nie my. My tylko przekazujemy korespondencję osobom, które wypożyczały samochód.

– Rozumiem.

– Czy mogę czymś jeszcze pani służyć?

– To ma być żart?

Na linii zapadła głucha cisza.

Ciągle jeszcze obmyślałam następny krok, ale sierżant Salmond zadała mi bezpośrednie pytanie i nie mogłam skłamać.

Mam ten list w torbie. Z kopertą włącznie. Ale domyślałam się, że sierżantka już się kontaktowała z wypożyczalnią. Przez telefon sprawiała wrażenie sumiennej policjantki.

Teraz wita mnie w recepcji komisariatu i prowadzi do pokoju przesłuchań. Bob Sparkes już tam siedzi. Podnosi wzrok znad teczek z aktami i uśmiecha się do mnie.

– Cześć, jak się jechało?

– Dobrze, dzięki... – Chcę powiedzieć „Bob”, ale nagle wyczuwam, że to byłoby nie na miejscu. Postanawiam w ogóle się do niego nie zwracać.

Zresztą i tak to sierżant Salmond zadaje pytania.

– Kiedy otrzymała pani pismo z firmy wynajmującej samochody?

Jako detektywka na pewno już zdobyła tę informację, ale postanawiam grać w jej grę.

– W czwartek. Listonosz przyniósł je z poranną pocztą, ale zobaczyłam je dopiero po powrocie z pracy. Myślałam, że to do mnie. Czasem dostaję...

– Kiedy się pani zorientowała, że to ma związek z pani synem?

– Trochę później. Mój mąż zauważył jego imię.

– Ale nie skontaktowali się państwo z policją?

Zerkam na Boba Sparkesa, ale on zachowuje kamienną twarz i patrzy na jakąś kartkę.

– Nie mogłam uwierzyć, że to prawda. Chciałam się najpierw skontaktować z wypożyczalnią, upewnić się, że to nie pomyłka. Oczywiście nic mi nie chcieli powiedzieć. Twierdzili, że mogą rozmawiać tylko z Jakiem. I że to sprawa dla policji.

– Owszem. Syn się z państwem kontaktował?

– Nie. Nie – powtarzam, bo długo mierzy mnie spojrzeniem. – Powiedziałabym wam.

– Tak jak powiedziała pani o mandacie?

– No dobrze, to był błąd. Przepraszam.

– To ważne, Kate – mówi Bob, a ja kiwam głową.

– Czy w wypożyczalni podali wam jakieś informacje potwierdzające tożsamość Jake’a? – pytam.

– Wylegitymował się swoim prawem jazdy, karta kredytowa też była na niego.

– Ciągłe ma ten samochód?

– Nie, ten został zwrócony – odpowiada Salmond.

– Czyli wypożyczył inny?

Sparkes się uśmiecha.

– Umysł jak brzytwa, Kate. Tak. Wynajął inne auto. W tej chwili go szukamy... i auta, i Jake’a.

– A co będzie, jak już go znajdziecie?

– Zapytamy, co widział i słyszał tamtej nocy, kiedy w pensjonacie wybuchł pożar.

– Jeśli tam był.

– Oczywiście. Proszę pamiętać o zapłaceniu mandatu. – Salmond głośno zatrzasnęła notatnik.

*Bangkok, dzień 16 (poniedziałek, 11 sierpnia)*

To ci Holendrzy zaczęli. Głupie zabawy przy chlaniu. Od razu było widać, że od rana żłopiają piwsko, pewnie chang z tych wielkich butli, ale chcieli się zabawić – oznajmili to, kiedy w końcu przyjechali pod pensjonat z butelką bez żadnej etykiety.

– Dzisiaj wyjeżdżamy. Chcemy imprezę pożegnalną!

Alex się niepokoiła. Mieli czerwone, spocone twarze, wyglądali groźnie, jakby coś się szykowało. Przebiegali wzrokiem po dziewczynach, a potem patrzyli na siebie, jakby mieli jakiś plan. Posłała Rosie ostrzegawcze spojrzenie, ale ona się tylko roześmiała, a Lars otoczył ją ramionami i głośno pocałował w policzek.

– Moja piękna Angielka – wyśpiewał jej w twarz. Ciągłe ją obejmował i Alex zauważyła, że koleżanka bezskutecznie próbuje się wyswobodzić.

– No weź, Lars – powiedziała. „Przewodnicząca klasy”. – Co tam macie w tej butelce?

– Facet mówił, że to tequila. – Diederik beknął, po czym zatkał sobie usta dłonią.

– Uwaga, on się zaraz porzyga – ostrzegła i zaczęła go popychać w stronę ubikacji. Lars puścił Rosie i pomógł Alex podtrzymać kolegę.

– Nic mu nie jest, spoko.

– Dopiero za chwilę nic mu nie będzie. – Zaprowadziła Diederika do kabiny i zamknęła za nim drzwi. „Nie trzeba mu trzymać włosów tak jak dziewczynom. Poradzi sobie sam” – przekonywała się w duchu. Odgłosy z toalety potwierdziły jej przypuszczenia i chłopak wkrótce wyszedł uśmiechnięty od ucha do ucha, wycierając usta o nagie przedramię.

– No to jedziemy od nowa! – zawołał i popędził z powrotem do kilkuosobowego pokoju, żeby zacząć nową zabawę.

Kiedy godzinę później przyszedł Jake, Rosie była już w samym staniku i majtkach.

– Kto się, kurwa, zrzygał w kiblu? – zapytał tak lodowato zimnym tonem, że wszyscy się zamknęli. – I co tu się wyrabia? – Patrzył na Rosie, która próbowała się zasłaniać rękami, a Alex zrobiło się jej prawie żal.

Chciała powiedzieć Jake’owi, że próbowała przerwać zabawę, ale koleżanka nie chciała słuchać, wychylała do dna kolejne kieliszki tajemniczego płynu i przegrywała wyzwania... Alex jednak milczała. Miała już dość tłumaczenia się za Rosie.

Poza tym nie była nawet w połowie tak pijana jak koleżanka. Na początku piła równo z nią, bo miała już dość wiecznego bycia tą rozsądną, ale po jakimś czasie, kiedy zaczęło jej się kręcić w głowie, zaczęła wylewać alkohol do stojącego za jej plecami kosza na śmieci, kiedy Holendrzy nie patrzyli. Zresztą ich i tak obchodziła tylko Rosie. Alex obserwowała, jak krążą wokół jej koleżanki, ścisnęła ją w dołku, ale w głębi duszy czuła ulgę, że to nie ona jest na jej miejscu.

Jake był naprawdę wściekły, ale Lars zerwał się wielkim susem na równe nogi i zaczął tańczyć po pokoju: mierzący prawie metr dziewięćdziesiąt uczniak w majtkach z logo Supermana. Nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem. Alex nie mogła się powstrzymać. Wyglądał jak patyczak naćpany crackiem. Rosie włożyła koszulkę, Jake przestał się denerwować. Wziął sobie kieliszek i siadł z nimi na podłodze.

– Znam taką grę – powiedział.

Zapisał ich imiona na kawałkach papierowej serwetki, musieli wylosować po jednym i udawać daną osobę. Reszta miała zgadnąć, o kogo chodzi. Kto źle trafił, musiał wypić kolejkę tequili czy co tam było w tej butelce.

Alex wylosowała Jake'a, więc spokojnie czekała na swoją kolej. Nie musiała mu się przyglądać w poszukiwaniu charakterystycznych cech – już dawno nauczyła się ich na pamięć. Tego, jak prostował okulary, kiedy poważniał, jego krzywego uśmiechu, gryzienia paznokcia lewego kciuka, kiedy się czemuś przysłuchiwał. Reszta bawiła się w najlepsze, coraz głośniej, pajacowali i obrażali się nawzajem. Diederik wylosował Rosie, więc zaczął zrywać z siebie ubrania i flirtować z Larsem, całować go w policzek i czochrać mu włosy. Wszyscy wiedzieli, kogo odgrywa, ale było śmiesznie, więc mu nie przerywali. Rosie śmiała się najgłośniej i Alex wiedziała, że w pierwszym dogodnym momencie koleżanka ulotni się gdzieś z Larsem.

Kiedy przyszła kolej na Jake'a, schylił głowę i obrzucił każdego po kolei spojrzeniem spod rzęs. Ale nie seksownym. Ukradkowym. Jak podglądacz. Alex od razu zgadła i spojrzała na Jamiego, żeby sprawdzić, czy się rozpoznał. Ewidentnie nie miał zielonego pojęcia, o kogo chodzi. Zapytał bezgłośnie: „Kto to?“, więc Alex pokazała na niego i odpowiedziała: „To ty”. Słowo „Ja?” uformowało się na jego wargach, ale ich nie opuściło. Jamie wyglądał na przerażonego. Jak na dłoni widziała jego myśli: „Czy to właśnie widzą, kiedy na mnie patrzą? Czubka?”.

Pozostali zaczęli się nudzić, więc Jake nastroszył sobie włosy, tak że sterczały mu we wszystkie strony, jak Jamiemu każdego ranka. Lars krzyknął: „J.W.!” i tortury się skończyły.

Alex wiedziała jednak, że Jake ich obserwował. Wiedział, kim są naprawdę.



Wiele godzin później, kiedy Jake poszedł dokończyć zmywanie, a Rosie odprowadzała Larsa i Diederika na dworzec autobusowy, Alex siedziała z Jamiem na podłodze pokoju chłopaków. Choć gra się już skończyła, on nie przestawał pić.

Próbowała go spionizować, ale nogi chłopaka odmawiały współpracy, więc w końcu zwalili się szczeni na podłogę i zaczęli tarzać z histerycznego śmiechu. Kiedy doszli do siebie, spojrzał na nią błędnym wzrokiem.

– Kocham cię, Alex – powiedział. Próbowała znowu parsknąć śmiechem, ale jakoś jej się nie udało. – Odkąd zobaczyłem cię w samolocie.

– O czym ty mówisz?

– Uśmiechnęłaś się do mnie w samolocie w drodze tutaj. Nie pamiętasz?

Nie pamiętała, ale doszła do wniosku, że to tylko takie pijackie gadanie.

– Ćśś, Jamie – powiedziała.

Złapał ją za rękę.

– Wiem, że jesteś dla mnie za ładna i za fajna. Jak większość dziewczyn. – Wziął głęboki oddech i nagle jakby coś się w nim odblokowało, słowa popłynęły lawiną: – Pyra, taki jeden gość, z którym robiłem na budowie, mówił na mnie „paszteciarz”. Że biorę się tylko za brzydkie dziewczyny, bo tak jest łatwiej. Chciałem mu wytłumaczyć, że to miłe dziewczyny. Dobrze. Ale słyszałem, że już zaczyna się zabawa. Zabawa „jak rozzłościć Jamiego”. Więc brałem głęboki oddech, tak jak mnie uczyli, śmiałem się razem z nim i wracałem do mieszania tynku. Ale nie mogłem przestać o tym myśleć. Przeglądałem w myślach dziewczyny, z którymi się umawiałem. Nie było ich tak wiele. Ale wybrałem je dlatego, że nie patrzyły na mnie tak, jakby chciały powiedzieć: „Za kogo ty się uważasz, gnojku?”. A ładne i wredne dziewczyny zawsze tak na mnie patrzyły. I nagle nie wiedziałem, za kogo ja się właściwie uważam, jak taki gnojek śmie z nimi rozmawiać. Czułem się przy nich jak zero. Więc przestałem się do nich odzywać. Zacząłem się rozglądać za dziewczynami, które uśmiechały się nerwowo, kiedy do nich podchodziłem w pubie czy klubie. I śmiały się, kiedy do nich zagadywałem, bo bały się odrzucenia tak samo jak ja. Czułem się dobrze, a to znaczy, że to nie mogło być nic złego, prawda?

Alex czuła się przytłoczona potokiem wyznań, ale pokręciła głową.

– Nie, to nie może być nic złego.

– Lubisz mnie, Alex?

Pokiwała głową, nie była w stanie zrobić niczego innego. Chciała powiedzieć: „Bardzo cię lubię jako kolegę, Jamie”, ale przerażała ją ta jego nagła otwartość i bezbronność. Nie mogła go skrzywdzić.

Uśmiechnął się radośnie i powoli osunął bokiem na podłogę. Wzięła z łóżka prześcieradło i go przykryła.

*Czwartek, 4 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

**D**wadzieścia cztery godziny wcześniej Sparkesowi wyskoczyło na ekranie powiadomienie: „SZ Alex O’Connor”.

Nie pamiętał, żeby wpisywał to do kalendarza w Outlooku – zanotował tylko w terminarzu na biurku. „On jest taki analogowy” – niemal słyszał głos Zary Salmond. Pewnie to ona wrzuciła przypomnienie.

Przyszedł do pracy wcześniej, żeby się przygotować. Nie miał problemu z sekcjami zwłok. Traktował je jak każdy inny element tej roboty. Jednak ku jego skrywanej uciezce Salmond zawsze starała się stać w kącie prosektorium („Jak najdalej od głowy”), jeśli już koniecznie musiała tam być. Okazało się, że Wonder Woman, jak na nią mówiono, miała słaby punkt.

O udział w sekcji policję poprosił koroner okręgu West Hampshire, srebrnowłosa, niecierpliwy prawnik, który zawsze próbował maksymalnie przyspieszyć procedurę, ale jednocześnie potrafił oczarować pogrążoną w żałobie rodzinę.

Sparkes nie wiedział, czego się spodziewać po sekcji. Na zabalsamowanym ciele bardzo trudno wykryć ślady napaści seksualnej. Mogło się oczywiście okazać, że nie ma czego szukać. Może doszło do jakiegoś nieporozumienia w kwestii ubrań. Błędu w tłumaczeniu. A brak odzieży był na razie jedynym, co mieli. Tylko poszlaką.

Rodzice chcieli usłyszeć coś innego, więc zastanawiał się, czy pogodziliby się z orzeczeniem przyznającym rację tajlandzkim władzom – że śmierć dziewczyn była nieszczęśliwym wypadkiem – i mogliby już całkiem się skupić na opłakiwaniu córek. Wątpił w to. Ale przynajmniej będą mogli je pochować.

Poprzedniego wieczoru Eileen zaczęła mówić o swoim pogrzebie.

– Chcę, żeby było moje imię ułożone z kwiatów, a ludzie mają śpiewać *Stary krzyż* i załamywać ręce – powiedziała, po czym parsknęła śmiechem na widok jego przerażonej miny. – Żartuję, Bob. Jeśli zaczniesz śpiewać *Stary krzyż*, to usiądę w trumnie. Może lepiej *Ding-dong! Wiedźma nie żyje?*

Próbował podchwycić żart, ale serce pękało mu w piersi.

– No dobra – powiedziała w końcu, odczytując listę trzymaną na kolanach. – Lilie na trumnie. Datki na Cancer Research UK. Wiersz z *Czterech wesel i pogrzebu*, wszystkie zwrotki *Cudownej Bożej łaski*, a na koniec *Starman* Davida Bowiego. – Wyrwała kartkę z notatnika. – Masz, wszystko załatwione.

Z wyjątkiem umierania, pomyślał, a żołądek jak zwykle ścisnął mu się ze strachu. „To absurd – pomyślał, walcząc z falą mdłości. – Przecież tyle razy widziałeś śmierć”.

Zwykle jednak już po fakcie. Widywał ciała. Tym razem miał być świadkiem samej śmierci. I był przerażony. Nie potrafił nawet powiedzieć czym konkretnie. Pielęgniarka paliatywna twierdziła, że wszystko przebiegnie spokojnie. Eileen miała po prostu łagodnie zasnąć. Ale odejdzie. A dla niego rozpocznie się przyszłość bez niej.

Salmond zapukała do uchylonych drzwi, wrywając go z zadumy. Pomacał okolice oczu, na wypadek gdyby znowu nieświadomie się rozpląkał. Czasem mu się to zdarzało. „Nie, oczy suche. Wszystko gra”.

– Pamięta pan, że dzisiaj sekcja O’Connor? – zapytała sierżantka, wtykając głowę przez szparę.

– Wejdźże, na litość boską. Ciągle rozmawiam tylko z twoją głową. Tak, oczywiście, że pamiętam. Przypomnij mi tylko, kto przeprowadza sekcję.

– Aoife Mortimer. Hilary z biura koronera mi powiedziała.

– O, to dobrze. Powinniśmy się zbierać. Ona lubi punktualność.

– Jasne. Tak że ten... Na pewno też muszę jechać?

– Tak. Możesz prowadzić.

Przez całą drogę Salmond ssła mocne miętówki w ramach profilaktyki przeciwko zapachom, od których przewracał się jej żołądek.

– Jak pan myśli, dlaczego w Tajlandii nie zrobili sekcji? Straszne niedbalstwo – zagadnęła.

– Ja bym nie podjął takiej decyzji. Ale poczekajmy, co powie Aoife.

Nie musieli czekać długo.

Kiedy Sparkes i Salmond wkroczyli na galerię dla publiczności w prosektorium, fotografka kryminalistyczna robiła już pierwsze zdjęcia ciała Alex O’Connor.

– Cześć, Bob! – zawołała doktor Mortimer. – Dzień dobry, pani sierżant. Jak się dziś pani miewa? Postawiłam dla pani w kącie taboret. Tak na wszelki wypadek.

Sparkes powstrzymał złośliwy uśmiech i podszedł do przodu, żeby popatrzeć na zwłoki leżące na stole.

– Chryste, balsamiści nie pożałowali formaliny – zauważył. Stężenie płynu wykorzystanego do konserwacji ciała było tak silne, że aż go piekły oczy.

Aoife Mortimer pokiwała głową.

– To może zrobmy szybko odprawę, póki jeszcze da się oddychać.

Sparkes zrelacjonował dotychczasowe ustalenia, poprzedzając każdy fakt słowami „według tajlandzkiej policji”. Patolożka sporządziła notatki, po czym zeszła na salę prosektoryjną, żeby zacząć właściwą sekcję.

Włączyła wyciąg, żeby zabezpieczyć się przed wyziewami formaliny, odłożyła notes na przykryty prześcieradłem stolik za swoimi plecami i podniosła wzrok na Sparkesa – jej oczy były na wysokości jego stóp.

– No dobra – powiedziała. – Zaczynamy?

W całkowitej ciszy obeszła dookoła stół sekcyjny, żeby dokonać pierwszej, wizualnej inspekcji woskowatego, plamistego ciała.

– Zmyjmy jej ten pośmiertny makijaż – poprosiła cicho technika. – Rozumiem, że chcieli ukryć ślady nakłuć igłami z formaliną, ale nakładali to chyba szpachlą – dodała.

Pomarańczowy fluid nadawał martwej dziewczynie dość makabryczny wygląd tancerki kabaretowej.

Sparkes starał się nie oddychać przez nos, kiedy patolożka zaczęła zmywać makijaż z twarzy i szyi Alex O’Connor, odsłaniając skórę.

– To mi wygląda na siniaki. – Aoife Mortimer nachyliła się i odgarnęła włosy dziewczyny do tyłu. – Widzisz, komisarzu? Tu, na szyi, gdzie miała ten podkład.

Wychylił się i spojrzał w dół. W wyniku rozkładu na skórze powstały plamy i przebarwienia, ale wyraźnie widział ciemniejszy deseń sińców i zadrapań.

– Chryste, wygląda, jakby ją ktoś udusił.

Salmond zerwała się z taboretu i podeszła popatrzeć, zasłaniając sobie dłonią usta. Po chwili obróciła się do szefa z niewypowiedzianym „A nie mówiłam?” w oczach.

– Nie rozpędzajmy się – stwierdziła chłodno doktor Mortimer, kiedy zauważyła jej minę. – Muszę przeprowadzić badanie do końca, dopiero wtedy będę mogła wyciągnąć jednoznaczne wnioski.

Podjęła na nowo drobiazgową inspekcję zewnętrzną ciała, a Salmond wróciła do swojego bezpiecznego schronienia, gdzie zaczęła coś notować na tylnej okładce teczki.

Doktor Mortimer przesuwiała się w stronę stóp zmarłej dziewczyny. Przez dłuższy czas obserwowała okolicę wzgórka łonowego, cofała się, a potem znów podchodziła bliżej, przyglądała się uważnie ze wszystkich stron i pod różnymi kątami. Sparkes wiedział, że szuka śladów zaschniętych płynów.

„Dziewczyna opowiada nam swoją historię” – pomyślał Sparkes i pokiwał głową.

*Bangkok, dzień 17 (wtorek, 12 sierpnia)*

To był ciężki dzień, a miało być jeszcze gorzej. Rano wybuchła wreszcie awantura o wyjazd, na którą zapowiadało się od wielu dni. Kiedy jednak Alex weszła do baru, zastała Rosie zajętą flirtowaniem z Jakiem – trzepotała powoli rzęsami w rytm jego żartów. Najwyraźniej dawno już zapomniała o wielkiej miłości do Larsa.

Alex poczuła się tak, jakby ktoś ją spoliczkował. Rosie na pewno wiedziała o jej uczuciach do Jake'a – wspominała o nim parę razy, kiedy były same w pokoju. Próbowwała wybadać, co koleżanka o nim myśli, jak inni go postrzegają. Rosie nie sprawiała wtedy wrażenia szczególnie zainteresowanej, ale teraz nagle nie mogła się od niego oderwać. Ewidentnie nie powstrzymywał jej fakt, że Alex była pierwsza. A Jake wyglądał na zadowolonego.

– Rosie, mówię do ciebie! – krzyknęła Alex.

– Co znowu? Jestem zajęta...

– Właśnie widzę. – Alex podeszła bliżej, odsuwając po drodze krzesła, które piszczały na posadzce. – Wiem, że rozmowa z tobą to jak rzucanie grochem o ścianę, ale musimy dziś kupić bilety. Jak się nie pośpieszymy, to wszystkie tanie się wyprzedadzą.

Rosie wzruszyła ramionami.

– Mamy wyjechać w piątek, po wynikach egzaminów. Tak ustaliłyśmy.

– Sama tak ustaliłaś. Ja chcę zostać. Dobrze się tu bawię. Jake chce mnie zabrać do nowego klubu karaoke. Co nie?

– Tak ci tylko mówiłem, gdzie jest. Ja się tam nie wybieram – wytłumaczył się szybko Jake i wycofał się za bar.

– Jake! – Rosie próbowała zawołać go z powrotem, po czym zwróciła się do koleżanki. – Wszystkich odstraszasz, Alex. Wszyscy mają cię za smutną, żalowaną jędzę. Nie możesz wyluzować i dobrze się bawić?

– Jestem wyluzowana. Chciałabym po prostu zobaczyć większy kawałek Tajlandii. Przyjechałam tu zwiedzać, a nie siedzieć w hostelu, ćpać i rzucać się na wszystko, co się rusza.

– Zamknij się! Świetnie się bawię, a ty nie możesz tego znieść. Masz jakiś problem?

– Mam! Ty jesteś tym problemem! A swoją drogą jak długo jeszcze będziesz mogła się tak „świetnie bawić”, skoro przepuszczasz kasę na drinki w klubach i tatuażu? Wiesz w ogóle, ile ci jeszcze zostało?

Rosie zrobiła minę nadąsanej dziewczynki.

– Pilnuj swojego nosa, Alex. Nie jesteś moją matką.

– Niech ci będzie. Ale ja wyjeżdżam w piątek wieczorem, z tobą czy bez ciebie. Zresztą już dzisiaj kupię sobie bilet na autobus. Ty możesz robić, co ci się podoba.

Jake udawał, że wyciera szklanki, a Jamie siedział w kącie wpatrzony w ekran telefonu, ale oczywiście wszystko słyszeli. Alex nie znosiła awantur w miejscach publicznych. Mama zawsze mówiła, że to takie pospolite, poza tym na pewno ma czerwoną twarz i mokre oczy. Tym razem jednak nie dało się tego uniknąć. Już od ładnych kilku dni wałkowała ten temat w głowie. Zgodnie z pierwotnym planem podróży powinny opijać wyniki egzaminów na Ko Phi Phi, „z widokiem na monumentalne skały wynurzające się z lazurowego morza”, jak Alex wyczytała w przewodniku. Wszystko jednak wskazywało na to, że wylądują w Oxxi's Place z widokiem na morze pijaków.

Kiedy Rosie demonstracyjnie wyszła z baru, Jamie usiadł koło niej i przez cały ranek nie odstępował jej na krok – pocieszał, powtarzał, że wszyscy mają już dość Rosie. Tych jej humorów i ciągłego marudzenia.

Zdołała się od niego uwolnić dopiero po obiedzie, kiedy poszedł do łazienki. Potrzebowała trochę czasu dla siebie. Wiedziała, że będzie mu przykro, ale ostatnio ciągle się koło niej kręcił. Podpuszczał ją, żeby się pokłóciła z Rosie, nalegał, żeby dalej podróżowała z nim. Nie potrafiła mu powiedzieć, że nigdy w życiu się na to nie zdecyduje. Widziała bezbronność w jego oczach. Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Po prostu jej się nie podobał.

Alex poszła na spacer nad rzekę, żeby popatrzeć na łódki i kępkę rukwi wodnej unoszące się z prądem. Zagroziła, że wyjedzie sama, ale w głębi serca wiedziała, że tego nie zrobi. Za bardzo się bała. Co miała zrobić? Myślami wciąż wracała do Jake'a. Był taki uroczy. Nie była pewna, czy mama by się z nią zgodziła – na pewno powinien się porządnie wykapać i obciąć paznokcie u stóp – ale jej tu nie było, nie mogła go oceniać...

Zdawał się trochę zagubiony, a Alex nie potrafiła się oprzeć żadnej zagubionej duszyczce. Wizja, że mogłaby kogoś uratować, jak Lizzy pana Darcy'ego albo Bella Bestię, była taka romantyczna. Potrafiła rozmyślać o tym godzinami.

Wiedziała, że Jake studiował, ale nie udało mu się skończyć uczelni. Powiedział jej o tym na pierwszej randce – nazywała to randką, chociaż chłopak tylko pokazywał jej, gdzie można bezpiecznie zjeść. Mówił, że nie dogadywał się z opiekunem naukowym, więc postanowił rzucić szkołę. Alex uważała, że to trochę przesada, ale nie czuła się na tyle pewnie, żeby mu to wytknąć.

– A co na to twoi rodzice? – zapytała. To była pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy, kiedy jej o tym powiedział. Wyobraziła sobie, że mówi coś takiego swojej mamie – bardzo by ją to zabolowało.

– Nie przejęli się – odparł. – Jestem dorosły. Nie potrzebuję pozwolenia. – Ale nie mógł jej spojrzeć w oczy.

– Kiedy planujesz wrócić do domu? – spróbowała zmienić temat.

– Nie wiem. Nie mam planów.

Przez całą drogę powrotną nie odezwał się już ani razu i Alex była pewna, że już nigdy nie będzie się chciał z nią umówić. Kiedy jednak dotarli do końca uliczki, przy której stał pensjonat, Jake odkaszlnął, jakby chciał coś powiedzieć.

– Prawda jest taka, że wszystko spierdoliłem. Nikt z mojej rodziny nie wie, że sobie nie poradziłem na uniwerku. Nie potrafiłem im powiedzieć, że poniosłem porażkę, skoro mój sukces był dla nich taki ważny. O niczym innym nie mówili. Byli tacy dumni, że studiuje prawo.

– Moi są podobni. Czasem mam wrażenie, że planują moją przyszłość za mnie. Tak bardzo zależy im na tym, żeby mi się udało, że aż boli. To okropna presja.

Jake pokiwał głową.

– Za każdym razem, kiedy myślałem o tym, żeby im powiedzieć, przypominało mi się, jak machali mi na dworcu na pożegnanie przed wyjazdem na uczelnię. I tchórzyłem. Aż w końcu wylądowałem tutaj.

– Wiedzą, co teraz się z tobą dzieje?

– Nie. To też spierdoliłem. Nie chcę teraz o tym gadać, długa historia. Ostatnio zadzwoniłem, kiedy trochę się schlałem. Chciałem po prostu usłyszeć ich głosy, ale nie wiedziałem, co powiedzieć, kiedy moja mama odebrała.

Alex złapała go za rękę.

– Skontaktuję się z nimi, kiedy sobie już wszystko poukładam – dodał drżącym głosem.

– Tak, powinieneś to zrobić, Jake – odparła. – Zadzwoń do nich!

Przytaknął niepewnie.

– Zobaczymy. Dzięki za wysłuchanie. Ale proszę, nie powtarzaj nikomu tego, co ci powiedziałem.

– Jasne.

Wspinając się po schodach do pokoju, zastanawiała się, dlaczego to ją wybrał na powierniczkę swoich największych sekretów, ale właściwie nie robiło jej to większej różnicy. Wybrał ją, tylko to się liczyło. Przyłapała się na tym, że śpiewa pod prysznicem, fantazjując o wpadaniu w jego ramiona i dotyku jego warg. Nie żeby kiedykolwiek dał jej jakiś sygnał, że zamierza zrobić kolejny krok. Nawet nie wziął jej jeszcze za rękę. Ale przecież mieli czas. Popracuje nad tym. Zaczęła się lekko malować, żeby spojrzeć na nią inaczej.

Rozmyślając o tym, że Jake ją w końcu zauważy, zaczęła się obejmować ramionami. Ale przestała. Musiała się brać do roboty. Rosie już odstawiała swoje



numery, zaczynała się do niego kleić. Ta dziewczyna nie ma wstydu, toteż Alex też musi się go wyzbyć. Próbowwała sobie wyobrazić minę Rosie na wieść, że Jake jedzie z nią na Ko Phi Phi. To by jej trochę utarło nosa i ten blond koński ogon. Alex od razu napisała do Jake'a, żeby nie stracić rezonu, i zaproponowała, żeby poszli później na drinka. Odpisał natychmiast: „Super. Zabiorę cię do mojej ulubionej knajpy”.

Wróciła dopiero przed osiemnastą, a Jamie cały czas tam siedział i na nią czekał.

– Matko, Jamie, siedziałeś tu całe popołudnie?

– Gdzie byłaś? – odpowiedział pytaniem. – Martwiłem się.

– Nic mi nie jest. Musiałam po prostu przewietrzyć głowę – odparła.

Uchwyciła swoje odbicie w lustrze za barem. Aż promieniała. Jamie wyglądał tak żałośnie, że uściśnęła jego ramię i przeprosiła.

– Nic nie szkodzi. Gdzie dziś pójdziemy na kolację?

– Eee... Właściwie to idę z Jakiem do jakiegoś baru, który bardzo lubi.

Jamie się zachnął, a ona poczuła irytację. Miała święte prawo iść na miasto z Jakiem, ale zamilczała. Nie powiedziała, że od wieków żaden chłopak tak bardzo jej się nie podobał. Że Jake ma takie miłe oczy. I śliczne dłonie. I że zamierza włożyć tę bluzkę, która tak się nie podobała jej mamie. Potem napisze do Mags.

Jamie gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

– Alex – wychrypiał. Ale nie chciała go słuchać. Już się od niego oddalała, leciała na górę wziąć prysznic i wyszykować się na randkę z Jakiem.

– Uważaj na siebie! – zawołał za nią jeszcze, kiedy wspinała się po schodach.

*Czwartek, 4 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Pięć godzin później Sparkes próbował wypić kawę w stołówce dla personelu. Napój warzył mu się jednak w ustach w zetknięciu z resztkami woni formaliny. Posmak śmierci.

– No dobra – powiedział, kiedy Salmond przysiadła się do niego z kopią wstępnego raportu patolożki. – Na czym stoimy? Jest tam coś poza tym, czego się dowiedzieliśmy w prosektorium?

– Raczej nie. Wysłała do laboratorium wymazy z ust, pochwy i odbytu, poza tym próbki innych tkanek. W tej chwili jest kolejka na cztery tygodnie, więc możemy się nastawić, że wyniki przyjdą na początku przyszłego miesiąca, chyba że ktoś tam jest nam winny przysługę i uda się trochę przyśpieszyć. Mamy tu wypisane siniaki, zadrapania, rany obronne, złamanie kości gnykowej, połamane paznokcie, wszystkie oznaki uduszenia. Skandal, że policja w Bangkoku nic z tym nie zrobiła. Nie trzeba sekcji zwłok, żeby zauważyć ślady. Wystarczy mózg i para oczu.

– Świetnie, ale trzymajmy się faktów, dobrze? Domyślam się, że we wstępnym raporcie nie ma wzmianki o potencjalnej przyczynie śmierci?

Na leżącym przed nim odpisie aktu zgonu Alex O'Connor, wystawionego przez władze Tajlandii, widniało: „zatrucie dymem i toksycznymi gazami”.

– Nie, ale zapisała: „Nie wykryto sadzy w drogach oddechowych za strunami głosowymi”.

„Wygląda na to, że w chwili wybuchu pożaru już nie żyła” – powiedziała doktor Mortimer Sparkesowi jeszcze w kostnicy, nie podnosząc głowy znad odsłoniętej tchawicy.

– O której jest sekcja Rosie Shaw? – spytał Sparkes, zerkając na zegarek.

- Mamy jakieś dwadzieścia minut. Chce pan kanapkę?
- A jak myślisz?
- Ja sobie kupię. Nie wytrzymam tego z pustym żołądkiem.
- Nie krępuj się.

Począł, aż sierzantka znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i zadzwonił do domu, do Eileen.

– No cześć – powiedziała. – Helen, ten mój anioł stróż, właśnie mi mówi, że powinnam więcej jeść. – Helen, pielęgniarka paliatywna, siedziała zapewne w starym fotelu przy łóżku Eileen na parterze. „To ja powinienem tam siedzieć” – przemknęła Sparkesowi przez głowę myśl ciągnąca za sobą długi ogon poczucia winy.

Eileen niknęła w oczach, stawała się coraz bardziej szara, jakby stopniowo blakła i zniknęła. Rano przed wyjściem pocałował ją trzy razy. Nie mógł przestać jej całować. „Przepraszam, mam dziś taki dzień” – usprawiedliwiał się. „Nie przepraszaj, Bob. Daj no jeszcze buziaka” – odparła.

– Helen ma rację. Jak się czujesz? O której przychodzi Sam? – Córka odwiedzała ich codziennie, wchodziła w rolę matki.

Syn z kolei wpadał jak po ogień, często zostawał w progu, jakby się bał czymś zarazić albo za bardzo zaangażować.

Eileen starała się dla niego bardziej niż dla kogokolwiek innego, usiłowała przybrać pogodny ton, śmiała się z jego anegdotek. Sparkesa aż kłuło w sercu na ten widok. Lęk znów wypuszczał czarne macki i zaczynał go dusić.

„Nie bądź dla niego taki surowy, Bob. On tak okropnie się boi – powiedziała Eileen po jednej z trudniejszych wizyt. – Do tej pory nie przydarzyło mu się w życiu nic złego. Nie nauczył się radzić sobie z porażką”. „Z porażką? Masz raka, Eileen. To nie była twoja decyzja”. „Hmm. No cóż, podejrzewam, że nasz syn w głębi duszy tak to właśnie postrzega. Nic nie może na to poradzić. Tak jest skonstruowany”.

– Po sekcji Shaw musimy jechać do rodziców – powiedział Sparkes, kiedy Salmond wróciła z nieapetyczną kanapką z pastą jajeczno-majonezową. Już chyba wolał smród formaliny. – Wolałbym powiedzieć im wszystko już dziś. Nie powinni czekać, to nie fair. Możesz pracować do późna?

- Nie ma sprawy, szefie. Neil zresztą i tak ma dziś wywiadówki.
- Świetnie. Kogo im przydzielili z wydziału spraw rodzinnych?
- Wendy Turner. Zaraz do niej zadzwonię i wszystko jej streszczę.

Aoife Mortimer wkroczyła do stołówki przez drzwi wahadłowe i pomachała do nich.

– Wezmę sobie tylko jakiegoś batona. Gotowi? – Zauważyła pękatą kanapkę Salmond i uniosła pytająco brew. – To na pewno dobry pomysł?

Wchodząc po raz drugi do prosektorium, Sparkes wbrew sobie poczuł podniecenie i wyczekiwanie. Zastanawiał się, czy Aoife Mortimer czuje to samo. Zerknął na jej widoczną z profilu twarz. Maski i gogle prawie wszystko zasłaniały, ale dobrze wiedział, że nawet pod spodem nie zdradza żadnych emocji.

Z zapalem rzucił się, żeby obejrzeć twarz i szyję Rosie Shaw, wypatrując charakterystycznych siniaków, ale się zawahał. Podeszedł jeszcze bliżej, schylił się, tak że jego twarz zawisła centymetry nad powierzchnią ciała. Niczego jednak nie było widać.

– Brak widocznych śladów siniaków lub innych urazów zewnętrznych górnej połowy ciała – dyktowała doktor Mortimer do dyktafonu. – Wyraźne szaroniebieskie przebarwienia na skórze, świadczące o rozkładzie tkanek przed balsamowaniem.

– Nie umarła tak samo jak Alex O'Connor, prawda? – zapytał i usłyszał nutkę rozczarowania w swoim głosie.

– Na to wygląda. – Doktor Mortimer pobierała wymazy z zębów i podniebienia. – W ustach obecna substancja przypominająca sadzę – powiedziała do aparatu.

– Ale nie w tchawicy – dodała kilka godzin później. – Ta dziewczyna też już nie oddychała w chwili wybuchu pożaru.

– No to jak zmarła? – zapytał Bob Sparkes, bardziej siebie niż patolożkę. – Ktoś ją zaatakował?

– Zdecydowanie zbyt wcześnie, żeby to stwierdzić. Nie widzę żadnych obrażeń zewnętrznych ani ran obronnych. Pobrałam wymazy i próbki, będziemy musieli poczekać na wyniki badań laboratoryjnych i toksykologicznych.

– Ile będziemy musieli czekać na pełny raport?

– Tyle, co zwykle, Bob. Całość będzie gotowa pewnie w połowie października. W laboratorium są zawałeni po sufit.

– Nie możemy tak długo czekać. Złożę wniosek o przyśpieszenie badań DNA z wymazów od obu dziewczyn. Musimy się dowiedzieć, kto to zrobił.

– Życzę powodzenia.

*Bangkok, dzień 17 (wtorek, 12 sierpnia)*

Była tak głęboko pogrążona w myślach, że kiedy otworzyła drzwi, nie od razu dotarło do niej, na co patrzy. W głowie miała tylko Jake'a, przypomniało jej się też, że musi się zameldować rodzicom – dziś wypadła dzień, kiedy powinna wysłać im esemesa – i zastanawiała się, co im powiedzieć.

Rosie siedziała po turecku na łożku, a przed nią na prześcieradle leżała zawartość torebki Alex.

– O! – zawołała spłoszona i zaczęła wpychać z powrotem do środka ulotki i rozkłady jazdy. – Sorry, szukałam paracetamolu.

Alex niepewnie pokiwała głową. Na pewno to właśnie robiła, prawda?

– Leki mam w bocznej kieszeni plecaka. Jak zawsze.

– No tak. Sorry, zapomniałam.

Alex wzięła swoją torebkę. Atmosfera w pokoju się zagęściła, w powietrzu czuło się napięcie, jakby coś się miało wydarzyć. Coś złego.

– Ręka już mnie prawie nie boli – powiedziała Rosie, wskazując na swój tatuaż, jakby wszystko było jak zwykle, ale głos miała nienaturalnie piskliwy.

– To dobrze.

– Wychodzisz?

– Tak. Przyszłam się przebrać. Spotykam się z Jakiem.

– Uuu! – Rosie zrobiła minę.

– No.

Rozmawiały, ale na siebie nie patrzyły. Alex wyjęła z torebki portfel awaryjny.

– Pójdę z wami. Ja dziś będę płacić – wtrąciła Rosie szybko. Zbyt szybko.

– Nie, dzięki – mruknęła Alex, otwierając portfel. – Chcemy być sami. Zresztą i tak muszę wziąć pieniądze na bilet. Chyba będę musiała wypłacić więcej, przestałam kontrolować, ile wydaję. Codziennie mi się zdaje, że mam mniej pieniędzy, niż wkładałam rano do portmonetki. Może powinnam zacząć zapisywać wydatki...

– Przestań nudzić – warknęła Rosie.

Alex położyła portfel na kolanach.

– Ja na pewno jadę.

– Ja chcę zostać.

– To zostań.

Alex zamierzała wyjąć banknoty, które dokładnie przeliczyła w dniu przyjazdu. Nie było ich tam.

– Coś się stało? – zapytała Rosie głośno, a jej troska brzmiała sztucznie i przesadnie.

– Nie ma – powiedziała Alex, podnosząc na nią wzrok. – Nie ma moich pieniędzy.

– Nie! Ktoś musiał je ukraść.

„Oscara to ona nie dostanie” – pomyślała Alex.

– Co się z nimi stało, Rosie?

– Ja pierdołę, o co ci chodzi? Nie wiem!

– Przecież to właśnie robiłaś przed chwilą. Najpierw próbowałaś mi zabrać Jake’a, teraz zabierasz mi pieniądze.

Rosie oblała się szkarłatem.

– N... Nie... Nie mogę uwierzyć, że... – próbowała odegrać święte oburzenie, ale Alex zauważyła, że maska zaczyna jej się zsuwać. Za chwilę popłyną łzy.

Rosie nie zawiodła jej oczekiwań. Poryczała się jak dziecko, a Alex czuła, że z każdym szlochom gula w jej żołądku robi się coraz twardsza. Nie mogła się zmusić do tego, żeby dotknąć Rosie. Pogłaskać ją, pocieszyć. Chciała ją walnąć.

– Gdzie są pieniądze? – zapytała, prawie nie rozpoznając własnego głosu. Rosie też aż się wzdrygnęła na jego dźwięk.

Spod uda wyciągnęła dwa banknoty dwudziestofuntowe.

– Mam tylko tyle. Reszty już nie ma – wydusiła, czkając.

– Całej reszty? Po przyjeździe miałam tu dwieście funtów.

– Strasznie przepraszam, Alex. Zamierałam podrzucić je z powrotem. Zobaczysz, wszystko ci oddam. Co zamierzasz zrobić? Tylko nikomu nie mów, proszę.

– Nie wiem, co robić – powiedziała Alex, bardziej do siebie niż do koleżanki. Naprawdę nie wiedziała. Czuła się absolutnie samotna i bezbronna. Najbardziej na świecie chciałaby teraz wrócić do domu i powierzyć całą sprawę mamie. Potrzebowała czasu do namysłu.

– Przeprowadzę się do innego pokoju – oznajmiła w końcu. – Nie chcę tu z tobą mieszkać. Nie ufam ci.

Szlochy przybrały na mocy.

– Nie nienawidź mnieeee – zawyła.

– Zamknij się, Rosie. Zawsze chodzi tylko o ciebie. A pomyślałaś, jak ja się czuję?

– Złóścisz się. Rozumiem. Mogę ci to wyjaśnić...

– Czyżby? Jakoś wątpię.

– Alex, posłuchaj. Błagam. Wpakowałam się w kłopoty.

*Czwartek, 4 września, 2014 roku*

## **DETEKTYW**

**W**iedziałam! – powiedziała Salmond, zapinając pasy.

– Nie bądź taka zadowolona z siebie. Nikt nie lubi chwalipięt – mruknął Sparkes. – Ta z wydziału rodzinnego jest już na miejscu?

– Tak, Wendy już wszystko wie. Czeka na nas u O’Connorów, tam jesteśmy umówieni.

– No to jedziemy. Chciałbym wrócić do domu o ludzkiej porze.

– Jasne, szefie. Przepraszam.

Detektyw Turner otworzyła im drzwi z nietęgą miną.

– Wszyscy są bardzo poruszeni.

– Dzięki za ostrzeżenie. W sumie trudno się dziwić.

Sparkes przybrał profesjonalny wyraz twarzy, wkroczył do salonu i uścisnął ręce wszystkim po kolei.

– Czego się dowiedzieliście z sekcji zwłok, panie komisarzu? Co macie nam do powiedzenia? – zapytała Lesley bez ceregieli.

– Daj im chwilę odsapnąć, Les. My mamy słuchać – upomniał ją Malcolm.

Sparkes nie cierpiał takich sytuacji, choć niektórzy gliniarze je uwielbiali. Mówił na to „kompleks Poirota”. Ta chwila, kiedy – przynajmniej w wyobraźni – zwołują wszystkich do biblioteki i podają wszystkie rozwiązania. Wiedział, jak wielkie konsekwencje jego słowa będą miały dla tych czterech osób, więc się zawahał. Niczego nie będzie można cofnąć. Chciał jak najlepiej dobrać słowa, ale tak długo bił się z myślami, że w końcu sam nie wiedział, co powiedzieć.

– Dziękuję panu. Eee... Wiem, że długo państwo czekali, więc przejdę od razu do sedna. Tak, no więc mamy wstępny raport z obu sekcji. Oczywiście nie jest to

pełny protokół, ale patolożka znalazła, hmmm, dowody sugerujące, że w chwili wybuchu pożaru żadna z ofiar już nie żyła.

Po wyrazach twarzy osób siedzących na kanapie domyślił się, że zagubili się w tej mgłę słów. Dlaczego nie sformułował tego prościej?

– Przepraszam, krótko mówiąc, chodzi o to, że państwa córki zmarły jeszcze przed pożarem – wyjaśnił, a twarze na ułamek sekundy się rozpromieniły, ale kiedy w pełni dotarła do nich treść jego słów, natychmiast znów się zachmurzyły.

– Ktoś je zamordował, prawda? – wybuchnęła Jenny Shaw. – Zabili je, a potem podpalili budynek, żeby ukryć zbrodnię.

– Jak umarły? – wyszeptał Malcolm tak cicho, że wszyscy pozostali zamilkli.

– Co do Rosie nie jesteśmy pewni, ale pewne ślady wskazują na to, że Alex mogła zostać uduszona – powiedział Sparkes, utrzymując kontakt wzrokowy z Malcolmem O’Connorem. Ojciec zagryzł mocno zęby i zacisnął wargi, żeby zapanować nad żalem.

– Uduszona. Kto mógłby udusić naszą kochaną dziewczynkę? – wychrypiała Lesley. – Gdzie jest Jake Waters? On na pewno coś wie. Tylko winny się ukrywa, prawda?

– Albo przestraszony – sprostował Sparkes.

– Czego miały się bać? Prawdy?

– Na tym musimy się zatrzymać, proszę pani. Wiem, że to druzgocąca wiadomość, ale potrzebujemy twardych dowodów, nic nam nie da zgadywanie i rzucanie bezpodstawnych oskarżeń. Zaczekajmy na wyniki badań laboratoryjnych, może pojawią się dowody wskazujące na udział konkretnych osób.

– Jak długo trzeba będzie czekać? – wyszłochała Lesley.

– Sporządzenie pełnego protokołu potrwa od czterech do sześciu tygodni, jak pewnie już państwu mówiła Wendy. Poprosiliśmy jednak laboratorium o potraktowanie sprawy priorytetowo. Wyniki niektórych testów możemy dostać już w przyszłym tygodniu, ale niczego nie mogę obiecać.

– A co z Rosie? – Zza pleców Sparkesa dobiegł głos Mike’a Shawa. Detektyw prawie zapomniał, że on tam jest: stał przy samych drzwiach, jakby szykował się do szybkiej ewakuacji. – Ją też udusili?

– Tego jeszcze nie wiemy, proszę pana – zwrócił się do niego Sparkes. – Na ciele nie ma żadnych widocznych urazów. Wyniki badań mogą nam jednak pomóc zrozumieć, jak umarła.

Zapadła cisza, wszyscy próbowali jakoś przyswoić sobie tsunami informacji. Milczenie przerwał Malcolm O’Connor:

– Dlaczego tamtejsza policja tego wszystkiego nie odkryła?



– Nie wiadomo. Podzielimy się z nimi tymi wnioskami i przedyskutujemy sprawę.

– Szkoda waszego czasu – stwierdziła Leslie. – Ich nie obchodzi, co się stało dziewczynkom. Ale was obchodzi, prawda?

Wyszli od nich o wpół do ósmej wieczorem, ale Sparkes czuł, że nie może wracać do domu. Została jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Nie lubił niezłałatwionych spraw.

– No dobra, to jeszcze skoczmy szybko do Londynu – powiedział i udawał, że nie słyszy, jak Salmond mamrocze: „To chyba jakiś żart”.

– Myślałam, że śpieszy się panu do domu.

– Owszem, ale Sam opiekuje się mamą. A ja lubię doprowadzać sprawy do końca.

Zadzwoił, żeby uprzedzić Kate, że są w drodze.

– Twój mąż jest w domu?

– Mój mąż? Znaleźliście Jake’a? Nie możesz powiedzieć, o co chodzi? – błagała Kate.

– Nie, lepiej porozmawiać na żywo.

Dom Kate Waters zupełnie nie odpowiadał jego wyobrażeniom. Żył w przeświadczeniu, że dziennikarki i ordynatorzy zarabiają krocie, a teraz zobaczył przed sobą zwyczajny szeregowiec, dawniej pewnie przeznaczony na mieszkania komunalne, rzut beretem od targu na Roman Road. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę londyńskie ceny, wart był pewnie ze trzy razy więcej niż jego dom.

W ceramicznej doniczce na parapecie usychały czerwone pelargonie.

– Powinna je podlać – zauważyła Salmond, naciskając dzwonek.

Otworzył im Steve Waters. Był niższy od Sparkesa, co z jakiegoś powodu sprawiło mu dziwną przyjemność.

– Komisarz Sparkes, zgadza się? – powiedział uprzejmie. – I sierżant Salmond. Zapraszam.

Kate siedziała w salonie przed włączonym telewizorem i z laptopem na kolanach. Kiedy policjanci weszli do pokoju, zamknęła komputer, wyciszyła telewizor i wstała.

– Dzień dobry – powiedziała. – Szybko się uwinęliście. – Jej głos brzmiał spokojnie, ale Sparkes dostrzegł ledwie zauważalne drżenie warg.

– Proszę, proszę, siadajcie państwo i powiedzcie, o co chodzi. – Steve Waters podprowadził ich do sofy.

– To nie zajmie długo... Dziękuję, panie doktorze.

– Raczej „proszę pana”... Przepraszam, głupstwo. Z jakiegoś powodu do ordynatorów zwraca się bez „doktora”.

„Pewnie, że tak” – Sparkes przeklął się w duchu za bezmyślność.

– Jasne, przepraszam. No dobrze. Dziś przeprowadzono sekcje zwłok Alex O’Connor i Rosie Shaw.

– Och! – szepnęła Kate.

– Wygląda na to, że w chwili wybuchu pożaru żadna z dziewcząt już nie żyła.

Kate niewzruszenie patrzyła mu w oczy.

– W takim razie jak umarły?

– Trzeba jeszcze przeprowadzić różne badania, ale wiele wskazuje na to, że jedną z dziewczyn uduszono.

Steve Waters gwałtownie nabrał powietrza.

– Przyjechaliście taki kawał drogi z Southampton, żeby nam o tym powiedzieć? – spytała Kate. – Dlaczego?

Wiedziała. Sparkes wiedział, że ona wie dlaczego.

– Chodzi o Jake’a? – zapytał Steve półgłosem.

– Owszem, proszę pana. Wszczynamy śledztwo w sprawie zabójstwa, w związku z czym teraz już naprawdę pilnie musimy porozmawiać z waszym synem. Dowiedzieć się, co widział i słyszał w dniach i godzinach poprzedzających pożar.

– Oczywiście – przytaknął Steve.

– Potrzebujemy także próbki DNA Jake’a, na przykład z grzebienia, szczoteczki do zębów czy innego przedmiotu osobistego.

– Jego DNA? Mowy nie ma – oświadczyła Kate głośno. – Dopiero co mówiliście, że traktujecie go jako potencjalnego świadka. Czego nam nie chcecie powiedzieć? Policja w Tajlandii o nic go nie oskarżyła. Tylko gazety go prześladowały. Nic go nie łączy...

– Cały czas zbieramy dowody, Kate. Mamy coraz wyraźniejszy obraz tego, co przydarzyło się Alex i Rosie. Dzięki próbce DNA będziemy mogli go wyłączyć ze śledztwa.

Chwila ciszy.

– Zresztą i tak niczego nie mamy – dodała, choć już z mniejszym przekonaniem. – Nie zostawił szczoteczki do zębów, wyprowadził się. A jego stary pokój wysprzątailiśmy.

– Zdziwiłabyś się, z jakich rzeczy potrafimy w dzisiejszych czasach pobierać DNA. Mogę tu przysłać kogoś z kryminalistycznego?

– No dobra, niech będzie, skoro ma to pomóc go wykluczyć. – Słyszał w jej głosie strach, który podsycił agresję. – Czego jeszcze się dowiedzieliście?

– Na ten moment wolelibyśmy nie ujawniać żadnych dodatkowych informacji  
– odparł stanowczo i posłał ostrzegawcze spojrzenie sierżantce. Nie chciał wspominać o wymazach z okolic intymnych.

– Rozumiem. A kiedy ogłosicie to w mediach? Zaplanowaliście konferencję prasową? – zapytała Kate.

Znowu to ona kontrolowała rozmowę, Sparkes przyłapał się na tym, że siadł jakby prościej. Ciekawe, czy tak się czuli wszyscy jej rozmówcy podczas wywiadów.

– Boże! – mruknął jej mąż pod nosem.

– Będą musieli zwołać konferencję, Steve. To kolejny krok – wyjaśniła Kate.

– Rzeczywiście – przytaknął Sparkes. – Zaplanowaliśmy ją na jutro rano. Zaapelujemy do wszystkich z prośbą o pomoc w odnalezieniu Jake’a i wszelkich innych potencjalnych świadków.

– Kogo jeszcze szukacie? – zapytała Kate.

„Reporterka pełną gębą”.

*Czwartek, 4 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Po ich wyjściu idę do ubikacji na parterze i zamykam drzwi na zasuwkę. Nie mogę patrzeć na Steve'a. Siedzi na kanapie z głową opartą na rękach i myślę, że może się załamać. Płakał przy mnie zaledwie kilka razy, odkąd się znamy – ze mną, kiedy rodzili się chłopcy, a potem w zeszłym roku po śmierci ojca. No i kiedy raz go zostawiłam. Chłopcy byli mali, a jego nigdy przy mnie nie było – albo siedział w pracy, albo o niej myślał. Chciałam tylko mu to uświadomić, ale posunęłam się za daleko i minęło wiele miesięcy, zanim udało się nam odzyskać równowagę.

Kiedy Bob opowiadał o sekcjach, nic nie czułam, jakbym się odizolowała. Włączył mi się tryb reporterski, oceniałam wagę informacji, w głowie pisałam już wstęp do artykułu. Ale to dotyczy nas. To nie jest jakiś tam temat, z którego można wygrzebać najlepszy cytat.

„Znaleźli czyjeś DNA na ciałach dziewczyn – wyje mi w głowie syrena alarmowa. – Dowiedzą się, kto to zrobił”.

– Weź się w garść, Kate – mówię do swojego odbicia w lustrze. – Jake nie miał z tym nic wspólnego. A Steve cię potrzebuje.

Kiedy wracam do salonu, podnosi głowę.

– Co my teraz zrobimy, Katie? – mówi. Wiedziałam, że o to zapyta. Chce, żebym to ja się tym zajęła i sprawiła, żeby wszystko się dobrze skończyło. – Co my powiemy ludziom?

– I tak już wiedzą, że policja chce przesłuchać Jake'a. Wszystkie media o tym trąbią.

– Ale nie wiedzą, że te dziewczyny ktoś zamordował.

– Jedną z nich – poprawiam. – Jedną ktoś zabił. O tej drugiej nic nie wiemy.

– Kurwa mać, Kate, przestań się czepiać szczegółów. Jedna czy dwie, co za różnica? To przecież niczego nie zmienia.

Nie zmienia.

– Przepraszam. Masz rację. Musimy jak najszybciej powiedzieć rodzinie. Teraz. Dzwoń do mamy, a ja do Freddiego.

Bierzemy każde swój telefon i wychodzimy do przedpokoju. Słyszę, jak przeprosza Dorothy, że tak późno dzwoni. „Pewnie jest już w łóżku. Trzeba było poczekać do rana. Teraz już nie zaśnie”.

– Przepraszam, mamó – mówi Steve. – Chciałem ci tylko przekazać, że dostaliśmy nowe wieści w sprawie tego pożaru w Bangkoku. Tak, można powiedzieć, że w pewnym sensie chodzi o Jake’a.

Freddie odbiera i natychmiast przenoszę się do głośnego pubu.

– Mamó? Coś się stało?!

Chętnie odkrzyknęłabym „nie” – jest jeszcze za młody, żeby obarczać go moimi lękami, ale z drugiej strony to przecież dotyczy i jego.

– Trochę tak. Mógłbyś przenieść się na chwilę w jakieś cichsze miejsce? Chcę ci coś powiedzieć.

– Macie jakieś wieści od Jake’a? Wrócił?

– Nie, skarbie, jeszcze nie. Jutro w gazetach pojawią się różne doniesienia. Jedną z tamtych dziewczyn ktoś zamordował.

– Nie Jake... – szepcze.

– Nie wiadomo, kto ją zabił, Freddie. Ale rano ogłoszą wszczęcie śledztwa w sprawie zabójstwa i powiedzą, że muszą się pilnie skontaktować z twoim bratem. Wolałam cię uprzedzić.

– Ech, mamó, to poważna sprawa.

– Wiem, skarbie, wiem. Chcą próbkę DNA. Żeby wykluczyć udział Jake’a – dodaję i sama słyszę, jak mało wiarygodnie to brzmi. – Ale nie mamy w domu żadnych jego rzeczy.

– Ja mam – mówi Freddie. – Zostawiłem sobie parę jego koszulek i tamtą bejsbolówkę, którą nosił, żeby was wkurzyć.

– Zostawiłeś to sobie? Nie wiedziałam.

– Tak – potwierdza i słyszę drżenie w jego głosie. – Są w mojej szafce. Wiem, że to głupie, ale pachniały nim. Tęskniłem za nim, mamó.

A ja tego nie zauważyłam. Byłam zbyt zajęta udawaniem, że dobrze się trzymam.

– Przykro mi, Freddie. Ale znajdziemy go.

Potem siedzimy ze Steve’em w milczeniu, ściskając w dłoniach kubki z kawą.

– On nie miał z tym nic wspólnego, Steve – powtarzam.

– Tak.

– Dowiem się, kto to zrobił. – I nagle czuję się lżejsza. – Tak, to właśnie zrobię. Znajdę ludzi, którzy byli na tamtej imprezie. Znajdę pozostałych. W tym właśnie jestem dobra.

„Ewidentnie lepsza niż w byciu matką. Ale to akurat mogę zrobić”.

– Katie, tej sytuacji nie da się naprawić łożeniem po ludziach i męceniem policjantów. Chodzi o naszego syna. Jesteśmy za niego odpowiedzialni. A jeśli zrobił coś złego, musimy go wspierać i pomóc mu pogodzić się z karą.

Gapię się na niego z niedowierzaniem. On wątpi w niewinność Jake’a, więc nie mogę wciągnąć go do mojego planu. Obudowuję się murem, który okala mnie coraz ciaśniej.

Z kuchni dzwonię do Joego Jacksona i przekazuję mu wieści o wynikach sekcji.

Słyszę narastające podniecenie w jego głosie, kiedy oszczędnie podaję mu szczegóły, którymi postanowiłam się z nim podzielić.

– Martwe przed pożarem? – powtarza. – Uduszona? Ja pierdolę. I mogę to już teraz wrzucić?

– Tak. Policja ogłosi to rano. Jak najszybciej zadzwoń do Shawów i O’Connorów, jest już strasznie późno. Możesz mnie zacytować, że to na pewno bolesna wiadomość dla rodzin ofiar, ale nic nie wskazuje na związek mojego syna z tą tragedią.

– Zapisane.

– Jeszcze jedno, Joe: masz u mnie wielki dług. Będę cię prosiła o przysługi. Zrozumiano?

– Jasne. Zawsze chętnie pomogę.

„Zobaczymy”.

*Bangkok, dzień 17 (wtorek, 12 sierpnia)*

Kiedy Alex poprosiła o nowy pokój, Mamma surowo zmierzyła ją wzrokiem.

– To nie mieszka z Rosie?

Alex odwzajemniła spojrzenie.

– Nie. Chcę dostać drugi pokój. Tylko dla mnie.

Nie miała nastroju na tłumaczenia ani dyskusje. Potrzebowała własnego pokoju, miejsca dla siebie. Kropka.

Wyznanie Rosie było jak grom z jasnego nieba. Alex już wcześniej zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie zna dziewczyny dzielącej z nią łóżko, ale nic nie mogło jej przygotować na te rewelacje.

Rosie nagle przestała płakać – może się zorientowała, że Alex nie kupuje tej komedii – i otarła oczy koszulką.

Położyła się na poduszkach i zaczęła przemawiać do sufitu, pewnie dlatego, żeby nie musieć patrzeć na reakcje Alex, po czym oznajmiła, że musiała wyjechać z domu, bo zaważyła egzaminy końcowe.

– Ja mam to gdzieś, ale moja mama się wścieknie.

– Skąd wiesz, że nie zdasz? Może po prostu wpadłaś w paranoję – zasugerowała Alex.

– Chciałabym. Opuściłam jeden przedmiot. Calutki egzamin. Poszłam na imprezę, przeciągnęła się do rana. Spiknęłam się z jednym gościem i zasnęłam. Mama myślała, że cały weekend uczę się ze znajomymi, którzy też zdawali biologię. Ale ja musiałam się trochę zabawić. Miałam już dość wkuwania. Zresztą i tak nie chcę iść na uniwersytet. Moja mama to sobie wymyśliła, nie ja.

Teraz, kiedy już zaczęła, Rosie sprawiała wrażenie, jakby wręcz sprawiała jej to przyjemność. Znajdowała się w centrum uwagi, tak jak lubiła najbardziej. Poza tym wszystkiemu byli winni inni ludzie. Ona była tylko niewinną ofiarą.

– Dobra, nieważne. A moja kasa? Czemu mnie okradłaś?

– Nie okradłam! Mówiłam ci już, tylko pożyczyłam. Oddam ci, Alex.

– Kiedy?

Ale Rosie już recytowała kolejną część swojej łzawej historyjki w kierunku gołej żarówki wiszącej nad głową.

– Musiałam, Alex. Wszystko kosztowało znacznie więcej, niż się spodziewałam. Choćby ten tatuaż, cztery tysiące batów, pamiętasz? A nawet nie zrobiłam sobie tego dużego.

– Nie musiałaś go sobie robić – wybuchnęła Alex, ale nie udało jej się przerwać potoku kolejnych wymówek z ust Rosie, przyglądającej się swoim paznokciom, które przez całe popołudnie malowała błyszczącym lakierem.

– No i wszyscy mnie naciągają.

– Kto?

– No ten tatuażysta na przykład. I... i ten typ od skutera.

– Jaki znów typ? Co ty nawyrabiałaś?

Dopiero teraz Rosie siadła i na nią spojrzała.

– To nie moja wina, Alex. Przysięgam. Wypożyczyłam skuter, Lars chciał pojeździć po mieście, ale nie miał na kaucję, więc ja zapłaciłam. Normalna wypożyczalnia, bawiliśmy się super, ale poszliśmy na drinka i zostawiliśmy go pod knajpą. Przypięliśmy go porządnie, naprawdę, ale jak wyszliśmy, to go już nie było. Typ z wypożyczalni strasznie się wkurzył. Powiedział, że jestem mu winna ileś tysięcy batów za nowy skuter.

– Serio? Co ty sobie myślałaś? To jeden z najpopularniejszych przekrętów w Tajlandii, ostrzegają przed tym na każdym forum podróżniczym. Ci goście mają zapasowe kluczyki, więc sami kradną swoje skutery, a potem każą ci płacić.

– Nie wiedziałam.

– No jasne. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo wiedziałam, że się wkurzysz. Pomyślałam, że sama to jakoś załatwię, więc nie będziesz musiała o niczym wiedzieć.

Alex prawie parsknęła śmiechem. Prawie.

– Zgłosiłaś to na policję?

– Chciałam, ale ten typ z wypożyczalni ma mój paszport. Musiałam zostawić go w zastaw, kiedy braliśmy skuter. Spytałam Mamę, czy pójdzie ze mną na policję, ale powiedziała, że aresztują mnie za brak paszportu. I że pewnie podrzucą mi narkotyki. Obiecała, że jak dam jej kasę, to zwróci tamtemu typowi. Że to z nim załatwi. Dopilnuje, żebym nie miała żadnych kłopotów. Mówiła, że robi to czasem dla zagranicznych turystów.

Zerknęła ukradkiem na Alex, po czym znów padła na plecy i schowała twarz w poduszce z kotkiem.

Oślupiała Alex nie wiedziała, co powiedzieć. W głowie miała tylko jedną myśl: „Wszystko zepsułaś”.

– Powinnam była ci powiedzieć – dorzuciła Rosie półgłosem.

– Myślisz? A powiedziałaś swojej mamie?

– Pewnie, że nie. Nie pisałam do niej ani razu od przyjazdu. Byłam zajęta.

– A twój tata? Może mógłby ci pożyczyć pieniądze, żebyś odzyskała paszport? Rosie znów usiadła i próbowała się roześmiać.



– Nic z tego. Kasę na wyjazd dał mi tylko dlatego, że zagroziłam, że powiem Imogen o jego nowej dziewczynie. Widziałam, jak w samochodzie lizał się z jakąś sprzedawczynią ze swojej pracy. Miałam farta. Inaczej w życiu by mi nie dał kasy. Ale zapłacił, żebym nic nie powiedziała i się ulotniła. Nie wiem, skąd wytrzasnął kasę. Twierdził, że jest całkiem splukany, żyje na kartach kredytowych. Ale zapłacił.

Alex gapiła się na nią zdumiona. „Kim ty jesteś?” – krążyło jej po głowie.

– Niech trzyma. – Mamma wcisnęła jej klucz do ręki. – Parter. Tam – pokazała i Alex zauważyła srebrne paznokcie, takie same jak u Rosie. „Kumpele na dobre i na złe – pomyślała. – Chociaż głównie na złe”.

– Dzięki. – Alex zarzuciła na ramię spakowany pośpiesznie plecak i ruszyła w mrok na zaplecze pensjonatu.

Rosie zbiegła hałaśliwie po schodach, wołając jej imię, ale Alex ją zignorowała. Była teraz zbyt wściekła, by sensownie rozmawiać. Opowie o tym wszystkim Mags.

– Mamma, ona wie – usłyszała jeszcze Rosie, odchodząc do nowego pokoju.

## Rozdział 44

*Piątek, 5 września 2014 roku*

# DETEKTYW

Rano zadzwoniła Mags Harding.

– Muszę z kimś porozmawiać o Alex i Rosie – powiedziała roztrzęsionym głosem operatorce centrali. – Właśnie widziałam wiadomości.

– Spokojnie, powoli. Skąd znasz Alex i Rosie? – zapytała operatorka łagodnie.  
– Od tego zacznijmy.

Kilka minut później nastolatka została połączona z sierżant Salmond, która wysłuchiwała jej uważnie, po czym zjawiła się na progu gabinetu Sparkesa.

– Był telefon w sprawie dziewczyn, komisarzu – powiedziała.

– Szybko poszło. Co mówili? Coś o Jake’u Watersie?

– No, można tak powiedzieć. Chodzi o to, co się działo przed śmiercią dziewczyn. Co się naprawdę działo. Najlepsza przyjaciółka Alex twierdzi, że dziewczyna od początku skarżyła się w mejlach, że wszystko idzie nie tak. Bez przerwy jakieś problemy i kłótnie.

– Czyżby? O co na przykład?

– Seks, narkotyki i rock’n’roll, że tak powiem. Z mejli wynika, że dziewczyny kłóciły się o Jake’a Watersa.

– Serio? Czyli na pewno go znały. Był tam.

– Bez dwóch zdań. Ale to dopiero początek. Rosie miała problemy z jakimś oszustem. W ostatnim mejlu Alex pisała, że przyłapała ją na podkradaniu pieniędzy. Aha, poza tym Rosie zaszantażowała ojca, żeby dał jej pieniądze na Tajlandię.

– Chryste Panie! Jakim cudem Collins, ten nasz komputerowy geniusz, nie wyłowił tych mejli?

– Pisała z innego adresu. Skrzynka na Yahoo, nie wiedzieliśmy o niej. Nie pisała stamtąd do rodziców ani innych członków rodziny. Tylko do przyjaciółki.

– No dobra, to kto jest tą najlepszą przyjaciółką? Myślałem, że Rosie.  
– Najwyraźniej nie. Dzwoniła niejaka Margaret Harding. To ona miała jechać z Alex, ale się wycofała.

– No tak, Rosie zjawiała się na zastępstwo w ostatniej chwili.

– Alex przez cały czas pisała z tą Mags. Ostatniego mejla wysłała dwunastego sierpnia, ponad dwie doby po ostatniej wiadomości do rodziców. Z tych listów wyłania się zupełnie inny obraz tej podróży niż z mediów społecznościowych. Okazuje się, że „wakacje psiapsiółek” to fikcja. Alex pisała wprost, że nienawidzi Rosie.

– Czemu ta cała Mags nie skontaktowała się z nikim wcześniej, kiedy zgłoszono zaginięcie dziewczyn?

– Alex kazała jej przyrzec dyskrecję, nie chciała robić nikomu kłopotów. Te mejle są dość niecenzuralne, raczej się nie nadają dla rodziców. Tak jak wszyscy myślała, że dziewczyny się znajdą. Z kolei kiedy się znalazły, uznała, że to nieszczęśliwy wypadek, więc nikt nie musi czytać tych mejli. Ale teraz mogą się okazać ważne. To śledztwo w sprawie morderstwa.

– Rozumiem. No dobra, to zobaczmy, co tam mamy. Niech Collins się tym zajmie.

Mejle – czasem nawet po trzy dziennie – relacjonowały coraz bardziej napięte stosunki między dziewczynami w Bangkoku: kłótnie, ciche dni, wściekłość i w końcu kradzież.

Sparkes zaczął czytać na wrywki:

– „Rosie dzisiaj zupełnie odjechała. Nie ma z nią kontaktu”. „Rosie jest ciągle narąbana i sypia po kolei z wszystkimi facetami w pensjonacie. Nie po to przyjechałam do Tajlandii. Ona wszystko psuje”. „Znowu awantura z Rosie. Mam już dość”. „Rosie podrywa Jake’a. NIE WIERZĘ!” Dlaczego wcześniej nic o tym nie wiedzieliśmy? – spytał. – Wszyscy powtarzali, że świetnie się bawiły.

Salmond weszła na profil Alex na Instagramie.

– Bo Alex chciała, żebyśmy to właśnie myśleli. Proszę zobaczyć, na przykład drugiego sierpnia, kiedy pisała do Mags, że Rosie sypia po kolei z wszystkimi facetami, wrzuciła zdjęcie, na którym stukają się kieliszkami. Podpis: „Życie jak w bajce z najlepszą współlokatorką”.

– Dlaczego miałyby udawać, że się dobrze bawi?

Salmond spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Bo zależy jej, żeby tak myśleli jej „znajomi”. To publiczny profil, nie ma nic wspólnego z jej prawdziwym życiem.

– Publiczny? – zdziwił się Sparkes. – Przecież to była uczennica z Winchesteru, a nie gwiazda *Big Brothera*.

– Przecież każdy z nas jest gwiazdą swojego własnego reality show. Nie wiedział pan o tym?

– Nie pleć, Zara. Co za bzdury. Tymczasem to... – powiedział, machając w stronę ekranu – każe zadać sobie pytanie, co naprawdę działo się na tym wyjeździe.

„Narkotyki, przygodny seks, kradzieże. Zachowania podwyższonego ryzyka. Czy dlatego dziewczyny zginęły?”

– Musimy jak najszybciej uzyskać zeznania od Mags Harding, a do tego pełen dostęp do jej mejli od Alex.

– Już jest w drodze, kazałam jej wziąć telefon, żebyśmy mogli go sprawdzić.

– Świetnie. Daj mi znać, jak przyjedzie, chcę być przy tej rozmowie. Powinienem chyba zadzwonić z tym do Bangkoku, choćby dla zachowania pozorów...

– Ja z nimi porozmawiam – wtrąciła Salmond. – Najważniejsze pytanie brzmi: czy mówimy o tym rodzinom?

Sparkes zaczął przewijać mejle, grając na zwłokę, żeby się namyślić.

– Chyba nie mamy wyjścia. Jeśli przekazemy je policji w Tajlandii, mogą wycieknąć. Nie wiem, w jakim stopniu będą zabezpieczone, a jeśli rodzice przeczytają je w prasie, to będzie sto razy gorzej.

– Chce pan, żebym ja im powiedziała?

– Nie, ja to zrobię. Przekaż Turner, że chcę się z nimi spotkać w południe, po rozmowie z tą Harding. Pojadę do nich. Najpierw powiem Mike’owi Shawowi, bo on tam jest główną atrakcją. W towarzystwie może się zamknąć w sobie. Potem przyjdzie kolej na jego byłą żonę i O’Connorów. Domyślam się, że to nie będzie przyjemne.

Próbował sobie wyobrazić reakcję Jenny Shaw. „Pewnie to będzie niedowierzanie. Nikt nie chce słuchać o mrocznej stronie swojego dziecka. Zwłaszcza kiedy to dziecko nie żyje”.

Ostatni mejl Alex do Mags tłukł mu się pod czaszką. Ledwie dwa proste zdania:

„Nienawidzę Rosie. Mogłabym ją zabić”.

*Piątek, 5 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Już trzy razy obejrzałam transmisję konferencji prasowej – najważniejsze wiadomości przewijają się w kółko na pasku pod energiczną prezenterką Sky News. Ilekroć pokazują zdjęcie Jake’a, które im dałam, przymykam oczy, jakby było zbyt jasne, żeby patrzeć bezpośrednio na nie. Wiem, kiedy się go spodziewać, zawsze przecież pojawia się w tym samym czasie, ale za każdym razem doznaję wstrząsu. Zamykam się w sobie.

Postanowiłam pójść dziś do pracy, ale Steve’a ten pomysł przeraził.

– Dlaczego miałybyś iść? – zapytał.

– A dlaczego nie? Ty idziesz – odwarknęłam.

– To co innego, nie sądzisz?

Chciał powiedzieć, że on ma prawdziwą, poważną pracę. Że zależy od niego życie innych ludzi. Ale się powstrzymał. Pewnie uznał, że nie czas teraz na to. Ale ja nie zamierzałam odpuścić. Czemu miałabym się hamować?

– No co? Co chcesz powiedzieć? Że moja praca jest mniej ważna od twojej?

– Przestań, Katie. Nie zamierzałem mówić nic na temat twojej pracy. Słuchaj, całą noc nie spaliśmy. Jesteśmy okropnie zestresowani, w redakcji powiedzieli ci, żebyś siedziała w domu. Ja się zaraz spóźnię, mam pacjenta. Muszę lecieć. Wracaj do łóżka.

Pozwoliłam pocałować się na do widzenia, ale ciągnęłam naszą kłótnię w głowie, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku. Wygrałam. Tak mi się zdaje. Nie zamierzałam wracać do łóżka. Zajmę się czymś, żeby nie siedzieć beczynnienie.

Ale oto siedzę i oglądam kanał informacyjny, co piętnaście minut zamykając oczy.

Dopiero Joe wyrywa mnie z telewizyjnej hipnozy. Wyciszyłam telefon i zostawiłam go na stoliku w holu, żeby uniknąć rozmów z reporterami. Słyszę, jak wibruje na lakierowanym drewnie, więc podkręcam głośność. Ale Joe po prostu puka do drzwi. Stuk-stuk-stuku-stuk. Ja go tego nauczyłam. Odsuwam firankę i widzę, że stoi przed domem w koszuli i krawacie, patrząc na kwiatki.

– Wiem, trzeba je podlać – mówię, otwierając drzwi. – Szybko, wchodź. Nikogo innego tam nie ma?

– Nie, zrobiłem rekonesans. To zasada numer sto dwadzieścia, zgadza się?

– Milcz. Kawy?

– Czemu nie? To już będzie dziś moja trzecia. Wylecę stąd w podskokach.

– Co ty tu w ogóle robisz? Czemu nie jesteś u rodziców dziewczyn? Terry wie?

– Nie do końca. Wrzuciłem relację z konferencji, a teraz wysłali do nich Gail, ma zrobić duży wywiad.

„Ja powinnam być na jej miejscu” – myślę niczym porzucona dziewczyna na ślubie byłego. Ale Gail na pewno świetnie sobie poradzi.

– Powiedziałem Terry’emu, że spotykam się z kontaktem. No bo to prawda. Jesteś moim najlepszym kontaktem.

– To jakiś dramat, Joe. Kontakt to ktoś, kto może ci powiedzieć coś nowego, ma jakąś wiedzę. Na przykład gliniarz czy polityk.

– Albo ty – mówi. Ma rację. Ja wiem wszystko, na czym mu zależy.

– Domyślałem się, że Terry dał ci medal za sensacyjne wieści z nocy? – Zmieniam temat.

Uśmiecha się od ucha do ucha, na twarzy ma wyraz czystego szczęścia.

– Powiedział: „Kurwa!”. Terry jeszcze nigdy tak nie zareagował na mój artykuł.

– Bardzo się cieszę z twojego sukcesu. A teraz siadaj i słuchaj, powiem ci, co musimy zrobić.

Spisaliśmy listę. Lubię listy. Odrobina porządku w świecie chaosu. Jeśli chcemy znaleźć innych świadków – a chcemy – to potrzebujemy znacznie więcej informacji.

– Co już mamy? – pyta Joe.

– Dzwoniłam do Bangkoku do Rossa. To znajomy Jake’a. Mówił, że w pensjonacie było paru Holendrów. Wydaje mu się, że jeden ma na imię Lars.

– No to połowę roboty mamy odwaloną...

– W tej redakcji obowiązuje zakaz sarkazmu – mówię, waląc dłonią w stół. – No dobra, gdzie są potrzebne nam informacje?

– W internecie. Fora podróżnicze. Facebook. Instagram. Twitter – wymienia Joe, a ręce aż go świerzbią, żeby dorwać się do klawiatury.

– Tak, tak, ale kto konkretnie będzie coś wiedział?

– No, Jake, oczywiście.

Gromię go spojrzeniem. Odbyliśmy już przecież rozmowę pod tytułem „On nie miał nic wspólnego ze śmiercią tych dziewczyn”.

– No i Rosie i Alex – mówię. Joe nie rozumie, o co mi chodzi. – Pisały do domu, prawda? No, przynajmniej Alex. Rosie najwyraźniej zdała się na nią, jeśli chodzi o kontakty z rodzicami. Alex na pewno nie pisała tylko do nich. Pełno jej było w mediach społecznościowych, więc mogą być inne wiadomości czy mejle. Musimy do nich dotrzeć. Pewnie plotkowała o innych mieszkańcach tego przeklętego hostelu.

Joe podnosi głowę i zerka na mnie znad krawędzi ekranu. Unosi pytająco brwi, a ja kiwam głową.

– Tak, może pisała też o Jake’u. Ale to mogą być też informacje, które mu pomogą.

– Zadzwońię do sierżant Salmond. I tak codziennie do niej dzwonię. Zwykle jest zajęta i nie ma czasu rozmawiać, ale może coś nam powie.

– Musisz pracować nad tą relacją, Joe, przeciągnąć Salmond na swoją stronę. Pogadaj z nią o sprawie, ale też o tym, jak długo siedzi w pracy, jak kiepsko opłacani są policjanci. O innych rzeczach. Musisz zbudować więź. Pokazać jej, że może ci zaufać.

– Strasznie to emocjonalne.

– Reporter pracuje na ludzkich emocjach, kretynie. Naszym zadaniem nie jest obserwowanie wydarzeń przez teleskop czy, jak teraz, przez Google’a. Trzeba się zanurzyć w tej pracy, żeby wszystko poczuć, obejrzeć z bliska, zrozumieć. Trzeba sobie ubrudzić ręce. Aż po łokcie.

– Dobra, dobra, rozumiem. Mam zanotować?

Zamierzam się na niego notatnikiem i wybucham śmiechem. Mogłabym go uściskać za to, że udało mu się dzisiaj mnie rozbawić.

– No dobrze. Koniec wykładu. Chodzi o to, żebyś nie wyskoczył dziś z prośbą o wgląd w mejle. Odmówi i wszyscy zaczną się pilnować. Kto jeszcze będzie miał te mejle?

– Rodzice?

– Przy okazji pierwszego wywiadu czytałam te, które do nich wysyłała. Same nudy o świątyniach i tuk-tukach. Musimy znaleźć znajomych, którym mogła się zwierzać.

– Już się robi. Joe nachyla się nad ekranem i nic nie mówi, tylko od czasu do czasu coś notuje, zagłębiając się w cyberprzestrzeń.

*Piątek, 5 września 2014 roku*

## **MATKA**

Zbyt wiele razy obejrzała transmisję konferencji prasowej. Za którymś razem złapała się na tym, że podpowiada komisarzowi Sparkesowi kwestie, czekając, aż zdjęcie Alex i Rosie pojawi się na ekranie tuż po planszy z nagłówkiem.

No i ta fotografia Jake'a Watersa. Nagrała cały program i teraz wcisnęła pauzę, zatrzymując nagranie, kiedy zobaczyła jego twarz. Już nie to okropne zdjęcie z plaży, gdzie wyglądał jak szatan, ale inne – po prostu chłopak, który jest czyimś synem. Okulary, falujące włosy, krzywy uśmiech.

– Zrobiłeś to? – zapytała tę twarz. – Mogłeś to zrobić? – Próbowała sobie wyobrazić, że jej własny syn robi komuś krzywdę, ale nie potrafiła przywołać takiej wizji. No dobrze, jej chłopiec nie. A czyjś inny? Podniosła wzrok, zaskoczona pojawieniem się Malcolma w drzwiach.

– Przestań się katować. – Westchnął.

– Próbuję dopatrzeć się jakiegoś znaku w jego twarzy, Mal. Jak wyglądają ludzie, którzy duszą dziewczynki? Właśnie tak? Normalnie?

– Nie wiem, kochanie. Policja się na tym zna lepiej ode mnie. Nie mogę ciągle wałkować tego, co się wydarzyło. Czuję się okropnie, że nie mogłem temu zapobiec. – Usiadł i zaczął bezgłośnie szlochać, ramiona trzęsły mu się z wysiłku. Lesley zerknęła na niego, po czym przeniosła wzrok z powrotem na ekran telewizora. Przewinęła do tyłu, a następnie wcisnęła „play” i skupiła się na twarzy Boba Sparkesa.

Ugotowała dwa jajka na śniadanie, ale potem straciła apetyt, zostawiła je w stygnącej wodzie, gdzie twardniały i szarzały. Malcolm ciągle siedział w salonie z twarzą białą jak ściana. Bez słowa założyła mu na ramiona narzutę z łóżka Alex i zostawiła samego z bólem i żalem. Nie mogła wziąć na siebie i jego ciężaru. Nie dzisiaj.



O dziesiątej zadzwoniła Wendy Turner.

– Są jakieś wieści? Ktoś się zgłosił? Znaleźli Jake’a Watersa?

– Dzień dobry. Dowiedziałam się, że wieczorem nękał panią jakiś reporter. Trzeba było do mnie zadzwonić, po to tu jestem.

– Było już bardzo późno. Nie chciałam zawracać głowy, a zresztą Joe Jackson i tak już miał te informacje. Nie mielibyśmy jak go powstrzymać przed publikacją, prawda?

– Nie, chyba rzeczywiście. No dobrze, dzwonię, żeby umówić spotkanie z komisarzem Sparkesem. Chce się z wami spotkać, omówić różne sprawy. Mógłby przyjechać koło dwunastej?

– Tak, oczywiście. Może nawet wcześniej, jeśli chce. A o co chodzi?

– Nie, nie, prosił mnie, żebym umówiła was w południe. Dowiemy się wszystkiego, kiedy przyjedzie, zaczekajmy, dobrze?

Wcale nie dobrze, ale na nic nie miała już wpływu. Będzie musiała jakoś znieść oczekiwanie.

– Jak się pani trzyma? – zapytała Wendy.

– Fatalnie. Malcolm całkowicie się wyłączył, a ja zmuszam się do podstawowego funkcjonowania.

– Może warto porozmawiać z lekarzem, poprosić o jakieś wsparcie.

– Nie potrzeba nam pigułek. Potrzebujemy się dowiedzieć, kto zabił Alex.

– Wiem. Ale leki mogą pomóc przetrwać ten okres niepewności.

„Okres niepewności. Do słownika można wpisać kolejny eufemizm – pomyślała Lesley. – Ten trudny czas, okres smutku, żałoby. Nikt jeszcze nie powiedział »póki szukamy zabójcy waszej córki«. Ciekawe, kiedy zaczną tak mówić?”

– Dziękuję. Porozmawiam o tym z mężem.

Siedziała z telefonem w ręku, gapiąc się w przestrzeń. Nie mogła znieść tego marazmu. Wybrała numer Kate Waters.

– Kto mówi? – wyszeptała Kate głosem stłumionym od szoku.

– Lesley. Mówi Lesley. Wiedziałaś, co on zrobił? Kiedy udawałaś, że tak się o nas martwisz?

– Oczywiście, że nie wiedziałam. Co jest z tobą nie tak? Mówisz o moim dziecku. Mój syn nikogo nie zamordował. Dziennikarze i prasa nic nie rozumieją.

– Nam mówią coś innego.

– Co wam mówią? Słuchaj, rozumiem, że jesteś wzburzona. Ktoś zamordował twoją córkę, ale mój syn nie miał z tym nic wspólnego. Uwierz mi, błagam.

– Nie możesz mieć pewności. Nie było cię tam. A w szkole brał narkotyki, zanim go wyrzucili. Mówiłaś, że o tym też nie wiedziałaś. Czyli tak naprawdę

wcale tak dobrze go nie znasz, co?

Kate odłożyła telefon. Lesley próbowała choć przez chwilę napawać się poczuciem triumfu, ale była zupełnie martwa w środku.

*Piątek, 5 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Sparkes odchrząknął.

– Bardzo mi przykro, że media państwa niepokoiły w nocy – powiedział i nerwowo zamieszał kawę, tak że łyżeczka stukająca o filiżankę dźwięczała jak dzwonek.

– Cholerne pismaki – warknęła Jenny. – Skąd ten cały Joe Jackson się dowiedział o wynikach sekcji? Bo przecież nie od nas.

Pozostali też stanowczo pokręcili głowami. Tym razem siedzieli stłoczeni w ciasnej kuchni Jenny – on, Wendy Turner i O’Connorowie. Patrząc na pełne napięcia twarze rodziców, cieszył się w duchu, że nie ma tu Mike’a Shawa.

Z nim spotkał się wcześniej, w salonie dywanów. Spocony Shaw siedział w swoim biurze połączonym z magazynem, wyglądał niezdrowo. Zdjął z krzesła próbki wykładzin, żeby detektyw mógł usiąść. Prawie stykali się kolanami.

– Jak się pan trzyma? – zapytał Sparkes. Byli tak blisko, że wyczuwał w oddechu Shawa słodkie nuty gumy do żucia mające maskować stęchłą woń dymu papierosowego. Odsunął się do tyłu o parę centymetrów, starając się zyskać jakąś przestrzeń osobistą.

– Chujowo – odparł Shaw. – Czuję się chujowo. Przepraszam, ale to jakiś koszmar.

Sparkes pokiwał głową współczująco.

– Na pewno tak to pan odczuwa. To straszny okres dla was wszystkich. – „A zaraz będzie jeszcze gorzej”. – Wiemy już nieco więcej o okolicznościach śmierci dziewczynek, więc musimy poskładać cały obraz tego, co się działo w tamtym pensjonacie. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Shaw dopiero teraz tak naprawdę na niego spojrział.

– Mojej pomocy? – zapytał. – A co ja mogę wam powiedzieć? Przecież byłem tysiące kilometrów stamtąd. Ostatni raz miałem kontakt z Rosie jeszcze przed jej wyjazdem. Ja nic nie wiem. – Rozłożył szeroko ręce w obronnym geście.

Sparkes sięgnął po teczkę, którą położył wcześniej na podłodze koło krzesła.

– Chciałbym pokazać panu kilka mejli na temat Rosie, które Alex wysłała do koleżanki – powiedział. – Mogą okazać się istotne w toku śledztwa.

Z oczami jak spodki Shaw wyciągnął rękę po plik kartek.

– Lojalnie uprzedzam, że jest tam mowa także o panu – dodał Sparkes.

Dłoń Shawa zadrżała, ale wziął wydruki. Sparkes patrzył, jak mężczyzna przebiega wzrokiem po tekście, i od razu wiedział, kiedy trafił na kontrowersyjny fragment, bo nagle twarz wykrzywił mu grymas.

– Boże, czy Jenny to widziała?

„Czyli chodzi tylko o ciebie. Nie o zmarłą córkę” – pomyślał Sparkes, kręcąc głową.

– Jeszcze nie. Spotykam się z resztą za pół godziny. Uznałem, że uczciwiej będzie najpierw pokazać to panu.

– Bo to moją reputację zszargano. – Shaw poluzował krawat.

– Weźmie pan udział w tym spotkaniu?

– A jak pan myśli? – mruknął. – I tak nie planowałem. Doszedłem do wniosku, że najlepiej trzymać się z dala, biorąc pod uwagę, jak się mają sprawy między mną a Jenny. Wczoraj wieczorem, kiedy pan wyszedł, znowu się pokłóciliśmy. Jak zwykle zaczęła mi wypominać, że zostawiłem ją i Rosie. Nie mogę już tego znieść, panie komisarzu. Malcolm powiedział, że zadzwoni do mnie po wszystkim.

Shaw wysunął szufladę biurka, wyjął paczkę papierosów i zapalił.

– Otworzę okno – powiedział, zaciągając się głęboko.

– Dobry pomysł – stwierdził Sparkes. – Czy to nie jest zabronione w miejscu pracy?

– Ja pierdolę, niech mnie pan aresztuje – rzucił z ponurym uśmiechem.

Sparkes odgarnął dym w kierunku okna i wrócił do meritum.

– Rozumiem, że to bardzo trudny temat, ale muszę zapytać, czy Rosie powiedziała Alex prawdę. Rosie naprawdę wymusiła na panu te pieniądze?

Shaw usiadł prosto i zgasił papierosa w szufladzie – Sparkes miał nadzieję, że ma tam schowaną popielniczkę.

– Nie rozumiem, jaki to może mieć związek z tym, co się wydarzyło.

– Musimy zweryfikować prawdomówność Alex. Twierdzi też, że Rosie brała narkotyki. Że były między nimi kłótnie, zazdrość o chłopaków. To wszystko może mieć jakiś związek z późniejszymi wydarzeniami. Rozumie pan to, prawda?

Shaw otworzył i zaraz zamknął usta, jakby zamierzał wszystkiego się wyprzeć, ale w końcu z rezygnacją pokiwał głową.

– Nie wiem, czy Rosie brała narkotyki jeszcze przed wyjazdem, niewykluczone. Nie miałem pojęcia, co robi. Powinienem się orientować, ale Jenny starała się maksymalnie utrudnić nam kontakt. Zmieniała plany, w ostatniej chwili odwoływała wizyty. Coraz rzadziej widywałem Rosie. Wykorzystywała ją, żeby ukarać mnie za odejście. Za szczęśliwe życie z Imogen...

– Ale córka przyszła się z panem spotkać w sprawie wyjazdu? – odpowiedział Sparkes.

– Tak, przyszła. – Ukrył twarz w dłoniach. – Nie widziałem jej od wieków. Myślałem, że kiedy podrośnie, będzie mogła sama decydować o spotkaniach ze mną, ale Jenny najwyraźniej skutecznie nastawiła ją przeciwko mnie. Tak czy inaczej, zrobiła okropną scenę. Zobaczyła, że się zabawiam z jedną z dziewczyn... nic wielkiego, naprawdę, w każdej pracy to normalne – wyjaśniał.

„Chyba u was” – pomyślał Sparkes i ucieszył się, że nie ma tu Zary Salmond, która na pewno zjeżyłaby się na taką szowinistyczną uwagę.

– Ale Rosie zareagowała strasznie gwałtownie, zagroziła, że powie Imogen. Żona by tego nie zrozumiała. – Shaw próbował odwrócić oczy. – Sam pan rozumie.

Sparkes przytaknął, podtrzymując kontakt wzrokowy, a Shaw brnął dalej.

– Musiałem ją jakoś powstrzymać, a ona obiecała, że nie piśnie ani słowa, jeśli dam jej forszę na te cholerne wakacje.

– A skąd pan wziął te pieniądze? Mówił pan, że kredyt hipoteczny spłaca z karty kredytowej.

Shaw prychnął śmiechem, udając rozbawienie.

– Po co te gierki, komisarzu? Przecież pan wie, skąd Rosie wzięła pieniądze. Od mojej matki.

– To pan autoryzował przelew z jej konta.

– Nie pamiętam.

– A pańska matka o tym wiedziała?

Shaw wstał na znak, że rozmowa dobiegła końca.

– To stara sprawa, komisarzu, już ją omówiliśmy. Moja matka wycofała zgłoszenie o brakujących środkach. Na pewno ma pan ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład ustalenie, w jakich okolicznościach zmarła moja córka.

– Tak. – Sparkes również wstał i zabrał z powrotem wydruki. – Teraz pokażę te mejle pańskiej żonie.

– Dopilnuję, żeby mieć wyłączony telefon – powiedział Shaw. – Kurwa, co za koszmar.

W kuchni Jenny Shaw siedzieli na malutkich taboretach, więc wszyscy wyglądali, jakby ledwie przycupnęli półdupkiem.

– Nie wiem, kto poinformował Joego Jacksona – powiedział Sparkes.

Właściwie nie miał całkowitej pewności. Miał pewne podejrzenia, owszem, ale nie chciał, żeby w ciągu najbliższej godziny rozmowa zesłała na manowce. Znowu odchrząknął, żeby zaznaczyć zmianę tematu. Lesley była jednak głucha na sygnały niewerbalne. Mejle miały nadal wisieć mu nad głową jak miecz Damoklesa, dyndać i czekać na odpowiednią chwilę.

– Nieważne. Czy po konferencji prasowej ktokolwiek zgłosił, że widział Jake’a Watersa? – zapytała Lesley. – Gdzie on jest?

– Nie, Lesley, ale dostajemy dużo pomocnych doniesień od obywateli. – Nieprawda. Jak zwykle same beznadziejne przypadki. Jak dotąd jego ulubione zgłoszenie brzmiało: „Wygląda dokładnie jak ten koleś z budki z frytkami. Tylko że on jest czarny...”.

Przysunął się bliżej do stołu na skrzypiącym taborecie i nachylił do przodu, żeby skupić na sobie uwagę rozmówców.

– Chciałem podzielić się z wami pewną informacją, którą uzyskaliśmy dziś rano.

– Co to za informacja? O czym pan mówi? – zapytali chórem.

– Dowiedzieliśmy się o mejlach Alex do jednej z koleżanek, w których skarżyła się na różne trudności, jakie miały z Rosie.

– Trudności? Alex nic nie mówiła o żadnych problemach. Pisała, że świetnie się bawia – zaoponowała Lesley. – Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy?

Westchnął ciężko.

– Ponieważ my też dopiero się o tym dowiedzieliśmy.

Wtrąciła się Jenny, przekrzykując ich oboje, domagając się wysłuchania.

– Niech nam pan powie, co jest w tych mejlach.

– Zacznijmy od tego, że było ich sporo. Wszystkie zostały wysłane do Margaret Harding.

– Mags? Nie pisnęła ani słówka – powiedziała Lesley głosem wysokim i piskliwym z niepokojem. Dźwięki odbijały się od ścian kuchni i wracały zniekształcone, jak wściekłe brzęczenie. – Dzwoniłam do niej na samym początku, pytałam, czy miała jakieś wieści od Alex, ale twierdziła, że nic nie wie, tak jak my. Po naszym powrocie sama zadzwoniła, mówiła, że jej bardzo przykro. Dlaczego nic nam nie powiedziała?

Sparkes uniósł dłoń, żeby zatrzymać ten potok słów.

– Obiecała Alex, że nic nikomu nie powie. W tych mejlach Alex poruszała dość drażliwe tematy, nie chciała, żebyście o nich wiedzieli. Mags jest nastolatką,

dzieciaki w tym wieku często podejmują nie najlepsze decyzje. Na pewno będziecie mieć wiele pytań, ale może lepiej przeczytacie te mejle, a dopiero potem będziemy je omawiać...

– Jest w nich mowa o narkotykach? – przerwała mu Lesley.

– Tak.

– Niech pan nam je pokaże – warknęła Jenny.

– Prosimy – dodał Malcolm.

Sparkes wyjął kopie wydruków i dał im do przeczytania.

– Proszę spokojnie czytać, ja w tym czasie przedzwonię na komisariat – rzucił, wychodząc do holu.

Rozpaczliwie potrzebował uciec choć na chwilę. Obejrzał zdjęcia Rosie stojące niedaleko drzwi wejściowych. Pamiątki z kolejnych urodzin. Różne wersje dziewczynki w eleganckiej sukience, zdmuchującej świeczki na torcie i uśmiechającej się do obiektywu.

Narastające napięcie przesączało się z kuchni do wąskiego holu, zbierało się kałużą wokół jego stóp, kiedy pisał esemesa do Salmond. Nie mógł tego znieść. Rodzice krzyknęli cicho, kiedy trafili na pierwsze oznaki kłopotów, pierwsze oskarżenie. Ale tylko „Och!”. Nic więcej. Potem posuwali się dalej w grobowej ciszy, jakby niepewni, co ich jeszcze czeka.

Dziesięć minut później detektyw Turner zawołała go z powrotem. Na twarzach rodziców malowała się wyraźna zgrzyzota.

– Czy ktoś jeszcze to widział? – zaczął Malcolm.

– Tylko ja i sierżant Salmond. I pan Mike.

– Mike już to widział? – wrzasnęła Jenny. – Dlaczego? Dlaczego on pierwszy? Dlaczego go tutaj teraz nie ma, nie może odpowiadać na pana pytania?

– Widziałem się z nim dziś rano w cztery oczy.

– Nie mógł nam spojrzeć w twarz, co? Pieprzony tchórz. I widzę, że wrócił do swoich starych numerów. Znow się ugania za sekretarkami. Święta Imogen by mu nie wybaczyła, co?

– Przestań, Jenny. – Lesley walnęła ręką w stół. – Tu nie chodzi o wasze problemy małżeńskie. Musimy się skupić na dziewczynkach.

Jenny poczerwieniała jak burak.

– Przepraszam. Nic nie poradzę, wracają bolesne wspomnienia.

– To zupełnie naturalne – powiedziała cicho Turner, ucinając wątek.

– Kto jeszcze zobaczy te mejle? – Malcolm uparcie trzymał się swego.

– Na tym etapie nie zamierzamy przekazywać ich nikomu oprócz policji w Tajlandii – powiedział Sparkes oględnie.

– Bogu dzięki – stwierdziła Jenny. – Wystarczy, że Rosie nie żyje, trzeba jeszcze do tego deptać jej dobre imię?

Sparkes nie odpowiedział.

Kiedy omawiał możliwe konsekwencje uzyskania nowych informacji, nikt nie patrzył na pozostałych.

– Alex pisze też o innych mieszkańcach pensjonatu. Jest kolega Rosie, może nawet chłopak, Lars, oprócz tego drugi Holender, Diederik. I jakiś chłopak, Jake albo J.W., który jej się podoba.

– Jake Waters – rzekła cicho Lesley. – Mówiła o nim „Zielarz”. Przewija się przez prawie wszystkie mejle. I nie zawsze wypowiada się o nim pozytywnie. Raz nawet pisze, że mógłby się wreszcie od niej odczepić.

– Zresztą większość tego wszystkiego to i tak nieprawda – rzuciła nagle Jenny. O’Connorowie zwrócili się w jej stronę.

– Och, Jenny, oczywiście, że prawda – stwierdziła Lesley.

Litania narzekań jej córki tłukła się Sparkesowi po głowie.

– Moja córka nie ukradłaby komuś pieniędzy. I nie brała narkotyków – powtarzała Jenny swoją śpiewkę. Ale głos jej drżał.

– Nie wiemy, co one tam robiły – zauważyła Lesley.

„Rzeczywiście” – pomyślał Sparkes.

– Dlaczego Alex nie powiedziała, że tak jej tam źle? – szepnęła Lesley do męża. – Dlaczego udawała?

– Nie wiem, kochanie. Były młode, bez żadnej opieki. W tym wieku każdy robi głupstwa.

– Ja w to nie wierzę i tyle. Przykro mi – oznajmiła Jenny uroczyście, jakby chciała, żeby to zaprotokołowano.

– Nie możemy teraz o tym rozmawiać – powiedziała Lesley. – Jesteś zdenerwowana, nie myślisz logicznie.

– Zamknij się, Lesley. Wcale nie. Mówię dokładnie to, co chcę powiedzieć. To wszystko kłamstwa.



*Piątek, 5 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Po rozłączeniu się z Lesley nie mogę wydusić z siebie słowa. To okrutna niesprawiedliwość, ale nie czuję wściekłości. Jestem w szoku, jakby ktoś fizycznie mnie zaatakował. Serce łomocze mi w rytm słów „Gdzie ten twój syn morderca?”.

W milczeniu osuwam się po ścianie holu na dywan, starając się złapać oddech i pozbierać myśli. Próbuję wyciągnąć z błota transparent „Jake jest niewinny”.

Nie wiem, czy Joe słyszał coś z tej rozmowy, ale uzyskuję odpowiedź, kiedy tylko wytyka głowę zza drzwi do kuchni. Jest śmiertelnie blady, jego wygląd idealnie odzwierciedla to, jak się czuję.

– Wszystko okej? Kto dzwonił, Lesley O’Connor? – Kiwam głową. – Jest zdenerwowana – pociesza mnie. – Sama nie wie, co wygaduje.

Ale to nieprawda.

– Nie chcę o tym rozmawiać. No dobra, zajmijmy się czymś pożytecznym. – Próbuję się podnieść. – Udało ci się coś wygrzebać?

– Kogoś znalazłem – mówi i podciąga mnie w górę.

Joe potrzebował niespełna pół godziny, żeby namierzyć Mags Harding – pierwszą kandydatkę na towarzyszkę podróży – której swego czasu było pełno na instagramowym profilu Alex. Dzwoni do redakcji, by zgłosić, że jedzie do Hampshire zbadać trop, i zapina pas bezpieczeństwa.

– Co powiedzieli? – pytam, podpinając telefon do ładowarki samochodowej.

– „Brzmi obiecująco”... Standardowy tekst, kiedy nie słuchają, co się do nich mówi.

– Czasem lepiej nie rzucać się w oczy, Joe. No dalej, komu w drogę, temu czas.

Prowadzi jak listonosz Pat – przez całą drogę przestrzega ograniczeń prędkości, nawet kiedy zaczynam pohukiwać:

– Na litość boską, czemu jedziesz pięć na godzinę? Nie masz stu lat, przyduś trochę gaz!

– A ty ile mandatów dostałaś w tym roku? – odcina się. – Jakby zebrać te kary do kupy, to mogłabyś pewnie kupić nowe auto.

Zamykam się, ale w głębi duszy wciąż wyję, kiedy zwalnia przed każdymi światłami.

Mags Harding czeka na nas w miejscowej burgerowni. Oczywiście sama zaproponowała to miejsce. Telefon Joego bardzo ją podekscytował. Powiedziała mi, że pierwszy raz ma do czynienia z reporterami.

– Bingo! – zawołałam, kiedy mi to powtórzył. – Jesteśmy pierwsi.

Joe zamawia podwójne cheeseburgery dla siebie i Mags („Ja proszę tylko kawę, dzięki”), a ja zaczynam ją rozgrzewać. Przedstawiam się jako Kate, współpracowniczka Joego. Bez nazwisk, żeby nie robić sensacji.

– Jak się trzymasz? Pewnie bardzo ci przykro z powodu Alex – rzucam przynętę.

– Tak. Przyjaźnimy... przyjaźniłyśmy się od podstawówki. Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę stało. Najpierw ten pożar, a teraz mówią, że ktoś ją zabił.

Do oczu napływają jej łzy, gryzie paznokieć.

– Miałaś jechać z Alex do Tajlandii, prawda?

Wyjmuje palec z ust i zauważam, że na stół spada kawałeczek paznokcia. Mags przełącza się z trybu żałoby na nastoletnie dramatyzowanie. Widzę, że myśli o tym, jak wyrwała się ze szponów śmierci. Główna bohaterka historii o cudownym ocaleniu.

– To przecież mogło zdarzyć się mnie. Powiedziałam to mamie. Gdybym pojechała. Gdybym nie zrezygnowała. To mogłam być ja. Okropne.

– Oczywiście. Dlaczego nie pojechałaś, Mags?

– Chodziło o pieniądze. Naprawdę bardzo chciałam jechać, ale co tydzień powtarzałam sobie, że zacznę oszczędzać od poniedziałku. Po prostu nie było mnie stać. Ciągle odkładałam rozmowę z Alex. Bałam się, że się wkurzy. O niczym innym nie mówiła, tylko Tajlandia i Tajlandia.

– I co, wkurzyła się?

– Nie. Wydaje mi się, że była w szoku, dlatego nic nie powiedziała. Ciągle mam wyrzuty. W kółko ją przeproszałam, no ale przecież ją zawiodłam, prawda?

Oczekuje, że zaprzeczę. Czekam, aż Joe położy burgery na stoliku, i idę po swoje picie.

– Nie zadreczaj się. Jej mama mówiła, że świetnie się tam bawiła, zanim... Zanim to wszystko się wydarzyło – mówię i widzę, że jej ręka zastyga w pół drogi do kotleta z psa zmielonego razem z budą.

– No... – Kiedy odgryza kęs, na blat wypada kawałek zwiędłego listka sałaty. Nie podnosi go, widocznie nie jest fanką warzyw.

Joe siada i też zaczyna jeść. Czekam cierpliwie, pożarcie całości zajmie im tylko parę minut.

Mags ociera usta serwetką i rozciąga w uśmiechu błyszczące wargi.

– Lepiej? – pytam, a ona kiwa głową.

– Przepraszam, umierałam z głodu.

– No dobrze, mówiłam, że według jej mamy Alex świetnie się bawiła w Tajlandii...

– Nie do końca – odpowiada Mags, krzywiąc się. – Właściwie to okropnie się bawiła z Rosie.

– Dlaczego? Myślałam, że się przyjaźniły?

– Nie, to ze mną Alex się przyjaźniła – poprawia mnie Mags. – Rosie pojawiła się jako zastępstwo na ostatnią chwilę. Nie mogłam uwierzyć, że Alex chce z nią jechać. Pytałam ją, czy jest pewna, czy w ogóle cokolwiek o niej wie, ale twierdziła, że będzie dobrze. A ja wiedziałam, że nie będzie. Nie spotykały się w weekendy, tak jak my. W szkole Rosie trzymała się z Ostryimi Siostrami, to takie dziewczyny, które ciągle chlały i zaliczały facetów. Oficjalnie nie była jedną z nich, bo jej mama po rozwodzie trzymała ją krótko. Ale bardzo by chciała.

– Alex nie lubiła takich rozrywek?

– W życiu. Wszyscy mają nas chyba za dziwne kujonki. Lubimy Harry'ego Pottera...

– To jak się dogadywały w Tajlandii?

– Kiepsko. Alex mówiła, że Rosie zachowuje się tragicznie.

– Czyli rozmawiałaś z nią? – wtrąca się Joe. – Na FaceTimie?

– Raz, na samym początku, ale potem trudno nam się było zgrać przez różnicę czasu. Za to codziennie pisałyśmy do siebie mejle.

– Na pewno miło jej było mieć się komu zwierzyć – mówi Joe, a ja mogę wygodnie się oprzeć i popijać kawę.

– Zawsze świetnie nam się rozmawiało. Nasze mamy powtarzały, że dobrałyśmy się jak w korcu maku. Mówiłyśmy sobie wszystko. Wiedziała, że nikomu tego nie powtórzę. I nie powtórzyłam. Jej mama do mnie dzwoniła, kiedy Alex przestała do nich pisać, ale dotrzymałam słowa. Powiedziałam, że też nie miałam od niej wieści w tamtym tygodniu... Żałuję, że nie powiedziałam czegoś innego, ale nie mogłam pokazać Lesley niektórych rzeczy, które wypisywała

Alex. O narkotykach i seksie. Rodzice nie chcą wiedzieć o takich rzeczach, co nie? Zgłosiłam się na policję dopiero po tym, jak się okazało, że Alex ktoś zamordował.

– Na policję? Kiedy? – pytam.

– Dziś rano, dopiero co. Myślałam, że to dlatego się do mnie odezwaliście.

– No tak – mówię. „Szybka zmiana tematu”. – Bardzo dobrze zrobiłaś, Mags.

– Chwalę ją, a ona patrzy na mnie z wdzięcznością.

– Obawiam się, że Jenny, mama Rosie, nie będzie tego samego zdania.

– Dlaczego? Bo dowie się, że Rosie imprezowała?

– No tak. Ale też dlatego, że okradła Alex, a swojego ojca zaszantażowała, żeby dał jej pieniądze na wyjazd.

Mags macza w keczupie ostatnie krążki cebulowe, a ja staram się zachować kamienną twarz.

– To faktycznie mogłoby ją zdenerwować. Kiedy się to wszystko wydarzyło?

– Alex pisała o tym w ostatnim mejlu. Parę dni przed pożarem. Przyłapała Rosie na podrywaniu chłopaka, który jej się podobał, a potem na grzebaniu w jej torebce. Ukradła jej prawie dwieście funtów. Przepuściła na tatuaż i kto wie co jeszcze. A na dodatek oznajmiła, że widziała, jak jej ojciec się całuje z jakąś babką, i zagroziła, że powie jego żonie, jeśli nie da jej kasy. Alex była w totalnym szoku. Pisała, że zamierza zostawić Rosie w Bangkoku. Rozważała powrót do domu. A potem cisza...

– Łał – mówi Joe. – Niewiarygodne.

– No wiem. W życiu bym w to nie uwierzyła, gdybym nie dowiedziała się bezpośrednio od Alex. Zobaczcie, przeczytajcie sami.

„Dobra robota, Joe”.

Mags podaje mu telefon, a on przewija treść na ekranie, cmokając i unosząc brwi, jak na zawodowca przystało.

– Mogę sobie to skopiować? Nie masz nic przeciwko?

Mags wzrusza ramionami.

– Pewnie.

– Prześlę tego mejla na swój adres, zapiszę ci też mój numer, żebyś mogła się ze mną kontaktować.

Dziewczyna się uśmiecha i nawija pukiel włosów na zatłuszczone palce.

– Mogę ci zrobić zdjęcie? – pyta Joe i bierze swój telefon.

*Bangkok, dzień 17 (wtorek, 12 sierpnia)*

Dostała pokój przez ścianę z chłopakami, więc słyszała teraz ich stłumione głosy, dając upust złości w mejlu do Mags, w którym wielkimi literami wyszczególniła wszystkie zbrodnie Rosie, a na koniec dodała: „NIENAWIDZĘ ROSIE. MOGŁABYM JĄ ZABIĆ”.

Zastanawiała się, czy powinna komuś jeszcze powiedzieć o kradzieży. O Rosie. O Mammie.

„Może Jake mógłby pomóc. Ale co on poradzi? Pieniądze przepadły. Nigdy już ich nie odzyskam. Ale ludzie powinni się dowiedzieć, co tu się wyprawia. No nie? Mamma innych też może tak urządzić”.

Poszła pod prysznic, żeby zatrzymać gonitwę myśli i splukać z siebie kwaśne, lepkie pozostałości furii. Łazienka była w strasznym stanie, woń oślizgłych kafelków i testosteronu wyraźnie znaczyła terytorium chłopaków. Zanim się rozebrała, odruchowo pozatykała dziury w ścianach z karton-gipsu zwitkami papieru toaletowego – od kiedy zauważyła cień za oknem ich poprzedniego pokoju, zachowywała ostrożność. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech do chwili, gdy znalazła się pod strumieniem zimnej wody.

Nie chciała się ubierać w tym bagnie, więc owinęła się ręcznikiem, zebrała ubrania i przemknęła do pokoju. Kiedy jednak przekręcała klucz w drzwiach, z sali sypialnej wychynął Jake.

– Alex? Co ty tu robisz? Nie mów mi, że brałaś u nas prysznic? To musiało być traumatyczne przeżycie...

Mocniej przytrzymała ręcznik i ubrania, czując, jak pali ją skóra pod jego spojrzeniem.

– Eee, przeprowadziłam się do jedyńki. Słuchaj, muszę się ubrać.

– Okej. Ale potem idziemy na drinka? Jak skończę zmianę? Przyjdź do mnie do baru, jak już się ubierzesz. Wyglądasz na zdenerwowaną.

Pokiwała głową i szybko zniknęła za drzwiami. Jest taki miły. No i starszy. Może będzie wiedział, co powinna zrobić.

Kiedy się wynurzyła, na barze czekało już na nią piwo. Był spory ruch, Jake obsługiwał klientów, więc przycupnęła na stołku i czekała. Na drugim końcu baru widziała Rosie pogrążoną w rozmowie z Mammą. Podniosły głowy, jakby wyczuły jej spojrzenie, więc Alex szybko odwróciła się w stronę kontuaru. Nie miała ochoty z nimi rozmawiać.

„Uspokój się – mówiła sobie w myślach. – To nie ty zrobiłaś coś nie w porządku”. Więc dlaczego tak właśnie się czuła?

– Jak tam? – zapytał Jake, kiedy tłum się przerzedził. – Piwo jeszcze zimne? Jamie ci je postawił.

– Tak, dzięki. – Rozejrzała się, szukając wzrokiem Jamiego. Siedział sam, z kamienną twarzą, przy stoliku w głębi sali. Uniosła szklankę w geście podziękowania i pociągnęła łyk.

– To co się dzieje? Czemu się przeniosłaś? – dopytywał Jake. – Chociaż chyba się domyślam...

– Czyżby? Wątpię...

Uniósł brwi ze zdziwieniem.

– No bo słyszałem, jak się kłóćcie...

– To długa historia – powiedziała Alex, nagle niepewna, co właściwie chce mu powiedzieć.

– Mamy cały wieczór, kończę dopiero za parę godzin – powiedział Jake z uśmiechem.

Ten uśmiech ją przekonał. Na widok jego oczu Alex się rozplątała.

– Rosie mnie okradła – wyznała.

– Rosie? Serio? Jesteś pewna? – Zerknął na oskarżoną i Alex zauważyła, że była współlokatorka podnosi głowę. „Pewnie usłyszała swoje imię”. Rosie się zachnęła i wróciła do rozmowy z jak zawsze usłużną Mammą.

– Tak. Przyłapałam ją, grzebała mi w torebce. Zresztą sama się przyznała. Ale nie to jest najgorsze. Koleś z wypożyczalni wyciągnął od niej kupę kasy za ukradziony skuter.

Jake zmrużył te swoje piękne oczy.

– Potem Mamma ją nastraszyła, że jak pójdzie na policję, to jej podrzucą narkotyki. – Nie zdążyła mu powiedzieć, że Rosie zapłaciła Mammie za pomoc. Jakiś klient zamówił skomplikowany koktajl, więc Jake musiał się tym zająć, a ona pociągnęła następny łyk piwa. Odgazowało się. Nabrała w garść orzeszków z miseczki na barze.

Kiedy wrócił, od razu podjął wątek, jakby nic im nie przerwało.

– Ten numer ze skuterem to podręcznikowy przekręt, ale żeby zaraz mieli ją aresztować? Może Rosie trochę koloryzuje, żeby odwrócić uwagę od kradzieży. Żeby było ci jej żal. Zauważyłem, że bardzo lubi zgrywać biedną zagubioną dziewczynkę. Ciężki z niej przypadek, co?

– Myślałam, że tylko ja zdaję sobie z tego sprawę – powiedziała Alex z wdzięcznością. – Ona twierdzi, że wy wszyscy macie mnie za marudę, która psuje dobrą zabawę.

– Na twoim miejscu nie wierzyłbym w jej gadanie. Nikt tak wcale nie myśli. Wszyscy mamy cię za bohaterkę, bo wytrzymujesz z księżniczką Rosie. – Alex prawie się uśmiechnęła. – No ale co z tą kasą? Wystarczy ci na dalszą podróż? Co zamierzasz?

– Nie wiem.

– Mogłabyś porozmawiać z Mammą – zasugerował niepewnie.

– Z Mammą? Wydaje mi się, że ona też może być w to zamieszana.

– Jak to? Chodzi mi tylko o to, że ona zna różnych ludzi. Wie, jak wszystko tu działa. Mnie już kiedyś pomogła.

– W jaki sposób?

– W zeszłym roku byłem w niewesołej sytuacji. Policja robiła mi problemy z wizą, a ona wszystko załatwiła. Mam u niej dług.

– Cóż, dała mi jasno do zrozumienia, że za mną nie przepada. Ale pomyślę o tym.

– Oho, klienci. Pogadamy jeszcze potem – powiedział na widok hałaśliwej grupki turystów, która wparowała do baru.

Później nie potrafiła określić, kiedy dokładnie poczuła się kiepsko. Cały wieczór jakby zniknął. Od pewnego momentu wspomnienia miały zamazane kontury. Pamiętała twarz górującej nad nią Mammy, ale usta Alex jakby przestały działać, wypadały z nich nieskładne słowa, zaczęła się niebezpiecznie chwiać na stołku. Chciało jej się do łazienki, ale nie wiedziała, gdzie jest. Ciągle w barze?

„Co się ze mną dzieje?” – chciała powiedzieć, ale usłyszała tylko jakiś bełkot. Poczuła, że podnoszą ją czyjeś ręce. A potem już nic nie czuła.

Kiedy się przebudziła, łupało ją w głowie. Próbowwała się podciągnąć do pozycji siedzącej, ale zwymiotowała na podłogę koło łóżka. Była zbyt osłabiona, żeby się tym przejąć, zamknęła oczy, bo raziło ją światło dnia. Gdy obudziła się ponownie – drugi raz? – odniosła wrażenie, że znów się ściemniło, nie było też wymiocin, a obok łóżka stała plastikowa miska.

Spróbowała wstać, ale nogi tak jej się trzęsły, że padła z łoskotem. Do pokoju przybiegł Jamie, którego zaalarmował hałas.

– Jak się czujesz, Alex? – zapytał. – Wyglądasz okropnie. Przyniosę ci wody.

Alex nie odpowiedziała. Kiedy otworzyła usta, natychmiast dostała torsji. Żebra i mięśnie brzucha okrutnie ją bolały, jakby ktoś ją okładał pięściami.

– Leż spokojnie – powiedział Jamie. – Zaraz wracam.

– Co się stało? – wychrypiała, kiedy wrócił z pełną szklanką.

– Nie wiem. Może coś zjadłaś i ci zaszkodziło. Zemdląłeś koło łazienki. Biedactwo. Okropnie się pochorowałaś. Chyba już nic ci nie zostało w brzuchu.

Próbowała sobie przypomnieć, co jadła. Orzeszki? Zjadła tylko parę garstek. Przez ostry ból głowy nie mogła się skupić.

– Położyłem cię do łóżka. Zaglądałem co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Łzy popłynęły z oczu Alex na poduszkę.

– Czuję się strasznie – powiedziała. – Chcę do mamy.

Jamie usiadł na łóżku i pogładził ją po włosach.

– Nie martw się. Zajmę się tobą.

– Rosie wie, że jestem chora?

Jamie nie odpowiedział. Złapała go za ramię.

– Każ jej napisać do naszych rodziców, żeby wiedzieli, że nic nam nie jest. Wczoraj nie napisałam, będą się martwić. A Rosie nigdy nie pamięta. I niech nic nie mówi o chorobie. Będą się denerwować.

– Załatwione. A teraz śpij.

Alex starała się leżeć zupełnie nieruchomo, żeby znowu nie wywołać wymiotów. Sięgnęła pod poduszkę, ale nie wymacała telefonu. „Znajdzie się później” – pomyślała.



*Piątek, 5 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Joe ma mnie odwiedzić, ale kiedy skręcamy w moją ulicę, widzę reporterów siedzących na murku pod domem.

– Ewakuacja! – ostrzegam i chowam się pod siedzeniem, a Joe mija dom i skręca w pierwszą przecznicę.

– Ilu ich tam było? – pytam, gramoląc się z powrotem na fotel.

– Trójka. I fotograf. Pewnie agencje. Wyglądali na bardzo młodych.

Śmiać mi się chce.

– Jak ty? – pytam, a Joe szczyrzy zęby w uśmiechu.

– No tak, ale prowadzę niby jak staruszek... Dokąd teraz?

– Wyrzuć mnie tutaj na rogu – mówię, kiedy dojeżdżamy do uliczki na tyłach mojego szeregowca. – Zadzwoń, jak już przekopię się przez wszystkie mejle.

Przesłał mi cały wątek, setki słów w dziesiątkach wiadomości, od dwudziestego siódmego lipca aż do dwunastego sierpnia. Ustaliliśmy, że na razie niczego nie opublikuje.

– Czeka nas kupa roboty, Joe. Te informacje są niesprawdzone, zwłaszcza ta o kradzieży. Alex O'Connor mogła sobie to wszystko wymyślić. Musimy najpierw w tym pogrzebać.

Pokiwał głową, ale z widocznym rozczarowaniem.

Skradam się za domami i macham do Bet, sąsiadki, która wiesza właśnie pranie w ogrodzie. Widzę, że chce coś do mnie zawołać, więc szybko przykładam palec do ust i pokazuję w stronę frontu, a ona uśmiecha się porozumiewawczo i gestem zaprasza do kuchni.

– Wchodź – mówi, spychając z taboretu kociaka Alberta. – Klapnij sobie.

– Zawracali ci głowę?

– Próbowali. Kazałam im się odtentegować. Przeklęte sępy. Jeden dzieciak zwrócił się do mnie „kochana”. Bezczelny.

Uśmiecham się na samą myśl o próbie podlizania się Bet. Bóg mi świadkiem, że też próbowałam, milion lat temu, kiedy się tu wprowadziliśmy. Bet wyczuwa jednak nieszczerłość na kilometr i nic nie robi na niej wrażenia. Jak mawiał mój tata, nie daje sobie w kaszę dmuchać.

Patrzy na mnie wyczekująco, ale przecież nie włączę się w obrzucanie mediów błotem.

– Taką mają pracę, Bet. W końcu się odczepią. Ignoruj ich.

– To trudne, kiedy wypisują takie rzeczy o Jake’u. Powiedziałam im, że to złoty chłopak. Znam go od małego i wiem, że nie skrzywdziłby muchy.

Zaskakują mnie tak miłe słowa, nie byłam na to gotowa, więc się rozklejam. Siedzę i płaczę, a ona gorączkowo szuka chusteczek. W końcu przynosi rolkę różowego papieru toaletowego.

– Lepiej to z siebie wyrzucić – mówi pocieszająco. – Nie wolno tak wszystkiego w sobie dusić. To człowiekowi szkodzi.

Żałośnie siąkam nosem i próbuję się pozbierać.

– Pójdę już, Bet. Muszę podzwonić po rodzinie.

– Weź chociaż ciastka. Na pewno prawie nic nie jesz.

Wciskam do torebki paczkę herbatników.

– Będiesz rozmawiała z Freddiem? Ucałuj go ode mnie, proszę. Jak on się trzyma? Co o tym wszystkim myśli?

– Bardzo nas wspiera – odpowiadam, ale tak naprawdę wcale nie wiem, co Freddie sobie myśli. Zwłaszcza po wczorajszym wieczorze. Zastanawiam się, czy nie obwinia mnie o to, że Jake nie wraca, że wkopał się w tę sprawę. Będziemy musieli bardzo uważać na słowa. Postaram się go chronić, tyle że on może odwzajemnić się tym samym. Może przed Steve’em bardziej się otworzy. Mogą sobie o mnie porozmawiać. Zadzwoń do niego wieczorem.

Przemykam się do naszej tylnej furtki i zamykam ją na klucz. Nigdy jej nie zamykaliśmy, wcześniej nie było powodu. Chłopcy wracali ze szkoły na rowerach, chowali je do składziku i zaraz potem wpadali do domu przez tylne drzwi. Przez lata klucz rdzewiał w dziurce i przez chwilę się z nim mocuję. Potem przez moment stoję nieruchomo w słońcu, schowana za wysokim murem odgradzającym ogródki od całego świata z wyjątkiem Alberta, który wygrzewa się na dachu składziku. Muszę spokojnie pomyśleć. Tyle że moje myśli wciąż wędrują do Jake’a jako małego chłopca. „Gdzie on jest? Co zrobiliśmy nie tak?”

Zamykam oczy i głęboko oddycham.

„Lista, Kate. Wróć do listy”.

Idę do salonu po laptopa. Przed wyjazdem zaciągnęliśmy z Joem kotary, żeby zasłonić wnętrze przed ciekawskimi oczami i obiektywami aparatów, więc kiedy wchodzę prosto ze słońca, ogarnia mnie nagła ciemność. Po omacku docieram na sofę i otwieram komputer. Siadam, choć wciąż słyszę rozmowy za drzwiami. Wydaje mi się nawet, że rozpoznaję głosy. To surrealistyczne: kulę się tu ze strachu przed kolegami i koleżankami. Prostuję plecy i przenoszę się w głąb salonu z dala od drzwi.

Ja też mam coś do zrobienia.

To jak połów – zarzucam sieć w strumień nastoletniej świadomości, próbując wyłapać co ważniejsze informacje.

Kopiuje treść listów do pliku tekstowego i wyszukuję różne słowa kluczowe. Zaczynam od „Jake’a”. Oczywiście. Muszę się dowiedzieć, co wie policja. Jego imię pojawia się trzydzieści jeden razy – nazywa go albo „Jake”, albo „J.W.”. Głównie w późniejszych mejlach. J.W. to, Jake tamto. Alex nie może się zdecydować – raz rozpływa się w zachwytach nad moim synem: jaki to on jest sympatyczny, ma takie miłe oczy i piękne dłonie, mógłby ją gdzieś zaprosić. Jak to próbuje zwrócić jego uwagę. Co powiedział, jak na nią patrzył. Mój syn, obiekt gorących uczuć nastolatek. Kiedy indziej znowu zaczyna marudzić, narzeka, że nie chce się od niej odczepić. „Ech, te dziewczyny” – myślę. Nie żebym jakoś dobrze się na tym znała. Nigdy nie miałam nastoletniej córki.

Dopiero potem uzmysławiam sobie, że w pierwszych mejlach też jest mowa o Jake’u – Alex wspomina o jakimś „Zielarzu”, który albo przesiaduje w pokoju, paląc jointy, albo obsługuje stoliki. To on. Odkładam tego drugiego Jake’a na bok i idę dalej.

W trakcie wyszukiwania „Larsa” wyłania się też postać jego kumpla Diederika. Mieli jechać dalej do Mjanmy. Pojawia się wzmianka o Amsterdamie („Pewnie w domu ciągle pali zioło – twierdzi, że wszyscy w Amsterdamie to robią”) i o tym, że Lars zamierza studiować inżynierię dźwięku. Alex wyraźnie nie jest nim zachwycona. Píše, że boi się o Rosie, że zupełnie jej odbiło, bierze narkotyki z Larsem. Na pewno spodziewała się klubów i picia – jak każda nastolatka – ale nagle musiała się opiekować dziewczyną, której praktycznie nie znała. Alex wyraźnie formułuje swoje lęki, a mnie robi się jej strasznie żal. Sytuacja całkowicie ją przerosła. Dla osiemnastolatki to musiało być przytłaczające.

„Cholerna Rosie – myślę mimo woli. – Przestań, Kate, za bardzo się angażujesz...”

Z listu na list Rosie coraz bardziej się zatracza na oczach biednej, niewinnej Alex. „Wszystko będzie dobrze” – powtarza jak mantrę, a ja oczami wyobraźni

widzę, jak trzyma kciuki, żeby na pewno się spełniło, jak małe dziecko. Ale z jej wiadomości aż krzyczy narastające poczucie zbliżającej się katastrofy.

„Dlaczego nic nie zrobiłaś, Alex? Mogłaś zadzwonić do domu. Mama by ci powiedziała, co robić. Od tego właśnie są matki...”

Trafiam na kolejny fragment o Larsie – według Alex Rosie już z nim wtedy sypiała.

„Dzisiaj weszłam do naszego pokoju i nakryłam ją z Larsem. Ale wstydziór! Rosie się na mnie wydarła, że mam spadać. No kurde, przecież to też mój pokój. Lars wyszedł w końcu, jeszcze bez koszulki, i przeprosił. Rosie za to udawała, że nic się nie stało. Jest strasznie dziwna. Powiedziała, że Lars znowu zabiera ją dziś do jakiegoś klubu. Będzie didżejował. Występuje jako DJ Rappo. Chyba Srappo!!!”

Wpisuję w Google „DJ Rappo, Lars, Amsterdam”. Oto i on, uśmiecha się sennie z profilówki. Lars de Vries. Ma własną stronę.

– Dzięki wam, media społecznościowe – mówię na głos i sama się sobie dziwię.

Dotarłam do tej informacji szybciej niż Joe. Trochę się dąsa, że go wyprzedziłam („Musiałem wrócić do redakcji, Kate, odpuść mi trochę”), ale też cieszy, kiedy podaję mu nazwisko.

– Super, zadzwonię do naszych ludzi w Holandii. Kogo my tam mamy?

Daję mu namiary, sama nie mogę zadzwonić. Od czasu sekcji zwłok i wszczęcia dochodzenia w sprawie morderstwa stałam się persona non grata. Odstawiono mnie na boczny tor. Wysłałam z obiegu. Terry dzwonił, żeby sprawdzić, czy wszystko u mnie dobrze, kazał mi zrobić sobie wolne. Miło z jego strony. To nie jego wina, że znalazłam się w takim kłopotliwym położeniu, a i tak bardzo mnie wspiera. Mick oczywiście też dzwoni. Rozmowy są strasznie niezręczne, wszyscy się pilnujemy, uważamy na słowa.

Pozostaję w anonimowym świecie internetu, grzebię w kamieniołomie informacji. „W razie czego mogłabym tak zarabiać na życie – myślę. – Jeśli wszystko pójdzie w diabły”.

Cała strona jest poświęcona muzyce Larsa – podobno to hip-hop i grime. „To na tych koncertach krzyczą na siebie i biegają w kółko po scenie? Boże, ale jestem stara”. Widzę, że wrzucił zapowiedź występu w klubie, za dwa dni. Dzwonię do Joego, odbiera w ponurym nastroju.

– De Vries to jedno z najpopularniejszych nazwisk w tym kraju – mówi. – Zacząłem szukać, ale są ich setki.

– Nieważne. Pakuj grime’owe ciuchy, czy jak się to mówi, i jedziemy na clubbing.

Joe przekonuje Terry'ego, że warto jechać.

– Powiedziałem mu, że Lars może nam opowiedzieć, co się działo w pensjonacie, może też mieć jakieś zdjęcia dziewczyn. – Podejrzewam, że w trakcie tamtej rozmowy dodał „z Jakiem”, ale zrywam to milczeniem. Chcę już jechać, chociaż Steve nie jest zachwycony.

– Przecież nie pracujesz, poza tym powinnaś być tutaj, na wypadek gdyby Jake się zjawił – mówi.

– Nadal jestem zatrudniona, poszłam tylko na urlop okolicznościowy. Poza tym jadę tylko na jedną noc. Cały czas będziemy w kontakcie. To zaraz za kanałem.

– Właściwie to za Morzem Północnym. No cóż, skoro sądzisz, że to ci pomoże...

Cieszę się, że jest zbyt wykończony, żeby się ze mną dłużej kłócić.

*Bangkok, dzień 19 (czwartek, 14 sierpnia)*

Rosie zniknęła. Alex jeszcze raz zajrzała przez okno do pokoju, który do niedawna dzieliły. Ktoś rozpruł zszyte przez nią pracowicie zasłony. Na łóżku leżała pościel w innym kolorze, nie było plecaka Rosie. Jeszcze raz spróbowała otworzyć drzwi zamontowane w byle jakiej framudze, naciskając rozklekotaną klamkę. Nagle u szczytu schodów zjawiła się Mamma.

– Niech przestanie – zaskrzeczała. – Bo zepsuje. Rosie nie ma.

– Gdzie ona jest? – Alex kręciło się w głowie. Wspięcie się po schodach na drżących nogach kosztowało ją wiele wysiłku.

– Jechała się spotkać ze znajomymi.

– Z jakimi znajomymi?

– Chłopaki z Holandii. Jechała ich szukać.

Alex znieruchomiała z dłonią na klamce, próbując przetworzyć informacje. Mamma zniknęła na dole, wysokie obcasy zastukały na betonowych schodach.

– Ale ona nie miała pieniędzy... – zawołała za nią Alex. – Wszystkie jej zabrałaś.

Zeszła powoli do swojego pokoju. Zatrzymała się pod drzwiami sali chłopaków i zapukała.

Otworzył jej Jake. Widziała go pierwszy raz od tamtego wieczoru, kiedy się pochorowała. Wyglądał na zaskoczonego jej widokiem.

– Nie wiedziałem, że już wstałaś z łóżka. – Dziś w jego głosie nie było ani krztyny ciepła.

– Nie ma Rosie – powiedziała.

– No, słyszałem.

– Wiedziałaś, że wyjeżdża? Mówiła ci coś?

– Nie, skąd. Czemu miałyby mi cokolwiek mówić? Mamma mówiła, że wyjechała. – Uciekł wzrokiem, jakby chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Zostawiła dla mnie jakąś wiadomość, Jake?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Przecież mówię. Słuchaj, Alex, przykro mi, że nie mogę ci pomóc... – I zaczął się wycofywać.

– Nienawidzę jej – fuknęła Alex, zatrzymując go w pół ruchu. – Totalnie jej nienawidzę. Robiła wszystko, żeby zepsuć nam wyjazd, bo jest strasznie samolubna. Będzie musiała sobie sama radzić. To jej problem. Skoro chciała się ulotnić bez słowa, proszę bardzo, droga wolna. Zobaczymy, jak daleko zajedzie.

Mamma coś mówiła, że chciała dołączyć do Larsa, ale niby jak? Przecież nie ma pieniędzy.

Tym razem Jake spojrzał jej prosto w twarz. Wyglądał na zmęczonego i zestresowanego. Wokół tych ślicznych oczu zrobiły mu się czerwone obwódki, jakby dawno nie spał.

– Słuchaj, nie przejmuj się Rosie. To nie była dobra znajomość. Lepiej ci będzie bez niej – powiedział. – Może powinnaś poważnie rozważyć powrót do domu. Tutaj są tylko kłopoty.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Wiesz, dlaczego wyjechała?

Pokręcił głową.

– Powinnaś chyba wrócić do łóżka, Alex, kiepsko wyglądasz.

Poczuła narastającą w żołądku falę mdłości i mocno złapała się futryny. Nie chciała wymiotować na oczach Jake'a. A może już to widział? Woląa o tym nie myśleć.

– Co się stało tamtego wieczoru? – zapytała.

– O co ci chodzi? – warknął, a nagle zmiana tonu zabiła ją z tropu.

– Kiedy się pochorowałam...

– Aaa, okej. Nie mam pojęcia. Zrobił się duży ruch, Mamma wysłała mnie do zaprzyjaźnionego baru po zaopatrzenie. Powiedziałaś, że zaczekasz, ale kiedy wróciłem, już cię nie było. Szczerze mówiąc, trochę się wkurzyłem. Mieliśmy iść na kolację, pamiętasz? Zacząłem cię szukać. A potem Rosie mi powiedziała, że wierny pies Jamie zaprowadził cię do pokoju.

– Nic z tego nie pamiętam. Strasznie mi przykro, Jake. Bardzo się cieszyłam, że gdzieś razem pójdziemy. Jamie mówi, że chyba zjadłam coś nieświeżego.

– Stary dobry Jamie – skwitował Jake gorzko. A Alex zrobiło się nagle bardzo przyjemnie. Sprawiał wrażenie zazdrosnego.

– Jamie to tylko znajomy, Jake. Nie podoba mi się ani nic. Możemy się umówić na inny wieczór i tym razem naprawdę gdzieś wyjść.

– Może. Zobaczymy, jak wydobrzejesz...

– Chyba rzeczywiście się jeszcze na trochę położę – stwierdziła i powlekła się do łóżka.

W łóżku wsunęła rękę pod poduszkę, odruchowo szukając telefonu. Nadal go tam nie było, nie zmaterializował się cudownie przez noc, więc podniosła się ostrożnie. Musiała go znaleźć. Opróżniła na łóżko plecak, a potem torebkę i zaczęła raz po raz przetrząsać ich zawartość.

– O Boże! – zanosła się płaczem.

Jamie błyskawicznie wetknął głowę do pokoju, jakby stał tuż za drzwiami.

– Coś się stało?

– Telefon! Ktoś mi go zabrał. A Rosie wyjechała. I czuję się tak fatalnie...

– Nie martw się, Alex – powiedział Jamie, obejmując ją mocno. – Zaopiekuję się tobą.

Była tak słaba, że pozwoliła się tulić, poczuła, że Jamie opiera brodę na czubku jej głowy. Jakby rościł sobie do niej jakieś prawa.

Próbowała znów obudzić w sobie gniew na Rosie, ale uczucie zniknęło razem z nią, a zastąpił je paniczny lęk, co ma powiedzieć ich rodzicom.

– Muszę ją znaleźć, Jamie – powiedziała. – Co ja powiem jej mamie? Wścieknie się na mnie. Prosiła, żebym jej pilnowała, zaufała mi, a tu Rosie wybrała się do Mjanmy bez grosza przy duszy. Przecież ona nawet nie wie, gdzie to jest. Boże. Pożyczysz mi telefon, żebym sprawdziła mejle? Zobaczę, czy się nie odzywała. – Jamie się zawahał. – Proszę!

– Słuchaj, szkoda twojego czasu. Lepiej ci będzie bez niej – stwierdził. – Kawał z niej suki. Nawet nie wiesz, jak bardzo...

– Jak to? – Alex poczuła, że robi jej się gorąco. – Czego niby nie wiem?

– Nic, nic, nieważne. Sorry, mój telefon ostatnio trochę odmawia współpracy. Poczekaj, muszę włączyć internet. – Gmerał przy smartfonie przez pół minuty, a potem odrzucił głowę do tyłu z frustracją. – Cholera, wi-fi znowu padło. Pójdę powiedzieć Mammie, żeby zresetowała router. – Zniknął w głębi korytarza.

Wrócił wyraźnie uradowany.

– Mamma mówi, że dostała esemesa od Rosie. Pisała, że przeprasza i że wyjechała, żeby sobie wszystko przemyśleć.

Alex gapiła się na niego zdumiona.

– Dlaczego nie zostawiła mi wiadomości?

– Nie wiem, ale to dobrze, że jej nie ma – ciągnął Jamie. – Pojadę z tobą na Ko Phi Phi. Potrzebujesz nowego towarzysza podróży.

Spiorunowała go wzrokiem.

– To dobrze? Jak możesz mówić, że to dobrze? To jakaś masakra. I przestań ciągle gadać o tym głupim Ko Phi Phi.

Jamie wyglądał tak, jakby go spoliczkowała. Odruchowo chciała ukoić jego zranione uczucia, ale się powstrzymała. Nie miała teraz czasu znowu się kimś zajmować. Chociaż raz musiała się skoncentrować na sobie.

– Będę musiała powiedzieć naszym rodzicom – powiedziała, bardziej do siebie niż do obrażonego chłopaka. – Opowiedzieć, co tu się działo. Wszystko. Boże, ale się wściekną. Powiedzą, że to moja wina.

– Niby czemu? – spytał Jamie. – To wszystko wina Rosie.



*Niedziela, 7 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Łądujemy w godzinach szczytu, Joe chce jechać do miasta taksówką, ale przekonuję go, że pociągiem będzie szybciej. I taniej. Teraz płacę za wszystko z własnej kieszeni.

Nina zarezerwowała mu pokój w czterogwiazdkowym hotelu.

– Brzmi nieźle. Mają tam nawet basen i siłownię.

– Nie przyjechaliśmy tu pływać, Joe. Co, spakowałeś kąpielówki?

Zaciskam zęby i wchodzę na Booking.com, żeby poszukać jakiejś promocyjnej oferty w tym jego spa.

Początkowo zamierzaliśmy czekać na DJ-a Rappo pod klubem, ale impreza zaczyna się w środku nocy – na plakacie napisali, że o wpół do dwunastej.

– Nie wytrzymam do tak późna – jęczę. – Zamienię się w dynię. Ktoś tu musi wiedzieć, gdzie on mieszka.

Zaraz po przekroczeniu progu czuję na sobie zdziwione spojrzenia. Nikt w moim wieku się tu nie zapuszcza.

– Hej – mówię do znudzonej dziewczyny wycierającej bar.

– Eee, hej.

– Lars już jest? DJ Rappo?

Wybuchają śmiechem.

– Nie, pewnie jeszcze śpi. Nigdy nie wstaje przed południem.

– Gdzie on teraz mieszka? – pyta Joe. – Po powrocie z Mjanmy? Słyszałem, że było super.

– Tak, był zachwycony wyjazdem. Wrócił do tego mieszkania przy Gibraltarstraat, do kumpla.

– Aaa, do Diederika?

- Tak. Znacie go?
- Ze słyszenia. Możesz mi przypomnieć, który to numer?
- Czterdzieści dwa, drugie piętro. Powiedzcie Larsowi, że ma się nie spóźnić.

– Dobra robota, Joe. – Chwalę go szczerze. Idziemy szybkim krokiem, zgodnie ze wskazówkami nawigacji w jego telefonie, wygłaszanymi monotonnym głosem robota, i w końcu naciskamy przycisk z numerem 42 na domofonie.

Po dłuższej chwili w głośniku odzywa się zaspany głos i jego właściciel wpuszcza nas do środka, nie czekając na odpowiedź. Na schodach pośpiesznie opracowujemy plan.

– Ja zacznę – mówi Joe. – Powiem od razu, o co chodzi, że pożar i tak dalej. Potem ty się włączysz, jak już się rozkręcimy. Okej?

Dzisiaj to on rządzi. Nie mam nic przeciwko. Już dawno nauczył się samodzielności.

– W porządku. Tylko nie mów mu, jak się nazywam. Wystarczy Kate. W razie czego Sherwood, to moje panięńskie nazwisko.

Docieramy do uchylonych drzwi mieszkania. Joe woła „Dzień dobry!” i otwiera je pchnięciem. Pojawia się męska postać w bokserkach i T-shircie. Pachnie nieświeżo, powinien też umyć włosy. Jak najszybciej.

– Hej, kto tam? – pyta.

– Lars? Joe, jestem z Londynu.

– Szukacie Diederika? Powinien niedługo wrócić.

– W sumie z nim też chciałbym porozmawiać. Jestem reporterem, pracuję w jednej z angielskich gazet.

– Reporter? Serio? O co chodzi? Co tu robicie? – dopytuje agresywnie i robi krok do przodu, spychając nas w stronę drzwi. Lada moment znów wylądujemy na klatce schodowej.

– Bardzo cię przepraszamy za to najście – wtrącam się szybko. – Zadzwonilibyśmy, żeby się umówić, ale nie mieliśmy twojego numeru.

Traci rezon. Pewnie nie spodziewał się takiej uprzejmości. Sprawia wrażenie nieco zbitego z tropu.

– Przylecieliśmy aż z Anglii, żeby się z tobą spotkać. Jedziemy prosto z lotniska.

– Naprawdę?

– Tak. A właśnie, czy mogłabym może skorzystać z łazienki? Muszę. – Uśmiecham się przepaszająco. – Bardzo proszę.

Cofa się i gestem zaprasza nas do środka.

Nie śpieszę się, żeby Joe miał czas się rozkręcić. Kiedy wychodzę z łazienki, dyskretnie wycierając ręce w spodnie – wolałam nie tykać uświnionego ręcznika

– Lars już gada jak nakręcony o klubach w Azji Południowo-Wschodniej i częstuje Joego piwem.

„On nic nie wie – kołacze mi się po głowie. – Nie słyszał o dziewczynach”.

– Wielkie dzięki – mówię. – Życie mi uratowałeś.

– Tak że... – zaczyna Joe nerwowo. – Właśnie mówiłem Larsowi, że piszemy tekst o backpackerach w Tajlandii.

„Spękał”.

– Tak, zgadza się. A dokładniej o niebezpieczeństwach, jakie czyhają na młodych turystów – dodaję, sprowadzając rozmowę na właściwe tory. – Oczywiście ma to związek z tym, co się przytrafiło twoim znajomym.

Lars unosi pytająco brew.

– Rosie i Alex, twoim znajomym z Bangkoku.

Lars odstawia butelkę.

– Rosie i Alex? A no tak. Jasne. To co z nimi?

– Kiedy wróciłeś z Azji? – pytam łagodnie.

– Tydzień temu. Coś się stało?

– To długa historia. Chodź tu, usiądź.

Opada na podłogę i siada po turecku jak dziecko czekające na bajkę.

– W pensjonacie U Mammy wybuchł pożar, dziewczyny tam były.

– Nie! Kiedy?

– Piętnastego sierpnia nad ranem.

– O Jezus, to zaraz po naszym wyjeździe. Chyba jedenastego pojechaliśmy z Diederikiem do Jangonu. Rosie odprowadziła nas na dworzec autobusowy, żeby się pożegnać. Coś jej się stało?

– Obawiam się, że tak. Rosie i Alex nie żyją.

Gwałtownie podrywa głowę i patrzy na mnie. „Tak wygląda absolutne niedowierzanie” – myślę.

Na chwilę zapada cisza, Lars próbuje sobie przyswoić wieści.

– Nie żyją? Obie?

– Tak. Po pożarze znaleziono ich ciała. Problem w tym, że według ustaleń policji nie żyły już przed wybuchem pożaru.

– Boże, ktoś je zabił?

– Naprawdę okropnie mi przykro, że dowiadujesz się tego od nas. Byłam święcie przekonana, że już na pewno o tym słyszałeś.

Kręci głową.

– Podróżowaliśmy, a w Mjanmie jest tragiczny internet. Ciągłe jeszcze nadrabiam zaległości ze znajomymi. O mój Boże, biedne dziewczyny.

– Spędziliście razem dużo czasu? – pyta Joe.

– Tak ze dwa tygodnie. Z Rosie byliśmy całkiem blisko, ale z Alex nie. Chyba mnie za bardzo nie lubiła. Cały czas spędzała z innym chłopakiem.

– Z Jakiem? – pyta Joe, a ja próbuję go zgromić wzrokiem.

– Nie. To znaczy tak, pamiętam, że bardzo lubiła Jake’a. Pracował tam, więc zawsze się do niego zwracała, kiedy coś szło nie tak. Na przykład kiedy kłóciła się z Rosie. Ale zawsze widziało się ją z Jamiem. Przyjaźnili się. Wszędzie za nią łąził, jak szczeniaczek.

„Jamie?”

– Jamie też tam mieszkał? Był z Anglii? – pytam. – Do tej pory nic o nim nie słyszałam.

– Tak. Znaczący, tak mi się wydaje. Niewiele mogę o nim powiedzieć, prawie nic o sobie nie mówił. Wolał obserwować innych. Może był nieśmiały, nie wiem. Ale był trochę dziwaczny. Spał na wszystkich swoich rzeczach. Jakbyśmy mieli go okraść! I bardzo leciał na Alex. Ale ona nie czuła do niego tego samego. – Nagle pstryka palcami. – Jamie Way! Tak się nazywał. Przypomniało mi się. Rosie czasem dla żartu mówiła: „Jamie Way, czepia się jak klej”.

„Czy to jest ten J.W. z mejli? – zastanawiam się, próbując przywołać ich treść. – Kiedy pisała o J.W.?”

– Kto jeszcze tam mieszkał? – pyta Joe. – Policja twierdziła, że codziennie były tam imprezy.

– Totalna ściema. Praktycznie co wieczór gdzieś wychodziliśmy. I była nas tylko szóstka, przynajmniej do naszego wyjazdu. Nas czterech w większym pokoju i dwie dziewczyny na górze. No i oczywiście właścicielka, Mamma. To była wielka postać...

– W jakim sensie?

– W każdym. Fizycznie... No i znała wszystkich. Potrafiła załatwić, co tylko się chciało. Mówiła na ten hostel Towarownia.

– Narkotyki?

– Jeśli ktoś miał ochotę – odpowiada Lars, nagle ostrożny.

– Rosie też kupowała narkotyki od Mammy? – pytam. „Od kogoś przecież musiała”.

– Czasem – przyznaje. – Hej, Rosie była spoko. Oboje lubiliśmy się dobrze bawić, a ona chętnie próbowała nowych rzeczy.

– Ktoś jeszcze sprzedawał tam narkotyki? – Wstrzymuję oddech. „Tylko nie mów, że Jake!” – krzyczę w myślach.

– Bez żartów, Mamma by się na to nie zgodziła. Bardzo tego pilnowała. To było jej terytorium.

– Masz jakieś zdjęcia z pensjonatu? – pytam. Kiwa głową i idzie po laptop.

– Zgrałem sobie wszystkie, planowałem zrobić kolaż na ścianę...

„Teraz już raczej nie zrobi” – myślę.

Otwiera zdjęcie całej szóstki.

– Ustawiłem samowyzwalacz, żeby zrobić zdjęcie wszystkich. Ostatni wieczór przed wyjazdem. Świetna impreza.

Stoją w pokoju z metalowymi łózkami piętrowymi. Jest i Jake. Serce mocniej mi bije na jego widok – jest chudszy niż przed wyjazdem, bardziej zapuszczony, ale uśmiechnięty. Na pierwszy rzut oka wszyscy dobrze się bawią. Ale kiedy powiększam fotografię i przyglądam się po kolei ich twarzom, widzę, że nie każdy się śmieje. Na przykład Alex. No i chłopak stojący za nią. Twarz ma zupełnie pozbawioną wyrazu.

– To Jamie – mówi Lars.

*Poniedziałek, 8 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

„Post” ochoczo wykorzystał fotografię paczki z pensjonatu.

„Ostatnie zdjęcie zamordowanych turystek” – głosi nagłówek wywiadu na wyłączność. Joe napisał porządny tekst. Wsadził do artykułu najważniejsze cytaty z wypowiedzi Larsa i zidentyfikował wszystkich mieszkańców pensjonatu. Jest tam i Jamie Way. Nagle wpada mi w oko wyimek z mejla Alex do Mags. Krótkie zdanie, w którym nie ma mowy o narkotykach ani kradzieży, ale na pierwszy rzut oka można rozpoznać fragment jednego z listów.

„Joe, ty kretynie. Zaalarmujesz policję, że je czytaliśmy, a nie wzięłeś nawet najmocniejszych cytatów. Co za marnotrawstwo! Ciekawe, co na to Bob Sparkes”.

Dzwonię do Joego i okazuje się, że Sparkes już do niego dzwonił – a także Jenny Shaw.

– To nie była przyjemna rozmowa. Jenny twierdzi, że to naruszenie prywatności Rosie.

– Przecież nie napisałeś nic o kradzieży ani romansach ojca, nie? No ale i tak już wie, że wiesz. Pewnie kipi ze złości, o Mike’u nie wspominając. A co z Bobem Sparkesem?

– Komisarz też nie był zachwycony wyciekiem mejli, ale długo się nad tym nie rozwodził. Wolał zasypać mnie pytaniami o Larsa i Jamiego Waya.

– To dobrze. Dałeś mu kontakt do Larsa?

– Tak, wydaje mi się, że był zadowolony. Ale ogólnie ładnie to wyszło, co?

– Bosko. No dobra, to gdzie ten Jamie Way? Spotkajmy się w tej kawiarni koło redakcji za jakąś godzinę. Musimy znaleźć jego metrykę. Założę się, że ludzie Sparkesa też jej teraz szukają.

Joe odwalił kawał ciężkiej roboty – przekopał się przez akty urodzenia z lat 1985–1995, zanim nawet dotarłam na miejsce. Kazałam mu prowadzić poszukiwania na szeroką skalę. Jamie Way wyglądał na zdjęciu na rówieśnika dziewczyn, ale nigdy nie wiadomo.

– Może być starszy, ale udawać młodszego – mówię. Kiedyś robiłam wywiad z gościem po trzydziestce, który udawał siedemnastolatka, żeby poprawić wyniki egzaminów na koniec liceum. Ludzie miewają najdziwniejsze pomysły. Zawsze też podejrzewałam, że podczas podróży zagranicznych każdy trochę zmienia wizerunek. Łatwo upiększyć albo ocenzurować swoje życie, kiedy nikt nie zna prawdy.

Pięć metryk pasuje do naszego Jamiego Waya, robimy listę.

– Nie wiemy, gdzie mieszkał w Anglii, więc będziemy musieli skontaktować się ze wszystkimi – mówi Joe, podważając nożem foliowe opakowanie maselka.

– Zamówię odpisy aktów.

– Okej. Ale w tym samym czasie możemy poszukać w sieci rodziców wszystkich tych chłopaków, prześledzić losy ich małżeństw i daty urodzenia. Dawaj pierwszego, zacznę szukać, a ty sobie jedz tę swoją drożdżówkę.

Joe przeżuwa spory kęs opiekanej bułki.

– Odpisy dostaniemy pewnie najpóźniej jutro.

– Wiem, ale może wcale nie będziemy musieli czekać. Artykuł ze zdjęciem dopiero co wyszedł. Wrzuciłeś na końcu apel, nie?

– Tak, jak zwykle: „Prosimy o kontakt wszystkich, którzy znają którąś z osób na fotografii”.

– No to zobaczymy, co się uda uzyskać od czytelników. Ktoś go może rozpoznać.

No i oczywiście ktoś się znajduje. Do redakcji zgłasza się kierownik budowy z Portsmouth, redakcja przekazuje namiary Joemu, a on wybiera numer i włącza tryb głośnomówiący, żeby móc nagrywać rozmowę.

– Dzień dobry, pan Watson? Bardzo panu dziękuję za telefon. Podobno ma pan jakieś informacje w związku ze zdjęciem zamieszczonym w dzisiejszym wydaniu naszej gazety.

– A, tak, zgadza się – odpowiada tubalnie Watson, aż para przy sąsiednim stoliku cmoka z dezaprobatą. – To znaczy tak myślę, że to taki facet, co ze mną pracował. Ale inaczej się nazywał.

– Tak? A jak się nazywał ten pana kolega?

– Jamie, ale na nazwisko Lawrence. Dziwny dzieciak, ale dobrze pracował. Nadawał się na porządnego tynkarza.

– Jak się pisze „Lawrence”? Przez „w”? W jakim sensie dziwny?

– Cichy, ale jak się nakręcił, to trochę mu odwalało. No, wie pan, o co chodzi, nie? Jak ktoś go za bardzo wkurzył, to się rzucał z pięściami.

– A często ktoś mu dokuczał?

– Był najmłodszy w ekipie, tak że...

– Jasne – przytakuje Joe niecierpliwie. – A gdzie mieszkał, kiedy razem pracowaliście?

– Nie wiem. Wynajmował chyba jakąś klitkę czy pokój, coś takiego. Nie chwalił się. Zdaje się, że nie miał żadnej rodziny.

– Kiedy? – podpowiadam bezgłośnie.

– Kiedy ostatnio go pan widział?

– Eee, a dostanę co za to? – pyta rozmówca, a ja wzdycham.

– Cóż... – Joe przełącza się na wyuczony scenariusz. – Zwykle nie płacimy za informacje.

– Aaa, no to może lepiej zadzwonię do „Heralda”...

Wyrzeczam oczy w panice.

– Ale chciałem właśnie dodać, że może uda mi się zorganizować honorarium za pańską pomoc. Sto funtów?

– Świetnie. No, to odszedł z roboty w lipcu. Odkładał forszę, żeby trochę pojeździć po świecie. O niczym innym nie gadał, Tajlandia to, Tajlandia śmo. Strasznie się podniecał, mówił, że pierwszy raz wyrabia sobie paszport. Ale przed wyjazdem zrobił się jakiś nieswój. Przez ostatnie parę tygodni. Jakiś taki przybity, co nie, humorzasty. Mieliśmy się spotkać w pubie na pożegnalne piwo, ale nie przyszedł.

– A od wyjazdu się odzywał?

– Przysłał kartkę do biura budowy. Do naszej sekretarki, ona z nim gadała, kiedy miał gorszy dzień. Trochę mu matkowała. No nieważne, przyszła kartka, że bardzo mu się podoba w Bangkoku.

Pokazuję na migi aparat fotograficzny, Joe niecierpliwie macha ręką.

– Pewnie nie ma pan żadnych zdjęć Jamiego?

– Nie, na budowie raczej nie strzelamy sobie selfie. Ale mogę się rozpytać w pubie. Dużo tam wysiadywał.

– W którym pubie?

– Black Swan. Trochę dziura, ale przytulna.

Barmanka, która odbiera telefon w Black Swan, mówi, że sama właśnie miała do nas dzwonić.

– Widziałam ten artykuł, tylko musiałam poczekać do końca zmiany. Jamie to sympatyczny chłopak. Zawsze stawiał mi coś do picia – opowiada. – Zapłacicie mi coś?



– Zapytam – mówi Joe. – Ale niczego nie mogę obiecać. A gdzie Jamie mieszkał? Gdzieś w okolicy?

– Tak, tak. Kawalek za portem. Wynajmował pokój w domu, chyba z jakimiś studentami. Nie znał ich wcześniej, mówił, że potrzebował po prostu jakiegoś kąta, żeby się przespać.

– Dziewczyna, partnerka?

– Ostatnio chyba nie, tak mi się zdaje. W zeszłym roku z kimś się spotykał, ale jakoś się urwało. Myślę, że trochę ją zmęczył. Mnie na pewno by zmęczył. Słodki chłopak, ale strasznie absorbujący, wymagający ciągłej uwagi. Wie pan, o czym mówię?

– Tak, chyba rozumiem. Ma jakąś rodzinę w Portsmouth?

– Nie wiem. Kiedy schodziło na temat rodziny, robił się dziwny. Mówił, że był adoptowany. Zdaje się, że przez jakiś czas mieszkał w jakimś ośrodku. Tak się domyślałam z tego, co czasem mówił.

Uwielbiam barmanki. Mają gumowe uszy, pochłaniają wszelkie informacje z wyćwiczonym uśmiechem. Tak jak ja.

– Bardzo nam pani pomogła, dziękuję. Zakładam, że nie ma pani numeru ani adresu mejlowego Jamiego?

– Nie, przykro mi. Raczej się nie wymieniam numerami z klientami. Potem są nieporozumienia.

– Jasne. A czy w takim razie mogę zostawić swój numer, na wypadek gdyby go pani spotkała albo się odezwał?

– Nie ma sprawy. A pan dopyta o pieniądze? Zarabiam tu marne grosze.

– Będziemy w kontakcie – obiecuje Joe.

– Ciekawa historia – mówię, gdy tylko się rozłącza. – Przed Bangkokiem nazywał się Lawrence. Ciekawe, czemu zmienił nazwisko. A może Way to jego prawdziwe nazwisko? Jeszcze sprzed adopcji?

Joe znajduje w kartotece Jamiego Lawrence’a urodzonego w tym samym kwartale 1995 roku co jeden z Jamiech Wayów. Do tego chłopak widnieje w spisie wyborców w Portsmouth i wszystko wskazuje na to, że mieszka we współdzielonym domu.

„Bingo! A to wszystko załatwiliśmy w kawiarni”.

Bob Sparkes próbuje udawać, że cieszy go mój telefon, ale nie tak łatwo mnie nabrać.

– Nie martw się, Bob, nie dzwonię, żeby marudzić. Mam informacje na temat Jamiego Waya, tego chłopaka z pensjonatu, o którym mówi Lars. To może być ważne.

– Dobrze, słucham.

– Zgłosił się do nas facet, który z nim kiedyś pracował w Portsmouth. Podobno wtedy nazywał się Jamie Lawrence. Przed wyjazdem do Bangkoku pracował na budowie.

– Tak?

– To samo mówi barmanka z lokalnego pubu.

– Ciekawe, czemu zmienił nazwisko.

– Może miał coś do ukrycia? Barmanka twierdzi też, że chłopak był adoptowany. Sprawdziliśmy w kartotekach i oba nazwiska pojawiają się w tym samym miesiącu, styczeń dziewięćdziesiątego piątego. Założę się, że akty urodzenia będą identyczne.

– Nie wiem, po co my sobie tu w ogóle zawracamy głowę, Kate. Odwalasz za nas całą robotę – mówi, ale słyszę, że się uśmiecha.

– Przepraszam, Bob. Nie próbuję się z wami ścigać. Macie milion spraw na głowie, a ja tylko jedną. Czy Jamie Lawrence mógłby wyrobić paszport na podstawie oryginalnego aktu urodzenia? Tego na nazwisko Way?

– Nie. Każdy ma tylko jedną legalną metrykę. W chwili adopcji dostaje się nowy dokument, tak zwany certyfikat adopcji, z nowym nazwiskiem i danymi rodziców adopcyjnych. Nazwisko można zmienić tylko na drodze urzędowej, nie wolno tak po prostu wrócić sobie do poprzedniego. Interpol i kontrole graniczne szukają już Jamiego Waya, zaraz im przekażę to drugie nazwisko jako potencjalny wariant. Dzięki, że tak szybko dałaś mi znać.

Słyszę, że zamierza skończyć rozmowę, więc szybko wcinam się w pożegnanie.

– Bob, to tylko hipoteza, ale jak myślisz, czy Jamie to może być ten J.W. z mejli Alex? Lars mówi, że on się bez przerwy włóczył za Alex. A czytając te listy, zauważyłam, że o Jake’u pisze w zupełnie innym tonie, jakby to jej na nim bardziej zależało.

Chwila wahania. Może przesadziłam.

– Zwrócę na to uwagę, Kate – mówi, po czym dodaje to, czego się zresztą spodziewałam: – Domyślam się, że Jake się nadal do was nie odzywał?

Musiał mnie trochę usadzić.

*Poniedziałek, 8 września 2014 roku*

## **MATKA**

**C**holerna Mags Harding! – wrzasnęła Lesley zza stołu kuchennego, ciskając gazetą o podłogę.

– Les! Co ty wyprawiasz? – Mąż zaczął zbierać rozrzucone strony i składać je z powrotem w całość.

– To na pewno ona dała „Postowi” mejle od Alex. Bob Sparkes mówił, że oprócz niej tylko policja miała do nich dostęp. A na pewno nie zrobił tego nikt z jego ekipy. Jest tak samo wkurzony jak my.

– Założę się, że on nie rzuca gazetami po domu – mruknął Malcolm.

– Jenny dostała szału. Powiedziała mi przez telefon, że nagadała temu reporterowi, a potem chce przyjść, żeby to z nami omówić.

– O Boże. – Malcolm dał sobie spokój z gazetowym origami. – Nie wiem, czy mam na to siłę, kochanie. Nie wytrzymam kolejnej sceny w jej wykonaniu.

– No to idź zrób sobie kąpiel. Ja się tym zajmę. Dalej, nie siedź tu tak.

Dźwignął się ciężko na nogi, całkiem wyprany z energii, i poczłapał do łazienki. Słuchała jego kroków na schodach, odliczała każdy stopień jak cykanie zegara. Zarejestrowała jęk włączonego automatycznie wentylatora – przydałaby się kropla WD-40 – i szum wody z odkręconych kurków. Tak głęboko zatopiła się w rozmyślaniach, że kiedy odezwał się dzwonek, zerwała się na równe nogi, jakby gotowa do biegu. Każdego dnia przynajmniej raz marzyła o tym, żeby po prostu uciec. „Zostawić to wszystko za sobą”.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła Jenny już zwartą i gotową, z błyskiem furii w oczach. Lesley odsunęła się, żeby wpuścić ją do środka.

– Malcolm się kąpie – powiedziała. – Ma dziś gorszy dzień.

Jenny się zawahała, ale nie na długo. Usadowiła się za stołem, na którym honorowe miejsce zajmowały resztki „Posta”, i walnęła dłonią w blat.

– Ten szmatławiec...

– Nie musisz krzyczeć, Jenny. Słyszę cię.

– Ten pieprzony szmatławiec dorwał się do mejli. To w ogóle dozwolone? Mogą tak po prostu publikować prywatną korespondencję?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że nie... Rozmawiałaś z nimi? – Znała odpowiedź, ale doszła do wniosku, że wypada pozwolić Jenny opowiedzieć całą historię.

– Oj tak. Zadzwoiłam z samego rana. Rozmawiałam z tym gówniarzem, Joem Jacksonem. Beznadzieja. Potem próbowałam się dobić do naczelnego, ale był na jakimś spotkaniu. Pewnie raczej się przede mną chował.

Lesley wstała i zaczęła robić herbatę, odgrywając swoją zwykłą rolę pocieszycielki. Z piętra dobiegał gulgot wody z opróżnianej wanny.

– Ale plus jest taki... – zaryzykowała.

Twarz Jenny pociemniała.

– Nie ma żadnych plusów.

– Chwileczkę, wysłuchaj mnie. Plus jest taki, że wykorzystali tylko parę zdań, a nie ma tam nic o Rosie i narkotykach ani o Mike’u i sprawie z pieniędzmi.

Jenny znów huknęła w stół, aż herbata zafalowała w filiżankach.

– Ale mogą. Mogliby wydrukować wszystkie te kłamstwa, co nie?

Zapadła niezręczna cisza, a kiedy Lesley odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Jenny, miała wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie.

– Kłamstwa? – powtórzyła, nienaturalnie przeciągając głoski, żeby jakoś wypełnić powietrze między nimi. – Co ty wygadujesz?

– Dlaczego Alex powypisywała takie rzeczy? Wstrętne, okropne rzeczy – trajkotała Jenny. – Rosie wcale taka nie była. Przynajmniej przed tym, jak twoja córeczka zaciągnęła ją do Tajlandii i naraziła na niebezpieczeństwo. Nie powinnam była jej puścić. W ogóle to uważam, że Alex była o nią zazdrosna, o powodzenie u chłopców, i pisała to wszystko złośliwie.

Lesley czuła, że powoli zalewa ją fala gorąca. Starła się mówić powoli, ale i tak bała się, że głos jej się załamie.

– Zamknij się, Jenny. Jak możesz mówić takie podłe rzeczy? Wstydz się. Ale w sumie cię rozumiem. Żadna matka przecież nie chce przyznać, że jej córka brała narkotyki, sypiała z kim popadnie i okradała własną koleżankę. Na pewno jesteś zdruzgotana.

Twarz Jenny oblała się szkarłatem, nad górną wargą perliła się kropelka potu. Z trudem złapała powietrze, po czym wysyczała wściekle:

– Ona wcale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Myślę, że powinnaś się już zbierać, Jenny – wtrącił się inny głos. Malcolm stał w drzwiach, boso i w starym szlafroku w prążki. Obróciła się gwałtownie w jego stronę, ale dalszy ciąg jego wypowiedzi sprawił, że zamarła bez ruchu. –

Może powinnaś porozmawiać z Mikiem o tych pieniądzach dla Rosie. Masz rację, o tym, co się działo w Bangkoku, wiemy tylko z relacji Alex. Ale twój były mąż jest tutaj, możesz przecież go zapytać.

Jenny wybiegła cała we łzach, trzaskając drzwiami frontowymi.

– Myślisz, że zapyta? – zapytała Lesley.

– Nie wiem. Obawiam się, że prawda wcale jej nie interesuje. Tylko jej własna wersja wydarzeń. Ale nie pozwolę, żeby mówiła takie rzeczy o Alex.

– Tak, Mal, to było okropne...

Zaprowadził ją do salonu, żeby mogli przegadać tę sprawę. Ten pokój stał się ich azylem, mogli tam powiedzieć wszystko, nawet to, co najtrudniej przechodziło przez gardło, i tam zostawić. Kiedy Lesley skończyła już pomstować na Jenny i nie miała siły więcej płakać, podniosła wzrok na męża.

– Zadzwoń do Mags i poproszę, żeby do nas wpadła. Musi mi powtórzyć wszystko, czego się dowiedziała od Alex. To nie jej wina, że to wszystko się stało, a od czasu powrotu zamieniliśmy z nią może ze dwa słowa. Przecież były najlepszymi przyjaciółkami.

Malcolm pokiwał głową.

– Może dajmy jej na pamiątkę coś z rzeczy Alex.

– Cudowny pomysł. Zaraz pójde coś wybrać.

*Bangkok, dzień 19 (czwartek, 14 sierpnia)*

Mamma przekazała Jamiemu kolejną wiadomość od Rosie. Podobno napisała, że potrzebuje trochę czasu dla siebie. Że jest z Larsem, który pożyczył jej pieniądze.

– Ciekawe – powiedziała Alex. – Zupełnie jakby Rosie mnie słyszała. Wydaje mi się, że Mamma to wszystko zmyśla.

Jamie przez chwilę milczał w zamyśleniu.

– Po co miałyby kłamać? – spytał w końcu. Żaden powód nie przychodził jej jednak do głowy.

Poprosiła właścicielkę pensjonatu, żeby pokazała jej te esemesy, ale ta tylko parsknęła.

– Nie jesteś już koleżanką Rosie. Do mnie pisze.

Alex czuła się kompletnie wyalienowana. Nie wysyłała już mejli do Mags – nie miała telefonu, zresztą i tak by nie pisała. Nie wierzyła, że przyjaciółka zachowa zniknięcie Rosie w tajemnicy. To była zbyt poważna sprawa, żeby milczeć. Uznała, że gdyby znalazła się na jej miejscu, pewnie wszczęłaby alarm. Postanowiła więc zachować ciszę na łączach, do czasu aż sobie to wszystko poukłada. Aż znajdzie Rosie.

Na miejscu też nie mogła liczyć na pomoc. Miała już coraz bardziej dość głędzenia Jamiego o Ko Phi Phi. Kiedy znowu poruszył ten temat w barze, w końcu wybuchnęła. Nie było nikogo poza nimi, zaczęła się nawet zastanawiać, czy Mamma nie przestała przyjmować gości.

– Na litość boską, Jamie! Nie mam teraz do tego głowy. Muszę jakoś skłonić Rosie, żeby wróciła. Nie rozumiesz?

Najwyraźniej nie rozumiał.

– Myślałem, że będziesz zadowolona, jak się pozbędziesz Rosie. Bez przerwy na nią narzekałaś. Żałowałaś, że w ogóle z nią tu przyjechałaś. Mówiłaś, że ją zostawisz i pojedziesz dalej sama.

– Jamie! Nie mam teraz czasu na takie głupie gadanie. Muszę porozmawiać z kimś, kto może mi jakoś pomóc. Pogadam z Jakiem. Nie patrz tak na mnie, Jamie. Jest od nas starszy, a poza tym wie, jak to wszystko tu działa. Będzie wiedział, co robić.

– Może Jake pojedzie do Mjanmy poszukać Rosie? Ewidentnie mu się podoba... – mruknął pod nosem.

– Nie wygłupiaj się! – krzyknęła. – Wcale mu się nie podoba. To ona się na niego rzucała, a on był zażenowany.

– Skoro chcesz w to wierzyć... Kiedy widziałem ich razem, wyglądało to zupełnie inaczej.

– Kiedy niby ich widziałeś?

– Tamtego wieczoru, kiedy miałeś z nim iść na kolację. Pili razem. Rosie się do niego kleiła, siadała mu na kolanach, a Jake wcale się nie wzbraniał. Przeciwnie, poszli razem na górę.

Alex zamknęła oczy.

– Przestań, Jamie! – wrzasnęła jeszcze głośniej, jakby w ten sposób mogła zatrzeć jego słowa. – Zmyślasz, chcesz mi sprawić przykrość.

– Wcale nie. Zapytaj Mammę. Ona też to widziała. Wcale nie chcę ci sprawić przykrości. Ja wolałbym wiedzieć, co przyjaciele robią za moimi plecami. Przespała się z nim z zemsty, żeby zrobić ci na złość. Niżej nie mogłaby upaść.

– Zostaw mnie w spokoju, Jamie – wyszlochała Alex i wybiegła z baru.

Teraz i jego nienawidziła. „Czy Rosie naprawdę byłaby zdolna przespać się z Jakiem, żeby się na mnie zemścić? A on mógłby być taki słaby, żeby się na to zgodzić?” Nie wiedziała już, w co ma wierzyć.

Alex podejrzewała, że Jamie znów stoi pod jej pokojem. Przycisnęła ucho do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała szmery świadczące o jego obecności, ale starała się ją ignorować. Musiała się ubrać i kupić nowy telefon. „Dość tego, Alex. Dłużej nie możesz już tego odkładać. Pora stawić czoło rzeczywistości”.

Właśnie wkładała krótkie spodenki, kiedy usłyszała jakieś szepty na korytarzu. Przykucnęła przy drzwiach i wyteżyła słuch.

– Wszystko okej? – szepnął Jake.

– Nie.

– Ciągłe pyta o Rosie?

– Tak.

– Ja z nią porozmawiam. – Jake zapukał w drzwi tuż nad uchem Alex. Cofnęła się gwałtownie i klapnęła na betonową posadzkę.

– Proszę! – zawołała, z trudem podnosząc się na nogi.

– Jak się czujesz, Alex? O, ubierasz się – zauważył. – To na pewno dobry pomysł?

Na jego widok oblała się rumieńcem, ale uczucie gniewu dodało jej siły.

– A co cię obchodzi, co robię? – warknęła.

– Eee... Słuchaj, widzę, że jesteś zdenerwowana, nie myślisz jasno.

– Tu się mylisz. Świetnie wiem, co powinnam zrobić. Kupię telefon i zadzwonię do domu. Muszę im powiedzieć, co się dzieje.

– Przecież Rosie jest dorosła. Nie możesz jej niczego dyktować – zaoponował.

– Tak, na to wygląda.

Jake przyjrzał się jej bacznie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Słyszałaś coś?

– Nieważne. – Teraz, kiedy przed nią stał, nie mogła się zmusić do tego, żeby go zapytać, czy rzeczywiście spał z Rosie. Nie zniosłaby tego upokorzenia.

Jake wziął głęboki oddech.

– Alex, powinnaś samodzielnie zdecydować o swojej podróży. Mogłabyś przecież jechać dalej sama. Niech Rosie robi, co jej się podoba. Nie jesteś za nią odpowiedzialna.

– Oczywiście, że jestem! – krzyknęła Alex. – Nie mogę jej tak po prostu zostawić. Co ja mam zrobić?

– Mogłabyś wrócić do domu.

– Ty nie wróciłaś, kiedy wszystko ci się posypało.

– Nie, i teraz tego żałuję. Podjąłem sporo złych decyzji, Alex. Nie powtarzaj moich błędów.

Jake krzepiąco otoczył ją ramieniem. Z początku próbowała się wyrwać, ale po raz pierwszy od wielu dni poczuła się bezpieczna. Tkwiła w jego objęciach, wdychając jego zapach, słuchając bicia jego serca, i powtarzała sobie, że Jamie kłamał. Mogłaby zostać tak na zawsze, ale Jake rozluźnił uścisk, kiedy Jamie wparował do pokoju bez zaproszenia, udając, że wcale nie podsłuchiwał pod drzwiami.

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać – wybąkał posepnie.

– Ale przeszkadzasz – warknęła Alex. – Zamknij drzwi z tamtej strony.

Trzasnął nimi z całej siły.



*Poniedziałek, 8 września 2014*

## **DETEKTYW**

Jamie Lawrence okazał się powszechnie znany. Opieka społeczna, kartoteka policyjna, sądy dla nieletnich, służba resocjalizacyjna – wszędzie figurował w aktach. Używano w stosunku do niego najróżniejszych wymijających i wykrętnych terminów – Sparkes najbardziej upodobał sobie określenie „specyficzny” – ale co do jednego wszyscy się zgadzali: trudny chłopiec. Matka oddała go do adopcji jako czterolatka. „Biedny chłopak – myślał Sparkes. – W tym wieku musiał się już orientować. Rozumiał, że mama nie może sobie z nim poradzić”.

Potem piecza zastępcza (Sparkes naliczył trzy przeprowadzki w niecały rok), a w końcu adoptowali go Lawrence’owie, bezdzietne małżeństwo po czterdziestce. Przez jakieś dziesięć lat w aktach Jamiego była cisza, po czym wrócił z impetem do gry jako nastoletni chuligan. Lawrence’owie oddali go do ośrodka opiekuńczego „dla jego własnego bezpieczeństwa”, bo nie mogli już nad nim zapanować. Oni też przestali sobie radzić z tym trudnym chłopcem.

Instytucje wychowawcze, drobne przestępstwa, bójki, sprawy w sądzie, drugie, trzecie i ostatnie szanse – pełno ich było w aktach przeglądanych przez Sparkesa. W dniu siedemnastych urodzin Jamie został usunięty z systemu, nieprzystosowany do pracy zarobkowej czy zwykłego samodzielnego życia, jak wynikało z wniosków końcowych kuratora.

Najdziwniejsze jednak, że przestał się pakować w kłopoty. Zniknął z radaru i nie wracał.

„Aż do teraz” – upomniał się Sparkes. Miał bardzo złe przeczucia co do Jamiego. Kierownik budowy mówił, że chłopak łatwo tracił panowanie nad sobą – „trochę mu odwalalo”, jak to ujął – kiedy sprawy nie układały się po jego myśli. Kiedy ktoś powiedział coś nie tak. Tymczasem z mejli wynikało, że

w tamtym pensjonacie wszystko układało się źle. „A ty chciałeś towarzyszyć Alex w podróży w zastępstwie Rosie. Dopilnowałeś, żeby zwolniło się miejsce? Zrobiłeś coś drastycznego? Alex się o tym dowiedziała?”

Te i podobne myśli kłębiły mu się w głowie, kiedy patrzył na zdjęcie z ostatniej imprezy, próbując zinterpretować miny na poszczególnych twarzach i stosunki łączące członków grupy.

Potem, przed południem, do skrzynki zaczęły spływać odpowiedzi na jego różne zapytania. Pojawiało się coraz więcej czerwonych flag.

Okazało się, że Jamie Lawrence, ze świeżo odebranim paszportem w kieszeni, poleciał do Bangkoku tym samym rejssem co dziewczyny.

„Widział je w samolocie? Może pojechał za nimi z lotniska. Ciekawe, czy są nagrania monitoringu z przylotów na Suvarnabhumi. Albo z wylotów na Heathrow?” Zawołał Salmond.

– Zajmij się tym, Zaro. Niech ochrona na lotniskach poszuka tych dziewczyn na nagraniach, zobaczmy, kto tam się koło nich kręci. Wydaje mi się, że wreszcie jesteśmy na dobrym tropie. Co jeszcze tam masz na liście?

– Przesłuchałam kierownika budowy, barmankę z pubu, współlokatorów z wynajmowanego mieszkania.

– Powiedzieli coś ciekawego?

– Cichy, nieśmiały, z nikim się nie zadawał. Jak zwykle... Podobno lubił rockowe ballady.

– Serio?

– W kółko puszczał Whitney Houston. Pozostali nie byli zachwyceni.

– Czyli romantyk...

– Hmm. Była dziewczyna mówi, że miewał humory. Robił sceny zazdrości bez powodu, a potem się nie odzywał. Miała tego dość, zerwała z nim w zeszłym roku. Powiedziała... – Salmond wyciągnęła notatnik – że miał problem z zaufaniem. Moim zdaniem naczytała się za dużo poradników.

– Trudny chłopak. Może Alex dała mu powody do zazdrości. Z mejli wynika, że uganiała się za Jakiem. Pewnie nawet nie próbowała tego ukrywać. – Oboje pokiwali głowami w zamyśleniu. – Bierzmy się do roboty. Wygląda na to, że sprawa w końcu ma ręce i nogi. Czuję to w kościach.

Wszystko tak dobrze szło. A potem dostał wiadomość, że ma zadzwonić do swojego znajomego z Interpolu.

– Sorry, że to tyle trwało, Bob. Mamy tu urwanie głowy. No ale ten twój Jamie Lawrence jest u nas w systemie. Siedzi w areszcie w Bangkoku w związku ze śledztwem w sprawie narkotyków.

– Chryste, macie go. Świetnie. Kiedy go zatrzymali?

– W zeszłym miesiącu. Tutejsza policja zwinęła go czternastego sierpnia.

– Ale to przecież dzień przed pożarem. Możesz jeszcze raz sprawdzić datę?

Sparkes bębnił palcami w biurko, a w głowie miał gonitwę myśli. „Ci Tajowie wszystko pokręcili, tutaj pewnie też coś im się pomyliło”.

– Hej. Nie, wszystko się zgadza. Wiem, że chciałbyś usłyszeć coś innego. Przykro mi, widziałem na własne oczy protokół aresztowania. Zatrzymany w czwartek, czternastego sierpnia, o czternastej zero pięć. W barze Oxxi’s. Miał dwa gramy marihuany.

– Szlag! Możesz mi to podesłać? Co za cyrk! Salmond, chodź tu! – wrzasnął i przekreślił nazwisko wypisane na samej górze kartki z notatnika.

*Wtorek, 9 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Całe rano czekał na telefon od techników. Czasem wydawało mu się, że specjalnie robią mu na złość, kiedy dzwoni, żeby zapytać o wyniki, udają, że nie wie, kim jest, za jego plecami nazywają go komisarzem Smarkiem. W laboratorium lubili sobie pożartować.

– Komisarzu, właśnie wysyłam panu raport z badania wymazów – powiedział jakiś głos w słuchawce. – Proszę się zgłosić, jeśli coś będzie dla pana niezrozumiałe.

„Co za tupet”.

– Dziękuję, nie omieszkam.

„Dowód rzeczowy RMS3 (wymaz z dolnej części pochwy): stwierdzono obecność nasienia. Wykonano pełne badanie DNA”.

W płynach ustrojowych pobranych z ciała Rosie Shaw znaleziono ślady spermy.

W laboratorium porównano materiał genetyczny z próbki z bazą danych, ale nie uzyskano żadnych rezultatów. Skoro jednak Jamie Lawrence nie wchodził już w grę, Sparkes był gotów się założyć, że będzie dopasowanie z Jakiem Watersem.

„Chryste, biedna Kate – pomyślał odruchowo. – Nie, co tam Kate. Biedna Alex i jej rodzice. To oni są ofiarami”.

Jeszcze raz przejrzał wyniki, odhaczając kolejne punkty na liście, którą zawsze miał w głowie.

Zapukała Salmond.

– Słyszałam, że przyszły jakieś wyniki z laboratorium.

– Mówili ci, że znaleźli spermę u Rosie Shaw?

– Nie. Jezu. Założę się, że to Jake Waters. Mamy go.

– Tyle że nie mamy. Chyba że nagle magicznie się pojawił, a nikt mi o tym nie powiedział. Gdzie on jest, psiakrew? Dlaczego nikt go nie widział, nie ma żadnej aktywności na rachunkach, poza tymi dwoma samochodami z wypożyczalni? Musi płacić gotówką i spać gdzieś kątem. Wrócił do kraju już dwa... nie, trzy tygodnie temu. Jak to możliwe, że tak długo pozostaje niewidzialny? Jego zdjęcia są wszędzie.

Kate Waters głośno protestowała przeciwko zamieszczaniu zdjęcia Jake'a z prawa jazdy, twierdząc, że wygląda na nim jak przestępca. „Na tych zdjęciach z automatu każdy wygląda jak seryjny zabójca, Bob. Dajcie jakieś inne, proszę. Prześlę ci któreś z naszych”. Ale nowe zdjęcie nie pomogło znaleźć świadków. Żadnych zgłoszeń, jeśli nie liczyć typowych czubków i narcyzów pragnących za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę.

– Poza tym jedyne, co potencjalnie mamy, Zaro, to fakt, że przespał się z Rosie. A nie że ją zabił. Na razie trzymajmy się faktów, dobrze? Nawet nie wiemy, czy to jego DNA. Po południu powinny przyjść wyniki badania włosów z jego bejsbolówki. Mogłabyś spróbować ich pośpieszyć? Chcę omówić z rodzinami następne kroki. Wydaje mi się, że ktoś musi jechać do Bangkoku. Obejrzeć miejsce zbrodni, spróbować zdobyć przynajmniej część pierwotnych protokołów. Przez telefon do niczego nie dojdziemy.

Salmond się rozpromieniła.

– Kto? Ja mam jechać?

– Przestań się szczyrzyć jak głupia. To nie wakacje.

– Pewnie, że nie. Ale nigdy nie byłam w Bangkoku.

– Na razie się jeszcze nie pakuj. Góra może się nie zgodzić.

Nadkomisarz Chloe Wellington skwitowała kiwnięciem głowy każdy punkt w jego wywodzie. Miała spotkanie o jedenastej – „obowiązkowe, więc się streszczaj, Bob” – co pomogło mu się skoncentrować i zebrać wszystko, co dotychczas odkryli.

Dwie martwe dziewczyny.

Obie zmarły przed wybuchem pożaru, który być może wzniecono w celu zatarcia śladów morderstwa.

Jedna uduszona, druga potencjalnie zgwałcona.

Podejrzany lub świadek, obywatel brytyjski, ukrywa się obecnie na terenie Wielkiej Brytanii.

Drugi świadek, obywatel brytyjski, Jamie Lawrence, przebywa w areszcie w Bangkoku.

W podejrzenie nieudolnym śledztwie w Bangkoku przeoczono praktycznie wszystkie powyższe fakty.

- Ile będzie nas kosztował ten wyjazd? – zapytała Wellington.
- Opracujemy dokładny kosztorys, ale będziemy potrzebowali czterech osób, w tym technika kryminalistycznego i fotografa.
- No i tłumacza – dodała, zerkając na zegar nad drzwiami. – Podaj mi jak najszybciej przybliżoną sumę, żebym mogła przedstawić podkomendantowi. Ale generalnie tak, powinniście jechać.
- Nie wiem, czy ja akurat mogę jechać.
- Decyzja należy do ciebie, Bob. Ale nie bardzo sobie to wyobrażam bez ciebie.

Kiedy przekazał Salmond nowinę, sierżantka prawie zaczęła skakać z radości.

- Spotkanie zespołu za pół godziny. Niech ktoś sprawdzi ceny lotów i noclegów, musimy do popołudnia przygotować budżet.
- Robi się.

Popołudniową pocztą przysły kolejne wyniki badań Rosie Shaw: stwierdzono aspirację jedzenia do płuc. W badaniu mikroskopowym znaleziono „liczne obszary treści roślinnej w drobnych drogach oddechowych i pęcherzykach płucnych”.

- Wygląda na to, że zachłysnęła się wymiocinami – powiedział do Salmond. – Biedna dziewczyna.
- Myśli pan, że upiła się do nieprzytomności?
- Prawdopodobnie, ale niewykluczone, że brała też jakieś narkotyki, jeśli wierzyć Alex.

Sparkes przewinął mejle w poszukiwaniu tego, w którym Alex O'Connor pisała o narkotykowych ekscesach koleżanki. Był prawie pewny, że nie zidentyfikowała konkretnej substancji, ale wołał sprawdzić.

„Dzisiaj zupełnie odjechała. Nie ma z nią kontaktu. Siedzi, dyszy ciężko, oczy ma szklane i straszne. Nie wiadomo, co wzięła. Pytałam Larsa, jednego z tych gości, ale tylko się zaśmiał i powiedział, że nic jej nie jest. On też coś brał. Położę ją do łóżka i spróbuję rano z nią pogadać. Jest mi coraz ciężej. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam”.

Opis sugerował ketaminę – odklejenie, ciężki oddech... Ciekawe, czy Rosie wzięła to wtedy po raz pierwszy. To jeden z tak zwanych narkotyków klubowych – niewielka ilość wciągnięta nosem albo wciśnięta do odbytu zapewnia szybki haj. Ale czasami równie szybko przestaje działać. Może brała kolejne kreski, żeby haj się dłużej utrzymywał? Można wziąć za dużo – zwłaszcza jeśli już jest się odurzonym – ale ludzie raczej nie umierali z przedawkowania, o ile nie zażyli też czegoś innego. Albo pili za dużo i się krztusili. Będą musieli poczekać na

badania toksykologiczne krwi pobranej przez Aoife z żyły w pachwinie Rosie, ale Sparkes był gotów postawić każde pieniądze, że będzie tam ten narkotyk.

– Pojadę do Shawów – powiedział.

– Ja muszę jechać do Aldershot na to spotkanie inicjatywy na rzecz zwalczania przestępstw samochodowych. Zadzwoń, jak już będę wolna.

Sparkes powoli jechał do Winchesteru. Potrzebował czasu do namysłu, do przeanalizowania różnych potencjalnych scenariuszy. Alex ktoś udusił, Rosie udusiła się sama. W jakich ramach czasowych? W jaki sposób te zdarzenia były powiązane? Czy jedna śmierć wynikała z drugiej? Ale która z której?

Głęboko zamyślony dotarł na miejsce. Mike Shaw czekał na niego w samochodzie pod domem.

– Pomyślałem, że wejdziemy razem, panie komisarzu – powiedział nerwowo. Jenny patrzyła na nich z okna.

Byli małżonkowie usiedli w przeciwległych końcach salonu, więc Sparkes musiał ciągle obracać głowę wte i wewte, jak na meczu tenisa.

Jednak kiedy Sparkes zaczął opowiadać im o ostatnich chwilach ich córki, Jenny natychmiast zaczęła płakać, a Mike przysiadł na poręczy jej fotela, niezgrabnie gładząc ją po plecach.

– Na pewno nie miała świadomości, co się dzieje – powiedział. Każdy chciał usłyszeć właśnie to. Że bliska osoba nie cierpiała. Zostawił ich samych z tym nowym bólem i wrócił na komisariat.

Salmond zadzwoniła w chwili, kiedy wyłączał komputer. Oraz myślenie o pracy. Musiał wracać do domu, do Eileen.

– Już wychodziłem. To coś ważnego? Są wyniki badania DNA?

– Nie, podobno mają być jutro. Ale wygląda na to, że Jake Waters się ujawnił.

Włączył komputer z powrotem.

– Gdzie?

– W Kingston upon Thames. Kupował benzynę i wypłacał gotówkę z bankomatu na stacji przy A3. Jego konta są pod obserwacją, więc bank od razu nas powiadomił.

– I?

– Odjechał, zanim dotarliśmy na miejsce, chociaż z Aldershot miałam całkiem blisko... Ale mamy go na monitoringu ze stacji. Nadal jeździ tym drugim autem z wypożyczalni, skodą. Szukamy go na nagraniach z kamer przy autostradzie, żeby sprawdzić, dokąd pojechał. Jeśli będzie się trzymał głównych dróg, prędzej czy później powinna nam wyskoczyć jego rejestracja. Daleko nie zajędzie.

– No dobra, czyli co mamy na ten moment? Da się go zidentyfikować na materiale z monitoringu?

– Jak zwykle beznadziejne, nieostre nagranie. Miał nisko naciągniętą bejsbolówkę i chyba jakiś szalik na twarzy. Pracownik stacji, który go obsługiwał, mówi, że czuł się nieswojo. Klient wyglądał, jakby planował napad na bank, cały okutany w taki słoneczny dzień.

„Było dziś słońce? Chyba przez cały dzień nie wyjrzałem przez okno”.

– Kogo mamy tam na miejscu?

– Jestem ja i dwóch gości z Aldershot, chcemy obskoczyć cały personel i świadków, zanim wszyscy się ulotnią. Ja dodatkowo koordynuję współpracę z innymi służbami, żeby namierzyć samochód.

– Czy on jedzie do domu? Rozmawiałaś już z Kate Waters?

– Nie, mam ją następną na liście.

– Ja zadzwonię.

Wybierając numer, zastanawiał się, co chce powiedzieć. Bystra dziennikarka na pewno od razu się wszystkiego domyśli, a nie chciał ryzykować, że Kate da chłopakowi cynk i ten jeszcze głębiej się zaszyje.

Przez głowę przemknęła mu myśl, co by zrobił, gdyby chodziło o jego syna. Oddałby go w ręce policji? Oczywiście, że tak. Ale co gdyby media prowadziły na niego nagonkę? Gdyby dowody były wyłącznie poszlakowe? Czy mogłby z ręką na sercu oznajmić, że tak, zrobiłby to?

– Halo? – Kate od razu odebrała, przerywając mu w pół myśli. – Masz jakieś wieści?

– Prawdopodobnie widziano Jake’a na stacji benzynowej w Kingston.

– W Kingston? Południowy zachód Londynu? A co on miały tam robić?

– Miałem nadzieję, że ty będziesz wiedziała. Przychodzi ci do głowy jakikolwiek powód, dla którego miały się znaleźć w tamtej okolicy? Ma tam jakichś znajomych? Był już tam kiedyś?

– Nie, nie. To jedno z tych miejsc, które mija się po drodze, nie? Skąd wiadomo, że to on?

– Wypłacono pieniądze z bankomatu jego kartą kredytową, był też ten samochód, który wypożyczył na Stansted.

– Okej. Co ważniejsze: znaleźliście tego Jamiego Waya, Lawrence’a czy jak tam on się zowie? – Zawahał się na chwilę. – No co? Macie go?

– My nie, ale policja w Bangkoku owszem. Nie było go tam wtedy, Kate. Kiedy wybuchł pożar, siedział w więzieniu. To nie jego szukamy.

– Nie... – szepnęła, a on wyraźnie usłyszał żalosne rozczarowanie w jej głosie.

– No nic, muszę lecieć.

Potem zadzwonił do anielskiej Helen, by uprzedzić, że się spóźni.

– Nie ma problemu. Poszła już spać, nie robi jej to różnicy.



- Jak się dziś czuła?
- Bez zmian. Do zobaczenia później.

*Bangkok, dzień 19 (czwartek, 14 sierpnia)*

Jake wyszedł niedługo po Jamiem – powiedział, że musi porozmawiać z Mamma.

– Niedługo wrócę – zapewnił i pogładził ją po włosach. – Odpocznij sobie trochę.

Alex przez chwilę rzeczywiście chciała się zdrzemnąć, nawet się położyła, ale nie mogła usnąć. „Opracuj plan, a potem go zrealizuj” – powiedziałaaby jej mama, gdyby tu była. Ale cała ta sytuacja wydawała jej się kompletnie nierealna, miała wrażenie, że gra w jakiejś sztuce. Wyjęła notes i umieściła na pierwszej stronie nagłówek „Plan odnalezienia Rosie”, odsuwając w czasie moment, kiedy będzie musiała naprawdę zacząć działać.

„No dobra – pomyślała. – Co jest priorytetem?” Zapisała: „1. Kafejka internetowa”, ale zaraz to skreśliła. Potrzebowała własnego telefonu, żeby rodzice mogli do niej oddzwonić. Musiała z nimi porozmawiać, a nie tylko wymieniać esemesy czy mejle.

Włożyła kapelusz i ruszyła powoli w morderczym skwarze, trzymając się blisko ulicznych straganów, żeby złapać trochę cienia. Najpierw do bankomatu, odstać swoje w kolejce, żeby wyciągnąć pieniądze na telefon i kartę. Potem do najbliższego sklepu z podróbkami po taniego smartfona.

Miała wrażenie, że zajęło jej to długie godziny, ale w końcu wróciła do pokoju i niezgrabnie wcisnęła kartę SIM mokrymi od potu palcami.

Kiedy telefon się włączył, próbowała się zalogować na swojego mejla, ale coś było nie tak z hasłem. Już dawno nie musiała go wpisywać. Gmail ciągle kazał jej spróbować jeszcze raz. Wpisała je ponownie, bardzo powoli, jakby Google był nieco opóźnionym w rozwoju dzieckiem. Nic z tego. Kiedy kliknęła „Nie pamiętam hasła”, system wysłał jej link do logowania esemesem. Tyle że nie miała przecież swojego telefonu. Chciało jej się wyć. Czuła się tak, jakby rozwiązywała jedną z tych tanich układanek, które polegają na tym, że trzeba bez końca przesuwac plastikowe płytki, żeby ułożyć je w odpowiedniej kolejności. Po prostu zadzwoni do domu. Ten numer zna na pamięć.

Lecz Alex się zawahała, rozdarta między potrzebą usłyszenia ciepłego, krzepiącego głosu matki a obawą przed rozpętanym pandemonium. Zawsze była dobrą, porządną córką, a teraz miało się to zmienić. Zacisnęła mocno powieki, zmusiła się do wpisania numeru, ale przerwała w trakcie. W Winchesterze był teraz środek nocy. Zalała ją fala ulgi, że może znowu nieco opóźnić tę straszną chwilę.

– Zadzwońię do Rosie! – zawołała. Teraz mogła się z nią skontaktować. „Namówię ją, żeby wróciła, i będzie po wszystkim” – pomyślała. Nie trzeba będzie niepokoić mamy.

Ale nie mogła sobie przypomnieć numeru. Miała go zapisanego w kontaktach pod imieniem Rosie i nie widziała go od lat. Próbowwała zmusić cyferki, żeby magicznie pojawiły się w jej głowie – na pewno były tam dwie ósemki! – ale bez skutku. Gdyby tylko mogła znaleźć ten stary telefon... Wybrała swój własny numer. „Może spadł za łóżko czy szafkę?”

Czekała na połączenie, choć liczyła się z tym, że bateria na pewno się już wyładowała i od razu włączy się poczta. Ale usłyszała sygnał. Odsunęła telefon od ucha i zaczęła nasłuchiwać dzwonka – *Happy Pharrella Williamsa*. W drodze do Bangkoku obie z Rosie ustawiły sobie ten sam dźwięk połączenia. „Boże, to było jakieś dwa tygodnie temu”. Alex mocniej ścisnęła telefon na wspomnienie czasów, kiedy była jeszcze szczęśliwa.

Słyszała Pharrella, ale nie w swoim pokoju. Pewnie zostawiła telefon w barze. Jak najszybciej ruszyła korytarzem w tamtą stronę, ale muzyka cichła, zamiast robić się coraz głośniejsza. Zatrzymała się i obróciła w miejscu jak talerz radaru, próbując uchwycić elektroniczny dźwięk. Dobiegał z pokoju chłopaków.

Alex otworzyła drzwi i w tej samej chwili dzwonek ucichł.

- Kuźwa – rzuciła i zaczęła wybierać numer ponownie.
- Masz nowy telefon? – zapytał Jamie, wchodząc za nią do pokoju.
- Eee, tak. Wydaje mi się, że gdzieś tutaj jest mój poprzedni.
- Tutaj? A czemu miałby tu być?
- Nie wiem, ale słyszałam dzwonek.
- No tak! Mam taki sam dzwonek – powiedział Jamie i roześmiał się dziwnie.
- Właśnie miałem odebrać – dodał bezbarwnym tonem.
- Wcale nie – zaoponowała. – Ty masz *I Will Always Love You*.
- Już nie. Znudził mi się, więc zmieniłem. Też ściągnąłem sobie *Happy*. – Wziął swój telefon i puścił piosenkę.

Wycofała się zdezorientowana, czuła się jak wariatka. Usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać, co powie rodzicom, kiedy wreszcie się odważy zadzwonić. Poczekaj, aż wrócą z pracy. Może dać sobie jeszcze osiem godzin.

*Środa, 10 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

**W** nocy znaleźli samochód z wypożyczalni – płonął gdzieś na pustkowiu w południowym Londynie. Salmond zadzwoniła do niego z tą wiadomością.

– Musiał się zorientować, że na stacji był monitoring – stwierdziła. – Nasz mały Piroman ucieka pieszo.

– Zostało coś do zbadania dla kryminalistycznych? – Mówił ściszym głosem, żeby nie przeszkadzać śpiącej na parterze Eileen.

– Nie bardzo. Zdążyło się już porządnie rozpaść, zanim ktoś to zgłosił. Podobno w tych okolicach to nic nadzwyczajnego.

– Bob! – Od schodów dobiegł głos Eileen.

– Zajmij się próbką DNA Watersa. Ja muszę lecieć – rzucił i się rozłączył, z takim poczuciem winy, jakby rozmawiał z kochanką. – Już idę, kochanie – odpowiedział łagodnie. Jak miał jej powiedzieć, że chce jechać do Bangkoku? Nie pojedzie. Nie może jechać. Jak mógłby to zrobić? Ona przecież może... Nie, nie pojedzie.

– Praca? – zapytała, kiedy schylił się i pocałował ją w czoło.

– No jasne. Ale nie masz się czym martwić.

– No dalej, opowiadaj.

Przysiadł na brzegu łóżka i ujął jej chłodną dłoń.

– Znaleźli spalony samochód, ten, którym jeździł Jake Waters. Chłopak znowu zniknął.

– Nieważne, przecież taki bystrzacha jak ty na pewno go znajdziesz.

– Nie czuję się teraz za bystry.

– Przepraszam, kochanie.

– Nie gadaj głupstw, Eileen. Chodziło mi o to, że mam teraz ważniejszą sprawę na głowie. Ciebie.

– Cicho, przecież nic mi nie jest. Koleżanka morfina odwała kawał świetnej roboty. Ty możesz zająć się swoją.

– Staram się. Problem w tym... Problem w tym, że musimy na parę dni jechać do Bangkoku, zbadać miejsce zbrodni i pogadać z tamtejszą policją.

Eileen zamyśliła się głęboko. Podniosła się z trudem do pozycji siedzącej, Bob pomógł jej ułożyć wygodnie poduszki.

– Kiedy jedziesz?

– Nie jadę, Eileen. Nie mogę.

– Oj, weź już przestań się nad sobą uzalać. Do roboty, Bob. Jedź do Bangkoku. Nic mi nie będzie, przecież jest Sam, no i anielska Helen. To tylko dwa dni.

– Ale możesz wtedy... Muszę tu być – poprawił się.

– Nie dramatyzuj. Wszystko będzie dobrze. I lekarze, i Helen są ze mnie bardzo zadowoleni. Udało się opanować ból, a to najważniejsze.

– Ale...

– Słuchaj, mogę ci obiecać, że nie umrę pod twoją nieobecność. Wtedy pojedziesz?

Oczy zaszyły mu łzami, próbował opanować drżenie warg. Eileen oczywiście to zauważyła i poklepała go po ręce.

– Jedź, potem wrócisz i wszystko mi opowiesz. Zaczynam się wciągać w ten serial kryminalny.

Na te słowa musiał się uśmiechnąć. Do tej pory nigdy nie interesowała się jego pracą. Narzekała na długie zmiany i kiepską płacę, martwiła się, że służba niekorzystnie się na nim odbija. Teraz jednak, u progu śmierci, chciała poznać wszystkie szczegóły każdej sprawy. Zaczęła nawet czytać powieści detektywistyczne. Im mroczniejsze, tym lepiej.

– Porozmawiamy o tym rano.

– A o czym tu rozmawiać? Myślałam, że już wszystko ustalone.

Pocałował ją znów, wślizgnął się do wąskiego łóżka i przywarł do niej mocno.

Rano czekały już na niego na biurku wyniki testu DNA. Stwierdzono zgodność – Jake Waters uprawiał seks z Rosie Shaw. „Ale co jeszcze zrobił?”

– Widziałaś? – zapytał, kiedy Salmond zapukała do gabinetu.

– Tak. Myśli pan, że to mógł być gwałt?

– Nie ma żadnych dowodów rzeczowych. A Alex pisała w mejlach, że Rosie uganiała się za Jakiem.

– Jeśli Alex się dowiedziała, to sprawy mogły przybrać bardzo nieciekawy obrót...

Sparkes pokiwał głową.

– Na razie nikomu o tym nie mówmy. Sprawa coraz bardziej się komplikuje, a nie chcielibyśmy, żeby ktoś wyciągnął pochopne wnioski i powiedział coś prasie, zanim znajdziemy Jake’a Watersa.

– Tak jest, szefie. Ale rodziny coraz głośniejsze domagają się odpowiedzi.

– Powiedz, że mamy poślizg i ciągle czekamy na wyniki. Toksykologia zajmuje trochę czasu, problemy w laboratorium. Wymyśl coś. Shawowie ciągle jeszcze nie doszli do siebie po wieści o przyczynie śmierci Rosie, więc już po prostu lećmy do tej Tajlandii i przekonajmy się, czego się tam dowiemy.

*Piątek, 12 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

**W** chwili lądowania był wykończony i skołowany. Próbował się zdrzemnąć w samolocie, ale nie mógł zasnąć, zwłaszcza że na sąsiednim fotelu Salmond wierciła się i chrapała. Popatrzyli na siebie, kiedy zapaliły się światła i obsługa zaczęła serwować śniadanie.

– Jasny gwint, wyglądamy jak zombi – stwierdziła. – Może ichniejsza policja będzie nam chciała pomóc ze strachu.

Pokiwał głową i zaczął mechanicznie ładować do ust jogurt z cząstkami pomarańczy.

Po gorącym prysznicu i w czystej koszuli poczuł się trochę bardziej jak człowiek, gotowy na spotkanie z pułkownikiem Prasongsantim z wydziału kryminalnego. Dwadzieścia minut później miał się jednak zacząć zastanawiać, po co w ogóle się fatygował.

Spotkanie okazało się męczącym przedsięwzięciem wymagającym absolutnej dyplomacji. Z punktu widzenia Sparkesa nie miało nic wspólnego z dochodzeniem. Uprzejmość tajlandzkiego oficera zakrawała na parodię – ciągle się kłaniał, wygłaszał frazesy o doniosłym znaczeniu współpracy z brytyjskimi służbami, kurtuazyjnie dopytywał o zasady pracy policji w ich kraju. Temat zmarłych dziewczyn jednak nie wypływał.

Bob próbował delikatnie zahaczać o sprawę, dziękując pułkownikowi i powtarzając, jak bardzo się cieszy na współpracę z jego zespołem. Musiał zaczekać na tłumacza, żeby wyręczył go w tym lingwistycznym ping-pongu, a na koniec i tak dostał równie uprzejmą odmowę.

W końcu wprost zażądał wglądu w policyjne raporty. Pułkownik słuchał tłumaczenia z nieruchomym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

„Czyli odpowiedź będzie odmowna”.

– Pułkownik Prasongsanti z żalem musi stwierdzić, że na chwilę obecną nie jest to możliwe. Raporty nie zostały ostatecznie zamknięte. Mogą państwo jednak odwiedzić miejsce zdarzenia.

„No cóż, zawsze coś”.

– To nam się bardzo przyda, dziękuję. A kiedy pan pułkownik ma nadzieję uzyskać raporty?

– Wkrótce.

– Czy moglibyśmy spotkać się z funkcjonariuszami prowadzącymi śledztwo?

– Przykro mi, ale są obecnie zajęci, pracują nad innymi sprawami.

Sparkes uśmiechnął się ponuro do tajlandzkiego kolegi po fachu.

– Może znaleźliby chociaż godzinę? Bylibyśmy bardzo wdzięczni. Chcielibyśmy, żeby podzielili się z nami swoją cenną wiedzą...

Trafił w dziesiątkę. Pułkownik pokiwał głową.

– Umówi was na spotkanie, jeszcze dzisiaj. Ktoś zadzwoni na numer, który był pan uprzejmy nam podać.

– Serdecznie dziękuję – odparł Sparkes, kłaniając się do wtóru z gospodarzem.

– Co za męczarnia – mruknął do Salmond, kiedy wracali do głównego wejścia.

– Raczej cholerna pantomima – odwarknęła. – Ciekawe, z kim pozwolą nam pogadać? Na pewno nie z kimś, kto cokolwiek wie.

– Zobaczymy. Musimy po prostu robić swoje. Chodź, pojedziemy na miejsce zbrodni. Gdzie Jason i Nicole? Musimy ich zgarnąć po drodze?

Zostawili techników kryminalistycznych w hotelu, żeby za pomocą mocnej kawy spróbowali zwalczyć jet lag, a oni ewidentnie nie poprzestali na dwóch filiżankach. W taksówce sprawiali wrażenie mocno nabuzowanych, a Jason Fellowes zaczął przedstawiać swój plan z prędkością nieco większą od normy, kiedy tylko zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Siedzący z przodu Sparkes słuchał go bez słowa, przeglądając w myślach swoją własną listę.

Na miejscu stanęli przed pensjonatem Raj u Mammy i przez dobre pięć minut obserwowali spalony budynek, sąsiednie domy, drogi dojścia, okolicznych mieszkańców, gapiów. Sparkes nazywał to „obwążiwaniem terenu”.

Ten moment zawsze był dla niego kluczowy: popatrzeć na miejsce zdarzenia świeżym okiem. A przynajmniej na tyle świeżym, na ile to możliwe po dwunastu godzinach w samolocie. Przetarł oczy i spróbował dopasować to, co widzi, do opisów z mejli Alex i do zdjęć Larsa. Budynek wyglądał teraz jak stara, ręcznie kolorowana fotografia. Sadza i popiół zmieniły jego barwy na czarno-białą i sepię, ale tu i ówdzie błyskał kolorowy element. Strzępy czerwonego plakatu za barem reklamującego whisky, stopiona żółta plastikowa skrzynka.



Zorientował się w terenie: taras, na którym Alex i Rosie piły piwo, kiedy padał deszcz; biuro Mammy, właścicielki, na zapleczu; betonowe schody prowadzące do pokoju dziewczyn; kraty na oknach pomieszczenia, które musiało być salą sypialną – „męską dziuplą”, jak według Alex nazwała ją kiedyś Rosie.

– Jedziemy – mruknął Sparkes. Pozostali tylko czekali na jego sygnał, więc zaczęli się przygotowywać.

– Nie ma to jak stylówka na noclegownię – zażartowała Salmond, stojąc obok Nicole i wkładając strój ochronny. – Mam tu komplet dla pana, szefie.

Sparkes naciągnął biały kombinezon i lateksowe rękawiczki. Zamierzali zachowywać standardy, mimo że miejsce zbrodni zadeptała im już pewnie połowa Bangkoku. Przebieranki przyciągnęły jednak spory tłumek ciekawskich – głównie znudzonych turystów, ale niektórzy straganiarze też się przysuwali, żeby lepiej widzieć.

– No dobra, do roboty – rzucił Sparkes, który chciał jak najprędzej zejść z publicznego widoku. Już zaczynał się pocić w garniturze, żałował, że przed zasunięciem kombinezonu nie zdjął przynajmniej krawata.

Nicole Ratner ruszyła przodem, nagrywając wideo. Sparkes przedzierał się przez ruiny tuż za nią, notując sobie wszystko w głowie. Nigdy się nie odzywał, dopóki nie obszedł całego miejsca zdarzenia. Taką miał metodę. Przeciskał się między stertami gruzu na parterze, regularnie sprawdzając położenie, i chciał mu się wyć z frustracji. Był zdumiony – nie, zszokowany – jak wiele potencjalnych dowodów tak po prostu zostawiono na pastwę przechodniów i bezdomnych psów. Butelki z tamtej „imprezy” ciągle wały się pod poskręcany od wysokiej temperatury ramami łóżek w sali sypialnej. Zwęglone przedmioty osobiste – stopiony telefon, bransoletka, niezidentyfikowane kawałki plastiku i metalu – unosiły się na morzu popiołu, prawdopodobnie w tym samym miejscu, gdzie zostały porzucone przez właścicieli.

Policja początkowo twierdziła, że pożar wybuchł z powodu przewrócenia świeczki podczas „imprezy”, ale jemu wydawało się raczej, że źródło ognia znajdowało się na tyłach budynku, na końcu korytarza.

„Dziwne miejsce na imprezę... i na świeczkę – pomyślał. – Gdyby świeczka przewróciła się na betonowej posadzce, to sama by zgasła. Trzeba by innych materiałów, żeby paliła się dalej”.

Sparkes przebiegł wzrokiem po osmalonych ścianach do miejsca, w którym musiały się kiedyś znajdować drzwi. Teraz nie został już po nich nawet ślad, w ścianie ziała dziura. Dałby sobie rękę uciąć, że to tutaj ktoś podłożył ogień. Żeby uniemożliwić ludziom wyjście? Albo wejście? Czy ukryć przed nimi coś, co się stało za drzwiami?

Wyjście prowadziło na niewielki dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron ślepyimi ścianami sąsiednich budynków i zasłany poczerńiałymi butlami gazowymi oraz czerwonymi kałużami stopionych plastikowych skrzynek. W kącie stała chłodnia, w której przed czterema tygodniami znaleziono ciała – wielki metalowy kontener, na oko domowej roboty, poobijany, połatany i rdzewiejący na krawędziach. Uszczelka w drzwiach sparciała, a zewnętrzny klimatyzator pokrywała warstwa popiołu. Zastanawiał się, jak, do diabła, komuś udało się tu przetransportować to ustrojstwo. W końcu doszedł do wniosku, że musiało zostać zbudowane na miejscu.

W blaszanym pudle skrzynie z napojami ostały się w całości, ustawione jedna na drugiej pod ścianą, ostatnie butelki napojów bezalkoholowych zabrzęczały, kiedy stanął na nierównej podłodze. Cuchnęło gnijącym jedzeniem i szczurzym gównem, Sparkes zasłonił ręką maskę na ustach, żeby dodatkowo przefiltrować wdychane powietrze. Dopiero kiedy odwrócił się, żeby wyjść, zauważył stos mat kokosowych w ciemnym kącie przy drzwiach – domyślał się, że w tym miejscu rzucili je funkcjonariusze po odkryciu zwłok.

– To nam potrzebne – powiedział do Jasona, który dołączył do niego w klaustrofobicznej przestrzeni.

– Jasne, szefie. Nicole musi wszystko obfotografować, zanim zacznę tu grzebać.

Sparkes znalazł skrawek cienia przed budynkiem i naszkicował w notatniku pobieżny rozkład pomieszczeń. Sporządził skrupulatne notatki. Było to bardzo ważne, zwłaszcza teraz, kiedy tak łatwo odpływał myślami do innych spraw.

Rozmyślał właśnie nad odległością od sali sypialnej do miejsca, w którym znaleziono dziewczyny, kiedy zaczęła go Salmond.

– Wszystko w porządku? – zapytała, ściągając kaptur i rękawiczki.

– Tak, poza faktem, że sposób zabezpieczenia miejsca zbrodni woła o pomstę do nieba. Jason wziął butelki z tego większego pokoju?

– Tak. Wszystkie popakowane i opisane. Oczywiście wszędzie są odciski palców, ale on skupia się na chłodni. Mówi, że znalazł w środku piękny odcisk dłoni, koło drzwi.

– Pewnie policja albo łowcy pamiątek. No ale przyda nam się wszystko.

– Nie wydaje mi się, żeby zabito je w chłodni, a panu, szefie? Strasznie tam ciasno, ja ledwie mogłam stanąć wyprostowana, a on musiałby zabić jedną dziewczynę, podczas gdy druga by nie reagowała.

Sparkes pokiwał głową.

– Sekcja nie stwierdziła na ciałach żadnych śladów świadczących o związaniu czy skuciu. Niewykluczone, że nie zamordowano ich w tej samej chwili. Ale sądzę, że musiały zginąć w tym budynku. Na dziedziniec można się dostać tylko

przez pensjonat, a na ulicy przed wejściem ciągle jest ruch: rozejrzyj się! W okolicy jest tyle klubów i barów czynnych całą dobę, że na pewno zawsze ktoś się tu kręci. Ktoś mógłby zauważyć taszczenie dwóch martwych ciał. Nawet tutaj.

– Ja obstawiam pokój chłopaków – stwierdziła Salmond, odkręcając butelkę z wodą. – Może jakieś zabawy łóżkowe skończyły się tragicznie. Podduszanie? Jak u tamtego parlamentarzysty, co go znaleźli z mandarynką?

– Z mandarynką?

– A może z pomarańczą.

– Dobra, teraz nie mamy czasu na dochodzenie, o jakie cytrusy chodziło. Niech mnie, jet lag zaczyna cię męczyć?

– Trochę – odparła Salmond z szelmowskim uśmiechem.

– Kto jako ostatni widział je żywe?

– Według policji ludzie na tej imprezie. Może Jake Waters albo ten nowy koleś, Jamie Way-Lawrence.

– On był tamtej nocy w więzieniu, tak twierdzą gliny. Ale musimy się z nim spotkać, zorientować się, co wie, i wziąć odciski. Szkoda tracić czas na wyciąganie próbek kryminalistycznych od tej tajskiej zgrai. – Zerknął do notatek.

– Pamiętaj, że tylko policja podtrzymuje wersję o tej rzekomej imprezie. Dziewczyny mogły zostać zamordowane nawet kilka dni wcześniej i leżeć w chłodni. Aoife tylko w dużym przybliżeniu potrafiła określić, kiedy zmarły, bo nie wiedziała, jaka temperatura panowała w chłodni. Kiedy Mags dostała ostatnią wiadomość od Alex?

Salmond wyjęła telefon i bez słowa przejrzała mejle.

– Dwunastego sierpnia – oznajmiła. – Tego wieczoru, kiedy Alex przyłapała Rosie na kradzieży.

– Czyli mogły zginąć w dowolnym momencie w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin przed pożarem.

– Zgadza się.

Zadzwoił telefon Sparkesa. Lokalny numer.

– Komisarz Bob Sparkes, słucham? – odebrał.

Pół godziny później zjawili się dwóch funkcjonariuszy – ten wyższy rangą gorzej sobie radził z angielskim. Przy powitaniu uśmiechali się szeroko, a potem poprowadzili ich przez pensjonat, pokazując obszary, które zbadali. Najwyraźniej powiedziano im, że mają wytłumaczyć brytyjskim policjantom, jak się prowadzi dochodzenie.

– Rozumiem, że panów zdaniem pożar mógł zostać wywołany przez świeczkę? – zapytał Sparkes z uśmiechem. Zaczął podłapywać ten klimat. – Dlaczego

sądzicie, że to była świeczka? Zeznał tak któryś ze świadków?

– Właścicielka – odparł funkcjonariusz. – Mówiła, dużo tu imprez. Ludzie pijane. Pała świeczki. Świeczka kopnięta. – Zaczął się zbierać do wyjścia, zrobił, co do niego należało.

– Kiedy rozmawialiście z właścicielką?

– Krótco po pożarze. Bardzo pomagała.

– Ale myślałem, że nie znaleźliście żadnych świadków.

– Tylko właścicielka. Wszystko straciła przez ten ogień. To wina tych zagranicznych, co umarły.

– Tyle że sekcja w Anglii wykazała, że jedna z dziewcząt została zamordowana. Uduszona – ciągnął Sparkes, niby przypadkiem zagradzając drzwi, żeby uniemożliwić policjantom wyjście. – Przesłaliśmy wam raport.

Tajlandczycy przez chwilę dyskutowali między sobą.

– Sprawa zamknięta. Mamy obowiązki. Musimy iść – oznajmił ten starszy stopniem.

– Bardzo dziękujemy, że zechcieli nam panowie pokazać, jak pracują – powiedział Sparkes, starając się powściągnąć sarkazm. – Moglibyśmy dostać kopię waszego raportu? Bardzo by nam to pomogło.

– To niemożliwe, przykro mi. – I się ulotnili.

Zespół zebrał się w kawiarni na końcu uliczki.

– Musimy porozmawiać z właścicielką – stwierdził Sparkes. – Została nam tylko ta Mamma. Popytajcie sąsiadów, muszą wiedzieć, gdzie ona jest. A ja poproszę w ambasadzie, żeby załatwili nam widzenie z Jamiem Lawrence'em.

„A potem wrócimy do domu”.

*Piątek, 12 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**D**ecyzję o przyjeździe podjęłam bez większego problemu. Podążałam za każdym tropem, żeby odkryć prawdę o tym, co się stało, o udziale mojego syna w tej całej historii, a wszystko wskazywało na to, że tylko Jamie Lawrence może coś o tym wiedzieć. „Oprócz ciebie, Jake – myślę. – Ale ciebie nie ma. A ja muszę wiedzieć, przed czym próbuję cię chronić”.

Wyjaśniłam wszystko Steve’owi, kiedy tylko się dowiedziałam, że Jamie siedzi w areszcie w Bangkoku. Wysłuchał mnie uważnie, częstując się dhansakiem z kurczakiem z aluminiowego pojemnika stojącego na stole w kałuży czerwonego tłuszczu.

– Ale dlaczego musisz tam lecieć? Nie możesz poczekać, aż twój kumpel Sparkes się z nim spotka i wszystko ci przekaże? – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Bo chcę mu zadać kilka pytań. Z policją może nie chce rozmawiać.

– A z tobą będzie chciał? – Steve uniósł brew i napił się piwa.

– Przeciągnę go na naszą stronę, Steve. Przekabacę go.

– Nie wątpię, Katie. Nikt się nie oprze twojemu urokowi, co?

Gwałtownie odsunęłam talerz.

– Nie bądź niemiły. Jesteś wykończony, to oczywiste. Ja też, ale muszę się dowiedzieć, co on wie. Chyba to rozumiesz?

Steve nie odpowiedział. Nabrał kolejną porcję curry.

– Rozumiesz? – powtórzyłam głośniej. – Ten chłopak może być kluczem do wszystkiego.

– Właściwie to Jake jest tu kluczowy. Nie powinnaś zajmować się raczej szukaniem jego? Policja już wykluczyła tamtego chłopaka w toku śledztwa. Nie było go tam. To tylko terapia zastępcza, Katie. I to nietania, ten wyjazd będzie

kosztował majątek. A może się nawet okazać, że w ogóle się do niego nie dostaniesz.

– To nie fair. Próbowałam już wszystkiego, żeby znaleźć Jake’a. – To prawda. Dobijałam się do jego znajomych ze szkoły, z uniwersytetu, namierzyłam nawet taką dwulicową byłą dziewczynę, porozmawiałam z nią spokojnie, choć w brzuchu paliła mnie rozpacz. Podzwoniłam po chłopakach, z którymi dawniej co sobotę grywał w piłkę, odwiedziłam puby, w których pijał, biblioteki, w których się uczył, kawiarnie i sklepy, w których bywał. I nic. Nikt go nie widział ani nie miał z nim żadnego kontaktu. – Poza tym na pewno się dostanę. Nie takie rzeczy już robiłam.

Pamięć podsunęła obrazy parku narodowego, gdzie po godzinach szukałam skutego łańcuchem słonia, i więzienia w Bułgarii jak żywcem wyjętego z *Midnight Express*.

– Mam zresztą odłożone trochę grosza.

– Mówisz o naszych oszczędnościach na wakacje?

– Mniejsza z tym. To jest ważniejsze. Jadę.

Nabił na widelec kawałek kurczaka i przeżuwał dalej.

Oto jestem. Dzień świstaka w Bangkoku, znów widzę te same wieżowce rozmazane za oknem pędzącej taksówki. Don już dla mnie pracuje. Muszę mu płacić z własnej kieszeni, ale facet jest wart swojej wagi w złocie. Jeśli ktokolwiek może pomóc mi się dostać do aresztu, to tylko on.

Spotykamy się w tej samej kawiarni na końcu uliczki i odruchowo rozglądam się po sąsiednich stolikach za Rossem. Nie ma go tam, więc odwracam się do Dona i próbuję się skupić na jego słowach.

– Możesz wejść do więzienia Klong Prem dziś po południu. Nie kosztowało to dużo, ale będziesz miała tylko trzydzieści minut na rozmowę.

– Wspaniale, Don. Pójdiesz ze mną, na wypadek gdybym potrzebowała tłumacza?

– Pewnie.

– Ja pierniczę, to Kate Waters – słyszę kobiecy głos przebijający się przez kawiarniany zgiełk. Obracam się na krześle. Zara Salmond siedzi dwa rzędy dalej. Poprawka, już nie siedzi: przepycha się między stolikami, kobieta z misją, a dwoje jej towarzyszy patrzy za nią ze zdumieniem.

– Co pani tu robi, do diabła? – woła do mnie sierżantka nad głowami klientów, nie czekając, aż dotrze do naszego stolika.

– Eee, dzień dobry – odpowiadam. – Szukam informacji do artykułu.

– Czyżby? Niech pani tylko poczeka, aż szef się dowie, że pani tu jest.

Rozglądam się dookoła, ale nigdzie nie widzę Boba Sparkesa.

– On tu jest?

– A i owszem. Wyskoczył na zewnątrz, żeby zadzwonić.

Szybko wstaje z krzesła. Chce z nim porozmawiać na osobności, bez wścibskich turystów i zirytowanych policjantek. Właśnie skręcam za róg, kiedy na niego wpadam. W ręku trzyma telefon i zdaje się przebywać w jakimś innym świecie.

– Bob – mówię, a on aż podskakuje. Idę dalej przed siebie, kierując go tam, skąd przyszedł, żebyśmy mogli schować się w cieniu.

– Kate? Skąd ty się tu wzięłaś, do jasnej cholery?

– Twoja sierzantka właśnie wyrzeszczała do mnie te same słowa. Przyjechałam oczywiście w związku z artykułem.

– Z jakim artykułem? Myślałam, że przekazałaś temat Joemu Jacksonowi? Powinnaś być na urlopie.

– No cóż, nie lubię się nudzić. A Joe jest teraz zajęty czymś innym. Jak ci idzie? Dogadałeś się jakoś z tutejszą policją?

– Powiedzmy, że robimy swoje. Nasz zespół bada miejsce zbrodni, próbujemy namierzyć właścicielkę. Teraz się nagle okazuje, że jest świadkiem.

– Serio? Z tym akurat może będę mogła wam pomóc. Widzę się później ze znajomym Jake'a. On może wiedzieć, gdzie powinniśmy jej szukać.

– Aha – mówi ze zboląłym wyrazem twarzy.

– Możemy iść razem, porozmawiać z nim spokojnie – proponuję, przełączając się z powrotem na nasz zwykły tryb współpracy.

– Nie bardzo, Kate – odpowiada, sprowadzając mnie na ziemię. – Doceniam propozycję, ale szukamy twojego syna w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa...

– Przepraszam, to było głupie z mojej strony.

– A zresztą czego ty tu szukasz? Jake jest w Anglii. Nie powinnaś tam na niego czekać, na wypadek gdyby się pojawił w domu?

– Chryste, gadasz zupełnie jak mój mąż.

Sparkes wreszcie się uśmiecha.

– Szczerze mu współczuję...

Trajkoczę dalej, nie chcę, żeby się dowiedział o planowanej wizycie w więzieniu. Może próbować mnie powstrzymać.

– Tutaj się to wszystko wydarzyło. Muszę poznać prawdę, Bob, ze względu na dobro Jake'a. Nie mogę siedzieć bezczynnie i czekać. Jak mnie świerzbi, to muszę się podrapać.

– Rozumiem – mówi. To prawda. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

– Muszę lecieć. Czas mnie goni.

– Gdzie teraz idziesz?

- Mam sprawy na mieście. A ty?
- Tak samo – odpowiada i mruga porozumiewawczo.



*Piątek, 12 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**W** więzieniu ciągnęły się długie kolejki, więc obgryzałam nerwowo paznokcie, zastanawiając się, czy uda nam się dostać do środka przed końcem widzeń.

Kontakt Dona przekazał mi numer identyfikacyjny Jamiego Lawrence'a i numer budynku, zapewnił też, że możemy przyjść tak po prostu z ulicy. Odwiedzających obowiązywały dziesiątki zasad: żadnych książek ani gazet z wizerunkami kobiet (zarówno ubranych, jak i wręcz przeciwnie), żadnych pieniędzy, żadnego jedzenia. Mogliśmy jednak zapłacić za przybory toaletowe i posiłki – w tym, co osobliwe, zestawy z KFC – które zostałyby potem dostarczone do osadzonego przez służbę więzienną.

– To jakaś dodatkowa kara? – próbowałam żartować.

– Codzienny jadłospis składa się z ryżu i rybich łbów – odparł Don. – Cokolwiek mi przyślemy, będzie wdzięczny.

– Mam nadzieję, że nie jest wegetarianinem – skwitowałam, wręczając Donowi pieniądze na kubek smażonego kurczaka, pastę do zębów i mydło.

– Nie przejmuj się, jeśli nie będzie chciał czegoś z tych rzeczy, może je zawsze wymienić na coś innego, to więzienna waluta.

Powoli przebijaliśmy się przez system: okazywanie paszportów, rewizja osobista, wypełnianie formularzy i wędrowanie przez przepastne hole, w których kroki niosły się echem, za znakami prowadzącymi do pokoju widzeń. W końcu usiedliśmy na ławce i czekaliśmy na wezwanie.

Do pomieszczenia wlewa się fala ludzi, co sygnalizuje zakończenie poprzedniej tury widzeń, więc przygotowuję się na spotkanie. Wiem, o co chcę zapytać i co mam nadzieję usłyszeć w odpowiedzi. „I czego usłyszeć nie chcę”.

Wywoływane są kolejne nazwiska, odwiedzający zrywają się z miejsc i biegną do przydzielonego boksu.

Don nagle wstaje.

– To my – mówi. Nie usłyszałam ani swojego nazwiska, ani niczego nawet do niego zbliżonego, ale on łapie mnie za ramię. – Nie ma co zwlekać. Nie mamy dużo czasu. To ten boks na samym końcu.

Idziemy szybko, mijając innych przycupniętych po tej stronie krat i nachylających się ku osadzonym. Panuje ogłuszający hałas, dziesiątki głosów przekrzykują się i odbijają od ścian.

W naszej połowie budki jest wysoki taboret i plastikowa słuchawka telefoniczna. Siadam i wyteżam wzrok, próbując przebić dwie metalowe kraty – jedną kilka centymetrów od mojej twarzy, drugą jakiś metr dalej, po drugiej stronie ziemi niczyjej, za którą siedzi jakaś postać ze słuchawką przy uchu. Mrużę oczy, żeby lepiej widzieć.

– To Taj – mówię do Dona, a on przysuwa twarz do kraty, żeby się upewnić. Biorę telefon. – Jamie?

Mężczyzna odpowiada coś niezrozumiałego.

– To nie on! – wołam. – Na pewno to dobry boks? Boże, tracimy czas.

Don podchodzi do strażnika przy biurku za nami i zaraz wraca.

– Miejsce się zgadza, tylko więzień nie ten. Został tu od poprzedniego widzenia. Tego naszego już prowadzą.

Nawilżaną chusteczką wycieram słuchawkę, potem kratę, podczas gdy poprzedni więzień zostaje odeskortowany, a jego miejsce zajmuje nasz człowiek.

Siedzę, gapię się i nie mogę wydusić z siebie słowa.

– Weź telefon – podpowiada Don.

Posłusznie podnoszę słuchawkę. Postać po drugiej stronie robi to samo.

– Hej, mamó – mówi.

*Piątek, 12 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**J**ake też nie może powiedzieć już nic więcej. Tylko na siebie patrzymy.

Oto i on. Siedzi naprzeciwko mnie, tak nieruchomo jak wykuty w kamieniu pomnik na grobowcu. Ale to on.

– Jake – szepczę wśród wściekłego buczenia głosów wokół nas. I wtedy jego głowa drga, porusza się niemal niedostrzegalnie.

Zasłania twarz dłonią, przez co sprawia wrażenie, jakby wyglądał przez szczelinę w ścianie. Jakby nie do końca tu był.

– Nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś – mówi.

Don mnie szturcha. On słyszy tylko moją część rozmowy.

– Do jasnej cholery, pomyliłaś imiona, amatorco – wybucha. – To jest Jamie. A teraz zadaj mu wreszcie jakieś pytanie, kurwa. Nie przyszliśmy tu, żeby się na niego gapić.

Próbuję coś powiedzieć, ale gardło mam ściśnięte, mogę tylko zaskrzeczeć. Don wyrywa mi słuchawkę i przystępuje do dzieła.

– Dzień dobry, Jamie, przepraszam za koleżankę, chyba ma jet lag. Jak się trzymasz? Jesteśmy dziennikarzami, chcielibyśmy z tobą porozmawiać o pensjonacie Raj u Mammy.

Prawie się rzucam na biednego Dona, który przerażony oddaje mi słuchawkę.

– Jake, co ty tu robisz?

Na twarzy Dona maluje się szok.

– To mój syn – wyjaśniam. – Jake.

Rozmawiamy niespiesznie z moim synkiem, ostrożnie przedzieramy się przez pole minowe pytań domagających się odpowiedzi. Z całej siły ściskam słuchawkę, jak robiłam już nieraz, tysiące kilometrów stąd, żeby nie uronić ani

słowa. Don siedzi obok, z głową przy mojej głowie, żeby też wszystko usłyszeć, robi notatki i co jakiś czas przerywa, kiedy chce o coś dopytać.

Jake mówi nam, że Jamie ukradł mu paszport i podrzucił swój. Nie wie dlaczego. Zorientował się dopiero, kiedy policja aresztowała go w barze niedaleko pensjonatu. Przeszukali mu plecak, znaleźli paszport Jamiego i samarkę z marihuaną.

– Wrobili mnie, mamó. Ktoś powiedział policji, gdzie mnie szukać. Podeszli prosto do mojego stolika. Podrzućli mi narkotyki. Nie rozumiałem, co mówią, krzyczeli coś, zajrzeli mi w papiery i założyli, że nazywam się Jamie Lawrence. Nie podałem im prawdziwego nazwiska, bo myślałem, że uda mi się to wszystko jakoś odkręcić i nikt się nigdy nie dowie, że zostałem aresztowany.

„Ma na myśli nas. Nie chciał, żebyśmy my się dowiedzieli. Jego krytykancka rodzina”.

– Była już jakaś rozprawa? – pyta Don.

– Nie, to areszt śledczy.

– Dlaczego się do nas nie odezwałeś, Jake?

Wzdycha do słuchawki.

– Przepraszam, mamó, zamierzałem. Ale...

– Mówiłeś nam, że jesteś na Phuket, ratujesz naturę czy coś. Przez dwa lata nie wiedzieliśmy, co się z tobą dzieje, Jake...

– Mamó – przerywa mi.

– Przepraszam. Nie chciałam urządzić ci przesłuchania. – „Jeszcze do tego wrócimy” – myślę. – Po prostu jestem w szoku, nie spodziewałam się zobaczyć cię tutaj.

Wróciliśmy do początku.

– No to dlaczego tu przyjechałaś, mamó? O co chciałaś zapytać Jamiego?

– O pożar w pensjonacie – mówię, a Jake gwałtownie podrywa głowę.

– Jaki pożar? Kiedy?

– W noc po twoim aresztowaniu. Nie wiedziałaś?

Kręci głową.

– Strażnicy nie mówią tu po angielsku. Nie docierają do mnie żadne wiadomości.

– Znalaziono ciała dwóch dziewczyn, które tam mieszkały.

– Dwóch?! – krzyczy i znów zasłania sobie twarz. – Boże! Alex?

„Dlaczego nie wspomniał o Rosie?” – kołacze mi się w głowie.

Don na mnie patrzy, on też wie, że reakcja Jake’a jest dość osobliwa. Kręcę głową i bezgłośnie mówię: „Szok”.

– Rozumiem, że to dla ciebie bardzo trudne, kochanie – mówię, żeby uwiarygodnić swoją wymówkę, nie tylko przed Donem, ale także przed samą

sobą. – Policja prowadzi śledztwo, tutaj i u nas. Twierdzą, że Alex została zamordowana. Ktoś ją udusił, zanim podłożono ogień.

Twarz mu się wykrzywia, zaczyna płakać. Kładę dłoń na kracie – nie mogę go dotknąć, ale zawsze to jakaś namiastka.

– Nie płacz, misiu – wypowiadam to zdanie po raz pierwszy od czasów, kiedy był małym chłopcem, i też zalewam się łzami.

– Jak myślisz, Jake, kto ją zabił? – pyta Don. – Ktoś się dziwnie zachowywał w jej towarzystwie? Za bardzo nią interesował?

Jake próbuje uspokoić oddech.

– Żartowaliśmy, że Jamie stalkuje Alex – mówi w końcu chrapliwym, bezbarwnym głosem, jakby nie została w nim ani kropla życia. – Próbował ją namówić, żeby pojechała z nim na Ko Phi Phi, po tym jak Rosie...

Urywa nagle.

– Jak Rosie co? – pytam.

– Próbuję sobie przypomnieć – odpowiada łamiącym się głosem. – Rosie się ulotniła dzień przed tym, jak mnie zwinęli. Powiedziała właścicielce pensjonatu, że jedzie do Mjanmy z jakimiś Holendrami. Jamie prawie skakał z radości. Myślał, że będzie miał Alex tylko dla siebie.

– Z Holendrami? – powtarzam. – Chodzi o Larsa i Diederika?

– Tak. Skąd ich znacie? – Podnosi głowę i świdruje mnie wzrokiem.

– Rozmawiałam z Larsem, Jake. Zajmowałam się tym tematem. – Próbuję zajrzeć mu w oczy, sprawdzić, czy kłamie. Kiedy był mały, zawsze potrafiłam to rozpoznać. Jeśli zmyślał, od razu uciekał wzrokiem albo patrzył w ziemię. „To Freddie zrobił!” Z biegiem lat kłamstwa stawały się subtelniejsze i trudniejsze do wykrycia. „Chciałem zadzwonić, ale skończyły mi się pieniądze na karcie”. Nadal jednak potrafiłam dostrzec to, co go zawsze zdradzało, tę udawaną szczerość. „Naprawdę, mamoo...”

Gdybym pisała artykuł i robiła z nim wywiad, powiedziałabym wprost: „Rosie wcale nie pojechała do Mjanmy z chłopakami. Oboje dobrze o tym wiemy, prawda?”. Ale nie wiem, co on na to powie. Nie chcę, żeby skłamał. Ujawnił się jako obcy człowiek. Nie jestem na to gotowa.

– Wcale nie opuściła pensjonatu. To ona była tą drugą dziewczyną... – mówi Don.

– To najgłośniejszy temat ostatnich dni, Jake – przerywam mu. – Twoje zdjęcia są na pierwszych stronach wszystkich gazet w Anglii od czasu pożaru. Jesteś poszukiwany przez policję w związku ze śmiercią tamtych dziewczyn. Wpadłeś po same uszy.

– O Boże! Ale dlaczego nie szukają Jamiego?

– Bo są przekonani, że siedzi w więzieniu w Bangkoku.

Znowu zwiesza głowę.

– Wyciągnę... wyciągniemy cię stąd – obiecuję. Nie mam pojęcia, jak to zrobimy, ale muszę dać mu trochę nadziei.

– Dobrze.

– Trzymaj się – mówi Don. – Musimy jak najszybciej załatwić jakiegoś prawnika. Znam jednego, który mógłby nam pomóc. Potem powiemy policji o twojej prawdziwej tożsamości. Okej?

Jake kiwa głową. Nie patrzy na mnie. Rozlega się dzwonek, zaczynamy się żegnać.

– Przyjdę w poniedziałek – zapowiadam. – Kupiłam ci coś do jedzenia. Z KFC – dodaję beznadziejnie. Już go wyganiają, musi zwolnić miejsce dla następnego więźnia. – Kocham cię, Jake! – krzyczę przez kratę, ale on nie daje żadnego znaku, że mnie słyszał.

*Piątek, 12 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Odzywam się do Dona dopiero poza salą widzeń.

– Damy radę go wyciągnąć? – pytam. Tylko to się dla mnie teraz liczy. Wszystkim innym mogę się zająć później. Nieważne, czym okaże się to „wszystko”.

– Zobaczymy. Zadzwońię do tego znajomego, musimy też zaangażować ambasadę brytyjską. Wzięto go za kogoś innego, a my możemy udowodnić, kim jest naprawdę. Zawsze to jakiś początek, gdybyśmy byli u nas, to byłbym optymistą. Ale niestety jesteśmy na obcej ziemi...

On dzwoni do swojego człowieka, a ja do swojego.

– Steve, znalazłam Jake’a – wypalam.

– Jak to? – Jego głos brzmi zaskakująco donośnie, wylewa się z telefonu i odbija od wykafelkowanych ścian. – Dzwonił do ciebie? Gdzie on jest? Co z nim? Mogę z nim porozmawiać?

– On jest tutaj, Steve. W Bangkoku.

Następuje chwila pełnej osłupienia ciszy, kiedy mój mąż próbuje sobie przyswoić nową informację.

– Co?! – krzyczy. – Co się tam dzieje?

A ja powoli tłumaczę, próbując rozplątać supły tej zawikłanej historii i wytłumaczyć ją zarówno mojemu wstrząśniętemu mężowi, jak i samej sobie.

To Don zauważa Boba Sparkesa i Zarę Salmond w kolejce dla odwiedzających.

– Na pewno idą na widzenie z Jamiem Lawrence’em – mówi, kiedy próbuje się schować za filarem. – Musimy im powiedzieć, co się dzieje. Może będą mogli nam pomóc uwolnić Jake’a.

Wcale nie jestem taka pewna, ale zaciskam mocno kciuki.

– Panie komisarzu! – woła Don, a ja zmuszam się do uśmiechu.

Bob wygląda na mocno wkurzonego naszym widokiem. Nie odwzajemnia uśmiechu, przeczesuje tylko palcami wilgotne od potu włosy.

– Byliście w środku? – warczy. – Powinienem był się domyślić, dokąd się wybierasz.

Robię przepraszającą minę, muszę go urobić.

– Tak, byliśmy – mówię, ale nagle oczy zachodzą mi łzami. Zaciskam mocno pięści, żeby się opanować, próbuję zachować kamienną twarz.

– Kate? Co jest? Coś się stało? – pyta.

– Jake – wyduszam.

– Spokojnie, Kate. Co z Jakiem? Jamie coś ci o nim powiedział?

Kręcę tylko głową, więc Don mnie zastępuje i streszcza całą historię w trzech zdaniach.

– Mają tu Jake’a Watersa, a nie Jamiego Lawrence’a. Jake mówi, że Jamie go wrobił. Podmienił mu paszport i podrzucił narkotyki, żeby go aresztowano.

– Jasny gwint – mówi Salmond. – To kto w takim razie jeździ po Surrey wynajętym samochodem?

Sparkes patrzy w niebo, a potem przenosi wzrok na mnie.

– Jesteś pewna, że to on?

– To mój syn. Oczywiście, że jestem pewna.

– Jakiś czas go nie widziałaś. No i zakładam, że nie siedzieliście twarzą w twarz. Chodzi mi tylko o to, że każdy może się czasem pomylić.

– To on! – wrzeszczę.

– I co mówił? Co wam powiedział?

Sierżantka podaje mi chusteczkę, żebym mogła się wysmarkać, a tymczasem cała kolejka gapi się na nas z nieukrywaną ciekawością w przerwach między przesuwaniami się o parę kroków.

– Kiedy zaczęli do niego mówić Jamie, myślał, że to dobrze. Że wszystko wyjaśni i nikt się nie dowie, że to on wpadł w tarapaty. Głupek z niego. Ale nie miał nic wspólnego z tym pożarem, Bob. Nawet o nim nie wiedział, dopiero ja mu powiedziałam. Spał wtedy na podłodze w Klong Prem, w celi na siedemdziesiąt osób.

Sparkes nie chce słuchać łzawej historyjki o Jake’u. Macha ręką na moje opisy à la *Midnight Express*.

– A co z tymi dziewczynami? Wie cokolwiek o tym, co się z nimi stało?

– Mówi, że Rosie wyjechała dwa dni przed pożarem. Do Mjanmy.

– Z Holendrami... – dodaje Don po cichu.

Bob Sparkes unosi wysoko brwi.



– Tyle że oczywiście wcale nie pojechała.

– Powiedziała mu to właścicielka pensjonatu, Mamma. Rozmawialiście z nią już? – Szybko zmieniam temat i sprowadzam rozmowę na Jamiego. – Jake mówi, że Jamie był dziwny, łąził za Alex i naciskał, żeby dalej podróżowała z nim zamiast z Rosie.

– Myśli, że to Jamie je zabił?

– Nie wie. Ale twierdzi, że Jamiego bardzo ucieszyło zniknięcie Rosie.

Salmond wyjmuję notatnik.

– Czyli zniknęła trzynastego sierpnia, tak? – pyta z długopisem w gotowości.

– Tak mi się wydaje. Trudno było się dogadać przez dwie kraty, poza tym strasznie tam głośno od rozmów.

– Domyślam się – mówi Sparkes. – Muszę sam porozmawiać z Jakiem. Dopóki go nie wykluczymy, jest osobą podejrzaną, poza tym powinienem sam mieć absolutną pewność co do jego tożsamości, zanim powiadomię tutejsze służby i swoich przełożonych.

– Nie wiem, czy aresztantom przysługuje więcej niż jedna wizyta dziennie. –

Tak naprawdę to nie wiem, czy chcę, żeby komisarz Sparkes przesłuchiwał mojego syna. – Mają tu miliony zasad.

– Zostaw to nam. Zara dogadała się z kimś ze służby więziennej i wszystko załatwiła. A teraz zdradź mi parę sekretów rodzinnych, żebym mógł przemaglować Jake'a.

Podaję mu imiona zwierząt domowych, nazwę szkoły Jake'a, nazwiska nauczycieli, wyniki egzaminów, imię pierwszej dziewczyny. Ale jednocześnie przez cały czas odtwarza mi się w głowie nasza rozmowa w więzieniu.

„Dwóch?” – zapytał. Jakby spodziewał się tylko jednego ciała. O Alex nie wiedział. Ale co z Rosie? Co powie Sparkesowi?

– Co zamierzasz z tym zrobić? – pyta Bob. – Powiesz o wszystkim swojej redakcji?

Przez chwilę wydaje mi się, że nie znam odpowiedzi. Ale znam. Jeśli ja tego nie zrobię, Don im powie.

– Tak, oczywiście. Muszę go stąd wyciągnąć. Don załatwia prawnika, a ja jadę prosto do ambasady, żeby im wszystko wyjaśnić. W więzieniu siedzi niewłaściwy człowiek. To musi chyba mieć znaczenie dla władz Tajlandii.

– Jasne, powodzenia – rzuca Sparkes. – Powinienem uprzedzić nasze biuro prasowe... Która tam jest teraz godzina, Salmond?

– Jeszcze wcześniej, proszę pana.

– Ale nie zamierzam potwierdzać twojej wersji, Kate. Przynajmniej dopóki go nie zobaczę i nie przekonam się na własne oczy.

– Potraktuj go delikatnie, Bob – proszę. – Przeszedł prawdziwe piekło.

*Piątek, 12 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Widzenie dało Sparkesowi nowy zastrzyk energii. To rzeczywiście był Jake Waters. Mieli jeszcze zrobić badanie krwi w więziennym gabinecie lekarskim, żeby formalnie potwierdzić jego tożsamość, ale to był on.

– No chodź, Zaro, streszczaj się. – Pośpieszył ją, maszerując dziarsko na postój taksówek i włączając po drodze telefon. – Musimy jak najszybciej poinformować górę i opublikować zdjęcie Jamiego Lawrence’a.

– Jestem praktycznie pewna, że Kate Waters już puściła ten artykuł. Mam masę nieodebranych połączeń na telefonie.

– No, ja też. – Miał jedno nieodebrane połączenie od Eileen, ale wsiadając do taksówki, Sparkes wybrał numer nadkomisarz Wellington. Zadzwoń do Eileen później, jak tylko załatwi wszystkie sprawy służbowe. Nie mógł się już doczekać, żeby jej opowiedzieć o najnowszym zwrocie akcji. Będzie zachwycona.

Lakoniczną wymianę informacji z szefową przeprowadził, kiedy pędzili przez zatłoczone ulice. Wellington już wszystko wiedziała. „Post” opublikował artykuł, kiedy on był jeszcze na widzeniu, ale przełożona nie odpowiadała na żadne pytania, cierpliwie czekając na wieści od komisarza.

– Niech pani powie, że robimy właśnie badania krwi, żeby potwierdzić tożsamość młodego mężczyzny z Bangkoku. Dlaczego nie mamy jeszcze wyników DNA Jake’a Watersa z próbek pobranych z jego bejsbolówki? Miały być trzy dni temu. Musimy pośpieszyć laborantów. No i najważniejsze, trzeba ogłosić, że chcemy pilnie porozmawiać z Jamiem Lawrence’em. W „Poście” mają jego zdjęcie od tego Holendra, Larsa. Powiększamy i publikujemy.

W pokoju hotelowym zdjął przesiąkniętą potem koszulę i stanął pod klimatyzatorem, żeby się wysuszyć. Miał wrażenie, że mózg gotuje mu się pod czaszką.

Potem usiadł na łóżku z ręcznikiem zarzuconym na ramiona i oddzwonił do domu. Odebrała Sam.

– Hej, kochanie – powiedział, wciąż buzując energią. – Miałem nieodebrane połączenie od mamy. Daj ją do telefonu. Nie uwierzy, co tu się wyprawia.

– Nie mogę jej poprosić, tato. Kiepsko z nią.

Usiadł prosto, próbując się przygotować na złe wieści, ręcznik zsunął mu się z ramion.

– Co się stało?

– W nocy straciła przytomność. Strasznie mi przykro, tato. Możesz wrócić do domu?

On już wpychał jedno ramię w rękaw wilgotnej koszuli. Adrenalina pulsowała mu w żyłach.

– Zaraz lecę, Sam. Co mówią lekarze?

Głos odmówił jej posłuszeństwa. Serce pękało mu w piersi, była taka dzielna.

– To może być kwestia godzin, tato.

Nie zdąży wrócić. Dotarło to do niego.

– Byłaś przy niej, kochanie?

– Nie, tylko anielska Helen. Mama w nocy zapadła w śpiączkę, Helen zadzwoniła, jak tylko się zorientowała. Dlaczego poleciałeś do Bangkoku, tato? Dlaczego cię tu nie ma?

Przez chwilę nie mógł wydusić ani słowa. Mózg zalała mu fala bólu i poczucia winy, wypłukując wszelkie inne myśli.

– Tato? Jesteś? – Głos Sam był jak pas ratunkowy, ściągał go na brzeg.

– Zaraz sprawdzę loty, kochanie. Ucałuj ode mnie mamę. Przekaż jej, żeby na mnie poczekała. Powiedz, że ją kocham – pożegnał się. – Chryste – powiedział do swoich kolan. Co on robi na podłodze? Zemdlał? Nie chciał się podnosić z tego dywanu. Chciał tylko tam leżeć. Ktoś jednak pukał do pokoju. Z trudem podniósł się na nogi i uchylił drzwi.

– Bob! Co się stało? – przestraszyła się Kate. – Wyglądasz okropnie.

Wpuścił ją do środka. Nie miał siły na nic innego.

Zaprowadziła go na fotel i pomogła włożyć koszulę na drugie ramię.

– Masz tu jak w lodówce, Bob. Cały się trzęsiesz. Przykręć klimatyzację.

– Muszę wracać do domu – powiedział. – Muszę złapać jakiś samolot.

– Dlaczego? O Boże, coś z Eileen? Czekał, zaraz zadzwonię do linii lotniczych. Gdzie masz paszport i bilet?

Bez słowa wyłowił je z kieszeni marynarki. Bilet był wiotki od porannej wilgoci, ale Kate wzięła go bez komentarza, usiadła na łóżku i wyjęła telefon.

Obserwował ją, jak próbuje przekonać operatora do wymiany biletu. „Tak samo wygląda, kiedy chce mnie urobić” – przeszło mu przez myśl.

– Bob – powiedziała nagle, zasłaniając mikrofon – pytają, jaki to nagły wypadek. Musimy powiedzieć, bo inaczej będziesz musiał kupić nowy bilet. Zapłacisz fortunę. Wzięłeś najtańszą taryfę.

– Eileen umiera – oznajmił.

Kate zrobiła oczy jak spodki.

– Żona mojego przyjaciela umiera na raka. Musi się dzisiaj dostać do domu – powiedziała. – To najwcześniejszy lot? Nie ma nic wcześniej? A inne linie?

Zadała jeszcze kilka rzeczowych pytań, podała różne dane i w końcu się rozłączyła.

– Dobra. Bezpośredni samolot do Londynu właśnie wyleciał. Następny jest wieczorem. Są trochę wcześniej loty z przesiadkami, ale trwa to znacznie dłużej, no i jest ryzyko, że się nie zdąży na przesiadkę. Więc zmieniłam ci bilet na ten lot o północy. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, w Londynie powinieneś być jutro o wpół do siódmej.

Pokiwał głową. Wszystko na nic. Nie zdąży na czas. Zwiesił głowę, Kate wzięła go za rękę.

– Wyjedziemy na lotnisko za cztery godziny. Chcesz, żebym porozmawiała z sierżant Salmond?

– Nie, sam jej powiem.

– Należę ci brandy – powiedziała, grzebiąc w barku. – Ja chyba też się napiję.

Salmond przyszła od razu po jego telefonie.

– Boże, proszę pana, okropnie mi przykro. Mogę coś zrobić?

– Nie, dziękuję – odparł. – Kate załatwiła mi lot, ale chcę, żebyś została i wszystko tu skończyła.

– Oczywiście. Wszystko będzie dobrze. Zdąży pan.

Kate podała jej miniaturową buteleczkę i odpakowała z folii kubek do mycia zębów. Usiedli i w milczeniu sączyli trunki, każde w swoim świecie.

Wkrótce jednak rzeczywistość przerwała ciszę – rozdzwonił się telefon Salmond.

– Nadkomisarz Wellington – powiedziała i podała telefon Sparkesowi.

Kobiety wycofały się do łazienki, żeby zapewnić mu prywatność podczas rozmowy z przełożoną, której musiał przekazać smutne wieści.

– Zara! – zawołał potem. – Musisz być w kontakcie z panią nadkomisarz i na bieżąco przekazywać jej informacje w związku z Jamiem Lawrence'em.

– Poradzi pan sobie sam? – zapytała, a on skinął głową.

– Ja z nim zostanę – powiedziała Kate. – I zawiozę na lotnisko. Pani może się zająć śledztwem.

*Bangkok, dzień 19 (czwartek, 14 sierpnia)*

Jake nie wracał od kilku godzin. Mówił, że zaraz będzie z powrotem. Był wyraźnie strapiiony, ale przed wyjściem pogłaskał ją po włosach. Tego się trzymała.

Nie rozumiała, co się dzieje. Strasznie nie lubiła, kiedy chłopcy tak się zachowywali. Mieszali w głowie. Raz świata poza tobą nie widzą, a za chwilę tracą zainteresowanie.

Mniejsza z tym, miała ważniejsze problemy... Ale myślami wciąż wracała do Jake'a i tego uroczego wgłębienia nad jego górną wargą. I do Rosie.

Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz przejrzała listę rzeczy do zrobienia, wahając się przy każdej pozycji. „Znaleźć Rosie”. „Zadzwoić do mamy”. „Wracać do domu?”

Wyjęła wydrukowany bilet i położyła go na łóżku obok „Ostatecznej wersji planu podróży A. i R.”. Nie wyszły z Rosie poza stronę drugą, ale teraz przekartkowała resztę rozpiski, przeglądając atrakcje, których już nie będzie jej dane zaliczyć. Łzy kapały na zeszyt, wsiąkały w papier, rozmazując program wycieczki. Rzeczywistość była taka okrutna i ponura. Już miała zmiąć kartki i cisnąć je w kąt, ale nagle się powstrzymała. Potrzebowała numeru do linii lotniczych – była pewna, że przekopiowała go do planu podróży, i rzeczywiście, znalazła go na liście „PRZYDATNYCH NUMERÓW”. Tuż nad komórką Rosie. Alex złapała nowy telefon i wybrała numer. Od razu włączyła się poczta. W uchu rozbrzmiał jej dziarski głos Rosie: „Cześć, tak dobrze się bawię, że nie mogę odebrać. Zostaw wiadomość...”.

Błagała Rosie, żeby się z nią skontaktowała.

– Proszę! Jakoś to poukładamy. Jeszcze nic nie powiedziałam rodzicom, ale niedługo będę musiała. Rosie, zadzwoń do mnie!

Siedziała przez chwilę z telefonem w ręku. Może Rosie specjalnie odrzucała połączenia od niej? Na wszelki wypadek napisze też do niej esemesa, żeby na pewno dotarło. A potem pójdzie porozmawiać z Mammą.

Mamma łypnęła na nią spode łba, ale Alex i tak do niej podeszła.

– Muszę się dowiedzieć, dlaczego Rosie wyjechała. To bardzo ważne.

Właścicielka pensjonatu zacisnęła usta tak mocno, że pociągnięte fioletową szminką wargi prawie całkiem zniknęły.

– Będę musiała zgłosić zaginięcie na policji, jeśli mi pani nie powie. – Alex starała się mówić mocnym, stanowczym głosem.

Wargi rozciągnęły się w upiornym uśmiechu.

– To niedobry pomysł – stwierdziła Mamma. – Dlatego Rosie pojechała. – I opowiedziała Alex, jak Rosie płakała ze wstydu, że musiała błagać Mamę o pożyczkę i odzyskanie paszportu od człowieka z wypożyczalni skuterów. – Ona chciała uciec od tego wszystkiego. I od ciebie – dodała, wskazując na Alex.

– Dlaczego ode mnie?

– Ty jej nie lubiła. Wszyscy słyszeli. – Pokręciła głową. – Tylko z wami kłopoty.

Załamana Alex tkwiła przed biurkiem Mammy.

– Proszę mi pokazać te esemesy od niej. Muszę je zobaczyć.

Mamma wsunęła telefon do kieszeni.

– Prywatne – stwierdziła. Alex nadal stała bez słowa. – No co? Co jeszcze? Jestem zajęta.

Podrapała się po głowie i wtedy Alex zauważyła, że Mamma ma w uszach jej kolczyki z balu absolwentów.

– Skąd to pani ma? – wybuchnęła, pokazując na dziewczęce wkrętki w kształcie kwiatuszków, a Mamma złapała się za płatek ucha.

– Od Rosie – odparła z półuśmiechem. – Prezent na do widzenia. No, niech już idzie.

– Czy Rosie sypiała z Jakiem? – wypaliła Alex. Już od dawna ją to dręczyło.

Mamma zmrużyła oczy.

– Kto tak mówi?

– Jamie. Kazał mi panią spytać.

– Co za niedobra dziewczyna. Problemy mi robi w lokalu.

– Gdzie jest Jake? – Alex nagle podniosła głos. – Czy on miał coś wspólnego z wyjazdem Rosie?

– Nie twój interes – zirytowała się Mamma. – Niech się wynosi. Potrzebny mi ten pokój.

Alex nie mogła sobie znaleźć miejsca. Niespokojnie przemierzała korytarz ze swojego pokoju do sali chłopaków i z powrotem. Nie chciała rozmawiać z Jamiem, pytała go tylko w kółko, co z Jakiem.

– Kiedy wróci?

Jamie powtarzał, że nie ma pojęcia, coraz bardziej rozdrażnionym tonem.

Alex przyglądała mu się uważnie. Kiedy myślał, że już sobie poszła, zauważyła, że odlicza powoli z zamkniętymi oczami, jak dziecko bawiące się w chowanego. Otworzył oczy i prawie się wzdrygnął, widząc ją tak blisko.

– Co? – zapytał.

Nie odrywała od niego wzroku.



– Nic. Myślisz, że Jake mnie unika? Bardzo mi zależy na tym, żeby z nim porozmawiać przed powrotem do domu.

– Przestań mówić o powrocie. Załatwimy to jakoś. Mogę pogadać z Mamą, jeśli chcesz.

– Nie, poproszę Jake’a, żeby to zrobił. Pracuje tu od wieków. On ją zna najlepiej.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz mieć z nim do czynienia po tym, co zrobił.

– Nie wiesz, co zrobił, Jamie. Wszystko zmyślasz.

– Ja tam wiem, co widziałem. I słyszałem.

– Co? Co niby słyszałeś?

– Jak Rosie krzyczała na Jake’a. Groziła mu, że ci powie, że się z nią przespał.

– Zamknij się, Jamie! – wrzasnęła Alex.

– Jak nie chcesz, to mi nie wierz, twoja sprawa.

Alex się odwróciła.

– Idę go poszukać.

– Pójdę z tobą. Nie powinnaś chodzić sama.

Nie chciała z nim iść, więc włókł się kilka kroków za nią. Poszli do wszystkich najczęściej odwiedzanych miejsc, lecz Alex zauważyła, że Jamie wcale się nie rozgląda.

Po powrocie Alex znowu sprawdziła, czy nie ma jakiejś wiadomości od Rosie. Nic. Zadzwoiła do linii lotniczych, żeby dowiedzieć się o możliwość zmiany biletu. Były wolne miejsca, ale drogie. Będzie musiała poprosić o pieniądze rodziców i ponieść wszystkie dodatkowe koszty. Kiedy już do nich zadzwoni.

– Mam nadzieję, że złapię się na jakiś samolot jutro – powiedziała do Jamiego, wchodząc z powrotem do pustego baru.

Wyglądał na zdruzgotanego.

– Ale przecież mieliśmy poprosić Mamę, żebyś mogła zostać.

– Nie, nie mieliśmy. Ty miałeś. Ale nie chcę tego, Jamie. Nawet jeśli Rosie wróci. Jak mogłabym jej teraz zaufać? Zadzwoię do rodziców, wszystko im powiem i wracam do domu. Wiem, że nie jesteś z tego zadowolony, ale muszę to zrobić. – Odruchowo chciała go przytulić, ale potem zmieniła zdanie, żeby nie zrozumiał jej źle. – Przykro mi, ale muszę wyjechać. Nic ci nie będzie.

– To nieprawda – zaprotestował głosem stłumionym z emocji. – Chcę, żebyś została, Alex. Zostań ze mną...

Cofnęła się i wygładziła pomiętą bluzkę.

– Nie, to niemożliwe. – Wyglądał, jakby miał się rozplakać. – Słuchaj, pójdę się spakować. Możemy się potem ewentualnie czegoś napić czy coś.

– Może mała impreza? – zaproponował Jamie.

– No, może – odparła bez przekonania.

*Piątek, 12 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Chcesz zostać sam? – pytam, chociaż wcale nie chcę wychodzić. Bob wygląda, jakby jakimś cudem zmałał, skulił się z bólu.

– Nie, dobrze mi robi towarzystwo – mówi. – Nawet takiej pismaczki... – dodaje i prawie się uśmiecha.

– Jak zawsze szarmancki – rewanżuję się żartem. Próbuję podtrzymać przekomarżankę. Zawsze tak reagujemy w najczarniejszych chwilach, w rozpaczliwych, tragicznych sytuacjach. Rzucamy dowcip. Nawet słaby. To chyba brawura. Pokazujemy, że możemy się śmiać w obliczu każdego nieszczęścia.

– Pomóc ci się spakować?

– Dzięki, Kate. Jest jeszcze jakaś brandy w tym barku?

Wyciągam wszystkie buteleczki i rozkładam je przed nim na dywanie.

– Brandy już nie ma, może być whisky albo gin. Ewentualnie piwo?

Zostawiam mu wybór i zaczynam opróżniać szuflady, przekładając rzeczy do walizki. Dziwię się, że w ogóle chciało mu się rozpakowywać, większość facetów sobie odpuszcza, ale tutaj bielizna i skarpetki są schludnie poukładane, a koszule wiszą w szafie.

– Zamierzałeś tu zostać z miesiąc, Bob? Chyba nie jesteś mistrzem pakowania się na krótkie wypady.

– Nie mogłem się skupić, więc wrzuciłem do walizki wszystko. Nie powinienem był tu przyjeżdżać, prawda?

Siadam naprzeciwko niego na łóżku i odruchowo zaczynam gładzić go po ramieniu. Nie mogę się powstrzymać. To pamięć ciała, wyrobiona w wielu podobnych sytuacjach, ale zaraz przechodzi mnie dreszcz zażenowania i cofam rękę. On się jednak nie odsuwa. Ściska moją dłoń.

– Dziękuję, że zostałaś, Kate. To wiele dla mnie znaczy.

– Może zadzwoń do Sam na FaceTimie? – proponuję. – Będziesz mógł zobaczyć Eileen. Porozmawiać z nią...

Wkłada czystą koszulę, odwracając się do mnie tyłem podczas przebierania. Plecy ma ciągle mokre, więc materiał od razu przywiera do skóry. Znajduję swój statyw i ustawiam mu na biurku. Łatwiej będzie tak, niż próbować utrzymać telefon drżącymi rękami.

– Może pójde do łazienki?

– Nie, zostań. Możliwe, że coś schrzanię z tym całym FaceTime'em i będziesz mi potrzebna.

Dzwoni do córki, zerkam na ekran, żeby zobaczyć, jak wygląda: zapuchnięte oczy i usta po ojcu.

– Mogę zobaczyć mamę? – pyta. W lustrze wiszącym nad biurkiem widzę, jak wyteża wzrok, próbując ją dojrzeć. – Hej, kochanie – mówi, kiedy Sam podchodzi do łóżka chorej, która porusza się lekko na dźwięk jego głosu. –

Jestem tu, kochanie – szepcze. – Wiem, że mnie słyszysz, Eileen. Pamiętaj, że bardzo cię kocham, rano będę przy tobie. Obiecałaś, że do mojego powrotu nic ci się nie stanie. Poczekasz na mnie? Proszę, kochana.

Zalewa się łzami, próbuję nie patrzeć, ale przyłapuję się na podglądaniu tragedii w lustrze.

– Przesuń telefon, Sam, żebym mógł ją całą zobaczyć.

Córka przesuwa telefon nad matką, zaczynając od śpiącej twarzy, prawie tak białej jak poduszka, na której leży, aż po dłonie zwinięte na kołdrze w różyczki.

– Wszyscy tu jesteśmy – mówi Sam, obracając telefon dookoła, żeby złapać resztę bliskich, którzy uśmiechają się blado do obiektywu. – I wszyscy będziemy na ciebie czekać, tato.

– Dobrze, słonko. Do zobaczenia rano.

Po rozmowie każę mu się położyć do łóżka. Jest wyczerpany, zamyka oczy i leży na boku, wciskając złożone dłonie pod poduszkę. Gaszę górne światło i siedzę cichutko, dopóki nie uznają, że zasnął.

A potem na palcach idę do łazienki i też dzwonię do domu.

## Rozdział 63

*Piątek, 12 września 2014 roku*

# MATKA

Włączyła telewizor i zaczęła parzyć poranną herbatę, stojąc w kuchni ubrana w koszulę nocną i sweter. Podkreśliła trochę głośność, żeby zagłuszyć szum czajnika.

Przy akompaniamencie wiadomości o zbliżającym się wielkimi krokami referendum w Szkocji wsypała łyżeczkę cukru do herbaty Malcolm'a i zamieszała. Właśnie podnosiła oba kubki, żeby zanieść je na górę, gdy na ekranie pojawiła się twarz Alex. Sporo płynu wychlapało się na blat, kiedy pośpiesznie odstawiła napej, żeby pójść po pilota.

Z głośników zadudniło: „niewiarygodne odkrycie” w związku z zabójstwem turystek.

– Mal! – wrzasnęła. – Chodź szybko! Alex!

Malcolm zbiegł po schodach w samych bokserkach i T-shircie, z twarzą zmiętą od snu.

– Patrz! – zawołała, wskazując na telewizor. – Dziennikarze się dowiedzieli, że znaleziono Jake'a Watersa.

Poprzedniego wieczoru Wendy Turner zadzwoniła do nich z nowiną.

– Lesley, nastąpił wielki przełom w śledztwie. Jake Waters znalazł się w Bangkoku. Siedzi w więzieniu.

– Jak to? Tak jak Jamie Lawrence? – zdziwiła się Lesley, próbując coś z tego zrozumieć.

– Nie. Policja myślała, że to Jamie Lawrence, ale to od początku był Jake Waters.

– Nic nie rozumiem, Wendy. Wytłumacz mi to jeszcze raz.

Kiedy uznała, że już wszystko sobie przyswoiła, odłożyła telefon i zwróciła się do Malcolma.

– Nie szukają już Jake’a Watersa – powiedziała. – Jest w więzieniu w Bangkoku. Teraz to z Jamiem Lawrence’em chcą rozmawiać. Jego podejrzewają o zabójstwo Alex.

Malcolm opadł na krzesło i potarł oczy.

– Możemy trochę ściszyć? – poprosił. – Okropnie boli mnie głowa.

Lesley wyłączyła dźwięk i zadzwoniła do Wendy Turner na komórkę. Zajęte. Jednak gdy tylko odłożyła słuchawkę, zadzwoniła Jenny.

– Spałaś chociaż trochę po tamtym telefonie? Ja nic. Chyba oszaleję – powiedziała. – To okropne, Lesley. Człowiek myśli, że już wie, co się stało, a potem nagle wszystko znowu wywraca się do góry nogami. Chcę się tylko dowiedzieć, kto zabił nasze dziewczynki. To wszystko.

– Przed chwilą próbowałam się dodzwonić do Wendy, ale ma zajęte. Nie mam z kim się skontaktować. Komisarz Sparkes i sierżant Salmond są w Tajlandii. Nie wiem, jak ich łąpać.

– Zadzwoni do Kate Waters. Ona będzie wiedziała.

Lesley wybrała numer komórki Kate Waters i starała się siedzieć spokojnie, słuchając sygnału.

– Dzień dobry, Lesley – powiedziała Kate na powitanie. – Już słyszałaś? – Nie było czasu na uprzejmości. Porozumiewały się skrótowo, jak matka z matką.

– Tak. Trudno w to uwierzyć. Wiesz, co się tam wydarzyło?

– Rano poszłam do więzienia odwiedzić Jamiego Lawrence’a i odkryłam, że na jego miejscu siedzi Jake.

– Ale jak mogło dojść do takiej pomyłki? Są podobni?

– Trochę, zbliżony wzrost i kolor włosów. Jake miał w plecaku paszport Jamiego, a sam nie protestował, powiedział policji, że jest Jamiem. Nie chciał, żebyśmy się dowiedzieli o zatrzymaniu. Policja tego nie zweryfikowała. Wychudzony obcokrajowiec z paczuszką marihuany w plecaku. Raczej nie zależało im na sprawdzaniu jego tożsamości. Zamknęli go i już.

– To Jamie leżał w szpitalu?

– Tak, z paszportem Jake’a. I to on był w hostelu, kiedy wybuchł pożar. Jake nie miał z tym nic wspólnego, Lesley.

Zapadła cisza – obie kobiety przypominały sobie awanturę, którą skończyła się ich ostatnia rozmowa.

– Przepraszam, że mówiłam takie rzeczy, Kate. Byłam zrozpaczona...

– Rozumiem, Lesley. To był okropnie ciężki okres dla nas wszystkich. Ale teraz policja złapie Jamiego. Wreszcie szukają właściwego człowieka.

– Co teraz robią? Jesteś ze Sparkesem i Salmond?

Kate znów umilkła na chwilę, po czym wyszeptwała do słuchawki:

– Słuchaj, Bob Sparkes ma pilną sytuację rodzinną, dziś wieczorem wraca do kraju. Zara Salmond tu wszystko załatwi do końca. Przedzwoń do niej na komórkę mniej więcej za godzinę.

– O mój Boże, co się stało?

– To sprawa osobista. Bob raczej nie chce, żebym wszystkim o tym rozpowiadała. Nie masz nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie. Jake coś mówił o dziewczynkach?

– Okropnie się zmartwił, kiedy mu powiedziałam o Alex. Chyba bardzo ją lubił.

Lesley wybuchnęła płaczem. Czowała się tak, jakby stała w ciemności na krawędzi przepaści, a stres wywołany niepewnością, co się zdarzy, wypełniał jej głowę pytaniami „a co, gdyby...?”. Nie widziała końca. Nie miała już nawet siły próbować zrobić choć kroku.

– Spróbuj być silna, Lesley – mówiła Kate. – Jutro znów się z nim widzę, idę z prawnikiem, spróbujemy go wyciągnąć. Wtedy będzie mógł nam więcej powiedzieć.

– Zadzwońisz do mnie po tej wizycie? Proszę...

*Poniedziałek, 15 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Nadal czekam na wieści od Dona, bębniąc palcami w biurko w pokoju hotelowym. Przez cały weekend nie miał ani chwili, siedziałam mu na karku i popędzałam. Załatwił prawnika, prowadziliśmy niekończące się rozmowy z ambasadą, policją i prasą.

„Daj mu jeszcze z pięć minut – tłumaczę sobie. – Pewnie znów omawia sprawy z adwokatem”. Jeszcze dziś rano ma iść z nami do Jake’a. Znów zerkam na telefon, nałogowo co pół minuty sprawdzam, czy nie mam nowych wiadomości.

Wczoraj Bob napisał mi po prostu, że Eileen zmarła. Nie wspomniał, czy zdążył na czas.

Miałam nadzieję, że mu się udało. W piątek wieczorem, kiedy Bob zniknął za bramkami, żeby złapać samolot, jeszcze długo stałam na lotnisku. Tkwiłam w bezruchu, przygnieciona jego cichą rozpaczą. Już nie płakał. Zaszył uczucia pod wilgotną skórą, zamierzał je trzymać w ukryciu aż do domu.

– Dzięki, Kate – powiedział, zarzucając torbę na ramię i chowając paszport do kieszeni na piersi. – Muszę już iść. Kontrole bezpieczeństwa trwają czasem strasznie długo...

Chciałam go uścisnąć, ale wyglądał zbyt krucho. Mógłby się rozsypać.

– Spokojnego lotu, Bob. Spróbuj się przespać. Czas szybciej zleci. Obudzisz się i już będziesz na miejscu. – Bezskutecznie próbował się uśmiechnąć. – No idź. Zarezerwowałam ci samochód, kierowca odbierze cię z lotniska.

– Okej, to na razie.

Wyciągnął rękę, pogładził mnie po przedramieniu, po czym odwrócił się i zniknął za drzwiami.



Do miasta wróciłam pociągiem. Po takich intensywnych przeżyciach nie zniosłabym izolacji w taksówce – potrzebowałam mieć ludzi wokół, choćby obcych. Może nawet zwłaszcza obcych. Przyglądałam się twarzom, w myślach dopisywałam do nich historie.

Było bardzo późno, kiedy w końcu dotarłam do hotelu i włączyłam laptopa. Twarz Jake'a znowu była wszędzie. Tym razem jednak występował w charakterze ofiary, nie sprawcy.

„Nie ten chłopak”.

Media miały używanie, pastwiły się nad tajlandzką policją za wszystkie błędy: „Dziesięć powodów wielkiej pomyłki”, „Pełna lista szokujących błędów” i tak dalej. To skomplikowana historia, ale redaktorzy stawali na rzesach – „generowali wartość dodaną”, jak mawiało kierownictwo – żeby czytelnicy na pewno wszystko zrozumieli, więc nie brakowało pasków bocznych, list z podpunktami oraz infografik.

Wyglądało to imponująco, ale zastanawiałam się, czy przyniesie wymierne korzyści. Czy władze Tajlandii poczują się przyparte do muru i zwolnią Jake'a z aresztu?

Powinłam była od razu po powrocie położyć się do łóżka, ale nalałam sobie lampkę château minibar i w kółko odtwarzałam w myślach rozmowę z Jakiem. Ten moment, kiedy się rozpoznaliśmy. Jego reakcję na wieść o Alex. Rosie.

Następnym razem zadam mu więcej pytań. Kiedy oboje trochę ochłoniemy.

Dzisiaj wcale nie wygląda na bardziej wypoczętego. Ale z drugiej strony – ja też nie.

Cała machina została wprawiona w ruch. Ambasada wykonuje za kulisami swoje tajemnicze zabiegi dyplomatyczne, a prawnik dogaduje wszystko w więzieniu. Muszę poczekać na swoją kolej. Kiedy prawnik i Don idą porozmawiać z władzami więziennymi, pochylam się do przodu i wreszcie mogę pogadać z synem.

– Sypiasz w ogóle? – pytam. Kręci głową. Ma wory pod oczami, a niegolony zarost mocno go postarza. – Dostałeś jedzenie, które ci kupiłam? – Kiwa głową. – Jake, musimy porozmawiać.

– Jak już wyjdę, mamó. Teraz nie mogę zebrać myśli. Próbuję sobie to wszystko jakoś poukładać.

– Jak my wszyscy. Zwłaszcza jeśli chodzi o Rosie. Wiesz, co się jej stało, Jake?

Powoli kręci głową.

– Policja zada ci te same pytania. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Komisarz już to zrobił. Pytał mnie wczoraj, powiedziałem mu to samo, co tobie. Nic nie wiem. Zniknęła tamtego wieczoru, kiedy Alex się upiła i musieliśmy ją położyć do łóżka. Miałem iść z Alex na kolację, ale zamiast tego pracowałem na dodatkową zmianę. Powiedzieli mi, że Rosie pojechała autobusem do Mjanmy, żeby dołączyć do tamtych Holendrów.

Recytuje swoją zgrabną historyjkę. A mnie przechodzi dreszcz.

– Uwierzyłeś w to? – pytam łagodnie.

Jake patrzy na mnie przez pas ziemi niczyjej.

– Dlaczego mnie o to pytasz? A co miałem sobie pomyśleć? To było możliwe.

– Kto ci to powiedział?

– Mamma, właścicielka hostelu. To z nią powinna porozmawiać policja.

– A Alex?

– Kiedy wychodziłem z hostelu, jeszcze żyła. Naprawdę, mamó. Rozważała powrót do domu, bo strasznie się narobiło.

Na dźwięk dzwonka podnosi głowę i widzę na jego twarzy ulgę, że może już iść.

– Trzymaj się, skarbie! – wołam i przykładam dłoń do kraty.

Kiwa głową i odchodzi, zataczając się lekko.

Kiedy w końcu spotykam się z Rossem, chłopak jest nerwowy. Roztrzęsiony. Zrywa się z krzesła, żeby się ze mną przywitać, rozlewając sobie przy tym napój na stolik. Poprzednim razem mnie wystawił, więc zastanawiałam się, czy dzisiaj się zjawi.

– Cześć. – Wysuwa dla mnie krzesło, udaje mi się je złapać w ostatniej chwili, zanim runie na ziemię.

– Uważaj – mówię. – Wszystko u ciebie dobrze?

– Tak, tak. Sorry, jestem trochę rozpieprzony. Robię sobie odwyk, dopiero od kilku dni.

– To świetnie, Ross – mówię i uśmiecham się dopingująco.

– Niedawno trafiłem na jakiś syf i wylądowałem w szpitalu. Tak że próbuję...

– Gestem zamawia kolejną kawę. – Jak myślisz, uda się wyciągnąć Jake'a z więzienia? Trzyma się jakoś?

– Właśnie u niego byłem, okropnie tam ponuro. Ale pracujemy nad tym, żeby skłonić tutejsze władze do zwolnienia go z aresztu.

Ross kiwa głową i pokazuje zaciśnięte kciuki. Jak pięciolatek, który chce, żeby spełniło się jakieś jego dziecięce marzenie. „Kiedy chłopcy dorastają? Pewnie dopiero wtedy, kiedy rodzą się ich własne dzieci – myślę, mieszając kawę. – Kiedy wreszcie do nich dociera, co to znaczy być dorosłym”.

Ross dopił kawę i siedzi jak na szpilkach.

- Na mnie już czas, muszę zajrzeć do apteki – mówi. – Kupić parę rzeczy.
- Jasne. Mam tylko jeszcze jedno pytanie. Jake powiedział, że powinnam porozmawiać z Mamma, właścicielką tamtego pensjonatu, ale nie mam pojęcia, gdzie jej szukać. Widziałeś ją może ostatnio?
- Ross zerka na mnie z ukosa.
- Widzieć nie widziałem, ale słyszałem, że przeniosła się do jakiejś kuzynki. Miała tam jakiś czas zostać.
- Chciałabym z nią porozmawiać o Jake’u. Możesz mi dać adres?
- Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać.
- Obiecuję, że jej nie powiem, od kogo dostałam namiary.
- Zapisuje adres na serwetce moim długopisem.

Na pomarańczowym plastikowym krześle przed domem siedzi kobieta w pełnym makijażu scenicznym oraz prawdopodobnie peruce i chłodzi się bambusowym wachlarzem.

- Dzień dobry – mówię. – Mamma, zgadza się?
- Wykrzywia wargi, ale nie wstaje z miejsca.
- Kto pani jest? Czego chce?
- Kate. Byłam w pani pensjonacie. – „To akurat nie jest kłamstwo. Chodziłam po zgliszczach”.
- Wzrusza ramionami i przewraca oczami, zwracając się do siedzącej obok kobiety, która wygląda przy niej jak zmokła kura przy dumnym pawiu.
- Nie pamiętam, dużo ludzi mieszkało.
- Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu pożaru. To musiało być okropne tak wszystko stracić.
- Mamma wreszcie zaczyna sprawiać wrażenie zainteresowanej i spędza kuzynkę z krzesła, żeby ustąpiła mi miejsca.
- Tak, straszne. Straciłam dom, firmę, pieniądze.
- Cmokam współczująco, a kuzynka zostaje wysłana po coś zimnego do picia.
- Była pani w domu, kiedy to się zaczęło?
- Kiwa głową.
- Spałam w łóżku. Obudziłam się i poczułam dym. – Odgrywa dramatyczną pantomimę.
- Och! Jak się pani wydostała?
- Wyszłam przez okno. Spadłam i złamałam rękę. – Podwija rękaw sukienki, odsłaniając brudny gips. – Pojechałam do rodzinnej wioski, żeby odpocząć. Ale musiałam wrócić do Bangkoku pozałatwiać sprawy.
- Miała pani wielkie szczęście, że uszła z życiem – mówię, cała aż ociekając współczuciem. „Była tam. Wreszcie rozmawiam z kimś, kto faktycznie był na

miejscu”.

– Wielkie szczęście.

– Jak do tego doszło? – pytam. – Słyszałam, że ktoś przewrócił świecę podczas imprezy.

Mruży groźnie oczy.

– Tak mówi policja, ale nie było żadnej imprezy. To jeden z tych angielskich chłopaków – oznajmia i wachluje się dla większego efektu.

Odgrywam słuchaczkę idealną. Przesuwam się na brzeg krzesła i teatralnie zachłystuję się powietrzem z niedowierzania.

– Skąd pani wie?

– Widziałam go. Jak uciekał. Czulałam, jak śmierdzi gazem. – Spluwa z niesmakiem na chodnik.

„Jamie. Zawsze ten Jamie”.

– Biedne dziewczyny – mówię, a twarz Mammy zastyga pod grubą warstwą makijażu. – Słyszałam, że jedna z nich, Rosie Shaw, miała wcześniej wyjechać do Mjanmy...

– Tak mi powiedziała.

– Ach tak?

– Ostatni raz, jak ją widziałam. Wieczór przed pożarem.

– Myślałam, że wyjechała dwa dni wcześniej – mówię ostrożnie.

Mamma wachluje się coraz szybciej.

– Tak, tak, słuszność. Dwa dni przed. Niczego już nie pamiętam.

– Chyba bardzo się przyjaźniłyście? Podobno tylko do pani wysyłała esemesy.

– Jamie, ten angielski chłopak, powiedział mi, żebym tak mówiła ludziom. Ludzie się martwili, że zniknęła. Powiedział, że to ich uspokoi.

– Jamie?

– Tak, ciągle mi coś szeptał do ucha, wszystko opowiadał. Twierdził, że wszystko widział – mówi Mamma bardziej do siebie niż do mnie.

– Naprawdę? Co widział?

– Ciągle obserwował Alex. Chciał jej najbardziej na świecie. Raz ją nawet uśpił, żeby nie wychodziła z Jakiem.

– Poważnie? – Nie wierzę własnym uszom.

– Tak, wrzucił jej coś do piwa, a potem położył do łóżka. Jak najdalej od wszystkich.

Kuzynka nagle nam przerywa, wychodzi z domu z telefonem w ręku. Macha do Mammy, która przeprasza i tłumaczy, że to ważne.

Siedzę nad szklanką coraz cieplejszej wody i czekam. „Rosie wcale nie wyjechała. Jamie zmyślił te esemesy. Alex się dowiedziała? Dlatego straciła życie?”

Mamma wraca, kipiąc z wściekłości.

– Kto pani jest? – syczy, stojąc w progu.

– Mówiłam, Kate...

– Jest z brytyjskiej policji, tak mi mówi mój kontakt.

– Nie, wcale nie. Ma pani rację, policja brytyjska jest w Bangkoku i bada sprawę śmierci tych dziewczyn. Ale ja nie jestem od nich. Jestem matką Jake'a Watersa.

Parska śmiechem. Głębokim, gardłowym rechotem.

– Cieszę się, że ja nie – mówi i zatrzaskuje drzwi.

Przez całą resztę dnia czekamy na wyniki badań krwi Jake'a, potwierdzenie jego tożsamości i wypuszczenie go z więzienia. Większość tego czasu spędzam w taksówkach, biegam po mieście za różnymi papierami, dzwonię do Steve'a, żeby zeskanował jakieś dokumenty, albo do Joego, żeby poszukał różnych numerów. Podziękuję mu porządnie po powrocie. Z Jakiem.

Zwolnienie z aresztu przebiega po cichu, bez zamieszania ani przyznania się do winy. Po tajsku.

Stoję i czekam na Jake'a, ciężki łośkot kolejnych otwieranych i zamykanych drzwi przybliża go do mnie. Mam przy sobie paszport tymczasowy, bilety na samolot i bagaż – Don i prawnik stwierdzili, że najlepiej od razu wyjechać, zanim znów stanie się coś złego. W taksówce łapię go za rękę, a on odwzajemnia uścisk.

– Już prawie jesteśmy w domu – szepczę. – Tata i Freddie odbiorą nas z lotniska.

*Wtorek, 16 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**N**ie tylko oni na nas czekają. Hala przylotów pęka w szwach od reporterów i kamerzystów. Powinnam była się tego spodziewać, ale nie jestem do końca sobą. Zauważam Steve'a za całym tym tłumem, macham do niego gorączkowo i pcham bagaże w jego stronę najszybciej, jak potrafię, a Jake trzyma się rączki wózka jak maluch w supermarkecie. Ale płyniemy pod prąd. Reporterzy napierają na nas, schylając się pod obiektywami fotografów, blokują nam drogę i zasypują gradem pytań.

- Jak się czujesz po powrocie, Jake?
- Zamierzacie pozwać władze Tajlandii?
- Co zrobisz po przyjeździe do domu?
- Pójdę spać na tydzień. A potem wypiję duże piwo – odpowiada mój syn z tym swoim prześlicznym uśmiechem. Kamery pikają i terkoczą, rejestrując moment uwolnienia.

Potem ruszamy przed siebie jak w młynie na meczu rugby, dziennikarze nadal trzymają głowy nisko i idą tyłem, podczas gdy my suniemy do przodu. Steve przepycha się przez nich wszystkich. W końcu do nas dociera, przyciska Jake'a do piersi i tuli go długo, mocno.

- Wspaniale was widzieć – mówi i obejmuje też mnie.
- Nic nie wyładniałeś – mówi Freddie i zbija żółwika z bratem.
- No dobra, jedziemy do domu. – Steve bierze starszego syna pod ramię.
- Chcesz coś przekazać rodzicom Alex i Rosie? – Znajomy głos przekrzykuje ogólny zgiełk.

Uśmiech spelza z twarzy Jake'a. Łapię go za rękę, żeby go powstrzymać, ale on już wypatruje osoby, która zadała pytanie.

- Że jest mi bardzo przykro...

– Dlaczego przykro? – dąży Louise Butler.

– Przykro, że umarły.

– Wiesz coś o śmierci Rosie?

Nagła zmiana tonu zbija go z tropu. Jak najprędzej zabieramy go ze Steve'em z daleka od pytań.

U mojego boku wyrasta Joe Jackson.

– Możemy zamienić z nim parę słów na osobności, Kate? Wywiad na wyłączność? Mogę do was przyjechać.

– Zadzwoń za godzinę – burczę. – Chłopak musi wreszcie wrócić do domu.

*Czwartek, 18 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

**B**ob wkładał skarpetki, siedząc na nieużywanej połowie łóżka. Pozostali czekali na dole i wiedział, że powinien się pośpieszyć, ale potrzebował jeszcze pięciu minut z Eileen. Miał już za sobą rozmowy z rodziną, niekończące się herbaty, przeglądanie albumów fotograficznych i odkurzanie wspomnień. Rytuał straty został wypełniony w każdym calu. Ale z całego serca pragnął spędzić chwilę z żoną. Usłyszeć, co ma do powiedzenia o całej tej sytuacji.

Zamknął oczy i przywołał ją w myślach. Taką, jaka była w poprzednie Boże Narodzenie, przed nawrotem choroby. Dowodziła kuchnią jak generał na polu bitwy, przeklinała pieczone ziemniaki, które nie chciały się zarumienić, i trzepaczką usuwała grudki ze swojego legendarnie paskudnego sosu pieczeniowego. I uśmiechała się pośród koszmarne chaosu.

– Warto było wyzdrowieć dla tego wszystkiego, co?

Tak, warto było. Każda minuta była tego warta.

Żyła jeszcze, kiedy lądował na Heathrow („Ciągłe jest z nami, tato” – powiedziała Sam, kiedy zadzwonił do domu). Ale stracił ją gdzieś na autostradzie M3.

– Nie odzyskała przytomności, Bob – przywitała go w progu anielska Helen. – Bardzo mi przykro. Ale odeszła w spokoju. To była dobra śmierć.

Usiadł w swoim fotelu i ujął jej zimną dłoń, z przyzwyczajenia zaczął ją rozcierać, żeby się rozgrzała, ale potem się zreflektował.

– Dzień dobry, kochanie. Wróciłem.

Kiedy poszli z Sam do zakładu pogrzebowego, listę z instrukcjami Eileen miał w wewnętrznej kieszeni, na sercu.



- Może spróbuję jednak gdzieś wcisnąć *Stary krzyż* – powiedział, a Sam się roześmiała.
- Za coś takiego nawiedzałyby cię do końca życia.
- Nie miałbym nic przeciwko – odparł z uśmiechem.

Ceremonia przebiegła sprawnie, wszyscy śmiali się i płakali, kiedy na koniec z głośników popłynęły dźwięki *Starmana*, potem był podwieczorek i jeszcze więcej łez w wybranej przez Eileen restauracji przy centrum ogrodniczym, gdzie towarzyszyła im odurzająca woń kwiatów babiego lata.

– Byłaby zachwycona, Bob – szepnęła jego szwagierka. – Godnie ją pożegnałeś.

Miał taką nadzieję. „Zgadzasz się, Eileen?” – zapytał ją w duchu.

„Wszystko jest idealnie. A teraz idź pomóż Sam z tymi staruszkami” – odszepnęła żona.

– Kiedy wracasz do pracy? – zapytał jeden z leciwych wujków, obsypując sobie elegancki strój okruszkami.

– Jutro – usłyszał swój własny głos. – Pracuję nad jedną sprawą, którą muszę domknąć. Będę miał zajęcie przez jakiś czas. A potem wezmę trochę wolnego.

Nie mógł zostawić tej sprawy niedokończonej. „Później będzie czas na żałobę”.

W nocy pojawiło się sporo zgłoszeń, że widziano Jamiego Lawrence’a. Chłopak, którego tyle szukali, najwyraźniej ukrywał się na widoku. Ale po publikacji fotografii nie miał już szans. Każdy go widział. Salmond poinformowała go o tym esemesem, a on od razu oddzwonił – i tak nie mógł spać i cieszył się, że może czymś się zająć.

– Kiedy wróciłaś? – zapytał, gdy tylko odebrała telefon.

– Dwa dni temu, a może wczoraj? Przepraszam, ciągle nie mogę się połapać, w której jestem strefie czasowej. Obudziłam pana?

– Nie, nie mogę spać.

– Bardzo mi przykro.

– Dziękuję. Wszystkim nam przykro, ale jakoś sobie radzimy. Mieliśmy czas, żeby się przygotować.

– Dawać panu na bieżąco znać w sprawie Lawrence’a?

– Koniecznie. Dzisiaj pogrzeb, jutro będę w pracy.

– Na pewno?

– Na pewno.

*Bangkok, dzień 20 (piątek, 15 sierpnia)*

Trudno było to nazwać imprezą. Chciała tylko wypić wystarczająco dużo, żeby stępić dojmujący smutek. Jamie chlał na umór, co jakiś czas znikał w chłodni, wracał z kolejnymi dostawami alkoholu, po czym opróżniał butelki i turlał je po podłodze.

Zrobiło się późno, dawno minęła północ, pora na telefon.

– Dzwonię do domu – powiedziała raczej do siebie niż do chłopaka rozwalonego na ziemi. – Rodzice już na pewno wrócili z pracy. Muszę. Ale co im powiem? Jamie, co powiedziałbyś swojej mamie?

Przez chwilę gapił się na nią pustym wzrokiem.

– Mojej mamie? Której?

– Jak to? Masz macochę? Tak jak Rosie?

– W sumie to miałem cztery matki, jeśli liczyć dwie zastępcze.

– Ojej!

Zrobił głęboki wdech, jakby szykował się do skoku w fale i nic nie mogło go przed tym powstrzymać.

– Byłem w domu dziecka, potem mnie adoptowali. A potem, kiedy matka adopcyjna miała dość, zamieszkałem w ośrodku i zostałem tam aż do siedemnastki.

– Ech, Jamie – powiedziała i siadła obok niego, odpychając na bok jedną z pustych butelek.

– Stare czasy. Zwykle nikomu o tym nie mówię. Ludziom się wydaje, że jestem przez to jakiś inny. Babka z opieki społecznej tłumaczyła mi, że jestem nadwrażliwy, że nie wszyscy mnie oceniają. Ale to nieprawda.

I posypały się wspomnienia. O dzieciństwie. Mama sobie z nim nie radziła. Pamiętał ją jak przez mgłę – jej zapach. Zapach dymu. Tanie papierosy bez przerwy tliły się w popielniczce albo między jej palcami, pokrytymi plamami od nikotyny. Zapalanie zapalek, odór przepełnionych popielniczek.

– Czasem się do mnie uśmiechała – powiedział Jamie, zatopiony w myślach. – A ja przytulałem się do jej nóg. Wtedy płakała. Pamiętam, że byłem głodny.

Potem były matki zastępcze. Alex próbowała nadażyć, ale Jamie mówił coraz szybciej.

– Pierwsza była stara i dziwnie pachniała. Miała kupę dzieciaków. Byłem w tłumie, ale sam. Miałem tylko pięć lat. W kieszeni trzymałem pudełko po zapalkach mojej prawdziwej mamy. Chowałem w nim drobiazgi.

Alex ze współczuciem złapała go mocno za rękę.

– To musiało być okropne. Byłeś taki malutki.

– Noo. Druga była młodsza, ale moczyłem się w nocy, więc któregoś dnia nie wytrzymała i dała mi klapsa. Babka z opieki społecznej zauważyła ślad, więc przyszła kolej na mamę numer trzy. Mamę i tatę, adoptowali mnie. Musiałem się przenieść do innej szkoły, żeby z nimi mieszkać. Nosilem inny mundurek, dzieciaki się gapily. Ktoś zapytał: „Czemu masz niebieską bluzę?”, a ja nie wiedziałem. Musiałem rozmawiać z taką miłą panią w pokoju nauczycielskim. Miała ciastka i sok. Biłem i gryzłem inne dzieci. To był najgorszy okres. A potem zacząłem rozrabiać jeszcze więcej i wyładowałem w ośrodku. W jakimś sensie się cieszyłem. Miałem już wtedy serdecznie dość wszystkich rodzin.

– Próbowalesz kiedyś szukać swojej prawdziwej mamy? – zapytała Alex z mieszkanką fascynacji i przerażenia.

– Myślałem, że nie żyje, tak mi powiedziała jedna z matek zastępczych. Ale kiedy wyrabiałem sobie paszport, żeby tu przyjechać, zdobyłem oryginalną metrykę i zobaczyłem jej dane. Anita Way. Sam nie wiem czemu, ale pomyślałem, że pojedę zobaczyć dom, w którym mieszkała, kiedy się urodziłem. Całkiem niedaleko od Portsmouth, koło Kingston. Wsiadłem do pociągu, przesiadłem się w Clapham. Znalazłem adres, stałem na chodniku i próbowałem sobie przypomnieć, jak tam mieszkałem. Minęła mnie jakaś kobieta, podeszła do drzwi, więc zapytałem, czy znała może Anitę, która kiedyś tu mieszkała. A to była ona.

– Nie – szepnęła Alex.

– Myślałem, że mam zwidy, ale to naprawdę była mama. Nie wiedziała, że to ja, dopóki jej nie powiedziałem. A wtedy spanikowała. Wciągnęła mnie do środka, żeby nikt mnie nie widział. Dziwne, nie pachniała tak samo. Była elegancko ubrana. W salonie stał wielki telewizor. Leżały zabawki. Miała nową rodzinę. Nie przejęła się, że mówili mi, że nie żyje. „Nie żyłam” – powiedziała. „Byłam martwa w środku”. Próbowalem się dowiedzieć, dlaczego mnie oddała, ale się wściekła. „Byłeś pomyłką, Jamie” – przedrzeźniał kobietę wysokim, ostrym głosem, aż Alex przeszły ciarki. – Twierdziła, że to nie była jej wina. Dowiedziała się o ciąży, kiedy było już za późno, żeby mnie usunąć. Ojciec się zmył. Była młoda, w jej życiu nie było dla mnie miejsca. Nie powiedziała o mnie mężowi ani dzieciom. Powiedziałem, że ja też jestem jej dzieckiem, ale ona stwierdziła, że jestem jej brudnym sekretem.

Zapadła cisza. Alex zastanawiała się, czy jest coś jeszcze, czy mówił o tym komukolwiek poza nią. Miała nadzieję, że tak. Nie chciała być jedyną powierniczką jego tajemnic. Już i tak miała za dużo na głowie.

– Niepotrzebnie tam pojechałem, prawda? – szepnął Jamie do siebie.

– To nie twoja wina, Jamie – oświadczyła, przejmując inicjatywę. – Powiedziała okropne rzeczy. Nie zasługiwałeś na takie słowa.

– Ale ty też mnie zostawiasz, Alex.

– Jamie, błagam, nie zaczynajmy od nowa. Nic ci nie będzie – powiedziała. – Chodź, powinieneś się położyć. Rano będziesz się czuł paskudnie.

Wdrapał się na łóżko piętrowe, a ona poszła do siebie. Po tym piwie strasznie ją suszyło. Przydałaby się butelka wody. Mamma trzymała zapas w chłodni – ciekawe, czy jest otwarta... „Na pewno, Jamie przecież przynosił wcześniej piwo”. Postanowiła się poczęstować. Rano i tak miała wyjechać, nie obchodziło jej, co sobie pomyśli Mamma.

W pensjonacie panowała cisza. Przemykając się na dziedziniec, zastanawiała się, czy tylko ona jeszcze nie śpi. Była tam już wcześniej parę razy, gadała z Jakiem, kiedy pracował. Drzwi do chłodni ciężko chodziły, musiała użyć całej siły, żeby je otworzyć. Miała nadzieję, że nie hałasuje. W środku było ciemno choć oko wykol. Wyjęła telefon i rozświetliła ekran. Temperatura gwałtownie się obniżyła, więc szybko sięgnęła do jednej z czerwonych plastikowych skrzynek po wodę i odwróciła się, żeby wyjść. Potknęła się i walnęła palcem w coś miękkiego, ale dość solidnego. Chwyciła się skrzynek, żeby nie stracić równowagi – szklane butelki zadzwęczały – i poświeciła sobie pod nogi. Na ziemi coś błyszczało. Schyliła się, żeby to podnieść, po czym wzdrygnęła się gwałtownie i zmoczyła ze strachu.

Błyszczący lakier na paznokciu Rosie.

Nie pamiętała, że zaczęła krzyczeć, ale musiała to zrobić, bo nagle pojawił się Jamie i zaczął ją wyciągać z chłodni.

– Rosie – powiedziała.

Poszedł spojrzeć i zaraz wyszedł z powrotem. Zbyt szybko.

– Nie żyje – stwierdził. W jego głosie też nie było życia. Dlaczego nie krzyczał?

Pod wpływem szoku Alex nie mogła nawet płakać. Z zimna trzęsa się jak osika, aż szczękała zębami. Próbowwała coś powiedzieć, ale za każdym razem dostawała skurczu szczęki, zęby same jej się zaciskały.

Jamie próbował zaprowadzić ją do środka, ale mu się wyrwała.

– Nie – wycedziła przez zęby. – Nie zostawię jej tutaj.

– Rosie już cię teraz nie potrzebuje, Alex. Nie żyje.

– Kto? Kto to zrobił?

– Nie wiem – warknął. Dziwne. Już nie wydawał się pijany.

– Musimy wezwać karetkę i powiadomić policję. Zgłosić to komuś.

– Ja to zrobię. Ty idź spać.

Prychnęła z niedowierzaniem, z wściekłości odblokowała jej się szczęka.

– Spać? Moja przyjaciółka nie żyje! Co ty wygadujesz?

– Ja jestem twoim przyjacielem, Alex – powiedział cicho.

– Wcale nie jesteś! Prawie się nie znamy. Idę na policję, na rogu Khao San jest komisariat – wykrzyczała mu w twarz, ale on nawet nie drgnął. – Chodziłeś tu wcześniej po piwo. Musiałeś ją widzieć! – wychrypiąła.

– Nie. Nie widziałem.

– O Boże, pewnie, że widziałeś. I nic nie powiedziałeś. Ty to zrobiłeś? Zabiłeś ją?!

Jamie powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią martwymi oczami bez wyrazu.

– Przestań się drzeć – wycedził.

*Piątek, 19 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Jamie Lawrence łypnął na niego spod rzęs. Był brudny, z nosa mu ciekło, a gojące się oparzenia na twarzy miały matowoczerwoną barwę.

– Dzień dobry, Jamie – powiedział Sparkes i podciągnął go do pozycji stojącej.  
– Szukaliśmy cię od jakiegoś czasu.

Chłopak zamrugał. Spał w śmietniku przy ośrodku wychowawczym, zwinięty w kłębek jak bezpański kot.

Dzień wcześniej zauważył go mieszkający naprzeciwko ochotnik ze straży sąsiedzkiej i zadzwonił na lokalny komisariat. „Potencjalny intruz przy Meadow View. Młody mężczyzna w czapce z daszkiem i szalikiem na twarzy”. Oficer dyżurny przyjął zgłoszenie, wzdychając ukradkiem. „Pewnie jeden z wychowanków wraca po ciszy nocnej. Kto miałby się włamywać do domu dziecka?” Na następnej zmianie zwrócono jednak uwagę na czapkę i szalik, więc przekazano zgłoszenie do Southampton. „Możliwe, że ktoś widział waszego podejrzanego – stwierdził komisarz z Kingston. – Co mamy robić?” „Zbadajcie teren, ale nie działajcie sami – powiedział Sparkes. – Już tam jadę”.

Kiedy uchylił drzwi śmietnika, co oznaczało koniec obławy, podejrzany spał. Nie było pościgu, obezwładniania, bluzgów ani bójki. Tylko mrugnięcie.

– Jestem komisarz Sparkes, to sierżant Salmond. Idziesz z nami.

Salmond zakuła go w kajdanki, a Sparkes wyrecytował formułkę zatrzymania.

– Jamie Lawrence, jesteś aresztowany w związku z morderstwem Alexandry O’Connor w dniu trzynastego sierpnia bieżącego roku. Masz prawo zachować milczenie. Jeśli jednak podczas przesłuchania nie podasz informacji, do których będziesz się odwoływał podczas rozprawy sądowej, może to zaszkodzić twojej

sprawie. Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane jako materiał dowodowy – oznajmił i poczuł lekką iskierkę triumfu. „Mam cię”.

Chłopak znowu zamrugął.

Obrońca z urzędu, bezbarwny, jakby przykurzony mężczyzna, usiadł obok niego w sali przesłuchań.

– Dlaczego poszedłeś do domu dziecka? Mieszkałeś tam kiedyś? – zapytał Sparkes. Był niemal pewny, że nie, ale nie chciał zaczynać z grubej rury.

– Nie, ale moja mama mieszka niedaleko.

– Mama? Myślałem, że przeprowadziła się do Norfolk, kiedy poszedłeś do ośrodka?

Salmond rozmawiała już z Jane Lawrence, która nie chciała mieć do czynienia z adoptowanym synem. „Zniszczył mojego męża – wydusiła przez ściśnięte gardło. – Żałuję, że w ogóle pojawił się w naszym życiu”.

– Nie ta – odparł Jamie ponuro. – Moja prawdziwa mama. No ale nie było jej w domu, więc zacząłem jeździć po okolicy i zobaczyłem drogowskaz prowadzący do ośrodka dla dzieciaków. Wyglądał jak dom. Śmieszne, co?

Sparkes pokręcił głową.

– Nie, zawsze przecież doszukujemy się w życiu znajomych elementów. Chcemy rzucić kotwicę na bezpiecznych wodach.

Cytował poradnik o radzeniu sobie ze stratą, który przeczytał w tajemnicy. Jak pornosa. Żałobne porno. Odkasznął. „Zamknij się. Zaraz zaczniesz mu śpiewać kołysankę, do jasnej cholery”.

– Proszę się przedstawić na potrzeby nagrania – powiedziała Salmond, próbując się wygodnie usadowić na plastikowym krześle.

– Jamie Lawrence. – Chłopięcy głos, jakby tuż po mutacji.

Robiło się późno, Sparkes zastanawiał się, czy Sam będzie jeszcze w domu po jego powrocie. Kiedy wychodził, pakowała ubrania Eileen do starej walizki. „Chciała, żebym je oddała do sklepu charytatywnego – powiedziała. – Było to na jej liście rzeczy do zrobienia”. Podniosła błyszczącą kieckę, którą Eileen kupiła pod wpływem kaprysu przed Bożym Narodzeniem. „Mówiłeś, że świeci się jak choinka. Chyba już nigdy jej nie włożyła”.

Wziął jej ukochany sweter i przytulił do twarzy. Wciąż nią pachniał.

– To chcę sobie zostawić – mruknął i schował go pod poduszkę.

– Opowiedz nam, co się wydarzyło – powiedział, czując się nagle zbyt zmęczony na gierki, zdobywanie zaufania i delikatne sondowanie. – W pensjonacie.

– To był wypadek – odparł młody mężczyzna.

– Co było wypadkiem?

– Śmierć Alex – powiedział cicho. – Nie chciałem tego. Kochałem ją. Nigdy nie chciałbym jej skrzywdzić. Ale ona mnie odtrąciła. Próbowałem ją zatrzymać. Wszystko poszło nie tak.

Salmond podsunęła mu po blacie pudełko chusteczek. Jamie wytarł sobie oczy i nos, krzywiąc się, kiedy dotykał poparzonej skóry.

– Muszę zrozumieć, dlaczego wszystko poszło nie tak, Jamie. Opowiedz nam o tamtym wieczorze – poprosił Sparkes, odchylając się do tyłu, żeby zapewnić podejrzanemu przestrzeń do opowiedzenia swojej historii.

– Zgodziła się na pożegnalnego drinka. Byłem już trochę pijany, bo poczęstowałem się wcześniej piwem z zapasów pensjonatu, zrobiło mi się przykro, że chce mnie zostawić. Musiałem zbyt mocno ją złapać. Przestała oddychać...

– Dlaczego Alex miała cię zostawić?

– Przez Rosie. Rosie zniknęła, a Alex chciała wracać do domu. Nie mogłem znieść myśli, że wyjedzie.

– Na tej pożegnalnej imprezie byliście tylko we dwoje?

Jamie skinął głową.

– Nikogo innego już nie było. Jake został aresztowany.

– Alex o tym wiedziała?

– Nie, myślała, że po prostu ulotnił się bez słowa. Nie wyprowadzałem jej z błędu. – Sparkes zauważył, że chłopak zaciska pięści. – Miała go nienawidzić – mówił coraz głośniej. – Powiedziałem jej, że Jake przespał się z Rosie, ale mi nie wierzyła. Kiedy zobaczyłem ich razem, byłem taki zazdrosny. Pragnąłem jej tak bardzo, że na jej widok ledwo mogłem utrzymać ręce przy sobie. Tak samo się czułem, kiedy myślałem o mamie. O mojej prawdziwej mamie. Nie cierpię o niej myśleć. Wracają wszystkie te uczucia, które kuratorka kazała mi odrzucić. Ale nie da się ich odrzucić. Czuję się tak, jakby tkwiły korzeniami w moim żołądku. – Chłopak położył sobie rękę na brzuchu, jakby próbował wymacać te uczucia. – Zawsze tu są, oplatają wszystkie inne emocje, duszą je, kiedy przytrafia mi się coś dobrego.

Atmosfera zrobiła się napięta. Jamie spuścił wzrok na obandażowane dłonie.

– Dzień wcześniej, kiedy zobaczyłem Jake'a z Alex, ukradłem mu z plecaka paszport i portfel. Włamałem się do jego szafki. Podrzuciłem swój paszport, żeby od razu nie zauważył kradzieży.

– Dlaczego to zrobiłeś, Jamie?

– Postanowiłem stać się Jakiem, skoro to jego pragnęła Alex – wymamrotał do swoich pięści. – Obłąd, prawda? Myślicie, że jestem obłąkany? – Znów spojrzał Sparkesowi w oczy.

Detektyw łagodnie pokręcił głową.



– Mów dalej.

– Następnego dnia pewnie bym się uspokoił i podrzucił mu rzeczy z powrotem, ale on już nie wrócił. Aresztowali go, zanim zdążyłem znowu zrobić podmiankę. Mamma musiała donieść na niego policji. Poważnie się pokłócili, słyszałem awanturę. Jake mówił, że Alex ciągle pyta o Rosie. Że wszystko idzie nie tak. Jak poprzednio, z jakimś Szkotem. Że policja zacznie węszyć, a on już nie ma pieniędzy, żeby Mamma mogła ich przekupić. Mamma kazała mu się zamknąć, bo ktoś usłyszy.

– Ale ty już usłyszałeś... – wtrącił Sparkes, a chłopak uśmiechnął się lekko.

– Wiedziałem o wszystkim, co się tam działo. Nikt nie zwracał na mnie uwagi – skwitował. – No więc Jake wziął mały plecak, z którym wszędzie chodził, i wyszedł, nawet na mnie nie spojrzął. Wtedy Mamma musiała zadzwonić na policję. Jake zawsze mówił, że miała wtyki. Nie wrócił. Rosie też nie wracała. Byłem przekonany, że Alex pojedzie ze mną na Ko Phi Phi. Nie miała innego wyjścia, zostałyby całkiem sama.

– Ale ona nie chciała?

– Nie. – Jamie zniżył głos, Sparkes musiał nachylić się bliżej. – Nie chciała nawet o tym słyszeć. Tyle zrobiłem, żeby zechciała mnie ze sobą zabrać. Wszystko na nic.

– Co zrobiłeś, Jamie? – Sparkes dostosował ton do natężenia głosu rozmówcy.

Młody mężczyzna przymknął na chwilę oczy.

– To wszystko, o czym mówię. Ukradłem Jake’owi paszport, powiedziałem Alex o nim i Rosie.

„Było coś jeszcze” – pomyślał Sparkes, ale Jamie się rozkręcał, obwiniając Alex.

– Bez przerwy gadała tylko o Rosie. Gdzie Rosie? No i że jedzie do domu. Mówiła, że nie ma po co zostawać. Byłem załamany.

– Gdzie byliście?

– W moim pokoju, tym większym.

– Alex piła?

– Trochę. Przyniosłem jej z chłodni jej ulubione piwo. Siedzieliśmy na podłodze i chciałem jej wyznać miłość, ale jakoś tak wyszło, że opowiedziałem jej o rodzinach zastępczych i adopcji. Myślałem, że może zrobi jej się mnie żal, że zmieni zdanie, ale tak naprawdę wcale jej to nie obchodziło. Powiedziała, że zadzwoni do domu i wszystko powie rodzicom. Nie wiedziałem, co robić. Myślałem, że poszła do siebie, ale potem usłyszałem jej krzyk na tyłach budynku. Wybiegłem na dwór, a ona płakała i mówiła, że znalazła Rosie.

Powietrze w pokoju przesłuchania dałoby się kroić nożem. Sparkes przeniósł się z Jamiem do sali sypialnej w pensjonacie, stawał na chwiejnych nogach, biegł

korytarzem do tylnego wyjścia prowadzącego w gorącą noc.

– Widziałeś ciało Rosie?

– Widziałem kawałek twarzy. Była przykryta matą, ale widać jej było włosy.

– Gdzie była Alex?

– Na dziedzińcu. Trzęsa się i płakała, próbowałem ją pocieszyć. Powiedziałem jej, że wszystko jakoś załatwię. Ale ona się na mnie wściekła. Próbowałem ją stamtąd zabrać. Ale się szarpała. Zaczęła mnie odpychać, jakby nie chciała mnie widzieć. Powinienem ją puścić, ale trzymałem. Myślałem w kółko, że nikt mnie już nigdy nie odtrąci. A ona zaczęła krzyczeć. Chyba ją wystraszyłem. Nie chciałem, to było niechcący. Chciałem tylko, żeby przestała. Złapałem ją za szyję, żeby uciszyć ten hałas, i trzymałem ją, a ona się szarpała, waliła głową we mnie i w ścianę. „Przestań, Alex” – mówiłem. Tak mi się wydaje. No i przestała.

Jamie sięgnął po chusteczkę i osuszył oczy. Sparkes rekonstruował w myślach okrutny taniec śmierci na brudnym placu. „Nie trwało to pewnie dłużej niż parę minut” – pomyślał, patrząc na młodego mężczyznę, który zgarbił się na krześle.

– Alex była przytomna?

Jamie powoli pokręcił głową.

– Potem już się nie odzywała – odparł. – Zrobiła się szara na twarzy, upadła na ziemię. Posikała się, na nogach miała zacieki, całe buty zachlapane. Nie mogłem przestać patrzeć na jej nogi. Nie chciałem już nigdy widzieć jej twarzy. Miałem wrażenie, że stoję tam wiele godzin. Powietrze było gęste, jakby tężało wokół mnie jak galareta, a kiedy obracałem głowę, miałem uczucie, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Miał pan tak kiedyś?

Sparkes przytaknął.

– I co wtedy zrobiłeś, Jamie?

– Pamiętam, że pomyślałem sobie, że muszę to cofnąć. Przewinąć do tyłu. Ale nie dało się. Musiałem ukryć to, co zrobiłem, żeby nikt się nie dowiedział. Zdjąłem z niej te brudne ciuchy, żeby znowu była czysta i świeża, i położyłem ją z Rosie. Owinąłem je obie matami, wziąłem zapalki i zacząłem się rozglądać za jakąś rozpałką.

*Piątek, 19 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

Zrobili sobie przerwę, kiedy Jamie poprosił o leki przeciwbólowe, bo dokuczały mu oparzenia. Ogień buchnął mu prosto w twarz, kiedy polewał dodatkową porcją butanu tłące się ubrania Alex. Zbyt długo nie chciały się rozpalić. Bał się, że pożar zostanie ugaszony, zanim wszystko strawi. Trochę łatwopalnego płynu wylało mu się na ręce i płomienie na nie przeskoczyły, kiedy próbował osłonić oczy. Mówił, że nie jest pewny, kto zamówił mu taksówkę do szpitala, ale domyślał się, że chyba Mamma.

Sparkes i Salmond stali pod salą przesłuchań, niespokojnymi dłońmi zgniatając plastikowe kubki z wodą i omawiając sytuację.

– Twierdzi, że to był wypadek.

– A co innego miałyby powiedzieć? – odparła Salmond. – Ale gdzie jakakolwiek skrucha? Można odnieść wrażenie, że to on jest tu najważniejszy, nie Alex. Jakby to siebie postrzegał jako ofiarę.

Sparkes też czuł się zmanipulowany narracją podejrzanego i jego zalotnym spojrzeniem.

– Zauważyłaś, co on robi z oczami? Zerkanie spod rzęs to klasyczna technika pasywno-agresywna. Niby uległość, ale też kontrola nad sytuacją.

– Skoro pan tak twierdzi.

– Owszem. Ostatnio coś o tym czytałem.

– Ja tam wolę Jacka Reachera. – Salmond wyszczyła ostatnie krople wody.

– No to jedziemy. Trzeba jeszcze rozwikłać sprawę drugiej martwej dziewczyny – powiedział Sparkes i wrzucił kubek do kosza.

– Opowiedz nam o Rosie – zaczął Sparkes prosto z mostu. Jamie zamrugał.

– Co mam o niej powiedzieć? Nie żyła. Mówiłem wam. Alex znalazła ją w chłodni.

– A ty kiedy zobaczyłeś tam Rosie?

– Mówiłem, po tym, jak Alex ją znalazła.

– Ale mówiłeś też, że wcześniej przynosiłeś stamtąd piwo.

– Ja... – Jamie zamknął oczy.

– Zapytam jeszcze raz: kiedy zobaczyłeś tam Rosie? Po raz pierwszy.

– Dzień po tym jej rzekomym wyjeździe do Holendrów – przyznał w końcu. Koniec potulnych spojrzeń, zauważył Sparkes. Jamie Lawrence przeszedł do defensywy.

– Wiedziałeś, że nie żyje, a jej ciało od dwóch dni leży tuż za tylnym wyjściem?

Jamie pokiwał głową.

– Bałem się komuś powiedzieć. Ludzie mogliby pomyśleć, że miałem z tym do czynienia.

– Ale nie bałeś się odsunąć jej na bok, żeby dostać się do piwa? – wybuchnął Sparkes. – Czy miałeś coś wspólnego ze śmiercią Rosie Shaw?

– Nie. Myślałem, że to może być wypadek. Może się kompletnie narąbała. Może udławiła się własnymi rzygami.

Tuż przed wygłoszeniem tej teorii zawiesił na chwilę głos i Sparkes już wiedział, że prawie go ma. Słowo „może” było listkiem figowym. Zasłoną dymną, pod którą skrywała się prawda.

– Skąd wiesz, że się udławiła?

– Nie wiem. Tylko zgaduję. Takiej dziewczynie mogło się to przytrafić. Ale mnie tam nie było, więc nie wiem.

„»Mnie tam nie było«. Zaraz powie, że starsi chłopcy go do tego zmusili”.

– A wiesz, kto tam był?

Jamie zaczął skubać brudne bandażę na rękach, strzępiąc końcówki, i pokręcił głową.

– No dobrze, kiedy ostatni raz widziałeś Rosie żywą?

– Teraz już nie pamiętam. Pewnie kiedyś w barze czy coś. Zawsze się gdzieś kręciła.

– A potem przestała – zauważył Sparkes. – Na pewno wszyscy o tym rozmawialiście. Rosie tak nagle zniknęła. Pewnie o niczym innym się nie rozmawiało.

– No, w sumie tak. Szczerze mówiąc, miałem już dość ciągłego słuchania o Rosie.

– Nie przepadałeś za nią?

– Nie znosiłem jej. Oboje jej nie znosiliśmy. Ja i Alex. – Jamie wyciągnął długą nitkę i okręcał ją teraz mocno wokół palca, aż zbieła mu jego czubek. – Głupia suka. Ciągłe robiła jakieś problemy. Alex z początku starała się jej pilnować, ale tamta nie chciała jej słuchać. Ćpała, sypiała z dopiero co poznanymi facetami. Chciała zaliczyć po kolei wszystkich chłopaków w pensjonacie. – Jamie pokręcił głową z obrzydzeniem.

– A ty z nią sypiałeś, Jamie?

Wyglądał na autentycznie zszokowanego.

– Ja? Oczywiście, że nie. Ja byłem wierny Alex, ale poza tym praktycznie każdy przewinął się przez jej łóżko.

– Jake też?

– Tak. Jak już mówiłem. Powiedziałem o tym Alex.

– Nie dochodziło do śpięć między mężczyznami, którzy z nią sypiali? Jakies kłótnie, bójki?

– Raczej nie. Nikomu aż tak na niej nie zależało, żeby się o nią bić.

„Biedna Rosie – pomyślał Sparkes. – Biedna mała, zagubiona Rosie”.

– Jakie narkotyki zażywała Rosie?

– Głównie ketę. Lars załatwił jej zapas przed wyjazdem.

– A on gdzie to kupił?

– U Mammy, wszyscy mówili na jej hostel Towarownia. Wszyscy wiedzieli, że sprzedaje ketę, zioło i yabę. Czasem też trochę heroiny.

– I rohypnol – dodał Sparkes, nachylając się do przodu. – Ale już o tym wiedziałeś, prawda? Sam trochę kupiłeś, żeby odurzyć Alex.

Twarz Jamiego oblała się rumieńcem, dłonie znów zacisnęły się w pięści.

– Kto tak twierdzi?

– Mamma – odparła Salmond. – Powiedziała mi, że wrzuciłeś Alex rohypnol do szklanki, żeby nie poszła na randkę z Jakiem Watersem. – Przeprowadziła jedynie nieoficjalną rozmowę z Mamą, bo ta znowu zniknęła, zanim udało się uzyskać zgodę na przesłuchanie, ale właścicielka pensjonatu potwierdziła niektóre z informacji udzielonych Kate.

– Nie mogłem jej pozwolić z nim wyjść – stwierdził Jamie, przesuwając się na krawędź krzesła. – Nie wiedziałem, że tak się od tego pochoruje. Wsypałem za dużo. Ale przecież to działało tylko do bólu. Chroniłem ją, zależało mi na jej bezpieczeństwie.

– Chroniłeś ją przed Jakiem? Dlaczego miałby jej zagrazać?

– Próbował zabrać stamtąd Alex! – krzyknął Jamie, a adwokat położył mu dłoń na ramieniu, żeby go trochę zmiękczyć. Chłopak zaczynał się męczyć. Sparkes właśnie zamierzał dać Salmond znać, że pora zakończyć przesłuchanie, kiedy Jamie znowu przemówił. – Czy teraz ja mogę zadać jakieś pytanie?

Sparkes spojrział na chłopca, który znów patrzył na niego spod rzęs, jakby chciał zadowolić detektywa, co zbiło go z tropu.

– Yyy, tak. O co chcesz zapytać?

– Rozmawialiście z Jakiem? To jego powinniście zapytać, co spotkało Rosie.

*Piątek, 19 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

Głos Boba Sparkesa brzmiał bardzo poważnie. Przerwał mi, kiedy próbowałam się dowiedzieć czegoś o pogrzebie Eileen.

– Teraz nie mam do tego głowy. Dzwonię służbowo. Właśnie jedziemy z sierżant Salmond do Londynu. Musimy porozmawiać z Jakiem. Jest w domu?

– Tak, od powrotu w ogóle nie wychodzi. Właśnie jest u niego Joe Jackson, rozmawia z nim o tym koszmarze. Nie chciał, żebym to ja przeprowadziła wywiad, faktycznie byłoby to chyba trochę dziwne. Tak czy inaczej, Joe już się tym zajął. Pomyłka wymiaru sprawiedliwości wreszcie zostanie naprawiona. –

Kazałam Joemu poczekać parę dni. Twierdziłam, że Jake potrzebuje wypocząć, ale tak naprawdę musiałam najpierw sama usłyszeć tę historię. Upewnić się, czy można ją opowiadać. – Chcecie wyjaśnić jakieś szczegóły? Myślałam, że już o wszystko go zapytaliście. Złożył zeznania w Bangkoku – mówiłam lekkim tonem, ale w głowie już zaczęły się roić nieproszone myśli.

– Będziemy u was za godzinę.

Odkładałam telefon i zaglądam do salonu, gdzie Jake rozmawia z Joem.

– Mogę cię prosić na chwilkę? – zwracam się do syna.

Wyskakuje na korytarz bosy i w nieco przykrótkich dżinsach Freddiego.

– Przed chwilą dzwonił komisarz Sparkes. Jedźcie do nas, żeby z tobą porozmawiać. Postawić kropkę nad i, dopytać o coś. Wiesz, jak to jest.

Jake wyraźnie się nachmurza.

– Jestem pewna, że chodzi tylko o krótką rozmowę – mówię, ale patrzymy na siebie nieco zbyt długo. – Złożyłeś już zeznania. A swoją drogą jak wam idzie z Joem? Pyta o to, o co powinien? Jesteś pewny, że nie chcesz, żebym z wami

siedziała? – Staram się mówić pogodnie, ale po telefonie Sparkesa brzuch napiął mi się jak w oczekiwaniu na cios.

– Nie, przecież ustaliliśmy. A co do tej policji, to co dokładnie powiedzieli?

– To, co przed chwilą ci powiedziałam.

– Powinniśmy zadzwonić do twojego znajomego prawnika?

Próbuję odczytać jego myśli.

– Nie wiem. Obecność prawnika może sugerować, że masz coś do ukrycia...

– Tak tylko mówię, że może lepiej by było. Nie chcę żadnych problemów.

– Jasne, rozumiem. Zadzwonię i spytam, co o tym sądzi. Zostaw to mnie. – Przytakuje i chce jeszcze coś powiedzieć, ale nie daje mu dojść do słowa. – Musimy zabrać cię na jakieś zakupy, zanim Mick zrobi sesję – mówię, sprowadzając rozmowę na bezpieczne tory. – Wróciłeś bez żadnych ciuchów.

I nagle przypominam sobie spodnie, które zostawił u Rossa.

W drzwiach staje Joe.

– Możemy kontynuować, Jake? – pyta. – Mam krótki termin.

– Okej. Mamo, zrobisz nam herbę?

Komisarz Sparkes puka cicho, a ja szeroko otwieram drzwi zapraszającym gestem. „Nie mamy tu nic do ukrycia”.

– Jak się trzymasz? – zagaduję. Bliskość, jaka nawiązała się między nami w pokoju hotelowym w Bangkoku, wyparowała jednak bez śladu. Wchodzi, nie patrząc mi w oczy, i otrzepuje na wycieraczkę nieistniejący brud z butów.

– Jest Jake? – pyta.

– Tak, tak jak mówiłam przez telefon. Tędy. Jest z nim Joe Jackson.

– Może powinnaś pozbyć się reportera – zwraca się do Salmond. Próbuje protestować, ale ucisza mnie wzrokiem.

Sierżantka idzie do salonu, następuje krótka wymiana zdań, po czym Joe wychodzi, wpychając laptopa do torby. Nie jest zadowolony.

– Co tu się dzieje, Kate? Wywalili mnie.

– Skocz sobie gdzieś na kawę – mówię. – Policjanci muszą tylko zamienić z nim parę słów. Zadzwonię i dam ci znać.

Wcale nie wiem, czy zadzwonię, ale chcę go po prostu spławić. Żeby nie był świadkiem wydarzeń toczących się pod moim dachem.

Zamykam za nim drzwi i idę do salonu. Jake siedzi na sofie, jest błydy i pokasłuje nerwowo.

– O co chodzi? – pytam z gniewem w głosie. Ale czuję raczej strach niż wściekłość.

Sparkes odwraca wzrok. Aresztuje Jake'a w związku ze śmiercią Rosie Shaw dnia trzynastego sierpnia bieżącego roku.



Jake podnosi się na miękkich nogach.

– Zabieramy cię do Southampton na przesłuchanie.

– Musisz włożyć jakieś buty, Jakey – mówię, próbując nawiązać kontakt wzrokowy. Odwraca się ode mnie i słowa więzną mi w gardle.

*Piątek, 19 września 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**W**cześniej ustaliliśmy, że nic nie powiem, jeśli policja jeszcze do nas wróci. Dwie noce temu siedzieliśmy razem, podczas gdy reszta domowników spała. Byliśmy ciągle w czasie tajlandzkim.

Staralam się nie przesłuchiwać go w drodze powrotnej, delikatnie wyciągałam informacje o jego pobycie w Bangkoku, kiedy jedliśmy posiłek zaserwowany w samolocie, ale Jake szybko się zmęczył i zasnął.

Steve zadawał wszystkie pytania, kiedy jechaliśmy z lotniska, nie naciskał syna, pozwalał mu snuć opowieści o trywialnych aspektach życia w pensjonacie, a potem w więzieniu. Bezpieczny grunt. Freddie słuchał w milczeniu. Wszyscy mu odpuściliśmy.

Nakarmiliśmy go i przygotowaliśmy kąpiel. Pozwoliliśmy się wyspać.

– Sprowadziliśmy go do domu – powiedział Steve, kiedy w końcu padliśmy na łóżko. – Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

– Wspaniale, prawda? – Z całych sił pragnęłam, żeby tak było, ale pytanie „O czym on nam nie mówi?” zagłuszało radość. – Musimy z nim poważnie porozmawiać, Steve – powiedziałam, odwracając się do męża.

– Porozmawiamy – mruknął już prawie przez sen. – Mamy masę czasu.

Leżałam obok niego, przywołując każde słowo wypowiedziane przez Jake’a, badając wiarygodność deklaracji stanowiących trzon jego historii, rozgrzebuując potwierdzające je szczegóły, sondując je jak spróchniały ząb, szukając słabych punktów. Ale łapałam się na tym, że się wycofuję, kiedy za bardzo się zbliżałam. Kiedy coś zaczynało zgrzytać.

„Dlaczego miałyby kłamać?” – powtarzałam jak mantrę.

– Chyba wiem, co się stało Rosie – powiedział cicho.

– Przecież już nam powiedziałaś, co wiesz, Jake – odparłam, rozpaczliwie podtrzymując rodzinną zмовę milczenia czy raczej zatykania uszu. Spojrzał na mnie, a ja wstrzymałam oddech. Po dłuższej chwili milczenia wyszeptałam w końcu: – Dobrze. Powiedz mi prawdę, Jake. – Jak dawniej, kiedy znajdowałam potłuczoną figurkę albo brakowało paczki ciastek.

– Kiedy ostatni raz ją widziałem, piła podrabianą tequilę z butelki. Leżała na swoim łóżku, krzyczała na mnie. Myślałem, że nic jej nie będzie, jeśli nie liczyć porannego kaca. Ale nie tak się to skończyło. Ona umarła, mamó.

– Kiedy umarła? – wyszeptałam.

– Nie wiem dokładnie. Między moim wyjściem a ranem, kiedy Mamma próbowała ją obudzić.

Poczułam, że dłonie zaciskają mi się na kubku ciepłego mleka.

– Okej – powiedziałam ostrożnie, bojąc się, że głos mnie zawiedzie. „Co ty zrobiłaś? – wrzeszczałam w głowie. – Boże, zabiłaś tamtą dziewczynę?” – Dlaczego Rosie na ciebie krzyczała?

Jake zwiesił głowę na piersi.

– Byliśmy trochę pijani i zdenerwowani – odpowiedział coraz cichszym głosem.

– Czym zdenerwowani?

– Nie powinienem był uprawiać z nią seksu. – Podniósł na mnie szeroko otwarte, udęczone oczy. – Ale ona ciągle mnie podrywała, dotykała, całowała. No i w końcu to zrobiliśmy. Przespaliśmy się ze sobą. Ale ja wiedziałem, że ona robi to tylko na złość Alex. Miała taki paskudny uśmieszek na twarzy. Jakby wygrała. Pokłóciliśmy się, zabroniłem jej mówić Alex, ale ona się tylko roześmiała. Kazałem jej się zamknąć, bo Alex może zaraz nas przyłapać, a ona wykrzyczała mi w twarz, że to niemożliwe. Że Jamie dosypał coś Alex do piwa, żeby nie poszła ze mną na randkę. Mamma widziała, jak to robił. Wrzeszczała, że wszystko powie Alex. Cały hostel ją słyszał. Bałem się, mamó. Wszystko wymykało się spod kontroli. Chciałem, żeby to wszystko się skończyło, więc zostawiłem ją tam i wyszedłem.

– Boże, co za koszmar – usłyszałam swój własny głos. Widziałam to oczami wyobraźni. Słyszałam wściekłość w ich głosach. Wyczuwałam ostrą woń nienawiści. Nie odrywałam wzroku od syna, bo bałam się, że jeśli na chwilę się odwrócę, jego miejsce zajmie ktoś obcy.

– Byłem pewny, że powie Alex, jak tylko wstanie. Ale nie miała już okazji – ciągnął. – Następnego dnia rano Mamma znalazła ją martwą, chciała z nią porozmawiać o pieniądzech. Przyszła do naszego pokoju, obudziła mnie i mi powiedziała. – Jake wziął głęboki wdech. – Mówiła, że Rosie musiała się zadławić przez sen. Podobno miała wymioty nawet we włosach, mamó.

– O Boże. – Byłam przerażona tą historią. – Ale nikomu nie powiedziałeś. Dlaczego nie zadzwoniłeś na pogotowie? Albo na policję? Dlaczego nikomu nie powiedziałeś?

Zamknął oczy i przycisnął dłonie do ust, jakby próbował całkowicie się odciąć od otoczenia. Ale teraz nie zamierzałam pozwolić mu przerwać opowieści.

– Jake, mów! – zażądałam, odciągając mu rękę od twarzy. – Zrobiłeś jej krzywdę? – „Zabiłeś ją?” nie przeszłoby mi przez usta. To zbyt ostateczne, nie można tego cofnąć.

Szarpnął głową do tyłu, wyraźnie wstrząśnięty.

– Nie! Dlaczego nie słuchasz, co do ciebie mówię? Nic jej nie zrobiłem. Niczego nie rozumiesz, bo cię tam nie było. Nie wiesz, jak wyglądało moje życie, jakie było popierdolone. Mogę ci tylko powiedzieć, że musiałem milczeć... Inaczej byłyby kłopoty. Mamma ostrzegła mnie, że będzie tak jak poprzednio.

– Kiedy umarł ten tynkarz – wyszeptałam.

Jake przytaknął.

– Przyszła wtedy policja, przesłuchiwali wszystkich obcokrajowców w hostelu. Mamma powiedziała, że mnie zamkną, bo wiza mi się skończyła. Mogą człowieka wpakować do więzienia na całe życie. Dałem jej wszystkie pieniądze, żeby to jakoś załatwiła. Wysłała mnie na jakiś czas do swojej rodzinnej wioski, a kiedy wróciłem, sprawa już ucichła. Policja stwierdziła, że John popełnił samobójstwo.

– Ale to nieprawda?

Jake ciężko pokręcił głową.

– Ktoś go napadł i obrabował.

– Chryste! Kto?

– Nie wiem. Robił różne niebezpieczne rzeczy, zadawał się z szemranymi typami. Ale teraz znowu miały się zacząć problemy z policją. Spałem z Rosie w wieczór przed jej śmiercią. Byłem przekonany, że mnie aresztują. A tym razem nie miałem już żadnych pieniędzy, żeby zapłacić Mammie za zajęcie się tą sprawą.

– „Tą sprawą”? Mówisz o osiemnastoletniej dziewczynie, Jake.

– Strasznie mi przykro, mamo.

Słuchałam dalej, coraz bardziej nieczuła na jego wywody. Te wykręty mroziły mi krew w żyłach i ścisnęły żołądek.

Może wyczuł, że serce mi twardnieje, bo właśnie ten moment wybrał na zadanie ostatecznego ciosu.

– Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Ani ty, ani tata. Dopilnowałem, żebyście się nie dowiedzieli. Przepraszam, ale moje życie było kompletnym chaosem. Nie chciałem, żebyście o tym wiedzieli. Ciągle myślałem o tym, jak niby na żarty

chwaliliście się znajomym, że zostanę adwokatem. Wywierałaś na mnie tak silną presję, mamó. Wiem, że nie chciałaś, ale to nie zmienia faktu. A ja czyściłem kible w Bangkoku. Chciałem wyjść na prostą, znaleźć porządną pracę czy coś w tym stylu, żeby wrócić do domu z tarczą. Ale czas płynął i nic się nie działo.

Złapałam go za rękę.

– Nie wiedziałam, że tak się czułeś.

– Zachowywałem się jak kretyn, ale nie miałem się do kogo zwrócić. Wiedziałybyś, co robić, mamó, ale nie mogłem znieść myśli, że mogłabyś się dowiedzieć. Teraz proszę, żebyś mi pomogła. Mogą mnie wsadzić do więzienia. Nie uwierzą, że nie mam nic do ukrycia. Proszę...

Poczucie porażki rodzicielskiej zalało mnie czarną, trującą falą, wymazując wszystkie inne myśli i uczucia. „Nie mógł na nas liczyć. To nasza wina. Moja wina” – obijało mi się w głowie. Potem miałam się zastanawiać, czy zachowałabym się inaczej, gdyby tego nie powiedział. Ale wtedy było już za późno.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w niemal całkowitej ciszy, nie licząc tykania zegara przypominającego bicie serca domu. A potem zrobiłam to, co zawsze – zasypałam go pytaniami.

– Kto jeszcze wie, że przemilczałeś śmierć Rosie?

– Nikt. To znaczy Mamma, no ale ona nic nie powie.

– Czy ktokolwiek mógł słyszeć, jak ci o tym mówiła?

– Nie wiem. Narobiła hałasu, ale Alex była naćpana i bez kontaktu. Tak że zostaje Jamie. Jamie Way, czepia się jak klej – mruknął Jake pod nosem.

Podchodziliśmy do tematu z najróżniejszych stron, ale w końcu mnie przekonał, że nic nie zyskamy, wyznając prawdę. Trzymając mnie za rękę i patrząc mi w oczy, podsumował sprawę – mój syn, adwokat...

– Rosie umarła, to nie była niczyja wina. Nawet jeśli Jamie słyszał, jak Mamma mi o tym mówiła, to przecież jest mordercą. Kto mu uwierzy? Tu chodzi o moje życie, mamó.

Czułam się taka bezbronna. Jak wtedy, gdy pierwszy raz po porodzie wzięłam go na rękę. Ogarnął mnie przemożny lęk, że zrobię coś nie tak i skrzywdzę moje dziecko, aż się wtedy popłakałam. Przytłoczyło mnie poczucie odpowiedzialności. Nie do końca wiedziałam, co robię, ale musiałam zapewnić mu bezpieczeństwo, pomóc mu rosnąć, zrobić wszystko jak trzeba. Dźwigałam ten ciężar, czułam go w żołądku, wszędzie widziałam zagrożenie. Steve próbował mi pomóc, wszystko wytłumaczyć – hormony poporodowe, instynkt macierzyński, bla, bla, bla. Ale to było intuicyjne, emocjonalne, pożerało mnie całą. Myślałam, że mi przeszło, kiedy dorósł na tyle, żeby sam się sobą zająć,

kiedy wysłaliśmy go na studia. Ale to nigdy nie przechodzi. Oto znów trzymałam  
w rękach całą jego przyszłość.  
I zgodziłam się milczeć.

*Piątek, 19 września 2014 roku*

## **DETEKTYW**

**J**ake milczał przez całą drogę. Patrzył przez okno na inne pojazdy, dopóki nie dotarli pod komisariat. Nie miał czasu zawiązać sznurowadeł, więc stopy ślizgały mu się w starych trampkach, co krok się potykał.

Salmond go podtrzymała.

– Tędy. – Poprowadziła go do aresztu śledczego i postawiła przed biurkiem, za którym siedział naburmuszony sierżant. Sparkes przyglądał się kolejnym etapom rytuału, które trzeba było odhaczyć przed przesłuchaniem.

Jake nie odzywał się niepytany. „Zamknął się w sobie – pomyślał Sparkes. – Powtarza sobie swoją wersję wydarzeń? Powiedział Kate, co zrobił?”

Po zamknięciu w celi powiedział tylko:

– Lepiej niż w Klong Prem.

– Proszę się przedstawić na potrzeby nagrania – powiedziała Salmond już w ciasnym pokoju przesłuchań. Jake wyglądał teraz jeszcze młodziej niż wcześniej, w chłopięcych okularach i z poobgryzаныmi paznokciami.

– No dobrze – zaczął Sparkes. – Może zacznijmy od twojej znajomości z Rosie Shaw.

– Niewiele jest do powiedzenia. Prawie się nie znaliśmy.

– Alex twierdziła, że Rosie z tobą flirtowała.

– Alex? – spytał zdezorientowany.

– W mejlach do Mags, swojej przyjaciółki. Pisała, że Rosie próbowała cię jej odbić.

– Nie wiem, co pisała Alex w mejlach. Skąd miałbym wiedzieć? – Zachował spokojny, rozsądny ton głosu i Sparkes przypomniał sobie, że Jake studiował kiedyś prawo.

– Ale pamiętasz wizytę w pokoju Rosie Shaw wieczorem trzynastego sierpnia?  
– zapytał takim samym tonem.

– Eee, nie jestem pewny. Raczej nie.

Zaczynał się wahać, potykać na słowach. Sparkes docisnęła.

– Dwoje świadków zeznało, że miała ona miejsce. Poszedłeś do jej pokoju i uprawiałeś z nią seks.

– Pomylili się. To są tylko ich przypuszczenia. Mówili, że widzieli, jak uprawialiśmy seks? – Jake oparł się wygodniej i Sparkesowi przemknęło przez myśl, że chłopak dobrze się bawi. Zaraz zepsuje mu zabawę.

– To nie przypuszczenia, Jake. W próbce spermy pobranej z ciała Rosie znaleziono twoje DNA.

Jake zwiesił głowę, a jego adwokat podniósł rękę.

– Chciałbym prosić o chwilę na osobności z moim klientem.

Detektywi wyszli na korytarz i oparli się o ścianę.

– Jak wrócimy, powie nam prawdę – stwierdziła Salmond.

– Prawie go mamy – przytaknął.

Kiedy weszli z powrotem do sali, twarz Jake'a była całkiem pozbawiona wyrazu.

– Mój klient chciałby złożyć oświadczenie w sprawie swoich stosunków z Rosie Shaw – oznajmił prawnik i wycofał się, udzielając głosu Jake'owi.

– Uprawiałem seks z Rosie Shaw, to wszystko – wyklepał bezbarwnym tonem.

– Nie zrobiłem jej nic złego. Chciała się ze mną przespać, żeby zemścić się na Alex. Ale umarła już po moim wyjściu. Właścicielka pensjonatu powiedziała mi potem, że znalazła ją martwą.

– Czyli uprawiałeś seks wbrew swojej woli? – zapytał Sparkes z kamienną twarzą.

– Byłem pijany, a ona mnie namówiła.

– Rozumiem. Świadkowie twierdzą, że doszło do kłótni. Słyszeli krzyki.

– Byłem wściekły, bo miałem straszne wyrzuty... Podobała mi się Alex, a zrobiłem coś tak niewiarygodnie głupiego. Przespałem się z jej koleżanką. Co za debil ze mnie! – Walnął się ręką w głowę.

– Rosie Shaw jeszcze żyła, kiedy wychodziłeś z jej pokoju?

– Tak, przysięgam – prawie wykrzyczał. – Mówiła, że powie Alex o tym, co między nami zaszło.

– Dlaczego więc nie powiedziała jej od razu?

– Alex leżała nieprzytomna, odurzona przez Jamiego.

„Czyli wiedział o tym” – zauważył Sparkes.

– To kompletny świr, wrzucił coś Alex do piwa, żeby na pewno nigdzie ze mną nie poszła. Rosie mi powiedziała. To był popapraný lokal.



– Czyli nie miała szansy powiedzieć Alex...

Jake pokręcił głową ze znużeniem.

– Nie. Zmarła w nocy.

– Dobrze się dla ciebie złożyło, co? Tajemnica pozostała tajemnicą – mówił Sparkes, zapisując coś w notesie.

Jake odsunął się z krzesłem i wstał, cały się trzęsąc.

– Chyba żartujecie! Nie zrobiłem jej nic złego. Okropnie mnie zmartwiła wieść o jej śmierci. Mamma mnie obudziła i przekazała wiadomość. Byłem w szoku, jak zombi. Nie wiedziałem, co mówić, co robić.

– Usiądź, Jake. I co w końcu zrobiłeś?

Chłopak się zawahał i po chwili wrócił na swoje miejsce, ale trzymał się krzesła tak mocno, jakby miało się pod nim załamać.

– Czuję się jak we śnie, jakby nic nie było rzeczywistością. Leżałem w łóżku i próbowałem pojąć, co się właściwie dzieje. Musiałem znowu zasnąć. Kiedy się obudziłem, Mamma zachowywała się jak gdyby nigdy nic.

– Położyłeś się spać po tym, jak się dowiedziałeś, że młoda kobieta, z którą kilka godzin wcześniej poszedłeś do łóżka, została znaleziona martwa?

– Dużo wtedy wypilem, panie komisarzu. Już mówiłem. Wiem, że to brzmi tak, jakby nie obchodziła mnie jej śmierć. Ale to nieprawda. Byłem w szoku, nie wiedziałem, co robić, więc postanowiłem powtarzać historyjkę Mammy, że Rosie wyjechała do chłopaków z Holandii.

– Ale wiedziałeś, że wcale nie wyjechała, prawda?

Jake żałośnie pokiwał głową.

– Zamierzałem powiedzieć Alex, ale zostałem aresztowany i nie miałem okazji.

– Zatrzymano cię prawie dwa dni później. Miałeś mnóstwo okazji.

– Myśli pan, że codziennie nie wyrzucam sobie, że tego nie zrobiłem? Ale nie mogłem. Pan nie rozumie. Okropnie się bałem i nie wiedziałem, co robić. Bałem się, co będzie, jeśli o tym powiem. Słuchajcie, przespałem się z nią. Ktoś mógł mnie obwiniać o jej śmierć.

– Czyli nic nie powiedziałeś policji, kiedy cię aresztowali?

– Nie, nie zdradziłem swojej prawdziwej tożsamości. I tak tkwiłem już po uszy w kłopotach – powiedział, przymykając oczy.

– Jamie twierdzi, że byłeś przy śmierci Rosie.

Jake wyglądał, jakby miał się uśmiechnąć.

– Pewnie, że tak twierdzi. Nienawidzi mnie, bo Alex wybrała mnie, a nie jego. Wolał ją zabić, niż pozwolić jej związać się z kimkolwiek innym. Powiedziałby zresztą wszystko, żeby się zemścić. Założę się, że Rosie też wrzucił coś do picia.

Zamierzała powiedzieć Alex o jego zamiłowaniu do rohypnolu. Może postanowił ją powstrzymać. On jest zdolny do wszystkiego.

Kiedy ponownie wezwali Jamiego Lawrence'a, już nie próbował ich kokietować. Usiadł i położył obandażowane dłonie na stole.

– Chciałem się trochę zdrzemnąć – powiedział. – Przecież już wszystko powiedziałem.

– Mamy jeszcze parę pytań – odparł Sparkes, nachylając się do przodu, żeby skupić na sobie uwagę chłopaka. – Dałeś Rosie Shaw jakieś narkotyki?

Jamie wyprostował się na krześle.

– Sama je brała.

– Ale czy dałeś jej coś jeszcze? Żeby nie powiedziała Alex o rohypnolu? Mamma zeznała, że o tym wiedziała. Rosie zamierzała ujawnić twoją prawdziwą naturę?

Jamie mocno zacisnął wargi i pokręcił głową, jakby się bał, że zdradzi go własny głos.

– Próbkę krwi Rosie jest w laboratorium, Jamie. Więc dowiemy się, jeśli jej też czegoś dosypałeś. – Sparkes szczerze wątpił, czy po tak długim czasie badania toksykologiczne mogły wykazać obecność rohypnolu, ale podejrzany był już na krawędzi wyznania całej prawdy, trzeba było go tylko lekko popchnąć w odpowiednim kierunku.

Cisza się zagęszczała, wypełniała całe pomieszczenie, ale Sparkes postanowił przeczekać. Siedział w całkowitym bezruchu, żeby nie dostarczać podejrzanemu żadnych bodźców. Palce Jamiego drgały nerwowo na blacie, zamknął oczy, jakby mocno się skupiał.

– Dałem jej tylko troszkę – wymamrotał ledwo dosłyszalnie, Sparkes musiał nachylić się jeszcze bliżej. – Żeby się zamknęła, dopóki nie wymyślę, co dalej. Wsypałem jej do tequili i usnęła.

– Tyle że wcale nie usnęła – warknął Sparkes. – Straciła przytomność z żołądkiem pełnym alkoholu, a ty ją zostawiłeś i się udusiła. Biedna dziewczyna.

– Trzeba było się zamknąć – stwierdził Jamie cicho. – Zresztą to jej wina. Nikt jej nie kazał chlać na umór.

Sparkes przez długą chwilę patrzył na niego w milczeniu. Okrutne słowa zawisły w powietrzu i ściekały po ścianach jak trucizna.

– Wsadziłeś jej ciało do chłodni?

– Nie. Jak się rano obudziłem, już jej nie było.

– Ale to przecież ty zawsze wszystko widziałeś i słyszałeś w tamtym pensjonacie. Byłeś tym chłopakiem, którego nikt nie zauważał.

Jamie wzruszył ramionami.

– Nie, nie miałem z tym nic wspólnego.

– Rano powiedziałeś, że „tyle zrobiłeś, żeby chciała cię ze sobą zabrać”. O to ci chodziło? Pozbyłeś się zwłok? Ukrywałeś je przed policją?

Jamie walnął ręką w stół, adwokat aż podskoczył.

– Nie!

– Ale wiedziałeś, że nie żyje, prawda? I pomogłeś zatuszować śmierć Rosie. Mamma twierdzi, że to ty zaproponowałeś, żebyście wymyślali wiadomości od niej – naciskała Salmond. – Żeby nikt nic nie mówił o jej zniknięciu. Wyraźnie starałeś się kontrolować sytuację.

– Ona mnie nic nie obchodziła, ale Alex się martwiła, że Rosie zniknęła bez słowa. Myślałem, że dzięki temu uda mi się ją namówić, żeby ze mną wyjechała.

– Ale się nie udało, prawda?

Pokręcił głową ze znużeniem.

– Nie, jak już mówiłem, wszystko poszło nie tak.

*Piątek, 19 grudnia 2014 roku*

## **REPORTERKA**

**D**ostałam kartkę od jednego z moich duchów minionych świąt Bożego Narodzenia – Jean, wdowy po Glenie Taylorze. Redakcja przesłała mi ją w dużej brązowej kopercie razem z resztą korespondencji, zestawieniami wydatków służbowych i różnymi papierami ze związków zawodowych.

Jean pisze o traumie, której obie doświadczyłyśmy – o dziennikarzach czatujących pod drzwiami. Jakby mnie to interesowało. Jestem dla niej chyba tak ważnym elementem tamtego okresu, moja obecność tak mocno wrosła w jej wspomnienia z czasów, kiedy jej męża oskarżono o uprowadzenie małej Belli Elliott, że wydaje się jej, że mnie zna. Byłam przy niej, kiedy ta historia się toczyła, w jej kuchni, w jej salonie, w hotelu, do którego zabraliśmy ją na wywiad. I być może w jej myślach ciągle przy niej jestem.

Ale nie odzywała się do mnie od czasu ostatniej apelacji w sprawie Belli Elliott. Nadal od czasu do czasu pojawiała się w mediach – kiedy pisała do rodziców zaginionych dzieci albo zaprzyjaźniała się z notorycznymi przestępcami odsiadującymi wyroki.

Teraz to ja stałam się obiektem litości.

Słyszała o „moich problemach” i oczywiście chce się nimi ponapawać. Rzecz jasna, nie pisze tego wprost. To nie w jej stylu. Mała Jeanie Taylor chce mi tylko powiedzieć, jak jej przykro z powodu Jake’a. Nie chcę, żeby używała imienia mojego syna. Nie chcę, żeby dotykała czegokolwiek, co należy do mnie.

Nie zamierzam odpisywać. Przedzierałam uśmiechniętego bałwanka na pół i wyrzucam do śmieci.

Jake się nie dowie. Pojechał na narty ze Steve’em i Freddie. Męski wypad, żeby nie musiał myśleć o tym wszystkim. Steve stwierdził, że dobrze mu to

zrobi. Po Nowym Roku odbędzie się proces Jamiego Lawrence'a, wszyscy jesteśmy podminowani, czekamy, aż prasa przemieli tę sprawę do końca. Przez jakiś czas wydawało się, że Jamie zostanie odesłany do Tajlandii, gdzie za morderstwo groziłaby mu kara śmierci.

– Robią zastrzyk z trucizną – doniósł mi Joe, mój niezawodny informator. – Nie przeprowadzili egzekucji obcokrajowca, ani w ogóle nikogo innego, od dwa tysiące dziewiątego. Ale nie wyślemy naszego obywatela do celi śmierci. Sprawę załatwi się na miejscu, za zabójstwo obywatela brytyjskiego można być sądzonym w brytyjskich sądach, niezależnie od miejsca popełnienia morderstwa.

Rodziny ofiar nie będą zachwycone. Lesley dzwoniła do mnie po oficjalnym oskarżeniu Jamiego Lawrence'a o zabójstwo Alex i powiedziała, że zamierzają napisać do ministra spraw wewnętrznych z żądaniem odesłania sprawcy do Bangkoku.

– Zabił ją w Tajlandii, powinien zostać ukarany według tamtejszego prawa – stwierdziła. – Robimy w szkole kiermasz ciast, żeby zebrać fundusze na koszty obsługi prawnej. Chcemy, żeby nas usłyszano – dodała, a ja wyobraziłam sobie rumianych licealistów zajadających babeczki z hasłem „Jamie Lawrence na szafot”.

Byłam w szoku, słysząc tyle jadu w jej głosie. To nie była ta sama kobieta, którą widziałam na pogrzebie dziewczynek. Trzymałam się z tyłu, niepewna, czy jestem tam mile widziana, i obserwowałam Lesley – cichą, dostojną, z godnością zajmującą miejsce w centrum ceremonii – i Jenny, błądy cień u jej boku. W kościele było pełno młodych ludzi, dziewczęta szlochały bez skrępowania i przytulały się na pocieszenie, a zakłopotani chłopcy stali w grupkach, nie wiedząc, gdzie patrzeć i co zrobić z rękami. Jake rozważał pójście, ale mu to wyperswadowałam. Dziennikarze zaraz by się na niego rzucili, fotografowie pstrykaliby zdjęcia – odwróciłoby to uwagę od dziewczynek, a to przecież one były tego dnia najważniejsze. Poszłam więc sama i bezgłośnie otwierałam usta do słów *Cudownej Bożej łaski*, a dzieciaki wyśpiewywały swój żal i trzymały się za ręce. Wyszłam jeszcze przed ostatnimi taktami hymnu, kartkę z kondolencjami zostawiłam przy drzwiach.

Nigdy nie podejrzewałabym Lesley o popieranie kary śmierci. Pasowałaby mi raczej do kampanii na rzecz bezpieczeństwa na drogach. Teraz jednak wiem, że instynkt ochrony dzieci zmienia to, kim jesteśmy. Kim jesteśmy z pozoru.

W walce o sprawiedliwość – i karę śmierci – wspierała ich Louise Butler. Nasz naczelny nie chciał się mieszać w tę sprawę, tak przynajmniej twierdził Joe. „Trochę tania sensacja jak na poziom naszych czytelników – miał powiedzieć pracownikom działu wiadomości. – Poza tym nie ma na to szans, więc wyjdzie na to, że ponieśliśmy porażkę”.

O'Connorowie od początku tworzyli wspólny front, ale zastanawiałam się, jak poradzą sobie Shawowie w przeciwległych narożnikach. Joe powiedział mi, że Mike wprowadził się z powrotem do Jenny.

– Żona numer dwa wywaliła go z domu, jak się dowiedziała o amorach w samochodzie. Nie miał się gdzie podziać, więc Jenny pozwoliła mu wrócić. Podobno są jak nowożeńcy. Dają im pół roku...

Tyle czasu wystarczy, żeby kruczata umarła śmiercią naturalną i popadła w zapomnienie.

Według Joego Jamie ciągle twierdzi, że śmierć Alex była wypadkiem – miłosny uścisk podtrzymany za mocno z powodu złych doświadczeń chłopaka z samotnością i odrzuceniem. Mój redakcyjny syn znalazł wszystkie matki Jamiego, łącznie ze smutną kobietą, która go urodziła. Kiedy sprawa zostanie zamknięta i będzie można opisać całe tło tej historii, to nie będzie wesoły artykuł. Palce aż mnie świerzbią, żeby zająć się tym tematem, ale tym razem nie mogę. Stanowią element historii. I tak wracam do Jake'a i jego „miłosnego” uścisku z Rosie.

Zastanawiam się, jak mój chłopiec sobie poradzi w krzyżowym ogniu pytań. Ma się stawić przed sądem w charakterze świadka – słyszał, jak Rosie mówiła, że Jamie podał Alex narkotyki. Nie jako oskarżony. Ostatecznie nie postawiono mu żadnych zarzutów.

– Nie ma żadnych dowodów ani wiarygodnych świadków, którzy mogliby zeznać, że między Jakiem i Rosie wydarzyło się cokolwiek niewłaściwego – oznajmił nam prawnik z pewnością siebie. – Przyznał się, że nikomu nie powiedział o śmierci Rosie, ale nie był świadkiem samego zdarzenia ani nie widział ciała. Jestem zaskoczony, że prokuratura w ogóle rozważa postawienie zarzutu utrudniania czynności operacyjnych – powtarzał na każdym spotkaniu w cenie pięciuset funtów. Musieliśmy jednak jeszcze przez miesiąc obgryzać paznokcie, zanim przez telefon przekazał nam ostateczne postanowienia.

– Rozsądna decyzja. Nie ma żadnych dowodów – stwierdził prawnik.

Bob Sparkes nie pofatygował się, żeby przekazać mi tę wiadomość osobiście.

– Możemy wreszcie zostawić to wszystko za sobą – powiedział Steve po tamtym telefonie. – Zacząć od nowa.

Jake niewątpliwie już patrzy w przyszłość. Po powrocie z nart ma się zorientować w możliwości powrotu na studia prawnicze.

– Jestem już dorosły, mam. Tym razem zrobię wszystko jak trzeba.

„Tak będzie – powtarzam sobie w bezsenne noce. – Będzie lepszym człowiekiem”.

Czasem jednak trudno mi patrzeć na starszego syna i nie poczuć dławiących wyrzutów z powodu ukrywania jego winy. Przyglądam się twarzy człowieka, którego sama wydałam na świat, szukam na niej śladów skruchy, ale on najwyraźniej całkiem odciął się od „tego w Tajlandii”, jak teraz wszyscy o tym mówimy.

Steve uśmiecha się pogodnie i mówi o dużej wytrzymałości młodych ludzi. A ja pozwalam mu tak myśleć.

Postanowiłam nie mówić mu prawdy, bo wiedziałam, że chciałby zachować się przyzwoicie – zadzwonić do Boba Sparkesa, kazać Jake’owi się przyznać i ponieść konsekwencje. Mój mąż postrzega świat czarno-biało – albo coś jest dobre, albo złe. Ja sięgam wzrokiem dalej, widzę szarości, nieostre marginesy, gdzie czają się konsekwencje. Steve nie widział naszego syna w więzieniu. Ja owszem. Widziałam naszego chłopca z twarzą starca, czułam jego desperację. Nie mogę pozwolić, żeby znów go to spotkało.

Staram się o tym nie myśleć i skupić na własnej przyszłości. Na razie jestem na urlopie – płacą mi, ale nie mogę przychodzić do pracy. „Możesz wreszcie zająć się tymi zwiędłymi pelargoniami” – próbował mnie pocieszyć Joe. Mam szansę na odprawę w kolejnej turze zwolnień grupowych. Steve chce, żebym wzięła pieniądze, ale ja nie mogę znieść myśli o bezrobociu. Potrzebuję w życiu jakiejś kotwicy. Zwłaszcza teraz.

Dzwonię do Boba Sparkesa, właściwie tylko po to, żeby usłyszeć jego głos. Na pogrzebie dziewczynek siedział w tej ławce co zwykle, najbliżej drzwi, i zamieniliśmy parę zdawkowych słów. Ale od tamtej pory nie mieliśmy kontaktu.

– Komisarz Sparkes.

– Cześć, Bob, tu Kate.

– Hm, jak leci? – pyta niepewnie, ale nie wyczuwam wrogości, więc brnę dalej.

– Nie najgorzej, a u ciebie?

– Tak samo. Wróciłem już na dobre do pracy.

– To świetnie. Dzwonię, bo nie zgadniesz, kto się do mnie odezwał.

– No, słucham... – Słyszę, że się uśmiecha.

– Jean Taylor.

– Ja pierniczę. I co miała ci do powiedzenia?

Znów znaleźliśmy wspólną płaszczyznę, odbudowujemy dawną znajomość. Może powinnam jednak napisać do Jean Taylor i podziękować za przysługę.

Dziś nastąpił przełomowy moment.

W końcu zrobiłam porządek – wyrzuciłam tamte spodnie. Spodnie, które przywiozłam z Tajlandii w torbie podróżnej. Spodnie z charakterystyczną plamą, która mogła ujawnić kłamstwo mojego syna.

„Przyszedł tu trochę rozpieprzony i chciał zająć – opowiadał Ross, kiedy mi je oddał. – Spodnie miał usyfione, jakimiś rzygami czy czymś”. A ja zaraz o nich zapomniałam, bo wydarzenia zaczęły się toczyć z zawrotną prędkością. Ale domyśliłam się wszystkiego, gdy tylko znalazłam je w torbie, wrzuconej do szafy po powrocie do domu. Zrozumiałam, że te spodnie mogą wszystko zepsuć. Rzeczywiście był w pokoju Rosie po jej śmierci, tak jak twierdził ten pieprzony Jamie Lawrence. Schował ją. Uniemożliwił prawidłowe przeprowadzenie śledztwa.

Setki razy zamierzałam pokazać mu te spodnie i powiedzieć, że wszystko wiem. Ale coś mnie powstrzymywało. Chyba miałam nadzieję, że sam mi powie. Że weźmie odpowiedzialność za swoje czyny. Ale tego nie zrobił, a kiedy myślałam o tym, że mógłby trafić do więzienia, co całkowicie zniszczyłoby mu życie, powtarzałam sobie, że należy mu się druga szansa.

Tamte dziewczyny już jej nie dostaną, ale nie mogę tego zmienić. Lesley i Jenny domagają się publicznej egzekucji wszystkich zamieszanych w tę sprawę, bo chciałyby, żeby cierpieli tak jak one. Ale zaprowadzenie Jake’a na ławę oskarżonych nie przyniesie im ulgi. Wmawiam to sobie, wpychając spodnie do reklamówki razem z jakimiś starymi swetrami i zanosząc je do kubłów na odzież pod Co-opem. Stoję przed supermarketem jak słup soli, niezdecydowanie paraliżuje mi ręce, aż nagle Bet z domu obok woła do mnie z chodnika.

– Cześć, Kate! Co tam u tego twojego kawalera?

Wpycham torbę w ciemną paszczę kubła. Nie ma jej.

– Wszystko dobrze, Bet. A ty jak się masz? – odpowiadam, jakby nic się w naszym życiu nie zmieniło.

Wydzwaniają do mnie reporterzy, chcą opublikować moją historię przed rozpoczęciem procesu Jamiego. Mogę się założyć, że w ich artykułach będzie się roić od określeń w stylu „wytrwała”, „oddana”, „dzielna” i „prawdziwa inspiracja”. W ich oczach jestem Dobrą Matką, która trwała u boku syna, pomogła policji rozwiązać sprawę i wywalczyła mu wolność.

Może i w pewnym sensie nią jestem. Czekam właśnie na pierwszą dziennikarkę. Niedługo powinna dotrzeć. Ciekawe, czy przyniesie kwiaty. Ja bym przyniosła, gdybym to ja pukała do czyichś drzwi. Wyłożyłam na półmiskę świąteczne babeczki z bakaliami, moje ulubione zdjęcia rodzinne stoją na kominku wśród gałązek sztucznego ostrokrzewu. Siedzę spokojnie. Historię mam już gotową.



## Przypisy końcowe

1. Cytat z piosenki The Prodigy Firestarter (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).  
[\[wróć\]](#)
2. Po angielsku prodigy. [\[wróć\]](#)